

— MICHAEL J. —  
SULLIVAN  
—  
WIEŻA KORONNA



# Spis treści

Karta tytułowa

Od autora

Rozdział 1. Korniszon

Rozdział 2. Gwen

Rozdział 3. Barka na Bernum

Rozdział 4. „Pod Ohydnym Łbem”

Rozdział 5. Morderstwo na Bernum

Rozdział 6. Rudera na Przekornej

Rozdział 7. Colnora

Rozdział 8. Dom Medford

Rozdział 9. Profesor

Rozdział 10. Zakapturzony człowiek

Rozdział 11. Trening

Rozdział 12. Raynor Grue

Rozdział 13. Iberton

Rozdział 14. Powrót do szkoły

Rozdział 15. Oszacowanie przyszłości

Rozdział 16. Wieża Koronna

Rozdział 17. Royce

Rozdział 18. Rose

Rozdział 19. Ucieczka

Rozdział 20. Tom Brzechwa

Rozdział 21. On

Rozdział 22. Cóż znaczy imię?

Słowniczek terminów, nazw i imion

Podziękowania

O autorze

Michael J. Sullivan

# WIEŻA KORONNA

Tom pierwszy  
Kronik Riyrii

Przełożyła Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2018

*Czytelnikom, którzy we mnie wierzyli,  
kiedy nikt inny nie wierzył.*

# Od autora

Oto „Kroniki Riyrii”.

Jeśli jesteś nowy w świecie Elanu, to pewnie zechcesz zajrzeć najpierw do wstępu, żeby zdecydować, od czego zacząć lekturę. Możliwe bowiem, że zdecydujesz, by nie zaczynać od tej książki. Nawet weterani „Odkryć Riyrii” mogą chcieć przeczytać ten wstęp, żeby dowiedzieć się nieco na temat tego, jak ta seria powstała i czego mogą się spodziewać.

„Kroniki Riyrii” poprzedzają wydarzenia z mojego debiutanckiego cyklu „Odkrycia Riyrii” (wydanego przez wydawnictwo Orbit poczynając od „Królewskiej krwi” w listopadzie 2011 roku, kończąc na „Pradawnej stolicy” w styczniu 2012). Jeśli wolicie poznawać historię w chronologicznym porządku, zacznijcie od tej książki, ponieważ bardzo się starałem, żeby „Kroniki” nie zdradziły niczego z „Odkryć”. Ponadto lektura nie wymaga znajomości wydarzeń z „Odkryć”. Chciałem uwzględnić interesy czytelników z obu obozów (tych czytających w porządku chronologicznym i tych trzymających się porządku wydawniczego). To powiedziawszy, dodam, że „Kroniki” zostały pomyślane tak, by czytać je po „Odkryciach Riyrii”, i fani cyklu natrafią na ukryte niespodzianki, które można docenić, znając całość historii. To nie są żadne kluczowe zwroty w akcji, ale drobne dodatki dla zorientowanych. Podsumowując, lekturę można zacząć zarówno od „Wieży Koronnej”, jak i „Królewskiej krwi”.

Chciałbym poświęcić chwilę różnicom w strukturze obu cyklów. Dla niezorientowanych przypomnę, że napisałem wszystkie sześć powieści „Odkryć Riyrii”, zanim którąkolwiek opublikowałem. To



było absolutnie niezbędne w przypadku tego cyklu. Chociaż każda zawiera osobny konflikt i rozwiązanie, istniało wiele wątków, które pojawiały się w całości. Sugerowano pewne tajemnice, bohaterowie byli wpuszczani w maliny, a wszystko to miało doprowadzić do wielkiego finału, w którym wszystkie sekrety były... cóż... ujawnianie. Ponieważ to była pierwsza moja praca, mogłem sobie pozwolić na taki luksus. W końcu nikt nie czekał na następną część.

Zupełnie inaczej podszedłem do „Kronik Riyrii”. Nie mam pojęcia, ile części powstanie, więc obmyśliłem ten cykl jako otwartą historię, a nie pojedynczą opowieść podzieloną na odcinki. Każdy tom to raczej osobna powieść, mniej powiązana z następnymi. Dzięki temu będę mógł przerwać pisanie o Riyrii w dowolnym momencie, nie zostawiając pytań bez odpowiedzi i nierozwiązanych konfliktów. Istnieje kilka powodów takiego podejścia. Przede wszystkim bardzo chcę chronić Riyrię. Jestem naprawdę dumny z tego dokonania, a wszyscy widzieliśmy serie, które kiedyś były świetne, a potem ciągnęły się dłużej, niż powinny. Po drugie, nie mam pojęcia, czy ludzie nadal chcą kolejnych historii z tymi bohaterami. Dlatego napisałem i opublikowałem osiem powieści i możliwe, że tyle wystarczy.

Zatem czym dokładnie są „Kroniki Riyrii”? Dlaczego zdecydowałem się pisać o wydarzeniach poprzedzających „Odkrycia Riyrii” zamiast następujących później? Cóż, wielu ludzi już wie, że „Riyria” to elfickie określenie „dwóch”. To także imię, jakie przybrali Hadrian Blackwater i Royce Melborn jako złodzieje do wynajęcia. Nic dziwnego więc, że w „Kronikach Riyrii” będą występować przede wszystkim ci dwaj. Jako precyzyjnie przemyślany cykl „Odkrycia Riyrii” zamykają się wraz z końcem ery i ogromnie podoba mi się sposób, w jaki wydarzenia znajdują swój finał. Ciężko pracowałem nad idealnym zakończeniem i obawiałem się, że wszelka kontynuacja wyda się dołożona na siłę i może zniszczyć wszystko, co było mi drogie. Zatem oczywistym pomysłem było zbadanie drugiego końca.

„Kroniki” to zasadniczo początki Riyrii. W pierwszych scenach „Odkryć” Royce i Hadrian są już najlepszymi przyjaciółmi. Przepracowali wspólnie dwanaście lat i połączyła ich więź, dzięki której zjednali sobie wielu czytelników. Dla mnie jako pisarza najciekawsze było zgłębienie, w jaki sposób ci dwaj tak różni mężczyźni wpływali na siebie i jak rozwinęli tak niezachwiane wzajemne zaufanie, jakim się darzą. Dotarło do mnie, że przy pierwszym spotkaniu bynajmniej nie polubiliby się, a najpewniej serdecznie by się znienawidzili. Wyzwaniem dla mnie było realistyczne ukazanie, jak ukształtował się ich związek, a niczego tak nie lubię przy pisaniu jak prawdziwe wyzwania.

Niektórzy sugerowali, że „Kronik Riyrii” powstały, ponieważ wydawca nalegał, bym powrócił do towaru, który już wyrobił sobie markę. To nieprawda. Każdy, kto mnie zna, wie, że za żadne pieniądze nie skłoniłby mnie do napisania czegoś, co mnie nie ciekawi. Zatem jeśli nie Orbit odpowiada za powstanie „Kronik Riyrii”, to kto? W większości czytelnicy, którzy obstawali w sześciuset osiemdziesięciu pięciu tysiącach słów, że „Odkrycia Riyrii” to za mało. To dzięki waszemu wsparciu moja rodzina ma dach nad głową i nie przymiera głodem. Pod wieloma względami czuję się jak renesansowy artysta, a wy jesteście moim mecenasem. Jest jednak jeszcze jedna osoba, zapewne jedyna, która może mnie do czegokolwiek przekonać. To dzięki tej osobie powstały „Kroniki Riyrii”. Dałem się zwieść temu podstępnemu geniuszowi, a chytre manipulacje, do jakich się uciekł, stanowią opowieść samą w sobie.

To klasyczna opowieść o mężu, którego żona zakochuje się w innym, bardziej olśniewającym i czarującym dżentelmenie. To brzmi tragicznie, ale ta opowieść jest nieco inna, ponieważ romans dotyczy prawdziwej kobiety i fikcyjnego mężczyzny. Moja żona – nazwijmy ją Robin (ponieważ tak brzmi jej prawdziwe imię) – zadurzyła się w Hadrianie Blackwaterze. Nie jestem pewien, co czuję, umożliwiając własnej żonie związek z innym mężczyzną, ale wiem przynajmniej, że ten gość jest godny zaufania. Po skończeniu

cyklu „Odkryć Riyrii” Robin popadła w depresję, bo musiała się pożegnać z Elanem, a w szczególności z Hadrianem... Dopóki nie zdała sobie sprawy, że mogę przywołać ponownie jego i Royce’a, opowiadając o zdarzeniach poprzedzających cykl. Kiedy to zrozumiała, rozpoczęła realizację diabolicznego planu mającego na celu wskrzeszenie pary bohaterów.

Zaczął się, kiedy przekonała mnie, żebym napisał opowiadanie. Dzięki temu miałbym coś dla czytelników w czasie przestawiania się z samodzielnego publikowania na tradycyjną działalność wydawniczą. Zamówione wcześniej strony do wydań „Odkryć Riyrii” w Orbit już wysłałem (ale książki jeszcze się nie ukazały), a moje wcześniejsze pomysły zostały zepchnięte na bok. Po raz pierwszy od lat nie miałem niczego w zanadrzu, a ponieważ kontrakt pozwalał mi na pisanie tekstów krótszych niż powieść, a opowiadania są, cóż, krótkie, Robin poprosiła mnie, żebym stworzył historię o początkach Royce’a i Hadriana.

Rzecz w tym, że nie jestem dobry w pisaniu opowiadań. Postanowiłem podejść więc do tego tak, jakby to był rozdział – pierwszy rozdział powieści. Cofnąłem się w czasie i napisałem prostą opowieść o spotkaniu Royce’a i Hadriana z wicehrabią Albertem Winslowem. To się stało jakiś rok po tym, jak duet się poznał. Opublikowałem to opowiadanie darmowo pod tytułem „The Viscount and the Witch” i czytelnikom najwyraźniej się spodobało. Kiedy już napisałem ten tekst, ziarno zostało posiane, a gdy zająłem się innymi projektami, ono powoli kiełkowało. Gdy stało się oczywiste, że „Odkrycia Riyrii” uzyskały właściwy rozpęd, zacząłem pracę nad tym, co miało stać się „Różą i Cierniem”.

Tuż przy końcu powieści zdałem sobie sprawę, że mam problem. Jak mógłbym opublikować powieść o drugim roku współpracy Royce’a i Hadriana. Co ja sobie myślałem? Cofanie się w czasie pociąga za sobą pytanie, jak to się wszystko zaczęło. Na co zda się legenda bez początków? Im więcej o tym myślałem, tym bardziej docierało do mnie, że muszę napisać najpierw, jak Royce i Hadrian się poznali. Kiedy powiedziałem o tym żonie, udała, że mnie tylko



wspiera, mówiąc: „Jak uważasz, kochanie”. Kiedy wyszedłem z pokoju, usłyszałem stłumione „Udało się!” i wyobraziłem sobie, jak triumfalnie potrząsa pięścią, jakby właśnie zdobyła decydujący punkt w rozgrywce. I tak narodziła się „Wieża Koronna”.

Napisawszy przypadkiem książki, których akcja toczy się w odstępie roku w świecie Elanu, wyobraziłem sobie teraz możliwość dwunastoczęściowego cyklu, po jednym tomie na rok poprzedzający wydarzenia w „Odkryciach Riyrii”. Czy te historie powstaną? Nie sposób powiedzieć, dopóki nie przekonam się, jak pójdzie mi z tymi dwiema. Jednak jak w przypadku wszystkiego, co wiąże się z pisarstwem, zostawiam otwarte drzwi i niech pomysły przychodzą. Jak na razie zbieram je jak ładne muszelki, pracując nad innymi rzeczami.

Zatem tak to było. Szczęśliwy wypadek, który narodził się dzięki miłości przebiegłej żony do fikcyjnego bohatera i legionowi czytelników, którzy chcieli przeczytać coś więcej. Jeśli znacie „Odkrycia Riyrii”, mam nadzieję, że będziecie bawili się przy „Kronikach Riyrii” równie dobrze, jak przy poprzednich powieściach. Jeśli dopiero poznajecie moje pisarstwo, możliwe, że za chwilę zdobędziecie nowych przyjaciół, i jeżeli tak się stanie, czeka na was jeszcze sześć innych tomów.

Na koniec rozważcie po lekturze, czy nie napisać do mnie kilku słów na adres [michael.sullivan.dc@gmail.com](mailto:michael.sullivan.dc@gmail.com) i podzielić się wrażeniami. To właśnie dzięki takim informacjom zwrotnym „Kroniki Riyrii” w ogóle powstały. Jeśli więc czekacie na więcej, powiedzcie mi – to najlepszy sposób, żeby do tego doprowadzić.

*Porządek chronologiczny*

Wieża Koronna

Róża i Cierń

Królewska krew. Wieża elfów

Nowe imperium.

*Porządek wydawniczy*

Królewska krew. Wieża elfów

Nowe imperium.

Szmaragdowy sztorm

Zdradziecki plan

Pradawna stolica

Szmaragdowy sztorm

Zdradziecki plan

Pradawna stolica

Wieża Koronna

Róża i Cierń

# Rozdział 1

## *Korniszon*

Hadrian Blackwater przeszedł nie więcej niż pięć kroków po zejściu na ląd, kiedy go okradziono.

Torbę, jego jedyną torbę, wyrwano mu z ręki. Nawet nie zauważył złodzieja. Hadrian w ogóle niewiele widział w oświetlonym latarniami chaosie, jaki otaczał nabrzeże, jedynie multum twarzy, ludzi przepychających się, żeby odsunąć się od trapu albo podejść do statku. Przyzwyczajony do rytmu rozkołysanego pokładu z trudem utrzymywał równowagę na nieruchomej przystani wśród przepychanek i szamotaniny. Nowo przybyli poruszali się z wahaniem, powodując zatory. Wielu miejscowych szukało przyjaciół i krewnych, wrzeszcząc, podskakując i wymachując rękami, żeby zwrócić ich uwagę. Inni zachowywali się bardziej jak zawodowcy – trzymali pochodnie i wykrzykiwali oferty zakwaterowania lub pracy. Pewien łyсы mężczyzna o głosie jak trąbka sygnałowa stał na skrzynce i zapewniał, że tawerna „Czarny Kot” oferuje najmocniejsze piwo za najniższą cenę. Dwadzieścia stóp dalej jego konkurencja balansowała na chwiejącej się beczce i głosiła, że łyсы kłamie, uporczywie powtarzając, że „Fartowny Kapelus” to jedyna miejscowa tawerna, która nie serwuje psiego ścierwa pod nazwą baraniny. Hadrian miał to wszystko w nosie. Chciał wydostać się z tłumu i znaleźć złodzieja, który ukradł mu torbę. Już po paru

minutach zdał sobie sprawę, że nic z tego nie będzie. Skupił się więc na pilnowaniu sakiewki i uznał, że miał szczęście. Przynajmniej nie stracił niczego cennego, tylko ubrania. Jednak biorąc pod uwagę, jak zimno było w Avrynie jesienią, utrata garderoby mogła stanowić pewien problem.

Hadrian ruszył razem z potokiem ciał – zresztą i tak nie miał dużego wyboru. Porwany przez silny prąd unosił się z głową tuż nad powierzchnią. Pirs trzeszczał i jęczał pod ciężarem uciekających pasażerów, którzy pośpiesznie oddalali się od tego, co było ich ciasnym domem przez ponad miesiąc. Gryzące zapachy ryb, dymu i smoły zastąpiły teraz tygodnie oddychania czystym słonym powietrzem. Unoszące się daleko ponad słabo oświetlonym nabrzeżem światła miasta stanowiły jaśniejsze punkty wśród rozgwieżdżonego wieczoru.

Hadrian szedł za czterema ciemnoskórymi caliskimi mężczyznami ciągnącymi skrzynie wypełnione barwnymi ptakami, które skrzeczały i trzepotały skrzydłami w swoich klatkach. Za nim szli ubogo ubrani mężczyzna i kobieta. Mężczyzna niósł dwie torby, jedną przerzuconą przez ramię, a drugą wciśniętą pod pachę. Najwyraźniej ich rzeczami nikt nie był zainteresowany. Hadrian zdał sobie sprawę, że powinien być inaczej się ubrać. Jego wschodni strój nie dość, że był niepraktycznie cienki, to jeszcze w krainie skóry i wełny dżalabija z bielonego płótna i obszyta złotem peleryna aż biły w oczy bogactwem.

– Tu! Tutaj! – Ledwie słyszalny głos był jeszcze jednym dźwiękiem w zgiełku krzyków, skrzypienia kół wozów, dzwonków i gwizdów. – Tędy. Tak, pan, proszę podejść. Proszę podejść!

Dotarłszy na koniec rampy i niemal wyrwawszy się tłumowi, Hadrian dostrzegł wyrostka. Ubrany w obszarpane ubrania czekał pod płomiennym blaskiem kołyszącej się latarni. Żyłasty młodzieniec trzymał torbę Hadriana. Rozpromienił się w nadzwyczaj szerokim uśmiechu.

– Tak, tak, pan właśnie. Proszę podejść. O, tutaj! – wołał, wymachując wolną ręką.

– To moja torba! – krzyknął Hadrian, przepychając się do chłopaka i nie mogąc do niego dotrzeć z powodu tłumu, który nadal tarasował wąski pirs.

– Tak! Tak! – Chłopak uśmiechnął się jeszcze szerzej. Oczy błyszczały mu entuzjastycznie. – Ma pan ogromne szczęście, że ją panu zabrałem, bo z pewnością ktoś by ją panu ukradł.

– Ty ją ukradłeś!

– Nie, nie! Skądże znowu! Ofiarnie chronilem pańską najcenniejszą własność. – Młodzieniec wyprostował chude plecy tak, że Hadrian spodziewał się, że zaraz zasalutuje. – Ktoś taki jak pan nie powinien sam nosić torby.

Hadrian precyzyjnie przycisnął się obok trzech kobiet, które przystanąły, żeby ukołysać płaczące dziecko, ale zaraz zatrzymał go starszy mężczyzna ciągnący niewiarygodnie wielki kufer. Chudy jak widmo staruszek, o włosach białych jak mleko, zatarasował wąski przesmyk już zawalony górą toreb zrzuconych lekkomyślnie ze statku na pirs.

– Co masz na myśli, mówiąc „ktoś taki jak ja”?! – krzyknął Hadrian ponad kufrem, podczas gdy starzec przed nim siłował się z ciężarem.

– Jest pan wielkim rycerzem, prawda?

– Nie, nie jestem.

Chłopak wskazał go palcem.

– Musi pan być. Proszę samemu spojrzeć: jest pan wielki i nosi pan miecze... Trzy miecze! A ten przewieszony przez plecy jest naprawdę ogromny. Tylko rycerz nosi takie rzeczy.

Hadrian westchnął, kiedy kufer starca zaklinował się w szczelinie między odeskowaniem pomostu a pochylnią. Pochylił się i uniósł kufer, za co usłyszał kilka przysięg dozgonnej wdzięczności w nieznanym języku.

– Sam pan widzi – powiedział chłopiec – tylko rycerz pomógłby nieznajomemu w potrzebie.

Kolejne torby wylądowały z hukiem na stosie obok Hadriana. Jedna sturlała się i z pluskiem wpadła do ciemnych wód portu.

Hadrian parł przed siebie, żeby nie zostać trafionym zrzuconą torbą i odzyskać skradzioną własność.

– Nie jestem rycerzem. A teraz oddaj mi torbę.

– Poniosę ją dla pana. Nazywam się Korniszon... Ale musimy już iść. Szybko. – Chłopiec przytulił torbę Hadriana i odbiegł.

– Ejże!

– Szybko, szybko! Lepiej się nie ociągać.

– Skąd ten pośpiech? Co ty wygadujesz? I wracaj tu z moją torbą!

– Ma pan wielkie szczęście, że pan na mnie trafił. Jestem doskonałym przewodnikiem. Nieważne, czego pan zechce, ja wiem, gdzie tego szukać. Przy mnie dostanie pan tylko to co najlepsze i za najniższą cenę.

Hadrian wreszcie dogonił chłopaka i złapał swoją torbę. Pociągnął i razem z nią uniósł urwisa, który nadal zaciskał ręce wokół płótna.

– Ha! Widzi pan? – Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nikt nie wyrwie torby z moich rąk!

– Słuchaj... – Hadrian potrzebował chwili, żeby złapać oddech. – Nie potrzebuję przewodnika. Nie zatrzymam się w tym mieście.

– A dokąd się pan wybiera?

– Na północ. Daleko na północ. Do miejsca zwanego Sheridan.

– Ach! Na uniwersytet.

To zaskoczyło Hadriana. Korniszon nie robił wrażenia światowca. Dzieciak przypominał porzuconego psa. Takiego, co to kiedyś mógł nosić obrożę, ale teraz miał tylko pchły, odstające zębra i nadmiernie rozwinięty instynkt samozachowawczy.

– Studiuje pan, by zostać uczonym? Powinienem był się domyślić. Proszę wybaczyć, jeśli pana obraziłem. Jest pan nadzwyczaj bystry, więc to oczywiste, że będzie pan wielkim uczonym. Proszę nie dawać mi napiwku za popełnienie takiej gafy. Ale to jeszcze lepiej. Doskonale wiem, dokąd powinniśmy się udać. W górę rzeki Bernum można popłynąć barką. Tak, barka to doskonałe rozwiązanie, a jedna rusza akurat tego wieczoru. Nie



będzie następnej przez kilka dni, a pan nie chciałby zostawać w takim okropnym mieście jak to. W okamgnieniu znajdziemy się w Sheridanie.

– My? – Hadrian uśmiechnął się znacząco.

– Chyba zechce pan zabrać mnie ze sobą, prawda? Znam nie tylko Vernes. Jestem znawcą całego Avrynu. Odbyłem dalekie podróże. Mogę panu pomóc, będę pachołkiem, który zadba o wszelkie pana potrzeby i będzie pilnował pańskiej własności, by uchronić ją przed złodziejami, gdy pan będzie studiował. To robota, w której jestem najlepszy.

– Nie studiuję i nie zamierzam zaczynać. Po prostu odwiedzam kogoś i nie potrzebuję pachołka.

– Oczywiście, że nie potrzebuje pan pachołka, skoro nie zamierza pan zostać uczonym, ale jako szlachetnie urodzony syn lorda, który dopiero co wrócił ze wschodu, bez wątpienia potrzebuje pan famulusa, a ze mnie będzie doskonały famulus. Dopilnuję, żeby pański nocnik był zawsze pusty, ogień porządnie rozpalony zimą, a latem będę pana wachlować, żeby odpędzić muchy.

– Korniszonie – oznajmił stanowczo Hadrian – nie jestem synem lorda i nie potrzebuję służącego. Ja tylko... – Urwał, widząc, że coś odciągnęło uwagę chłopca. Na jego radosnym obliczu nagle pojawił się strach. – Co się stało?

– Mówiłem, że trzeba się pośpieszyć. Musimy natychmiast wynieść się z portu!

Hadrian odwrócił się i zobaczył mężczyzn z pałkami maszerujących przystanią. Pod ich ciężkimi stopami deski aż podskakiwały.

– Przymusowe mustrowanie – powiedział Korniszon. – Ci goście zawsze są w pobliżu, kiedy przyplýwa statek. Nowo przybyli tacy jak pan mogą dać się złapać, a potem budzą się w trzewiach statku, który już wyszedł w morze. O, nie! – Korniszon zdusił okrzyk, kiedy zauważył ich jeden z oprychów.

Po krótkim gwizdnięciu i popukaniu w ramię czterech mężczyzn

ruszyło w ich kierunku. Korniszon się wzdrygnął. Napiął mięśnie nóg, przeniósł ciężar ciała, jakby zamierzał czmychnąć, ale spojrzał na Hadriana, zagryzł usta i nie drgnął.

Mężczyźni z pałkami nadbiegli, ale pod koniec zwolnili i wreszcie przystanęli na widok mieczy Hadriana. Cała czwórka mogłaby być braćmi. Wszystkim dopiero co sypnęła się broda, mieli przetłuszczone włosy, spieczoną słońcem skórę i wściekle twarze. Taka mina musiała cieszyć się u nich popularnością, bo zostawiła im trwale zmarszczki na czołach.

Przez chwilę przyglądali się zaintrygowani Hadrianowi. Potem stojący na przedzie oprych w poplamionej tunice z jednym oderwanym rękawem zapytał:

– Jesteś rycerzem?

– Nie, nie jestem rycerzem. – Hadrian przewrócił oczami.

Drugi roześmiał się i szturchnął brutalnie tego z oberwanym rękawem.

– Durny jełopie, nie jest dużo starszy od tego chłopaka obok niego.

– Do diabła, nie szturchaj mnie na tym oślizgłym pomoście, tępy sukinsynu. – Mężczyzna znowu spojrzał na Hadriana. – Nie jest aż tak młody.

– Wszystko możliwe – wtrącił się jeden z pozostałych. – Królowie robią różne głupoty. Słyszałem, że jeden kiedyś pasował na rycerza psa. Nazywali go sir Ciapek.

Czwórka parsknęła śmiechem. Hadriana kusiło, żeby zaśmiać się razem z nimi, ale otrzeźwił go wyraz przerażenia na twarzy Korniszona.

Ten z oberwanym rękawem podszedł bliżej.

– Musi być przynajmniej giermkim. Na miłość Maribora, popatrzcie na to żelastwo. Gdzie twój pan, dzieciaku? Jest gdzieś w pobliżu?

– Giermkim też nie jestem – odpowiedział Hadrian.

– Nie? To po co ci to żelastwo?

– Nie twój interes.

Mężczyźni się roześmiali.

– O, taki z ciebie twardziel, co?

Rozproszyli się, mocniej zaciskając dłonie na pałkach. Jeden miał skórzany pasek przewleczony przez uchwyt i owinięty wokół nadgarstka. Pewnie uznał to za dobry pomysł, pomyślał Hadrian.

– Lepiej zostawcie nas w spokoju – odezwał się drżącym głosem Korniszon. – Nie wiecie, kto to jest? – Wskazał Hadriana. – To słynny wojownik. Urodzony morderca.

Śmiech.

– Czyżby? – zakpił najbliżej stojący oprych i splunął przez pozółkłe zęby.

– Właśnie, że tak! – upierał się Korniszon. – Jest bezwzględny! Wcielone zwierzę! I jest bardzo drażliwy. I bardzo niebezpieczny.

– Taki młodzik jak on, he? – Mężczyzna spojrzał na Hadriana i wydał wargi w zamyśleniu. – Duży jest, to fakt, ale mnie się widzi, że ma jeszcze mleko pod nosem. – Skupił się na Korniszonie. – A ty nie jesteś bezwzględnym zabójcą, co, mały? Jesteś brudnym ulicznikiem, którego wczoraj widziałem pod piwiarnią, jak próbował zgarnąć jakieś okruchy. Ciebie, chłoptasiu, czeka nowa kariera, na morzu. To dla ciebie najlepsze rozwiązanie, jak pragnę zdrowia. Dostaniesz jedzenie i nauczysz się pracować, pracować naprawdę ciężko. To zrobi z ciebie mężczyznę.

Korniszon próbował uskoczyć, ale oprych złapał go za włosy.

– Puść go – powiedział Hadrian.

– Jakżeś to rzekł? – Drab trzymający Korniszona zarechotał. – „Nie twój interes”?

– To mój giermek – oznajmił Hadrian.

Mężczyźni znowu się roześmiali.

– Powiedziałeś, że nie jesteś rycerzem, zapomniałeś?

– Pracuje dla mnie, to wystarczy.

– Nie wystarczy, bo ten pędrak pracuje teraz w żegludze morskiej.

Objął Korniszona za szyję umięśnionym ramieniem i zgiął go

wpół, a drugi drab podszedł z kawałkiem sznura, który nosił wcześniej przewiązany w pasie.

– Powiedziałem: puść go – powtórzył podniesionym głosem Hadrian.

– Ej! – warknął mężczyzna z oberwanym rękawem. – Nie rozkazuj nam, chłoptasiu. Nie bierzemy ciebie, bo do kogoś należysz. Kogoś, kto kazał ci dźwigać trzy miecze, kogoś, kto może zauważyć twoje zniknięcie. Takich kłopotów nie potrzebujemy, jasne? Ale nie zadzieraj z nami. Zadrzyj, a połamiemy ci kości. Zadrzyj bardziej, a mimo wszystko wrzucimy cię na statek. Zadrzyj jeszcze bardziej, a nie trafi ci się nawet statek.

– Naprawdę nie cierpię takich ludzi jak wy – powiedział Hadrian. – Dopiero co tu przybyłem. Spędziłem na morzu miesiąc. Miesiąc! Tak daleko podróżowałem, żeby uciec właśnie od takich rzeczy. – Pokręcił głową z niesmakiem. – A tu proszę, spotykam was... I jeszcze ciebie. – Hadrian wskazał Korniszona, któremu wiązano właśnie nadgarstki za plecami. – Nie prosiłem cię o pomoc. Nie prosiłem o przewodnika, pacholka czy służącego. Sam sobie dobrze radziłem. Ale nie, ty musiałeś zabrać mi torbę i obnosić się z tą swoją pogodą ducha. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że nie uciekłeś. Może jesteś głupi, nie wiem. Jednak nie mogę opędzić się od myśli, że zostałeś, żeby mi pomóc.

– Przepraszam, że się nie wykazałem. – Korniszon posłał mu smutne spojrzenie.

Hadrian westchnął.

– Psiakość, a ty znowu swoje.

Spojrzał na oprychów, już wiedząc, jak to się skończy, jak to się zawsze kończyło. Musiał jednak spróbować.

– Słuchajcie, nie jestem rycerzem, nie jestem też giermkim, ale te miecze należą do mnie i chociaż Korniszon myślał, że blefuje, rzeczywiście...

– Stul już pysk!

Drab bez rękawa zrobił krok i zamachnął się pałką, żeby odepchnąć Hadriana. Na śliskim pomoście niewiele trzeba było,

żeby Hadrian pozbawił go równowagi. Złapał go za rękę, wykręcił mu nadgarstek i łokieć. Kość pękła. Rozległ się trzask, jakby ktoś rozbił skorupkę orzecha. Hadrian odepchnął wrzeszczącego oprycha i rozległ się plusk, kiedy mężczyzna wpadł do wody.

Hadrian mógł wtedy wyciągnąć miecze, i omal nie zrobił tego odruchowo, ale obiecał sobie, że odtąd będzie inaczej. Poza tym zabrał przeciwnikowi pałkę, zanim go zrzucił z pomostu – solidny kawał hikory, mający jakiś cal średnicy i nieco dłuższy niż stopa. Uchwyt był idealnie wypolerowany przez lata używania, a drugi koniec poplamiony na brązowo krwią, którą drewno nasiąkło.

Pozostali mężczyźni przestali próbować związać Korniszona. Jeden nadal go przyduszał chwytem za szyję, a dwaj rzucili się na Hadriana. Przyjrzał się pracy ich stóp, ocenił ciężar i rozpęd. Uchylił się przed zamachem pierwszego przeciwnika, drugiego zaś podciął i uderzył w potylicę, kiedy tamten padał. Pałka uderzyła w czaszkę z głuchym łoskotem, jakby walnął w dynię. Mężczyzna padł na pomost i już się nie podniósł. Drugi znowu się zamachnął. Hadrian zablokował cios pałką z hikory, uderzając przeciwnika w palce. Opryszek wrzasnął i wypuścił broń, pałka zawisała mu na rzemieniu przy nadgarstku. Hadrian złapał ją, obrócił, solidnie zaciskając skórzany pasek, wygiął rękę mężczyzny do tyłu i mocno pociągnął. Kość nie pękła, ale ramię wyskoczyło ze stawu. Dygocące nogi opryszka sygnalizowały, że opuściła go wola walki, więc Hadrian zepchnął go z pomostu w ślad za jego przyjacielem.

Kiedy odwrócił się do ostatniego z czwórki, Korniszon stał już sam i masował szyję. Jego niedoszły porywacz uciekł w siną dal.

– Jak myślisz, wróci z kumplami? – zapytał Hadrian.

Korniszon nie odezwał się słowem. Patrzył tylko na Hadriana z rozdziawionymi ustami.

– Chyba nie ma sensu zostawać tu dłużej, żeby się przekonać – odpowiedział sobie Hadrian. – To gdzie jest ta barka, o której mówiłeś?

Z dala od nabrzeża powietrze w mieście Vernes nadal było duszne i dławiące. Wąskie ceglane uliczki tworzyły labirynt zacieniony przez balkony, które niemal się stykały. Latarnie i księżycowe światło były równie skąpe, a niektórych samotnych drózek w ogóle nie oświetlono. Hadrian cieszył się, że ma Korniszona. Kiedy już otrząsnął się z przerażenia, ten „szczur z zaułka” zachowywał się bardziej jak pies myśliwski. Pędził korytarzami miasta, przeskakując z wielką wprawą nad kałużami, które cuchnęły jak nieczystości, i uchylając się przed sznurami z praniem i rusztowaniami.

– To kwatery większości cieśli okrętowych, a tam dormitorium dla dokerów. – Korniszon wskazał ponury dwupiętrowy budynek blisko kei z jednymi drzwiami i paroma oknami. – Większość mężczyzn z tej okolicy mieszka tu albo w siostrzanym budynku przy południowym krańcu. Tyle rzeczy kręci się tu wokół żeglugi. A tam, w górze, wysoko na wzgórzu, widzi pan? To jest cytadela.

Hadrian uniósł głowę i dostrzegł ciemny zarys twierdzy oświetlonej pochodniami.

– To nie tyle zamek, ile rachuba dla handlarzy i kupców. Mury muszą być wysokie i grube, bo upychają tam całe złoto. Tam wędrują pieniądze z morza. Wszystko inne spływa w dół, ale złoto płynie w górę.

Korniszon ominął przewrócone wiadro i wystraszył dwa szczury rozmiarów kota, który czmychnęły w głębsze cienie. Kiedy w połowie minął drzwi, Hadrian zdał sobie sprawę, że stos rzuconych szmat to tak naprawdę siedzący na ganku mężczyzna, który wyglądał na starca przez wystrzępioną siwą brodę i głęboko pobrużdżoną twarz. Siedzący nawet nie drgnął, nie mrugnął powieką. Hadrian zauważył go tylko dlatego, że główka fajki, którą starzec palił, rozjarzyła się pomarańczowo.

– To brudne miasto! – zawołał do niego Korniszon. – Cieszę się, że wyjeżdżamy. Za dużo tu cudzoziemców, przybyszy ze wschodu. Pewnie wielu przypłynęło z panem. Dziwni ludzie, ci przybysze z Calisu. Ich kobiety rzucają czary i przepowiadają przyszłość, ale



moim zdaniem najlepiej nie wiedzieć za dużo o własnej przyszłości. Nie będziemy musieli martwić się takimi rzeczami na północy. W Warric palą czarownice zimą, żeby się ogrzać. A przynajmniej tak słyszałem. – Korniszon przystanął gwałtownie i obrócił się. – Jak się pan nazywa?

– Wreszcie postanowiłeś zapytać, co? – Hadrian się zaśmiał.

– Muszę wiedzieć, jeśli mam nam zarezerwować przewóz.

– Sam mogę się tym zająć. Zakładając, rzecz jasna, że rzeczywiście prowadzisz mnie na barkę, a nie w jakiś ciemny zaułek, gdzie gruchniesz mnie w łeb i gruntownie okradniesz.

Korniszon sprawiał wrażenie urażonego.

– Nie zrobiłbym czegoś takiego. Uważa mnie pan za głupca? Po pierwsze, widziałem, co pan robi z ludźmi, którzy próbują pana gruchnąć w łeb. Po drugie, już minęliśmy kilkanaście doskonałych ciemnych zaułków.

Twarz Korniszona rozpromienił szeroki uśmiech, który według Hadriana w jednej części składał się z szelmostwa, w jednej z dumy i w dwóch z czystej radości w rodzaju „po prostu cieszę się, że żyję”. Nie mógł odeprzeć takiej argumentacji. I nie pamiętał też, kiedy ostatnim razem czuł się tak, jak Korniszon wyglądał.

Przywódca oprychów miał rację. Korniszon był nie więcej niż cztery, może pięć lat młodszy od Hadriana. Pięć, uznał. Jest pięć lat młodszy ode mnie. Jest mną, zanim odszedłem z domu. Czy wtedy też się uśmiechałem tak jak on? Zastanawiał się, od jak dawna Korniszon sam radzi sobie w świecie i czy za pięć lat nadal będzie się tak uśmiechał.

– Hadrian. Hadrian Blackwater. – Wyciągnął dłoń.

Chłopiec skinął głową.

– Dobre imię. Bardzo dobre. Lepsze niż Korniszon. Chociaż z drugiej strony każde imię jest lepsze od mojego.

– Matka cię tak nazwała?

– Och, z całą pewnością. Wieść gminna niesie, że zostałem poczęty i wydany na świat na tej samej skrzynce z korniszonami. Jak można odrzucić taką legendę? Nawet jeśli nie jest prawdziwa,

to moim zdaniem powinna być.

Wynurzyli się z labiryntu i znaleźli się na szerszej alei. Wspięli się już nieco i Hadrian dostrzegł w dole nabrzeże i maszty statku, którym przy płynął. Nadal kłębił się tam spory tłum – ludzie szukali miejsca na nocleg albo swoich rzeczy. Hadrian przypomniał sobie torbę, która sturlała się do wody. Ilu ludzi wylądowało w nowym mieście, prawie nic nie mając?

Szczekanie psa sprawiło, że Hadrian się odwrócił. Spojrzał w wąską uliczkę i wydało mu się, że dostrzegł jakiś ruch, ale nie miał pewności. W krętym zaułku była raptem jedna latarnia. Resztę oświetlał księżyc, rzucając niebiesko-szare łaty światła. Tu kwadratową, tam prostokątną, za mało, żeby coś w tym świetle dostrzec, i ledwie dość, by ocenić odległość. Czyżby następny szczur? To coś wydało mu się większe. Poczekał, wyteżając wzrok. Nic się nie poruszyło.

Kiedy się obejrzał, Korniszon przeszedł już prawie na drugą stronę placu, gdzie ku swojej uciezce Hadrian ujrzał kolejne nabrzeże. To znajdowało się u ujścia potężnej rzeki Bernum, która w nocy wyglądała jak szeroki przestwór ciemności. Zerknął raz jeszcze za siebie w wąskie uliczki. Nadal nic się nie poruszyło. Duchy. Tak właśnie – prześladowała go jego własna przeszłość.

Hadrian cuchnął śmiercią. To nie była woń, jaką inni mogli wyczuć albo którą mogła zmyć woda, a jednak przywarła do niego jak przenikliwy smród potu po długiej nocy pijaństwa. Tyle że ten odór nie brał się z alkoholu. On się brał z krwi. Nie z powodu jej picia, chociaż Hadrian znał takich, co pili krew. Cuchnął, bo się w niej pławił. Jednak teraz to już się skończyło, a przynajmniej tak sobie powtarzał z przekonaniem pijaka, który dopiero co wytrzeźwiał. Tamto to był inny Hadrian, młodsza wersja, którą zostawił na drugim końcu świata i od której nadal uciekał.

\* \* \*

Przypomniał sobie, że Korniszon nadal ma jego torbę, więc za nim

pobiegł. Nim go dogonił, Korniszon znów miał kłopoty.

– To jego! – krzyczał, wskazując Hadriana. – Pomagałem mu dotrzeć na barcę.

Chłopca otoczyło sześciu żołnierzy. Większość nosiła kolczugi i trzymała kwadratowe tarcze. Stojący pośrodku mężczyzna z fantazyjnym pióropuszem na hełmie nosił na piersi i ramionach zbroję folgową oraz skórzany, nabijany ćwiekami fartuch. To do niego mówił Korniszon, którego przytrzymało dwóch innych żołnierzy. Wszyscy spojrzeli na nadchodzącego Hadriana.

– To twoja torba? – zapytał oficer.

– Tak. I chłopak mówi prawdę. Odprowadzał mnie do tamtej barki.

– Tak ci śpieszno opuścić nasze piękne miasto, co? – zapytał podejrzliwym tonem oficer, przyglądając się bacznie Hadrianowi.

– Bez urazy, ale owszem. Mam sprawę na północy.

Oficer zrobił krok w jego stronę.

– Jak się nazywasz?

– Hadrian Blackwater.

– Skąd jesteś?

– Zasadniczo z Hintindaru.

– Zasadniczo? – Powątpiewaniu w głosie towarzyszyło uniesienie brwi.

Hadrian skinął głową.

– Kilka lat spędziłem w Calisie. Właśnie wróciłem z Dagastanu na tamtym statku.

Oficer zerknął w stronę portu, a potem na sięgającą za kolana dżalabiję Hadriana, luźne bawełniane spodnie i kufiję na głowie. Pochylił się, pociągnął nosem i skrzywił się.

– Bez wątpienia byłeś na statku, a twój strój z pewnością jest caliski. – Westchnął, a potem skupił się na Korniszonie. – Ale ten nie był na statku. Mówi, że wybiera się z tobą. Zgadza się?

Hadrian zerknął na Korniszona i zobaczył nadzieję w oczach chłopaka.

– Aha, wynająłem go jako mojego... ehm... mojego... służącego.

– Czyj to był pomysł? Jego czy twój?  
– Jego, ale okazał się bardzo pomocny. Bez niego nie znalazłbym tej barki.

– Dopiero co wysiadłeś ze statku – powiedział oficer. – To dziwne, że tak pilno ci do tego, żeby wsiąść na następny.

– Tak naprawdę, to wcale się do tego nie palę, ale Korniszon mówi, że barka zaraz rusza i nie będzie następnej przez kilka dni. To prawda?

– Tak – potwierdził oficer – a przy okazji to niezwykle wygodne.

– Mogę spytać, w czym problem? Czy jakieś prawo zabrania wynajmowania przewodnika i płaceni mu za jego usługi w czasie podróży?

– Nie, ale wydarzyła się tu w mieście paskudna rzecz, naprawdę paskudna rzecz, więc to naturalne, że interesujemy się każdym, kto śpieszy się, żeby stąd wyjechać, a przynajmniej każdym, kto spędził tu parę ostatnich dni. – Spojrzał Korniszonowi prosto w oczy.

– Nic nie zrobiłem – zaprotestował chłopak.

– Tak twierdzisz i nawet jeśli to prawda, to możesz wiedzieć coś na temat tej sprawy. W obu wypadkach mógłbyś odczuwać silną potrzebę ulotnienia się, a uciepienie się kogoś, kto znajduje się poza wszelkim podejrzeniem, to dobry sposób, żeby wyplątać się z kłopotów, nieprawdaż?

– Ale ja nic nie wiem na temat morderstw.

Oficer odwrócił się do Hadriana.

– Możesz ruszać w drogę i lepiej się pośpiesz. Już wzywają pasażerów.

– A co Korniszonem?

Żołnierz pokręcił głową.

– Nie mogę go puścić razem z tobą. Wątpliwe, żeby odpowiadał za morderstwa, ale może wiedzieć, kim jest sprawca. Sieroty z ulic dużo widzą i nie lubią o tym mówić, jeśli myślą, że uda im się tego uniknąć.

– Przecież mówię wam, że nic nie wiem. Nawet nie byłem na

wzgórzu.

– Zatem nie masz się czego obawiać.

– Ale... – Korniszon wyglądał, jakby miał się rozplakać. – On miał mnie stąd zabrać. Wybieraliśmy się na północ. Wybieraliśmy się na uniwersytet.

– Uwaga! Uwaga! Ostatnie wezwanie dla pasażerów! Barka do Colnory! Ostatnie wezwanie! – rozległ się potężny ryk.

– Słuchaj... – Hadrian otworzył sakiewkę – ...wyświadczyłeś mi przysługę i za to zasłużyłeś na zapłatę. Gdy już skończą cię przesłuchiwać, jeśli nadal będziesz chciał dla mnie pracować, to za te pieniądze możesz dotrzeć do Sheridanu i tam się ze mną spotkać. Wsiądź na następną barkę albo do dyliżansu jadącego na północ, jak wolisz. Spędzę tam miesiąc, a przynajmniej dwa tygodnie. – Hadrian wcisnął monetę w dłoń chłopca. – Jeśli przyjedziesz, pytaj o profesora Arcadiusa. To z nim mam się spotkać, więc będzie się orientował, gdzie mnie szukać. Dobrze?

Korniszon skinął głową i wyglądał nieco mniej nieszczęśliwie. Kiedy zerknął na monetę, wytrzeszczył oczy i powrócił jego dawny, olbrzymi uśmiech.

– Tak, proszę pana! Natychmiast przybędę. Z całą pewnością może pan na mnie liczyć. A teraz niech pan biegnie, zanim barka odpłynie.

Hadrian skinął do niego głową, podniósł torbę i pobiegł na nabrzeże, gdzie obok trapu prowadzącego na długą płaskodenną łódź czekał mężczyzna.

# Rozdział 2

## *Gwen*

Gwen wiedziała, że zjawi się za późno, kiedy tylko usłyszała krzyki na pierwszym piętrze. Sufit się trząsał, aż tynk posypał się do kieliszków gromady skupionej przy barze. Z góry dobiegało dudnienie, jakby okładał Avon pałką po głowie.

Nie, nie pałką. Uderza jej głową o podłogę, pomyślała Gwen.

– Avon! – wrzasnęła i rzuciła się ku schodom.

Nie chciała zwolnić na zakręcie, przez co uderzyła ramieniem w ścianę u szczytu schodów i zrzuciła z niej małe lustro, które się stłukło. Popędziła korytarzem. Krzyki brzmiały nieludzko, jakby dobiegały z rzeźni – daremne wrzaski skazanego na śmierć stworzenia.

Stane ją morduje.

Gwen szarpnęła zasuwkę i pchnęła drzwi, ale drzwi zaryglowano od środka. Nawet nie drgnęły. Uderzyła w nie całym ciałem, ale drewno zignorowało jej drobną wagę. Dobiegające ze środka walenie przycichło, jakby teraz ktoś uderzał w paćkę. Już nie brzmiało jak stłumiony głuchy łomot, ale jak plaskanie o coś mokrego. Krzyki osłabły do cichych jęków.

Gwen z impetem otworzyła drzwi do pokoju po drugiej stronie korytarza, gdzie Mae zabawiała rudzielca ze Wschodniej Marchii. Mae krzyknęła ze strachu. Czymkolwiek zajmowali się do tej pory, przestali, kiedy rozległy się krzyki Avon. Gwen kopnęła w luźny



słupek przy nogach łóżka. Stolarz zbudował ramę łóżka z solidnych kawałów klonu, ale nie spisał się przy łączeniu ich w całość. Po dwóch kolejnych kopniakach słupek odpadł, a materac wraz z Mae i rudzielcem wylądował na podłodze.

Pędząc jak rycerz walczący na kopie, Gwen uderzyła słupkiem w drzwi pokoju Avon. Siła uderzenia sprawiła, że taran wypadł jej z rąk, ale w powierzchni drzwi pojawiło się solidne zagłębienie, a drewno futryny lekko się rozszczepiło. Gwen rzuciła się po taran i chwyciła go znowu, w tej samej chwili, kiedy Raynor Grue pojawił się u szczytu schodów.

– Psiakrew, ty durna suko! Przestań!

Zbierając w sobie wszystkie siły, Gwen uderzyła znowu w drzwi, celując w to samo miejsce, co poprzednio, i mniej więcej tam trafiając. Framuga roztrzaskała się i drzwi otworzyły się z impetem. Gwen z rozpędu wleciała do pokoju i wylądowała na podłodze w kałuży krwi.

– Na brodę wielkiego Maribora! – zaklął Grue, stając w progu.

Stane siedział okrakiem na Avon, nadal zaciskając ręce na jej szyi.

– Nie przestawała krzyczeć.

Oczy Avon były szeroko otwarte, włosy w kolorze blond miała splamione szkarłatem.

– Wynoś się stąd! – powiedział Grue, łapiąc Gwen i wyciągając ją na korytarz. – Zmiataj na dół! Jesteś mi winna nowe drzwi i łóżko.

– Nie żyje? – spytał Stane, nadal siedząc okrakiem na Avon.

Nogi miał nagie, skórę śliską od potu, pierś zbryzganą krwią.

Grue szturchnął głowę Avon butem.

– Aha, zabiłeś ją.

– Ty sukinsynu! – Gwen rzuciła się na Stane'a.

Grue złapał ją i pchnął do tyłu, przez co potknęła się i przewróciła.

– Stul dziób! – wrzasnął.

– Przepraszam, Grue – wydukał Stane.

Grue skrzywił się i pokręcił głową, lustrując krew rozlewającą się po drewnianej podłodze. Gwen zorientowała się po sposobie, w jaki stał i wykrzywił usta, że nie widzi w Avon pięknej młodej dziewczyny, która umarła przedwcześnie, ale jedynie bałagan do posprzątania.

Westchnął.

– Nie chcę twoich przeprosin, Stane. Będziesz musiał za to zapłacić. Avon była popularna.

– Ile?

Grue zastanawiał się chwilę w typowy dla siebie sposób – zagryzając wykałaczkę i zasysając powietrze przez zęby.

– Osiemdziesiąt pięć srebrnych tenentów.

– Srebrnych? Osiemdziesiąt pięć? Kosztowała tylko sześć miedziaków!

– A tyś ją zabił, tępý sukinsynu! Straciłem wszystko, co zarobiłaby w przyszłości. Powinienem zażądać zapłaty w złocie!

– Nie mam aż tyle.

– Będziesz musiał zdobyć pieniądze.

Stane skinął głową.

– Zdobędę.

– Jeszcze dziś wieczorem.

Stane zawahał się, ale zaraz się zgodził.

– Dobrze, dziś wieczorem.

– Gwen, idź po wiadro i posprzątaj to. Ty też, Mae. Rudy, na dzisiaj skończyłeś. Zmiataj stąd. Jak będziesz wychodził, przyślij na górę Willarda. Będę potrzebował pomocy przy znoszeniu ciała.

– Nie możesz pozwolić, żeby mu się upiekło – powiedziała przez zaciśnięte zęby Gwen, kiedy już wstała.

Łzy jeszcze jej nie popłynęły i zastanawiała się dlaczego. Może nadal była zbyt wściekła. Wyłamanie drzwi wzburzyło w niej krew i nadal się nie uspokoiła.

– Zapłaci za szkody. Tak samo jak ty.

– W takim razie jeszcze nie skończyłam robić szkód.

Gwen podniosła słupek i rzuciła się, żeby przyłożyć Stane'owi

w głowę. Może by to zrobiła, gdyby Grue nie złapał jej za rękę. Obrócił ją i spoliczkował z całej siły. Znowu się przewróciła. Słupek uderzył w zniszczoną framugę i wyturlał się na korytarz.

– Zbieraj tyłek i zmiataj na dół! Mae, chodź tu z tym wiadrem! I gdzie jest Willard? Willard!

Gwen siedziała oszołomiona. Gdyby uderzył ją pięścią, a nie otwartą dłonią, nieprędko by się podniosła, może nawet wyplułaby kilka zębów. Grue wiedział jednak, jak obchodzić się ze swoimi dziewczynami, i w miarę możliwości starał się ich nie oszpecać. Z płonącym policzkiem i szczęką rwącą z bólu tak, że czuła to w całej twarzy, wstała i zbiegła po schodach. Wszyscy w barze schodzili jej z drogi, a ona pognęła ku frontowym drzwiom Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem”, kierując się prosto do biura szeryfa.

Noc była zimna z powodu jesiennego wiatru, ale ona prawie tego nie zauważała, kiedy biegła po pokrytych spękaniem błotem ulicach Medfordu. Nikogo nie napotkała – wszyscy porządni ludzie już spali.

Nie zapukała, tylko od razu pchnęła drzwi.

Ethan spał w krześle, z głową opartą na rękach leżących na stole. Gwen kopnęła w nogę stołu, a on poderwał się jak spłoszona przepiórka.

– Co, u... – Sprawiał wrażenie rozłoszczonego.

I dobrze.

Chciała, żeby był wściekły. Chciała, żeby gotował się ze złości.

– Stane właśnie zamordował Avon w „Ohydnym Łbie!” – wrzasnęła, a Ethan aż się wzdrygnął. – Ten łajdak walił jej głową w podłogę, aż roztrzaskał jej czaszkę. Mówiłam Grue, że on to robi. Powiedziałam mu, żeby więcej go nie wpuszczał, ale on nie słuchał. A teraz rusz się tam!

– Dobrze, już dobrze. – Ethan zerwał z krzesła pas z mieczem i zapiął go na biodrach, wychodząc za Gwen.

– Raptem trzy dni temu podbił oko Jollin – mówiła mu, kiedy szli ulicą Przekorną.

Ethan nie szedł dostatecznie szybko jak na jej gust. Oczywiście czas już nie miał znaczenia. Avon nie poczuje się lepiej, a Stane nie zmądrzeje. Mimo to chciała, żeby sprawiedliwości stało się zadość i żeby stało się to szybko. Stane nie zasługiwał, żeby żyć choćby chwilę dłużej niż Avon, a każdy jego oddech był zbrodnią w oczach Gwen.

– I złamał rękę Abby nieco ponad miesiąc temu. Grue zachował się jak dureń, zmuszając Avon, żeby z nim poszła. Wiedziała i bała się, ale Stane lubi, kiedy się boimy. Strach go podnieca, a im bardziej się podnieci, tym większe robi szkody. A Avon, niech Maribor się nad nią ulituje, była śmiertelnie przerażona. Grue powinien mieć swój rozum.

Drzwi do karczmy nadal były otwarte, rzucając długi skos światła na ganek i poślubioną koleinami ulicę. Może te też zniszczyła. Miała taką nadzieję. Pijacy zniknęli, pewnie ich wygoniono. Grue i Willard znosili Avon na dół zawiniętą w koc z łóżka. Z jednego końca kapała krew, znacząc ciemną linię na schodach.

– Co tu robisz, Ethan?

Z wysiłku żyły wystąpiły Grue na szyi. Nie wrzeszczał, był tylko wściekły, czyli znowu był sobą.

– Co masz na myśli? Dziewczyna po mnie przysła.

– Nie posłałem jej.

– Cóż, obudziła mnie z kamiennego snu, więc jestem. Co się dzieje?

– Nic – odpowiedział Grue.

– To mi nie wygląda na zwykłe nic. To Avon jest w tym kocu?

– A co ci do tego?

– Moim zadaniem jest pilnować, żeby sprawiedliwości zawsze stało się zadość. Stane jest na górze?

– Aha.

– No to każ mu zejść.

Grue zmarszczył brwi, zawahał się, a potem odłożył swój koniec brzemienia.

– Willard, idź po niego.

Chociaż Gwen była wściekła na Stane'a i Grue, nie mogła pozbyć się myśli, że sama też ponosi winę. Jak nikt inny wiedziała, co się stanie. Powinna była coś zrobić, wydostać z tego miejsca Avon, tyle że sama nie mogła stąd uciec. Mimo wszystko może mogła coś zrobić, cokolwiek. Nic nie zrobiła. I teraz Avon nie żyła.

Gwen patrzyła na małą kałużę rozlewającą się przy końcu koca i zastanawiała się, jakim cudem nadal stoi. Poczucie winy szarpało jej wnętrzności, rozrywało ją od środka. Jakim cudem mogę nadal stać, chociaż właśnie mnie wypatroszono?

Stane zszedł po schodach, zapinając spodnie. Miał krwawe smugi od palców na wyblakłej od słońca koszuli. Więcej śladów miał na twarzy, po tym jak otarł nos.

– Zabiłeś tę dziewczynę? – zapytał Ethan.

Stane się nie odezwał. Skinął tylko głową i pociągnął nosem.

– To poważne przestępstwo. Rozumiesz to, prawda?

– Tak, proszę pana.

Gwen zauważyła, że Grue piorunuje ją wzrokiem. Przyjdzie jej zapłacić za to później, ale warto znieść bicie, byle zobaczyć, jak Stane otrzymuje taką samą karę, jaką wymierzono Avon. Oczywiście to nie będzie naprawdę taka sama kara. Ethan nie będzie bez końca walił jego głową o podłogę. Po prostu go powieszą. Kara jednak zostanie wymierzona publicznie. Stane zostanie upokorzony przed śmiercią. Chociaż tyle dobrego.

Ethan odgarnął włosy z twarzy i pomasaował kark. Zagryzł dolną wargę, patrząc na owinięte w koc ciało. Wreszcie nabrał powietrza i zwrócił się do Stane'a.

– Wymagana będzie restytucja.

– A co to takiego? – zapytał nerwowo Stane.

– Musisz zrekompensować Grue jego straty. Zapłacić za wyrządzone szkody.

– Już to uzgodniliśmy – wtrącił się Grue. – Zapłaci mi osiemdziesiąt pięć tenentów.

– Srebrnych, zgadza się? – zapytał Ethan, kiwając głową. –

Uczciwa cena. Jakież inne szkody?

– Zniszczone drzwi, lustro i łóżko, ale to jej robota. – Grue wskazał Gwen. – Ona mi za to zapłaci.

– Wyłamała drzwi, próbując ratować tę tutaj? – Ethan wskazał koc.

– Chyba tak.

– Moim zdaniem nie musiałyby tego robić, gdyby Stane nie bił Avon, więc to on pokryje i te straty. Jasne?

– Tak, proszę pana.

Szeryf skinął głową.

– W takim razie wszystko załatwione.

Ethan zrobił krok w tył i Gwen widziała, że zamierza się odwrócić.

– To wszystko? To nie w porządku. On musi zapłacić.

– I zapłaci. Osiemdziesiąt pięć i...

– Kobieta nie żyje! Zabił ją i musi za to umrzeć.

– Dziwka – poprawił ją Grue.

Gwen spiorunowała go wzrokiem.

– Dziwka nie żyje, a to nie to samo. Nikt nie skaże na śmierć pracującego mężczyzny, bo go trochę poniosło.

– Ona nie żyje!

– I to ja jestem z tego tytułu poszkodowany. Jeśli mówię, że taka rekompensata mi odpowiada, to sprawa jest zamknięta. To nigdy nie było twoje zmartwienie. A teraz zamknij się.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała do Ethana Gwen.

– Miała jakąś rodzinę? – spytał.

Gwen pokręciła głową.

– Gdyby któraś z nas miała rodzinę, to myślisz, że byłybyśmy tutaj?

– Zatem to on za nią odpowiada. Jest zadowolony, więc nie ma sprawy. – Odwrócił się do Grue. – Dopilnuj, żeby ciało opuściło mury miejskie przed południem, bo inaczej konstabl dobierze mi się do tyłka, a wtedy ja dobiore się do twojego. Jasne?

Grue pokiwał głową i Ethan wyszedł.

Mężczyźni znowu dźwignęli ciało i ruszyli do frontowych drzwi. Kiedy mijali Gwen, Grue powiedział:

– Zgadnij, kto dostanie lanie, gdy wrócę!

Grue i Willard wyszli, zostawiając Gwen patrzącą przez salę na Mae i Jollin. Między nimi stał Stane.

Uśmiechnął się do niej i mrugnął porozumiewawczo.

– Z przyjemnością zajmę się tobą. – A zniżając głos, dodał: – Kiedy tylko odłożę następne osiemdziesiąt pięć tenentów.

Zrobił krok w jej stronę.

– On nigdy więcej cię tu nie wpuści.

– Grue? – Zaśmiał się. – Avon nie jest pierwsza. Była inna dziewczyna w Roe. Jeśli będę mógł zapłacić, da mi ciebie z pocałowaniem ręki. – Spojrzał na Mae, a potem na Jollin. – Nie martwcie się. O was dwóch też nie zapomnę.

Zaśmiał się znowu, a Gwen zacisnął się żołądek. Stane podszedł do drzwi, ale zamiast wyjść, wyrżał, zerknął w obie strony, po czym je zamknął. Kiedy się obrócił, szczyrzył zęby w uśmiechu, nie spuszczać oczu z Gwen.

– Uciekaj! – krzyknęła Jollin.

Kiedy Gwen pobiegła ku tylnemu wyjściu, usłyszała, jak Stane przeklina. Upadł z hukiem, pewnie poślizgnął się na kałuży krwi Avon. Sądząc po odgłosach, przewróciło się też krzesło albo stół, ale potem Gwen biegła już przez ciemność z podkasaną sukienką. Popędziła zaułkiem obok warsztatu garbarza w stronę „mostów”, dwóch wąskich desek przerzuconych przez rzekę ścieków, które płynęły za budynkami. Była zbyt przestraszona, biegła za szybko. Noga jej zjechała ze śliskich, chwiejnych desek i Gwen wpadła prosto w gnój. Ręce zanurzyła po łokcie, ale uratowała twarz.

Spodziewała się, że Stane zaraz ją dopadnie, zaciśnie krwawe ręce na gardle, wepchnie twarz w obrzydliwą paczkę, która cuchnęła moczem i gnojem. Obróciła się gwałtownie, ale jego nie było. Nigdzie go nie było. Gwen była sama.

Wyciągnęła ręce, otarła o czyste skrawki sukienki, jakie znalazła. Niewiele ich było. W końcu popłakała się z frustracji.

Siedząc obok rowu z nieczystościami, szlochała tak mocno, że rozboleł ją brzuch. Z każdy wdechem wciągała powietrze gęste od smrodu.

– Nie wiem, co robić! – krzyknęła na głos. – Powiedz mi, co mam robić! – Nabrała garść błota i gnoju i cisnęła najmocniej, jak potrafiła. Odchyliła głowę i wrzasnęła, patrząc na niebo. – Słyszysz mnie?! Nie mam dość siły. Jestem jak moja matka i w końcu się załamie. – Wzięła rozdygotany wdech. – A jeśli nie załamie się najpierw, to on mnie zabije. Mnie, Jollin, Mae i całą resztę. Nie mogę... Nie mogę już dłużej czekać. Słyszysz mnie? To już pięć lat! Nie mogę już dłużej na niego czekać.

Dygotała, dysząc i nasłuchując odpowiedzi, ale usłyszała tylko wycie wiatru.



# Rozdział 3

## *Barka na Bernum*

Hadrian siedział w kucki na pokładzie rzecznej barki, kiedy dwa potężne konie pociągowe holowały łódź w górę rzeki Bernum. Uniósł głowę i zerknął przez poranną mgłę, próbując wypatrzeć coś znajomego. Widział ziemię uprawną wtuloną między wzgórza ponad brzegiem i słaby zarys miasteczek. Wszystko wydawało się obce. To była obca kraina wypełniona dziwnymi ludźmi, zwyczajami, akcentami. Czuł się nieswojo i nie na miejscu. Nigdy nie miał pewności, jak należy zachować się albo co powiedzieć. Wyobrażał sobie, że wszyscy widzą w nim obcego, którym rzeczywiście jest, chociaż w tej chwili, jak zgadywał, znajdował się jakieś pół dnia piechotą od domu.

Pulchny mężczyzna wyszedł z kajuty, uderzając się w pierś i biorąc głębokie wdechy.

– Rzeński poranek, co? – powiedział, zerkając na niebo.

Mógł zwracać się do boga Maribora, ale mimo to Hadrian odpowiedział:

– Chłodno. Nie nawykłem do zimna.

Wybrał sobie to miejsce, żeby mieć osłonę przed wiatrem. Miał na sobie wszystko, co posiadał, w tym dwie pary spodni luźnych jak piżama, podróżną i wyjściową dżalabiję, szeroką szarfę w pasie, pelerynę i zawój na głowie. Mimo to marzył. Zamierzał kupić coś z wełny, kiedy dotrą do Colnory, coś ciężkiego, co waży

jak zbroja. Czuł się nagi bez dodatkowego ciężaru.

– Przy płynąłeś prosto z Dagastanu, zgadza się? Tam to pewnie jest ciepło, prawda?

Hadrian owinął się ciasniej dżalabiją.

– Kiedy wyjeżdżałem, była pogoda w sam raz na lekki strój.

– Zazdroszczę.

Mężczyzna owinął się ciasniej szatą. Rozejrzał się po barce i skrzywił się rozczarowany, jakby spodziewał się, że przez noc zajdzie w niej jakaś cudowna przemiana. Wzruszył ramionami i za przykładem Hadriana usadowił się na pokładzie. Znaleźli się teraz twarzą w twarz.

– Jestem Sebastian z Iberu.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Hadrian – odpowiedział, ściskając podaną dłoń. – Podróżujesz z tamtymi dwoma?

Hadrian widział ich poprzedniej nocy, Sebastiana i jego dwóch towarzyszy; wszyscy byli ubrani w podobne, wytwornie skrojone szaty. Mimo całego pośpiechu ostatecznie wypłynięcie barki opóźniło się z powodu dokerów, którzy z trudem wtaszczyli na pokład liczne kufry. Cała trójka wykrzykiwała rozkazy i reprimendy za każdym razem, gdy któryś kufer uderzył o coś albo został potrącony przez pracowników.

Mężczyzna skinął głową.

– Samuel i Eugene. Pracujemy w tej samej branży.

– Kupcy?

Sebastian się uśmiechnął.

– Coś w tym guście. – Jego spojrzenie padło na miecze u pasa Hadriana. – A ty? Żołnierz?

Hadrian odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Coś w tym guście.

Sebastian zarechotał.

– Dobrze powiedziane. A tak całkiem poważnie: nie masz powodu nosić tu broni. My nie nosimy stali, więc nie rozumiem, czemu zawracasz sobie głowę... Och, jasne. Rozumiem!

Hadrian przyjrzał się mężczyźnie. Z doświadczenia wiedział, że istnieją dwa rodzaje ludzi: tacy, którym można zaufać i ci drugiego rodzaju. W ciągu pięciu lat nauczył się polegać na mężczyznach, którzy noszą metal, mają blizny i gwizdzą przez dziury po wybitych zębach. Sebastian nosił grube ubranie, luksusowe i drogie, a także złote pierścienie na obu dłoniach. Hadrian zetknął się i z tym typem. Cokolwiek Sebastian zamierzał powiedzieć, Hadrian zgadywał, że to mu się nie spodoba.

– Co rozumiesz?

Sebastian zniżył głos:

– Słyszałeś o morderstwach. Straże miejskie wszędzie się kręciły i zadawały pytania, nawet kiedy wyruszaliśmy.

– Mówisz o morderstwach w Vernesie?

– Tak, w rzeczy samej. Trzy w ciągu trzech nocy.

– I podejrzewasz mnie? – spytał Hadrian.

Sebastian się zaśmiał.

– W żadnym razie! Ty jesteś jednym z tych, co to właśnie zeszli ze *Wschodniej Gwiazdy* płynącej z Calisu. Twoje ubranie cię zdradza. Więcej sensu miałoby podejrzewanie mnie. Ja przynajmniej miałem sposobność. Ciebie nawet nie było w mieście.

– Mówisz więc, że powinienem podejrzewać ciebie?

– Skądże znowu. Moi współpracownicy mogą poświadczyć, gdzie przebywałem, a sternik powie ci, że zarezerwowaliśmy ten przejazd z wielotygodniowym wyprzedzeniem. Poza tym, czy ja wyglądam na zabójcę?

Hadrian nigdy nie widział zabójcy, ale Sebastian nie wyglądał na stosownego kandydata. Krągły i miękki, o pulchnych palcach i zaraźliwym uśmiechu wyglądał raczej na kogoś, kto zleciłby morderstwo w niepodpisanym liście.

– Powiem ci jednak, kto wygląda na zabójcę. – Spojrzenie Sebastiana powędrowało ku przodowi łodzi, gdzie w pobliżu dziobu stała spowita w oponczę postać. Stała do nich tyłem i zamiast szukać ciepła słońca, trzymała się cienia rzucanego przez stos skrzynek. – On to dopiero wygląda na zabójcę.

– Podejrzewasz go, bo nosi kaptur?

– Nie, chodzi o jego oczy. Widziałeś je? Zimne, tyle ci powiem. Martwe oczy. Takie, co nawykły do oglądania i zadawania śmierci. Hadrian uśmiechnął się kpiąco.

– Potrafisz to wszystko wyczytać z samych oczu człowieka, co?

– Jak najbardziej. Człowiek nawykły do zabijania wygląda jak wilk: pusta dusza i głód krwi. – Sebastian pochylił się, ale nie spuszczał wzroku z postaci na dziobie. – Tak jak poznanie pewnych prawd okrada nas z niewinności, tak zadanie śmierci okrada człowieka z duszy. Każde zabójstwo zabiera część człowieczeństwa, aż morderca nie jest niczym innym jak zwierzęciem. Głód zastępuje ducha. Żądza tego, co zostało stracone. Jednak niewinności duszy nie da się odzyskać. Radość, miłość i spokój uciekają z takiego naczynia, a zamiast nich rozkwita żądza krwi i śmierci.

Sebastian mówił poważnym tonem, jak człowiek, który zna się na takich rzeczach. Jego pewność siebie i swoboda emanowały światowością, która sugerowała mądrość płynącą z doświadczenia. Gdyby jednak słowa Sebastiana głosiły prawdę, Hadrian wątpił, czy pulchny kupiec z Vernesu zdecydowałby się siadać tak blisko niego, ujrawszy wcześniej jego oczy.

– Powiem ci coś jeszcze. Wszedł na barkę w ostatniej chwili bez choćby jednej torby czy kufra.

– A skąd to wiesz?

– Byłem na pokładzie, kiedy opłacał przejazd. Dlaczego zjawił się tak późno? Kto wskakuje na łódź płynącą tak daleko na północ pod wpływem nagłego kaprysu? I dlaczego bez bagażu? Ludzie nie ruszają w długą wyprawę, jakby to była popołudniowa wycieczka łódką dla przyjemności, prawda? Może wymknął się strażom i uznał barkę za dobry sposób ucieczki.

– Ja też dotarłem późno.

– Ale ty przynajmniej miałeś torbę.

– Tu jesteś, Sebastianie!

Jego dwóch współników wyszło z kajuty.

Samuel był starszy. Wysoki i chudy sprawiał wrażenie rozciągniętego jak kawał surowego ciasta. Jego szata wisiała luźno, rękawy były tak długie, że całkowicie skrywały mu ręce, odsłaniając tylko czubki palców. Drugi, który nazywał się Eugene, był znacznie młodszy, bliżej wieku Hadriana, a jego ciało jeszcze nie zdecydowało, czy chce upodobnić się do sylwetki Samuela, czy raczej do krągłego i pulchnego Sebastiana. On też nosił wspaniałą szatę w kolorze ciemnego bordo, spiętą na ramieniu okazałą złotą klamrą.

Obaj wyglądali na wyczerpanych, jakby ciężko pracowali całą noc, a nie dopiero co wstali z łóżka. Samuel zauważył zakapturzonego podróżnego na dziobie i szturchnął Eugene'a.

– Tamten w ogóle nie śpi?

– Tak działa udręczone sumienie – odpowiedział Eugene.

– Taki człowiek nie ma sumienia – zawyrokował Sebastian, o ile można coś zawyrokować szeptem.

Nad ich głowami niezgrabny klucz gęsi przeciął z klangorem niebieskie niebo. Wszyscy podnieśli głowy, żeby popatrzeć na nie, a potem poprawili peleryny i szaty, jakby gęsi ostrzegły ich, że nadchodzi zima. Eugene i Samuel przysiedli się do Sebastiana. Cała trójka stłoczyła się, żeby się wzajemnie ogrzać.

Sebastian skinął głową w stronę Hadriana.

– To jest Hadrian... ehm, Hadrian...

Pstryknął palcami i spojrzał pytająco.

– Blackwater.

Hadrian wyciągnął rękę i uściśnął pozostałym dwóm dłonie.

– A skąd pochodzisz, Hadrianie? – spytał Eugene.

– Właściwie znikąd.

– Człowiek bez domu? – Głos Samuela był nosowy i nieco podejrzliwy w tonie.

Hadrian uznał, że to ten typ człowieka, który odlicza pieniądze wręczone mu nawet przez kapłana.

– O co ci chodzi? – zapytał Eugene. – Zsiadł ze statku płynącego z Calisu. Rozmawialiśmy o tym zeszłej nocy.

– Nie bądź głupcem, Eugene – odparł Sebastian. – Myślisz, że mieszkańcy Calisu mają włosy jasne jak piasek i niebieskie oczy? To śniade draby, cwane ponad miarę. Niech żaden z was nigdy im nie ufa.

– Co w takim razie robiłeś w Calisie? – Ton Eugene’a był złośliwy i ponad miarę dociekliwy, jakby to Hadrian nazwał go głupcem.

– Pracowałem.

– Pewnie zdobywał fortunę – odparł Sebastian, wskazując Hadriana. – Ten człowiek nosi ciężką sakiewkę. Powinieneś dorobić się choćby połowy tego, co on.

– Założę się, że to same caliskie miedziaki. – Eugene nadal mówił z goryczą. – Bo w przeciwnym razie nosiłby wspaniałą wełnianą szatę jak my.

– Nosi miecz z doskonałej stali, a właściwie dwa. Lepiej więc ostrożniej dobieraj słowa – przestrzegł go Sebastian.

– Trzy – sprostował Samuel. – Jeszcze jeden trzyma w kajucie. Naprawdę wielki.

– Sam widzisz, Eugene. Ten człowiek wydaje wszystko na stal. Ale proszę bardzo, obrażaj go dalej. Na pewno świetnie poradzimy sobie z Samuelem bez ciebie.

Eugene skrzyżował ręce na piersi i patrzył na mijane wzgórza.

– Czym się zajmujesz? – zapytał Samuel, skupiając wzrok na sakiewce Hadriana.

– Byłem żołnierzem.

– Żołnierzem? Nigdy nie słyszałem o bogatym żołnierzu. W której armii?

We wszystkich, omal nie odpowiedział Hadrian, ale ugryzł się w język. Chociaż w pierwszej chwili wydawało mu się to zabawne, zaraz potem fakty go przygnębiły. Hadrian nie miał ochoty tłumaczyć się z przeszłości; przebył ocean, żeby zostawić ją za sobą.

– Dużo podróżowałem.

Prosty unik, łatwy manewr. W walce taka taktyka o niczym nie

decydowała, chociaż dostatecznie często powtarzana mogła zmęczyć albo sfrustrować przeciwnika, który w końcu się poddawał. Samuel sprawiał wrażenie upartego typu, ale w tej samej chwili drzwi kajuty ponownie się otworzyły. Tym razem wyszła kobieta.

Nazywała się Vivian i kupcy poświęcili jej całą swoją uwagę minionej nocy. Jej pojawienie się rzuciło na nich teraz ten sam czar i wszyscy trzej zerwali się na równe nogi, kiedy tylko wyszła na pokład. W przeciwieństwie do pozostałych Vivian nie opatuliła się wełnianymi szatami ani pelerynami. Nosiła prostą szarą suknię, jaką mogłaby wybrać młoda żona wziętego rzemieślnika. Zresztą nie miało znaczenia, co nosiła. Hadrian uznał, że nawet w worku jutowym wyglądałaby olśniewająco. Vivian była piękna, a to wiele mówiło, zważywszy, że Hadrian dopiero co wrócił z Calisu, a tamtejsze kobiety, w szczególności tenkińskie, były chyba najpiękniejszymi niewiastami na świecie. Vivian w niczym ich nie przypominała i Hadrian domyślał się, że po części na tym polegał jej urok. Jasnowłosa, blada, delikatna wyglądała wśród mężczyzn jak porcelanowa figurka. To była pierwsza kobieta z zachodu, z jaką Hadrian miał do czynienia w ciągu ostatnich dwóch lat.

Samuel dyskretnie pomógł jej usadowić się między nim samym a Sebastianem, przez co Eugene musiał usiąść obok Hadriana.

– Dobrze pani spała? – zapytał Eugene, pochylając się do niej bardziej, niż to było konieczne.

– Skądże znowu. Miałam koszmary, potworne koszmary spowodowane wydarzeniami ostatniej nocy.

– Koszmary? – Sebastian się skrzywił. – Nie ma powodu się zamartwiać, moja droga pani. Vernes i te haniebne zbrodnie zostały daleko za nami. Poza tym wszyscy wiedzą, że ten łajdak zabijał tylko mężczyzn.

– To bardzo nikła pociecha, a ten człowiek – wskazała samotną postać na przedzie barki – przeraża mnie.

– Proszę się nie bać, droga pani. Tylko głupiec dopuściłby się

jakiejś podłogi na małej łodzi – odezwał się Samuel. – Nie ma tu odrobiny prywatności, żeby popełnić zbrodnię, a potem nie można przepaść jak kamień w wodę.

– Jak kamień w wodę! Dowcipnie to ująłeś, Samuelu – powiedziała Vivian, ale kupiec nie rozumiał dwuznaczności własnych słów w zaistniałych okolicznościach.

– Ach, i proszę spojrzeć tutaj! – Sebastian wskazał Hadriana. – Mamy młodego żołnierza na pokładzie. Dopiero co powrócił z dzikich ostępów Dagastanu. Obroniłbyś panią przed każdym potencjalnym drabem, prawda?

– Oczywiście – odpowiedział Hadrian i mówił szczerze, chociaż miał nadzieję, że los nie podda go próbie.

Zaczął żałować, że nosi miecze. W Calisie były równie pospolite, jak jego płócienna dżalabija albo kufija, i prawdę mówiąc, uznano by za dziwne, gdyby mężczyzna nie nosił na widoku przynajmniej jednego. Zapomniał, że broń to rzadkość w Avrynie, ale gdyby teraz zaczął zostawiać ją w kajucie, wypadłoby to niezręcznie. W ciągu pięciu lat miecze stały się w równej mierze częścią jego ciała jak palce i ich brak rozpraszałby go niczym utrata zęba. Chociaż był przekonany, że wcześniejsze wnioski Sebastiana opierały się bardziej na zasłyszanych historiach niż na własnych doświadczeniach, to wiedział, że kupiec miał rację w jednej kwestii: zabijanie ma swoją cenę.

– Sama pani widzi. – Sebastian klasnął w dłonie, jakby właśnie wykonał magiczną sztuczkę. – Jest pani bezpieczna.

Vivian posłała mu błądy uśmiech, ale znowu zerknęła w stronę dziobu i na mężczyznę w kapturze.

– Może ktoś z nas powinien z nim porozmawiać? – zasugerował Eugene. – Jeśli poznamy jego historię, może okaże się, że nie ma czego się bać.

– Nasz młody uczeń ma rację – powiedział Sebastian z dostatecznie dużym zdziwieniem w głosie, żeby młodzieniec się skrzywił. – To niepokojące, gdy w pobliżu jest tygrys, a człowiek nie wie, czy jest głodny. Idź, porozmawiaj z nim, Eugene.



– Nie, dziękuję. Wystarczy, że wpadłem na pomysł.

– Ja z całą pewnością nie mogę – odparł Sebastian. – Jestem zdecydowanie zbyt rozmowny. To cecha, która często prowadziła do kłopotów. Nie chcemy niepotrzebnie prowokować tego człowieka. A może ty, Samuelu?

– Oszalałeś? Nie wysłała się jagniątka, żeby wypytywało tygrysa. Powinien pójść żołnierz. On nie ma czego się bać. Nawet morderca dwa razy się zastanowi, nim rzuci wyzwanie mężczyźnie z dwoma mieczami.

Wszyscy spojrzeli na Hadriana.

– Czego mam się dowiedzieć?

– Jak się nazywa – zasugerował Sebastian. – Skąd pochodzi. Czym się zaj...

– Czy jest mordercą... – weszła mu w słowo Vivian.

– Nie jestem pewien, czy należy od tego zaczynać – powiedział Samuel.

– Ale czy nie tego właśnie wszyscy chcemy się dowiedzieć?

– Owszem, ale kto się przyzna do czegoś takiego? Lepiej zdobyć dość informacji, żeby samemu stworzyć obraz i wywnioskować z niego, jaka jest prawda.

– Jeżeli jednak zapytasz wprost, będzie to ostrzeżenie, że przejrzelismy go i mamy się na baczności. To może pokrzyżować mu plany i zmusić go do ich porzucenia.

– Może po prostu zobaczę, jak rozmowa się potoczy – uznał Hadrian i wstał.

Zaprzęg koni szedł ścieżką holowniczą, ciągnąc gładko barkę w górę rzeki. Mimo to Hadrian stawiał ostrożnie stopy, kiedy wchodził po krótkich schodach na fordek i okrążał skrzynie przykryte nieprzemakalnym płótnem i umocowane sieciami. Z tego nowego miejsca widział rozległy przestwór Bernum. Wiatr uderzył go z całą siłą w twarz, przynosząc wraz z zimnem zapach sosen. Wełna, obiecał sobie. Gruba koszula i ciężki płaszcz.

– Przepraszam – powiedział, a mężczyzna obrócił się nieco, ale nie dość, żeby pokazać twarz, czy choćby nos. Po uwagach

Sebastiana Hadriana ciekawiły oczy nieznanego. – Nazywam się Hadrian Blackwater.

– Moje gratulacje. – Odpowiedź była równie zimna jak wiatr, który ją poniósł.

– Ehm... A pan jak się nazywa?

Mężczyzna odwrócił się do niego plecami.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Chciałem być tylko uprzejmy. Wszyscy przesiedzimy na tej barce bite dwa dni. Równie dobrze moglibyśmy się poznać.

Nic. Jakby mówił do ściany.

Mury zwykle chronią fortece. Żeby dostać się do środka, trzeba rozpocząć oblężenie, podkopać się albo przemycić do środka swojego człowieka. Może Vivian miała dobry pomysł – zawsze jest jeszcze samobójczy atak frontalny.

– Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć, że na pokładzie barki może przebywać morderca.

Głowa znowu odwróciła się w jego stronę. Tym razem nieco bardziej i Hadrian przelotnie dostrzegł jedno oko. Nie błyszczało, Hadrian nie zauważył też wydłużonej źrenicy, ale Sebastian mógł mieć rację. Hadrian dostrzegł groźbę w spojrzeniu, złowrogi wzrok, jaki wielokrotnie już widywał; zwykle po takim spojrzeniu rozlegał się szcęk stali.

– Jestem przekonany, że więcej niż jeden – odparł mężczyzna w kapturze. – A teraz odejdz.

Ta brama była szczelnie zamknięta. Hadrian poddał się i wrócił do pozostałych.

– No i? – zapytała Vivian.

Hadrian wzruszył ramionami.

– Niezbyt rozmowny.

– A jego oczy? Ma oczy jak wilk, prawda? – dopytywał się Sebastian.

– Cóż, nie należy do szczególnie towarzyskich... To jedno jest pewne. A jeśli idzie o jego oczy... Nie uznałbym tego za dowód rozstrzygający.

– Zatem jest mordercą! Wiedziałem – triumfował Sebastian.

– Przynajmniej teraz wiemy – przytaknął Samuel, usiłując podwinąć rękawy tak, żeby trzymały się na miejscu. – Możemy więc przedsięwziąć środki zaradcze.

– Niczego nie wiemy – zaprotestował Hadrian. – Tylko dlatego, że jest samotnikiem, nie znaczy, że jest zabójcą.

– Zgadzam się z Samuelem – powiedziała Vivian. – Musimy działać. Co możemy zrobić?

Przysunęła się do Sebastiana, jakby był ogniskiem. Skrzyżowała ręce na piersi i wsunęła dłonie pod pachy dla ogrzania.

– Nie zaszkodziłoby unikać sytuacji, w której ktoś z nas zostaje z nim sam na sam – zasugerował Hadrian. – A zamki w drzwiach kajut są solidnej roboty. Proponuję, żebyście je zamykali, przebywając w środku.

– Czemu nie zamknąć całej części z kajutami? – zapytał Eugene.

– Myślę, że mógłby mieć coś przeciwko odcięciu go od kajut, zwłaszcza że zapłacił za koję tak samo jak my – wyjaśnił Hadrian.

– Tyle że my nie jesteśmy mordercami – odparł Eugene.

– O ile nam wiadomo, on też może nie być.

– Moglibyśmy go związać – zaproponował Sebastian.

– Mówisz poważnie? – zdumiał się Hadrian.

– To świetny pomysł! – przytaknął Samuel. – Moglibyśmy razem rzucić się na niego. Nie jest duży. Wystarczy przyszpilić go do pokładu, związać mu ręce i stopy, a potem zamknąć go w ładowni do końca podróży. Jak już dotrzemy do Colnory, możemy przekazać go w ręce straży miejskiej. Mogą zabrać go w dół rzeki i przekazać władzom w Vernesie. Może nawet dostaniemy nagrodę za jego ujęcie.

– Nie możecie tego zrobić – odparł Hadrian. – Nie wiemy, czy zrobił coś złego.

– Widziałeś jego oczy. Naprawdę myślisz, że ten człowiek jest niewinny? Nawet jeśli nie zabił tamtych ludzi w Vernesie, na

pewno popełnił coś... coś złego.

Hadrianowi zdarzało się już słuchać ludzi pokroju Sebastiana i nigdy nie mógł sobie tego wybaczyć. Ludzie wierzą w to, co chcą, kiedy nie mogą poznać prawdy.

– A jakbyś się czuł, gdybyśmy my w ten sposób cię potraktowali? – zapytał Sebastiana.

– Nie bądź śmieszny. Ja nie jestem taki jak on. Jestem przyzwoitym człowiekiem.

– Tak? A skąd mam to wiedzieć?

– Bo ci to mówię.

– A gdyby on powiedział to samo?

– A powiedział?

– Nie zapytałem.

Sebastian nie krył zadowolenia, kiedy odpowiedział, zwracając się bardziej do pozostałych niż do Hadriana:

– Nie musiałeś. Wystarczy na niego popatrzeć. Ma krew na rękach. Ten człowiek jest zły, ja ci to mówię.

Hadrian popatrzył po ich twarzach i zobaczył niewytłumaczalne przekonanie. Ich działania nie miały sensu, dopóki nie wziął pod uwagę strachu. Strach wszystko zmieniał w kwestii rozgraniczenia tego, co racjonalne i co szalone – potrafił jedno ukrywać pod postacią drugiego. Kiedy stado rzuci się do ucieczki w popłochu, tylko głupiec staje mu na drodze.

Żałując, że Korniszon nie wsiadł razem z nim na barkę, Hadrian wstał.

– Dokąd idziesz? – spytała Vivian.

– Nie mogę się z wami zgodzić. Na mnie nie liczcie. – Zrobił krok, ale przystanął. – A, i gdybyście spróbowali go związać, wypchnąć za burtę czy cokolwiek w tym stylu, możecie spodziewać się, że mu pomogę. Jemu, nie wam.

Zapadła cisza. Zaszokowane twarze uniosły się ku niemu na trzeszczącej barce. Hadrian poszedł na rufę, mając nadzieję, że zniknie im z oczu za nadbudówką z kajutami.

– Jest młody i naiwny – usłyszał na odchodnym słowa

Sebastiana.

Hadrian był młody. Nie mógł temu zaprzeczyć. Jednakże czas spędzony w Calisie przeliczał jak wiek psa. Wiele się tam nauczył i aż za bardzo palił się do tych lekcji, za bardzo śpieszyło mu się do porzucenia ojcowskich szczypiec i młota.

Wspiął się na rufę i oparł o burtę, spoglądając na wschód. Trawa nadal się zieleniła na większości nisko położonych terenów, ale liście na wysokich wzgórzach już zmieniały kolor. Gdzieś w oddali, poza zasięgiem jego wzroku, znajdowała się lenna wieś, której nie widział od pięciu lat. Podejrzewał, że nic się tam nie zmieniło. Zmiany powoli zachodziły w takich miejscach jak Hintindar, gdzie pokolenia żyły i umierały w odosobnieniu i codziennej monotonii. Niektórzy wiązali się z ziemią i już nie mogli odejść, inni, jak ojciec, nie chcieli. Ludzie z jego rodzinnej wioski zajmowali garstkę chałup wzdłuż wąskiej drogi między kamiennym mostem i dworem jego lordowskiej mości, drogi, która zaczynała się nigdzie i w tym samym miejscu się kończyła. Hadrian odszedł jako piętnastolatek i to była najbliższa powrotowi rzecz, na jaką się zdobył... i na jaką zamierzał się zdobyć.

Wyobrażając sobie wioskę, zdał sobie sprawę, że mylił się co do braku zmian. Pojawiło się tam coś nowego – nagrobek na wzgórzu między dwoma południowymi polami. Najpewniej to będzie tylko zwykły kij, a może deska z wyrytym napisem. Samo imię, bez daty. Wieśniacy nie pojmowali kalendarzy.

– Zapowiada się ładny dzień – odezwał się sternik.

Jedną rękę trzymał na rumplu, a nogi oparł wysoko.

Hadrian skinął głową i zdał sobie sprawę, że już nie drży z zimna. Mgła rzedła w miarę jak dzień się rozjaśniał. Snopy słonecznego światła przeświecały przez korony drzew, znacząc cętkami wodę za nimi. Bernum była głęboką, szeroką rzeką, zwłaszcza blisko morza. Wydawała się spokojna, leniwie wiała się między rozczapierzonymi palcami niskich wzgórz. Był to jednak pozór, skrywający porywisty prąd głębinowy, w którym ginęli mężczyźni, kobiety i bydło. Wiosną rzeka zalewała niziny, co

wyjaśniało brak gospodarstw w pobliżu brzegów. Czasem mijali fundamenty domu albo stodoły; Bernum nie pozwalała nikomu tłoczyć się blisko jej nurtu, a w każdym razie nie na długo. Ojciec Hadriana mówił o niej, jakby to było żywe stworzenie, zła kobieta, która kusi mężczyzn, żeby ochłodzili się w jej wodach. Pozwalała im dopłynąć do środka, a potem wciągała w głębiny. Mówił też, że gdyby rzekę przegrodzono tamą – co, jak uparcie twierdził, jest niemożliwe – odkryto by tysiące szkieletów. Rzeka nigdy nie oddawała zmarłych.

Hadrian nie wierzył w te historie. Nawet jako dzieciak nie należał do tych, co przyjmują za fakt coś, czego nie da się zobaczyć. Ojciec opowiedział mu bardzo dużo takich historii.

– Należysz raczej do tych, co wolą milczeć? – zapytał zachęcającym tonem sternik. Miał pobrużdżoną twarz kogoś, który spędził życie na wodzie, a ręce jak kawały drewna wyrzuconego na brzeg. – Nie widziałem cię za dużo wczorajszej nocy. Przypominasz trochę tamtego, tego jegomościa na dziobie. Nazywam się Farlan, nawiasem mówiąc.

– Hadrian.

– Wiem. Staram się poznać wszystkich pasażerów. A w każdym razie ich imiona. Nie chcę być za bardzo wścibski. Niektórzy przewoźnicy tacy są. Zwykła rzecz w tym fachu. Pływasz w górę rzeki, w dół rzeki i widzisz tylko brzegi. Miło jest mieć z kim pogadać, nawet jeśli tylko na czas jednego kursu. Miło cię poznać. Mam nadzieję, że podróż jest przyjemna. Prawda, żaden ze mnie kapitan statku, ale lubię, jak pasażerowie są zadowoleni z naszych usług.

Hadrian wskazał przednią część barki.

– A jak on się nazywa?

– Ach, on. Nie powiedział, a ja nie naciskałem. Należy do tych, których najlepiej zostawić w spokoju i mieć nadzieję, że odpłacą się tym samym. Lepiej nie irytować człowieka jego pokroju.

– A jaki to pokrój?

– To chyba oczywiste, nie?

– Myślisz, że to zabójca?

– Cóż, ja tam nic nie wiem, ale nie mogę powiedzieć, że się nie martwię.

– Skoro miałeś podejrzenia, to czemu nie zgłosiłeś go straży miejskiej?

– Powinienem był... I zrobiłbym to, gdybym się tak nie śpieszył z wypłynięciem. Przez wszystkie te skrzynie mieliśmy opóźnienie, a nie lubię, kiedy przeze mnie poganiacze czekają z końmi. Patrol przyszedł wcześniej i przeszukał barkę, ale wtedy jeszcze nie był pasażerem. Wszedł na pokład w ostatniej chwili, kiedy już odpływaliśmy. Śpieszyłem się, żeby ruszać, i nie uważałem. Jak już byliśmy na rzece, zdałem sobie sprawę z własnej głupoty. Powinienem po prostu dać poganiaczowi poczekać i wykorzystać byle jaką wymówkę, że zapomniałem oleju do lamp albo coś takiego. Nie zrobiłem tego jednak, więc teraz muszę poczekać, aż dotrzemy do Colnory.

– A wtedy co?

– Powiem szeryfowi o morderstwach i swoich podejrzeniach wobec tego jegomościa. Szeryf Malet to dobry człowiek... Bystry. Przeprowadzi dochodzenie i dotrze do prawdy. Na twoim miejscu nie liczyłbym, że od razu ruszysz w dalszą drogę. Na pewno będzie chciał z każdym porozmawiać.

– Cóż, nie śpieszy mi się. Mam tylko nadzieję, że będzie miał więcej szczęścia z tym człowiekiem niż ja.

Hadrian zerknął raz jeszcze w stronę dziobu i na stojącego tam samotnego mężczyznę.

\* \* \*

Zebrali się na lunch na pokładzie i zgodnie z przewidywaniami Farlana gorące popołudniowe słońce wypaliło mgłę i chłód. Barka zacumowała przy stacji rzecznej, gdzie Farlan obwiązał linę na knechcie, a poganiacz wyprzągnął swoje konie. Nowy chłopak przyprowadził parę świeżych koni i zaczął je zaprzęgać.

Farlan podał jedzenie. Nie zaserwował niczego ciepłego, ale kurczak na zimno, wczorajszy chleb i świeże jabłka stanowiły lepszy posiłek niż solona wieprzowina i morskie suchary, do jakich Hadrian przywykł na *Wschodniej Gwieździe*. Podróż barką nie należała do najwygodniejszych, ale względnie szybko pokonywali odległość, ponieważ płynęli dzień i noc. Pasażerowie byli raptem dodatkowym ładunkiem wypełniającym wolną przestrzeń. Przejazd kosztował miedziaka za milę, drogo dla człowieka nawykłego do podróżowania pieszo, ale grosze dla kogoś, kto przywykł do powozu. Korniszon dobrze wybrał; lepiej się płynęło, niż jechało w podskakującym i szarpiącym powozie.

– Zatem czym się zajmujesz, Sebastianie? – zapytał Hadrian, zanim usiadł z drewnianym talerzem.

Nie był tak naprawdę zainteresowany, ale wolał porozmawiać o czymś innym niż plany wobec zakapturzonego podróżnego.

– Znasz Vernes, Hadrianie?

– Ja? Nie. Właściwie prosto ze statku trafiłem na barkę. A czemu pytasz? Znają cię tam?

– W pewnym sensie. Prowadzę najbardziej prestiżowy sklep jubilerski w całym Vernesie.

Vivian usiadła w tym samym miejscu, co wcześniej tego dnia, ale tym razem z talerzem na kolanach. Jej porcje były małe – posiłek, jaki matka mogłaby podać dziecku. Pokiwała głową.

– Interes Sebastiana to najstarszy sklep jubilerski w mieście.

– Wszyscy handlujecie klejnotami? – zapytał Hadrian.

– Samuel to mój kuzyn, a Eugene to syn mojej siostry. Nauczyli się fachu ode mnie. Pożyczyłem Samuelowi pieniądze na rozkręcenie własnego interesu. – Sebastian uśmiechnął się szelmowsko. – Klienci, którym nie podobają się moje ceny, obsługa albo zwyczajnie krój moich szat, wychodzą źli ze sklepu, oznajmiając, że właśnie przeszedł mi koło nosa dobry interes. Żeby zrobić mi na złość, idą do jubilera parę kroków dalej i płacą więcej za podobną rzecz w sklepie Samuela. Myślą, że się mszczą, a ja mam udziały w obu sklepach, więc ostatecznie nadal mi płacą.



- A Eugene?
- Właśnie po to płyniemy do Colnory: żeby otworzyć nowy sklep
- odpowiedział Samuel.

Sebastian skinął głową.

- Najwyższy czas, żeby chłopak poszedł na swoje.
- Nie jestem chłopcem – zaprotestował Eugene.
- Dopóki nie spłacisz pożyczki, będziesz tym, kim powiem, że jesteś.

Eugene skrzywił się, ale kiedy otworzył usta, to tylko po to, żeby napełnić je kurczakiem.

– A ty, droga pani? – Hadrian zwrócił się do Vivian, która odgryzała drobne kąski kawałka jabłka. – Co sprawiło, że znalazłaś się tu z nami?

Uśmiech kobiety zgasł, a ona sama wbiła wzrok w talerz z jedzeniem.

– Powiedziałem coś niewłaściwego?

Pokręciła głową, ale się nie odezwała. Sebastian położył rękę na jej ramieniu i poklepał delikatnie.

– Wybaczcie, panowie – powiedziała, wstała i przeniosła się na dziób, który teraz opustoszał, bo zakapturzony mężczyzna wyszedł na ścieżkę dla koni, żeby rozprostować nogi.

– Nie miałem niczego złego na myśli – tłumaczył się pozostałym Hadrian.

Czuł się potwornie.

Sebastian odezwał się pocieszającym tonem:

– To nie twoja wina. Podejrzewam, że ta dama ma za sobą coś okropnego.

– Co masz na myśli?

– Niewiele kobiet podróżuje bez opieki. Widziałeś, jak niewiele jedzenia sobie wzięła? Ewidentnie jest przygnębiona.

– Może po prostu mało je, a płynie, żeby, no wiesz, spotkać się z kimś.

– Możliwe, ale podejrzewam, że jest przerażona, a przez te plotki, cóż, wszyscy jesteśmy podenerwowani.

Vivian porzuciła swój talerz, usiadła na jednej ze skrzynek i zapatrzyła się na rzekę. Uniosła rękę, żeby otrzeć łzy.

Hadrian westchnął. Zawsze czuł się niezręcznie w towarzystwie kobiet i często popełniał gafy. Chciał podejść do niej i ją pocieszyć, ale był przekonany, że tylko pogorszyłyby sytuację. Do tej pory myślał, że już bardziej samotny nie może się poczuć, ale z drugiej strony ostatnio mylił się w wielu sprawach.

\* \* \*

Po posiłku znowu popłynęli. Farlan zszedł pod pokład przespać się, kiedy zastąpił go drugi sternik. Hadrian nie usłyszał jego imienia. Ten był młodszy i mimo brody oraz złowieszczych brwi w porównaniu z Farlanem miał twarz dziecka. Bez słowa zajął swoje miejsce przy sterze. Nie był tak przyjazny jak starszy sternik.

Vivian zniknęła w kajucie, kiedy tylko ruszyli. Może martwiła się, że zakapturzony mężczyzna wróci na swoje miejsce na dziobie. Jednak przód statku pozostał pusty.

Hadrian przez cały dzień patrzył na mijane krajobrazy i ostrzył miecz. Dbanie o broń było dla niego nawykiem jak dla innych obgryzanie paznokci. Pomagało mu myśleć, odprężyć się, poradzić sobie z troskami. A teraz potrzebował wszystkich tych trzech rzeczy naraz.

Vivian pojawiła się ponownie tuż po zachodzie słońca. Nie siadła tym razem z kupcami. Widząc, że dziób jest pusty, wróciła tam i usiadła niedaleko rozkołysanej latarni, kiedy gwiazdy rozbłysły. Brak słońca zaprosił jesienny chłód i Hadrian, widząc, że Vivian drży, poszedł na dziób.

– Proszę – powiedział, zdejmując pelerynę i zarzucając ją na jej ramiona. – To niewiele, ale powinno trochę pomóc.

– Dziękuję.

– Powinienem był przynieść ją wcześniej. Jestem idiotą. Chciałbym przeprosić.

Vivian podniosła wzrok zaskoczona.

– Za to, że nie pożyczyłeś mi peleryny?

– Za to, że panią wcześniej zasmuciłem.

Sprawiała wrażenie zdziwionej, ale potem doznała olśnienia.

– To cię gryzło przez cały czas? – Dotknęła jego dłoni. – Siądź, proszę.

– Na pewno? Nie byłem szczególnie uprzejmy.

– Gdybym miała zgadywać, wzięłabym cię za dżentelmena, rycerza w przebraniu.

Hadrian się zaśmiał.

– Wszyscy chcą, żebym był rycerzem.

– Słucham?

– Nic takiego. Nie jestem rycerzem. Po prostu nie umiem rozmawiać w dobrym towarzystwie.

– Tak mnie odbierasz?

– W porównaniu z ludźmi, do których przywykłem? Owszem.

Vivian spuściła na chwilę wzrok.

– Nie jestem światła ani wyrafinowana. Urodziłam się biedna. Wszelka zmiana statusu wynikała z małżeństwa, ale teraz...

Nie dokończyła zdania i zapatrzyła się na pokład.

– Co się stało? – zapytał Hadrian.

– Znalazłam się tutaj... Znalazłam się tu sama... Ponieważ mój mąż nie żyje. Został zabity dwa dni temu, to jedno z tych morderstw w Vernesie. Obawiałam się o swoje życie i... I... Uciekłam. Teraz myślę, że popełniłam straszliwy błąd.

– Dlaczego ktoś miałby chcieć zabić panią albo pani męża?

– Daniel był zamożnym człowiekiem, a bogaci ludzie zawsze mają wrogów. Nasz dom splądrowano. Zerwano nawet gobeliny. Byłam tak przerażona, że wybiegłam z pustymi rękami, tylko w tym, co miałam na sobie. Nie wzięłam nawet płaszcza. Opłacałam obrączką przejazd, ale obawiam się, że przyniosłam ze sobą kłopoty. Wątpię, żeby zabójca znalazł to, czego szukał, i żeby to zdobyć, wszedł za mną na pokład barki.

– Jak pani myśli, czego szuka?

– Nie wiem. To nie ma znaczenia. Nie mam tego, a on mi nie uwierzy. Nawet nie będzie pytał. Po prostu zabije mnie, jak zabił mojego męża, a potem przetrząśnie kajutę.

Skinęła lekko głową, a Hadrian zauważył, że Vivian patrzy ponad jego ramieniem. Odwrócił się i zobaczył, że zakapturzony mężczyzna również wyszedł na pokład i stoi przy relingu w pobliżu rufy. Hadrian szczyił się tym, że nigdy nie ocenia człowieka po wyglądzie, ale nieznajomy niewątpliwie emanował wrogością. Jego milczenie i ciemny kaptur, którego nie zsunął z głowy, odkąd wypłynęli, były niepokojące. Był nietowarzyski i wrogi.

Gdyby Hadrian wierzył w takie rzeczy, mógłby podejrzewać, że to zły duch, widmo albo jakiś mroczny czarnoksiężnik. Był przekonany, że właśnie stąd biorą się takie opowieści. Kiedy pasażerowie zjedzą na brzeg w Colnory, będą opowiadali historie o tajemniczym mężczyźnie bez twarzy, a ich opowieści będą coraz barwniejsze przy każdym kolejnym powtórzeniu. Ani się człowiek obejrzy, kiedy ludzie zaczną się gromadzić przy ogniu, żeby posłuchać o samej Śmierci, która nawiedzała Bernum odziana w ciemną pelerynę z kapturem.

– Nie wiem, co zrobię, kiedy dotrzemy do Colnory.

– Ma tam pani jakichś krewnych? Zna pani kogoś, kto może pani pomóc?

Pokręciła głową, a Hadrian zauważył, że zadrżała jej warga.

– Ale to nie twój problem. Na pewno jakoś sobie poradzę.

– Proszę posłuchać, Farlan zawiadomi szeryfa w Colnory, kiedy tam dotrzemy i zacznie się śledztwo. Jeśli zakapturzony człowiek jest winny, zostanie osądzony i skazany. Wtedy będzie mogła pani wrócić do Vernesu. Złodzieje nie mogli zabrać wszystkiego. Pani dom nadal tam stoi. Może pani wynajmować pokoje czy coś takiego.

Spojrzała znowu na człowieka w kapturze i zniżyła głos:

– A jeśli wcale nie dotrę do Colnory? A jeśli zabije mnie tutaj, na barce?

– Nie pozwolę na to.

– Chciałabym w to wierzyć, ale nie będziesz w stanie go powstrzymać. Może zakraść się do mojej kajuty i rankiem będę martwa. Nikt się tym nie zmartwi.

– Proszę posłuchać, wiem, co trzeba zrobić. Proszę zamknąć drzwi na klucz i zastawić je wszystkim, co wpadnie pani w ręce. Nie uda mu się wejść do pani, nie robiąc przy tym hałasu, a wtedy ja natychmiast się zjawię.

Otarła łzy.

– Zrobię tak, dziękuję. Mam nadzieję, że to wystarczy.

# Rozdział 4

## *„Pod Ohydnym Łbem”*

Po laniu nawet ciężar pustych wiader wywoływał ból w plecach i ramionach, gdy kołysały się na nosidłach. Grue surowo ukarał Gwen za wmieszanie się w sprawę Ethana. Nie zostawił jednak śladów; uszkodzony towar sprzedawano po obniżonej cenie.

Doszedłszy do studni przy ulicy Przekornej, upuściła kubły i przysiadła na ocembrowaniu, patrząc w kierunku, z którego przyszła. Nadal było wcześnie, słońce ledwie wyglądało między wygiętym dachem karczmy i przekrzywionym dachem budynku po drugiej stronie ulicy. Avon powiedziała jej, że kiedyś to była gospoda, ale dawno temu. Prawie to sobie wyobrażała. Teraz nikt się tam nie zatrzymywał, z wyjątkiem szczurów i psów, które je zjadały. Stan gospody odzwierciedlał stan całej Dzielnicy Dolnej, a w szczególności ulicy Przekornej – to był ślepy zaułek pod każdym względem.

Odkąd Gwen sięgała pamięcią, jej matka opowiadała o Medfordzie i o tym, jak pewnego dnia stanie się ich domem. Gwen wyobrażała sobie, że to musi być piękne miejsce, pełne wspaniałych powozów i kamiennych domów. Marzyła, że zamieszkają w jednym z tych pięknych domów z fontanną na zewnątrz do nabierania wody i sprzedawcami z targu, którzy śpiewają i recytują jak ci z Calisu. Kiedy tak siedziała na cembrowinie, nadal zdumiewał ją fakt, jak bardzo odmienna

okazała się rzeczywistość.

Czy moja matka miała jakiegokolwiek pojęcie, dokąd zmierzamy?

Jej matka poświęciła się jednemu jedynekmu celowi – dotarciu do Medfordu. Mówiła o tym mieście przez wiele lat. Patrząc teraz wstecz, Gwen dostrzegała rzeczy, które umknęły jej jako dziecku. Podróżowały samotnie. Kobieta z dzieckiem nigdy nie postanowiłaby samotnie przebyć całego kontynentu, nie mając ku temu dobrego powodu, nawet gdyby zmierzała do rajy. Poza tym tenkińskie kobiety nigdy nie podróżowały bez opieki.

Równie dziwne było imię, jakie Illia wybrała dla jedynaczki: Gwendolyn. Jej matka urodziła się w plemienu Owanda i zgodnie ze zwyczajem Gwen powinna otrzymać imię po przodku, a z pewnością nikt w ich rodzie nie nazywał się Gwendolyn. To ładne imię, lecz nie tenkińskie. Gwendolyn to imię dla białych blondynek o niebieskich oczach. Gwen nie zobaczyła włosów w kolorze blond, dopóki nie przybyły do Vernesu, a i tam były rzadkością. Dopiero kiedy wiele lat później Gwen dotarła wreszcie na północ, spotkała dziewczęta o podobnych imionach. Jednak nawet ustępstwo w postaci imienia nie wystarczyło, żeby zaakceptowano ją na obcych ziemiach. Wszyscy jasnoskórzy podróżni i sprzedawcy patrzyli na nią z pogardą.

W Calisie z podobną podejrzliwością traktowano białych przybyszy. Większość mieszkańców Calisu uważała cudzoziemców za złych ludzi, ale to nie powstrzymywało Tenkinów przed robieniem z nimi interesów. Nie można było tego samego powiedzieć o północy. Nawet w Vernesie stroniono od Gwen i jej matki.

Umarłyby z głodu, gdyby nie dar matki. W Vernesie nie brakowało imigrantów z Calisu. Osiedlili się na wzgórzach poza miastem, w ogromnym obozie z kolorowymi namiotami, zupełnie jak w Dagastanie albo Ardorze, a przywódcy obozowiska dostrzegali wartość jasnowidza. Illia zdołała znaleźć pracę, czytając z dłoni krajan, zachwyconych, że znalazła się między nimi tak doskonała przepowiedaczka przyszłości.

Ten talent przechodził z matki na córkę i Illia nauczyła Gwen wszystkiego, co sama umiała.

– Nie możesz wyczytać własnej przyszłości – powiedziała jej Illia – tak samo, jak nie zobaczysz własnej twarzy. Jednak tak jak czasem dostrzegasz swoje odbicie w ciemnym szkle albo spokojnym stawie, tak samo możesz znaleźć własną ścieżkę wśród historii innych ludzi.

Nauczyła Gwen czytać, widzieć, za pomocą dłoni klientów.

– Co widzisz? – zapytała raz, podsuwając jej ogorzałą dłoń mężczyzny.

– Statek, wielki statek z żaglami – odparła wtedy Gwen.

– Jakiego koloru?

– Niebieskimi.

– To najpewniej przeszłość.

Gwen spojrzała na mężczyznę, którego dłoń trzymała, a on skinął głową.

– Przypląnąłem wczoraj statkiem.

– Niedawne wydarzenia są najłatwiejsze. Są najsilniejsze – powiedziała im Illia.

Początkowo Gwen potrafiła zobaczyć tylko niedawną przeszłość, więc matka kończyła wróżbę, żeby klienci się nie złościли. Tak przebiegały wszystkie lekcje i Gwen zastanawiała się, dlaczego matka nigdy nie dała jej własnej dłoni do ćwiczeń. Z początku Gwen myślała, że to z powodu zbyt bliskiego pokrewieństwa, które uniemożliwiłoby czytanie, jednak kiedy jej umiejętności się zwiększyły, Illia zaczęła nosić rękawiczki.

W końcu przyłączyły się do karawany zmierzającej na północ, ale musiały rozstać się z nią, kiedy Illia zachorowała. Gwen zabrała matkę do miasta, gdzie minęło wiele dni, zanim znalazła doktora, który zechciałby ją zbadać, ale to nic nie dało. Wiedząc, że matka umrze, Gwen zadała jej wreszcie tłumione pytania. Dlaczego opuściliśmy Calis? Dlaczego nadałaś mi imię z północy? A co najważniejsze: dlaczego to tak wiele znaczy dla ciebie, żebyśmy dotarły do mitycznego miejsca zwanego Medford?



Jej matka uparcie odmawiała odpowiedzi, powiedziała tylko, że Bóg kazał jej udać się tam. Kiedy Gwen zapytała, który bóg, matka odpowiedziała: „Ten, który chadza jako człowiek”.

Gwen wydała prawie wszystkie ich pieniądze, żeby zapłacić za ciasny pokoik, w którym Illia ostatecznie umarła. Przez wiele dni Gwen nie robiła nic nad to, że ocierała głowę matki wilgotną szmatką. Illia zaś opierała się śmierci, nie otwierając oczu i nie mówiąc ani jednego słowa. Pewnego dnia poruszyła się.

– Obiecuj mi... Obiecuj mi, że pojedziesz do Medfordu, jak zawsze planowaliśmy. Obiecuj mi, że nie poprzestaniesz, dopóki tam nie dotrzesz i nie ułożysz sobie tam życia. Musisz dokonać tego, czego ja nie zdołałam. Musisz tam być dla niego.

Gwen nie miała pojęcia, o kim jej matka mówi, i nigdy nie dowiedziała się od niej niczego więcej na jego temat, ale mimo to zgodziła się. Przysięgłaby, że wyjdzie za goblina i zamieszka na chmurze, gdyby matką ją o to poprosiła.

Illia zmarła dwa dni później w małym pokoiku w obcej miejscinie odległej zarówno do Calisu, jak i Medfordu. Gwen miała raptem czternaście lat.

Zapewnienie matce luksusu śmierci we własnym łóżku zostawiło Gwen bez środków do życia. Nie miała dość pieniędzy na jedzenie, nie wspominając już o pogrzebie. Nie mogła znieść myśli o wydaniu ciała matki straży miejskiej, która zawsze była okrutna. Sama w małym pokoju Gwen robiła jedyną rzecz, jaką mogła – siedziała i płakała. Szlochając, prawie nie usłyszała pukania.

Mężczyzna stojący w progu był wysoki, chudy i nosił przewieszoną przez ramię skórzaną torbę.

– Przepraszam, ale chciałem zobaczyć się z Illią – powiedział uprzejmie.

– Moja matka właśnie umarła.

Gwen otarła twarz. W tamtej chwili nie zdumiało jej jeszcze, skąd mężczyzna wiedział, gdzie ich szukać.

Skinął głową.

– Przykro mi.

Podniósł wzrok na łóżko, gdzie Illia leżała owinięta w ulubiony szal, i dodał:

– Twoja matka czytywała mi z dłoni i ostatnim razem nie miałem pieniędzy, żeby jej zapłacić. Przyszedłem spłacić dług.

Położył sześć monet na dłoni Gwen, która zdusiła okrzyk na widok ich koloru.

Pokręciła głową.

– To za dużo. Matka brała trzy miedziane diny. To jest... To jest... – Nie mogła zmusić się do powiedzenia tego, co myślała.

Te metalowe monety w jej dłoni były jak garść lata albo słonecznego blasku. Pamiętała, że pomyślała wtedy: „Taka moc nie powinna leżeć w tak brudnych rękach”.

– Jej przepowiednia była naprawdę bardzo dobra.

To spotkanie było bardzo dziwne. Mężczyzna nie pochodził nawet z Calisu, a na ile Gwen się orientowała, Illia nigdy nie przepowiadała przyszłości ludziom z zachodu.

Gwen zobaczyła uśmiech na twarzy mężczyzny – miłej, przyjaznej twarzy.

Na przestrzeni lat odtwarzała tę chwilę setki razy, zadając sobie pytanie, jak do tego doszło. Po części z powodu jego oczu, tak zachęcających, że ją wciągnęły. Po części z powodu rozpacz. Gwen była samotna i przestraszona. Szukała odpowiedzi, nie tylko na pytanie, kim jest ten człowiek, ale również, kim jest ona sama. Co powinna zrobić teraz, kiedy zabrakło siły napędowej w jej życiu? Miała tyle pytań, że kiedy spjrzała, poniosła je ze sobą.

Illia nauczyła Gwen wszystkiego na temat czytania przyszłości z linii dłoni, ale nigdy nie wspomniała ani słowem, co się stanie, kiedy tenkińska wróżbitka spojrzy głęboko w czyjeś oczy. Według słów matki linie na dłoni człowieka to jego życie zapisane przez duszę. Można z nich czytać równie łatwo jak z książki. Gwen zaś odkryła, że oczy to okna – nie dało się z nich czytać, nie sposób było zapanować nad tym, co się wtedy działo. Spojrzeć w oczy to jak skoczyć z urwiska do jeziora, nie mając pojęcia, jaka okaże się

woda, jak jest głęboka. Tamtego dnia Gwen dowiedziała się też, że... można wtedy utonąć.

I utonęłaby, gdyby mężczyzna się nie odwrócił. Spojrzeć w jego oczy to jak zobaczyć wieczność. Gwen nie zwariowała tylko dzięki temu, że nieznajomy był szybki, ale ona dostrzegła coś i to przelotne spojrzenie jej wystarczyło. Cała siła opuściła jej nogi i Gwen osunęła się przed nim na kolana z płaczem.

Delikatna dłoń dotknęła jej głowy. Gwen usłyszała, jak mężczyzna mówi:

– Nic ci nie będzie. Wydaj jedną monetę, żeby zajęto się pochówkiem twojej matki. Bądź hojna, zasłużyła na najlepsze. Drugą monetą opłać podróż do Medfordu i bądź oszczędna. Pozostałe cztery odłóż na później. Ukryj je. Nie wolno ci ich wydać, choćby było bardzo źle. Poczekaj, aż to będzie absolutnie niezbędne.

– Dlaczego?

Nie wiedziała, czy wypowiedziała to pytanie, czy pamięć tylko wypełniła pustkę. Nie wyobrażała sobie, żeby była wtedy w stanie wykrztusić choćby słowo, nie po tym, jak spojrzała mu w oczy... Po tym, jak zobaczyła to, co zobaczyła.

– Zdesperowany człowiek przyjdzie do ciebie w Medfordzie. Zjawi się nocą odziany we własną krew, będzie błagał o pomoc. Musisz tam być. Musisz go ocalić.

Mężczyzna podszedł do jej matki i stał przez chwilę przy łóżku. Kiedy się odwrócił, Gwen zobaczyła łzy na jego policzkach.

– Zajmij się nią. Była dobrą kobietą.

To się wydarzyło w innym życiu i bardzo daleko stąd. Cztery ukryte monety były teraz dla Gwen świętą relikwią. Ukryła je pod sękatą deską w małym pokoiku na końcu korytarza, w tym samym, w którym oderwała słupek od łóżka. Hołubiła je przez pięć lat, nikomu o nich nie powiedziała i często się do nich modliła.

– Durna, bezużyteczna, zafajdana kupa szmelcu!

Gwen aż podskoczyła, słysząc głos Dixona Wozaka. Kopał koło wozu ze złamaną osią, który nadal stał podparty przed składem

Benningtona i przypominał ranne zwierzę. Sam Dixon nie wyglądał dużo lepiej. Chociaż wciąż był wielki jak wół, miał coraz bardziej zapadnięte policzki. Ulica Przekorna była końcem drogi dla wielu ludzi. Urwał, kiedy zobaczył, że Gwen go zauważyła, i uchylił kapelusza.

To sprawiło, że uśmiechnęła się i skinęła głową w odpowiedzi.

Słońce wyszło zza krzywych dachów, malując ulicę złotem. Chmury napływały, a jesienią oznaczały zimny deszcz. Spojrzała ze współczuciem na Dixona. Ona przynajmniej miała dach nad głową i jedzenie. Uznała, że jej życie mogło być gorsze... I wtedy stało się gorsze. Ulicą szedł Stane z wiązką desek pod pachą i młotkiem w drugiej ręce.

\* \* \*

– Deski – powiedziała Gwen do Grue, kiedy Stane wniósł swoje brzemie po schodach na piętro „Ohydny Łba”. – Skąd on wytrzasnął deski?

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Naprawia framugę. Najwyższy czas. Pewnie całkiem to sknoci. Jest rybakiem, dokerem albo kimś takim, nie cieślą.

Gwen uznała za dziwny fakt, że Grue nie wie, że Stane wyciąga sieci na *Lady Banshee*. Może wiedział i tylko udawał głupiego dla podkreślenia dystansu. Grue już taki był, nie należał do tych, na których można polegać w każdej sytuacji. Oczywiście niewykluczone było, że naprawdę nie wie. W końcu Grue tylko nalewał temu łajdakowi do kieliszka. Nie sypiał z nim ani nie musiał wysłuchiwać potem jego głędzenia.

Grue wycierał pomyje z blatu sosnowego baru. Zastanawiała się, po co w ogóle zawraca sobie głowę. Nikogo to nie obchodziło. Mężczyźni, którzy przychodzili tu co wieczór, przykucnęliby nawet nad ściekami, byle tylko Grue nie przestawał polewać. Nadal trzymając brudną szmatę, Grue przeszedł do podnóża schodów i wrzasnął:

– Lepiej żeby drzwi gładko się otwierały i zamykały!

W odpowiedzi rozległo się tylko stukanie młotka.

– To znaczy, że mu zapłacili?

– Na to wygląda. – Grue wrócił do baru i zakołysał beczkami, żeby zorientować się, na ile są pełne. – Wszyscy pracownicy z portu dostają wypłatę w nowiu, a ostatnia noc była dość ciemna.

– Ile? Ile mu zapłacili?

– A skąd mam, u diabła, wiedzieć?

– Więcej niż osiemdziesiąt pięć?

Grue zamarł, odwrócił się do niej i potrząsnął przed jej twarzą szmatą.

– Tamto już spłacił.

– Wiem. I teraz ma więcej.

– No i? To dla nas dobrze. Ma pieniądze na naprawę drzwi i jeszcze mu zostanie na kielicha.

– A na kobiety?

– Do czego zmierzasz, tępą zdziro?

– Nie możesz sprzedać mnie Stane’owi. Po prostu nie możesz.

– Spłacił dług.

Grue podszedł do tabliczki i popukał w nią, a jego mokre palce zostawiły czarne kropki między wypisanymi tam nazwiskami i sumami. Wpis ze Stane’em zniknął, zostawiając po sobie puste miejsce.

– Ma czyste konto – dodał.

– Jeśli ma pieniądze, zabije mnie. Teraz już wie, że mu się upiecze. Zna cenę, wie, ile sobie liczysz za taką przyjemność.

Grue się naburmuszył.

– To nieprawda. To, co się wydarzyło, to był nieszczęśliwy wypadek. Mówisz to tak, jakby Stane był potworem, który zabija dziewczyny dla zabawy.

– Bo tak jest!

Grue zmarszczył brwi.

– Nie, nieprawda. Kupił cię kilka razy i nadal żyjesz. Powiem więcej: miał tu każdą dziewczynę po kilkanaście razy. Stane

zawsze był dobrym klientem. Musisz po prostu zrozumieć, że tacy mężczyźni jak on, goście, którzy dzień po dniu mają do czynienia z cuchnącą rybą i przyjmują rozkazy od właścicieli kutrów i brygadzystów w porcie, tacy ludzie potrzebują wytchnienia. Muszą poczuć się jak mężczyźni, więc lubią urządzić małą burdę. Złapią dziewczynę za włosy, potraszają ją trochę, bo wtedy czują, że mają nad czymś kontrolę, nieważne nad czym. Po to właśnie Stane tu przychodzi. Po to oni wszyscy tu przychodzą. Chcą poczuć, jak to jest kierować własnym życiem.

Gwen skrzyżowała ręce i przeniosła ciężar z nogi na nogę.

– To był wypadek, Gwen. Naprawdę myślisz, że zdzierzyłbym, żeby on, czy ktokolwiek inny, zabijał moje dziewczyny? To nie służy interesom. Nie dość, że muszę znaleźć przyzwoite zastępstwo, to jeszcze ludzie nie lubią takich zajść. Tracę klientów i dodatkowo trzeba wyszorować zakrwawioną podłogę. Zaufaj mi, gdybym uważał, że śmierć Avon to coś więcej niż nieszczęśliwy wypadek, zabroniłbym Stane’owi wstępu do swojego lokalu.

– A jednak on zrobił już coś podobnego wcześniej. Powiedział mi, że była inna dziewczyna, w Roe.

Grue przewrócił oczami.

– A dlaczego miałby ci o tym mówić? Zaraz zaczniesz oskarżać go o roznoszenie zarazy i topienie szceniąt. Na Mara, Gwen! Wiem, że nadal jesteś wstrząśnięta, ale Stane to nie zabójca. Odbyłem z nim długą rozmowę. Nie będzie więcej żadnych kłopotów, rozumiesz?

Gwen z całą pewnością nie rozumiała, ale nie było sensu tego mówić.

– Powiedziałem mu, że jeżeli pożyczą konia, a potem łamie mu nogę...

– Konia? Porównałeś nas do konia?

Grue uśmiechnął się znacząco.

– On tak rozumuje.

Gwen była święcie przekonana, że Grue też tak rozumuje.

– Stane obiecał, że będzie się zachowywał – podsumował.

– Zabije mnie, Raynor. – Miała nadzieję, że jeśli posłuży się jego imieniem, prośba zabrzmii bardziej osobiście, jakby rozmawiała ze starym przyjacielem, a nie człowiekiem, który zmusił ją do prostytucji. – Chce mnie zabić, bo pobiegłam do szeryfa.

– Cóż, trzeba było o tym wcześniej pomyśleć, nie uważasz?

Nie odpowiedziała. Jak mogła odpowiedzieć? Gdyby była mężczyzną, złałaby go tak, że popamiętałaby na resztę życia, ale przecież gdyby była mężczyzną, w ogóle nie byłoby takiej potrzeby.

Na widok jej miny trochę złagodniał.

– Posłuchaj, mówię tylko, że sama ściągasz na siebie kłopoty. Poza tym, gdyby Stane naprawdę chciał cię zabić, nie musiałby przychodzić tutaj, żeby to załatwić. Zresztą to wszystko nie ma znaczenia. Dostanie Jollin.

– Poprosił? I ty się zgodziłeś? Naprawdę sprzedasz mu następną dziewczynę?

– Piwo, hazard, kobiety, tak zarabiam na życie. Na tym to polega.

– Nie rób tego! Na miłość boską, Grue, nie możesz. Po prostu nie możesz!

– Już ci powiedziałem, nie poprosił o ciebie.

– Nie obchodzi mnie to. On ją zabije. Nie rozumiesz?

– Stane nic nie ma do Jollin.

– Nie miał nic do Avon. Po prostu lubił widzieć, że się boi.

– Naprawdę dość mam twojego głędzenia, Gwen. Skończ ten temat.

Grue odepchnął ją szorstko z drogi i wrócił do sprawdzania beczulek. Jedną zakołysał mocniej, niż to było konieczne.

– Nie jesteśmy twoją własnością.

– Och, czyżby?

– Ethan nie pozwoli ci zatrzymać nas wbrew naszej woli. Szeryfowie muszą zdawać raporty przed najwyższym konstablą, który odpowiada przed samym królem, a król Amrath troszczy się...

– Na Novrona, co ty wiesz o królu Amracie i o tym, co sobie

myśli? Albo o szeryfie, skoro już o tym mowa? Jesteś tylko durną dziwką, Gwen, i dlatego w ogóle nie muszę cię tu trzymać. Powiedziałem ci już. Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz.

Złapał ją za włosy, zaciągnął do drzwi i wypchnął na werandę.

– Proszę, możesz iść. No już, wynoś się! – Spojrzał na nią. – Dokąd pójdziesz? Co będziesz robić? Nadchodzi zima i noce już są chłodne. Gdzie będziesz spać? Jak się wyżywisz?

– Mogę robić to samo, co do tej pory.

– Jak ostatnim razem? Tak jak Hilda? No już, śmiało, spróbuj raz jeszcze. Powiedziałem, że nie będę ci stawał na drodze. Tylko że tym razem nie przyjmę cię z powrotem. Wolna droga. Może przetrwasz dłużej niż ona. Ona wytrzymała dwa tygodnie. Może tobie lepiej się powiedzie. Myślę, że tak. Jesteś bystrzejsza. Założę się, że przetrwasz cały miesiąc. Albo... jednak nie. Ona nie była cudzoziemką.

Hilda i Avon pracowały w „Ohydny Łbie”, zanim pojawiła się tu Gwen. Żadna z nich nigdy nie przyznała się, od jak dawna tu były. Hilda przysięgła sobie, że się stąd wyrwie. Odkładała nędzne napiwki i pewnej nocy po laniu uciekła. Podobno próbowała znaleźć uczciwą pracę, ale nic z tego nie wyszło. Zgłosiła się do innej karczmy, ale wiedzieli, że jest dziewczyną Grue, i odmówili. Nie mając innego wyboru, sprzedawała się na ulicy, zabierała mężczyzn w zaułek za garbarnią. Przetrwała tylko dwa tygodnie. Ethan ją znalazł. Okradziono ją i uduszono. Nawet nie próbowano znaleźć mordercy. Mógł to zrobić ktokolwiek.

Grue odsunął się, robiąc jej wolne przejście.

– Chcesz żyć? To zostań tutaj, a jak chcesz tu zostać, rób, co ci każę. – Potarł rzadziutką brodę. Tak naprawdę była tylko kępkami włosów, które nie chciały rosnąć gęsto ani też na więcej niż trzy cale. – Słuchaj – zaczął znowu, tym razem łagodniej. – Nie chciałem cię straszyć, ale nawet ja wiem, że posyłanie cię do Stane’a to kiepski pomysł. Dlatego dostanie Jollin.

Gwen wytrzeszczyła oczy.

– Więc jednak prosił o mnie!



– Aha, ale cię nie dostanie. Nie tego wieczoru. Nie, dopóki nie zobaczę, że całkiem mu przeszło.

– Ale to nie jest coś, co człowiekowi przechodzi. On już taki jest, Grue. A nawet gdyby nie był, zrobi to z zemsty, na złość. Zabije Jollin, bo wie, że w ten sposób mnie zrani. I jeśli tylko tyle będzie mógł zrobić, to tym się zadowoli.

Grue przesunął ręką po twarzy i pogroził jej pięścią.

– Gwen, dość mam kłótni z tobą. To nie ty tu decydujesz. Dostanie Jollin zaraz po tym, jak skończy drzwi. Już postanowiłem.

– Ostrzegam cię, Grue...

Spoliczkował ją mocno, dość, żeby się zatoczyła, ale nie upadła. Mimo to plask rozległ się echem w karczmie i w gospodzie po drugiej stronie ulicy.

– Najpierw grozisz, że odejdiesz, a potem grozisz mnie? Przez tę swoją caliską krew igrasz ze śmiercią. Nie powinienem był cię przyjmować. Więcej z tobą kłopotów, niż jesteś tego warta. Wiedziałem, że mężczyźni uznają cię za egzotyczną, za nowinkę. Gdybym wiedział, ile kłopotów narobisz...

Złapał ją za ramiona, a jego długie i brudne paluchy zacisnęły się jak ptasie szpony.

– Teraz powiem ci, co masz zrobić, i ty to zrobisz. Rozumiesz? – Potrzaskał nią brutalnie. – Masz iść, obudzić Jollin i przygotować im pokój. Przygotuj im ten mały, lepiej nie dawać Stane’owi tego z krwawą plamą. Po co podsuwać mu głupie pomysły.

Wciągnął ją do karczmy i pchnął w stronę schodów. Zatoczyła się na stół i krzesło.

– I nie chcę słyszeć ani słowa więcej. – Uniósł palec. – Ani... słowa... więcej.

Bach, bach, bach, walił młotek Stane’a.

Kiedy Gwen weszła do pokoju dziewczyn, wszystkie spały wtulone w siebie jak szczeniaki na dwóch materacach rzuconych na podłogę. Praca w „Ohydny Łbie” rzadko zaczynała się przed zachodem słońca, więc drzemały w ciągu dnia. Poza Gwen Jollin

była najstarsza. Rose zaś najmłodsza – miała około czternastu lat, ale Gwen nigdy nie wyciągnęła od niej konkretnej odpowiedzi, więc tylko się domyślała. Mae była najdrobniejsza, delikatna jak ptaszyna, i Gwen zawsze krzywiła się, widząc, jak idzie na górę z jakimś wielgachnym drabem, który nawet po wejściu do karczmy nadal musiał schylać głowę. Etta, która nigdy nie była ślicznotką, wyglądała jeszcze gorzej przez rozbity nos i dwa wybite zęby – pamiątka po laniu, po którym przez półtora dnia leżała nieprzytomna. Zajmowała się w „Ohydny Łbie” głównie podawaniem do stołów i sprzątaniami. Christy i Abby mogłyby być siostrami, tak bardzo były podobne, ale Christy pochodziła z Zimnej Kotliny, a Abby urodziła się przy ulicy Przekornej. Wszystkie były z Medfordu albo z pobliskiej wsi lub gospodarstwa. Żadna z nich nie pokonała więcej niż paru mil przez całe swoje życie – z wyjątkiem Gwen, która pochodziła z innego świata.

Bach, bach, bach!

– Grue, prawie skończyłem! – krzyknął Stane.

Gwen przebyła cały kontynent, pięć różnych królestw. Widziała góry, dżungle, wielkie rzeki. Stała w stolicy wschodu i w największym mieście zachodu, ale nic, co widziała w czasie podróży, nie równało się z widokiem, jaki ujrzała w maleńkim pokoiku, w którym zmarła jej matka – z tym, co zobaczyła w oczach mężczyzny, który włożył jej do dłoni sześć złotych monet.

Poczekaj, aż to będzie absolutnie niezbędne.

– Wstawajcie! Wstawajcie wszystkie! – Potrząsnęła każdą dziewczyną. – Zbierajcie swoje rzeczy i pośpieszcie się!

Wstały powoli, przeciągając się. Teraz bardziej przypominały koty niż szczeniaki.

– Co się dzieje? – spytała Jollin, ocierając twarz i mrużąc oczy z powodu światła za oknem.

– Musimy odejść.

– Odejść? Co masz na myśli?

– Nie możemy tu dłużej zostać.

Jollin przewróciła oczami.

– Ty znowu swoje. Gwen, jeśli znowu chcesz spróbować i odejść, to wolna droga.

– Nie mogę odejść sama. Żadna z nas nie poradzi sobie w pojedynkę, ale razem możemy przetrwać.

– Przetrwać? Gdzie? Jak?

– Mam trochę pieniędzy.

– Wszystkie mamy trochę pieniędzy – wtrąciła Christy – ale to nie wystarczy.

– Nie, ja mam prawdziwe pieniądze.

– Ile? – spytała Abby.

Gwen nabrała powietrza.

– Mam cztery złote monety.

– Chrzanisz! – zachnęła się Abby.

– Cztery złote monety? – mruknęła Mae. – To niemożliwe. Nigdy w życiu nie zdołałabyś tyle odłożyć, nawet gdybyś przespała się z każdym mężczyzną w Medfordzie.

– Nie zarobiłam ich, tylko dostałam. Nie wiedziałam, jak najlepiej je wydać... Aż do tej chwili.

Jollin kiwała głową.

– Wiedziałałam, że schowałaś gdzieś pieniądze, ale nigdy nie myślałam, że aż tyle. Mimo wszystko to nie wystarczy.

– W takim razie resztę będziemy musiały same zarobić – odparła Gwen.

– Jaki masz plan? – spytała Abby.

Kłopot w tym, że Gwen nie miała planu. Nie miała zielonego pojęcia, co zrobić. Wiedziała tylko, że nie zamierza skończyć jak Avon, a żeby mieć jakąś szansę przetrwania, nie mogła odejść sama. Może razem miały lepsze widoki na przyszłość. Podeszła do okna i wyglądając na zabłocone ulice Dzielnicy Dolnej, powiedziała:

– Wszystko sobie obmyśliłam. Po prostu zaufaj mi.

– Nikt nas nie zatrudni – powiedziała jej Jollin. – Dom dostatecznie zamożny, żeby stać ich było na dziewczynę, nigdy nie zatrudni kogoś bez referencji, nawet do szorowania podłóg

i opróżniania nocników. A gildie nie przyjmują dziewczyn na naukę.

– Ona ma rację – poparła ją Etta. – Nikt mnie nie zatrudni. Kto by chciał codziennie patrzeć na moją twarz? Sama nie lubię na nią patrzeć.

– Sama to wszystko wiesz, Gwen. Próbowalaś i nie udało ci się, nie pamiętasz? Zapomniałaś o Hildzie?

– Hilda próbowała w pojedynkę. Tak samo ja – odpowiedziała Gwen. – To był nasz błąd. Jeśli odejdziemy razem...

– To dotrzymamy sobie towarzystwa, umierając z głodu?

– Może gdybyśmy poszły gdzie indziej – zasugerowała Mae. – Tam, gdzie nikt nas nie zna.

Jollin pokręciła głową.

– Będą chcieli wiedzieć. Nikt cię nie zatrudni, jeśli nie zna twojej przeszłości. Byłybyśmy obce, a nikt nie wybierze obcego, mając do wyboru zatrudnienie kogoś, kogo zna od lat.

– Patrzyłam, jak moja matka umiera z głodu – odezwała się Rose. – Nie pójdę w jej ślady.

– Nie, odejście to zbyt duże ryzyko – podsumowała Jollin. – Nawet gdybyśmy miały dość środków na jedzenie, nie mamy gdzie spać, zostaje tylko ulica. Ile czasu minie, zanim nas też ktoś obrabuje i udusi? Gwen, gdybyśmy miały jakiś wybór, myślisz, że którakolwiek z nas byłaby tutaj?

Gwen odwróciła się od okna.

– Ale ja mam złoto.

– To świetnie. Kup sobie ładną sukienkę albo coś takiego. – Jollin wpełzła z powrotem na łóżko i sięgnęła po przykrycie.

– Ale ty nie rozumiesz...

– Rozumiem. To ty cały czas myślisz, że gdzieś jest lepiej niż tutaj. Pewnie, że Grue potrafi być łajdakiem, ale jest mnóstwo gorszych rzeczy od niego. Zaufaj mi. Już ja wiem. Chociaż nienawidzimy tego miejsca, prawda jest taka, że jeśli odejdziemy, prawie na pewno umrzemy. Wiesz to lepiej niż którakolwiek z nas.

Gwen pokiwała głową.

– Masz rację. – Opuściła z impetem ręce do boków i znowu pokiwała głową. – Masz całkowitą rację.

– Kto by pomyślał? To jednak można przemówić jej do rozumu.

Jollin naciągnęła przykrycie na głowę i poduszką zakryła uszy, żeby zagłuszyć hałas młotka.

– To przez to walenie nie możesz spać? – spytała Gwen. – Jollin, wiesz, co to jest? To Stane naprawia drzwi, które wyłamałam.

– No i? – Jollin odsunęła przykrycie, żeby zerknąć na nią.

– Czyli ma pieniądze i Grue zamierza dać mu dzisiaj ciebie.

Cały kolor odpłynął z twarzy Jollin. Usiadła powoli.

– Mnie?

– Zatłucze cię na śmierć – wyseplenila Etta, a takie stwierdzenie z rozbitych ust nie było zwykłym pustosłowiem.

– Aha, zatłucze, a Jollin nie będzie ostatnia. Chyba że odejdziemy... W tej chwili.

– Przecież prawie umarłaś, gdy próbowałaś, a Hilda...

– Obie z Hildą popełniłyśmy ten sam błąd... Próbowaliśmy poradzić sobie w pojedynkę. Poza tym Hilda miała tylko parę miedziaków, więc wylądowała na ulicy, a kiedy ja uciekłam, nie miałam swoich monet... Zostały ukryte tu, na górze. Z nimi możemy znaleźć sobie lokum, bezpieczne lokum. To co z tego, jeśli nikt nas nie zatrudni? Kogo to obchodzi! Grue dobrze na nas zarabia, a Hilda słusznie uznała, że lepiej zatrzymywać cały zarobek dla siebie. Możemy założyć własny interes. W pojedynkę żadna z nas nie przetrwa. Tego właśnie nie rozumiałam. Jednak razem mamy szansę. Z pewnością większą niż żyjąc nadzieją, że Stane straci pracę albo stanie się człowiekiem.

Gwen popatrzyła po dziewczynach i zobaczyła, że rozważają możliwości.

– Posłuchajcie, pójdę po pieniądze. Te, które chcą iść ze mną, niech się spakują, bo jeśli mamy to zrobić, to musimy zrobić to teraz.

Wybiegła z pokoju, zarówno po to, by uniknąć pytań, jak żeby zdążyć, zanim Stane skończy robotę. Prawda była taka, że dopiero

teraz wpadła na ten pomysł i daleko jej było do ustalenia wszystkich szczegółów.

Stuk, stuk, stuk. Stane klęczał i uderzał młotkiem w błądą, nową deskę przy framudze. Uśmiechnął się do Gwen.

– Prawie skończyłem. Zabawię się trochę, jak już...

Gwen weszła do małego pokoiku po drugiej stronie korytarza i zatrzasnęła za sobą drzwi. Czekwała, oparłszy się o nie plecami, aż upewniła się, że Stane nie poszedł za nią. Usłyszała zgrzyt hebla i uznała, że jest bezpieczna. Na razie. Drzwi do małej sypialni nie miały zasuw, w przeciwieństwie do drugiego pokoju, co zawsze stanowiło problem. Nigdy nie sprawdzała za dnia, czy pieniądze leżą na swoim miejscu, a tym razem nie zamierzała tylko sprawdzać.

Przeszła przez pokój, odsunęła stół, żeby nie przeszkadzał, i podważyła deskę, modląc się. To cud, że udało jej się ukrywać je tak długo tuż pod nosem Grue. Mężczyźni wiedzieli, że mają płacić bezpośrednio Raynorowi, ale niektórzy, ci lepsi, dawali napiwki. To nigdy nie było więcej niż miedziak czy dwa, ale Grue pozwalał im je zatrzymać. Nie miał jednak pojęcia o fortunie, jaką Gwen trzymała pod podłogą sypialni. Gdyby wiedział, sam zabiłby ją dla tych pieniędzy.

Deska wyskoczyła, a pod spodem leżał mieszek. Gwen uszyła go z rękawa sukienki, który oderwał jej Gideon Domokrażca tej nocy, kiedy wypił osiem kieliszków zamiast zwyczajowych czterech. Kiedy ostatni raz liczyła, miała czterdzieści pięć miedzianych dinów oprócz czterech złotych tenentów. Spora sumka i więcej niż oszczędności jej życia – to był święty skarb. Schowała sakiewkę między piersiami i wyszła.

Przechodząc korytarzem, zobaczyła, że Stane kołysze drzwiami. Zamykał je i otwierał, sprawdzając, czy o nic nie zahaczają.

– Powiedz Jollin, żeby się uczesała, ale zostawiła włosy rozpuszczone.

Gdy Gwen weszła do sypialni, wszystkie dziewczyny już wstały i czekały. Wszystkie bez wyjątku.

– Gwen – powiedziała Etta – nie wiem, co ty sobie myślała, kiedy powiedziałaś nam, żebyśmy spakowały swoje rzeczy. Przecież wiesz, że niczego nie mamy.

– Dobry Mariborze, Gwen – szepnęła Jollin – mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Po prostu chodźcie za mną.

Wszystkie były boso – Grue nie widział powodu, żeby sprawić im buty – ale siódemka kobiet schodzących po drewnianych schodach narobiła tyle hałasu, co jadący wóz, nad którym woźnica stracił panowanie.

– Co się dzieje? – zapytał Grue, wychodząc z małej spiżarni obok kuchni, w tej samej chwili, kiedy Gwen otworzyła drzwi.

Przystanąła, wypychając pozostałe dziewczyny na werandę, gdzie stały zdezorientowane. Kotki zamieniły się w kaczątka, a Gwen w ich niechętną matkę, która stanęła między nimi a złym psem.

– Ostrzegałam cię. Odchodzimy.

– Boże, jednak jesteś tępą dziwką! Przecież dopiero co ci powiedziałem, że nie masz dokąd pójść. To jedyne miejsce, jakie macie. Ale idźcie. Śmiało, nikt was nie trzyma. Poszwendajcie się jakiś czas po mieście. A kiedy się zmęczycie, kiedy zrobi się ciemno i zimno, a wy będziecie głodne, zdacie sobie sprawę, jak dobrze wam tu było, i natychmiast wróćcie. Wiedźcie tylko jedno: kiedy wróćcie, skończycie z tymi bzdurami i będziecie robić, co każę. A, i znowu wyciągnę pas za narobienie mi kłopotów.

Gwen wyszła na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi.

Ręce jej się trzęsły i drzenie przeniosło się na całe ciało, aż miała wrażenie, że zaraz padnie na werandzie.

– Właśnie, dokąd pójdziemy, Gwen? – zapytała Abby.

– Nie wiesz, co? – rzuciła Jollin.

– Nie zrobiłabyś nam czegoś takiego, prawda? – dopytywała się Mae. – Nie rozwścieczyłabyś tak Raynora, nie mając dla nas jakiegoś miejsca?

Rose dotknęła ręki Gwen, nie odrywając od niej swych wielkich

oczu łani.

– Powiedz nam, proszę. Dokąd idziemy?

Gwen przestała drzeć, opierając się plecami o drzwi. Słońce wreszcie znalazło się na tyle wysoko, żeby wymazać cienie rzucane przez „Ohydny Łeb”, a po drugiej stronie ulicy Przekornej stała podupadła gospoda.

– Tam. – Wskazała Gwen.

– Oszalałaś – uznała Jollin.

– Możliwe. – Gwen skinęła głową. – Jednak lepsze to niż być trupem.



# Rozdział 5

## *Morderstwo na Bernum*

– Myślałem, że coś ci się mogło przytrafić – powiedział Sebastian następnego ranka, kiedy Hadrian wyszedł na pokład. – Eugene próbował zajrzeć do ciebie, ale drzwi były zamknięte, a ty nie odpowiadałeś.

Hadrian zerknął na niebo. Słońce było prawie w zenicie.

Wszyscy już wstali i znowu zebrali się pośrodku pokładu, z wyjątkiem mężczyzny w kapturze, który trzymał się na uboczu i w tej chwili nigdzie nie było go widać. Vivian siedziała pośrodku w pelerynie Hadriana i z miłym uśmiechem na ustach.

– Późno się położyłem. Musiałem zasnąć. – W jego głosie pobrzmiwało poczucie winy, jakby był dzieciakiem, którego oskarżono o lenistwo.

– Ja sam ledwie zmrużyłem oko – powiedział Sebastian.

– Wątpię, żeby ktokolwiek z nas się wyspał – dodał Samuel.

Hadrian sięgnął do wiaderka zwieszającego się z relingu i nabrał trochę wody, żeby opłukać twarz. Przeciągnął się i ziewnął. Kiedy późno wstawał, zawsze czuł się zmęczony i niemrawy. Większość nocy spędził przy otwartych drzwiach kajuty, nie spuszczać oka z korytarzyka prowadzącego do pozostałych kajut. Godzinami patrzył, jak lampa się kołysze, ale nikogo nie zauważył. Wreszcie, kiedy wzeszło słońce, zamknął drzwi na klucz i wczuł się do łóżka, czując się jak głupiec.

Usiadł obok Eugene'a. Najmłodszy kupiec rozłożył dłonie i patrzył na nie z podziwem. Paznokcie miał nierówne i brudne, więc Hadrian domyślał się, że podziwia swoje pierścienie. Mając po trzy na każdej ręce, prawie dorównywał Sebastianowi. Hadrian nie nosił pierścieni. Nigdy nie widział w tym sensu. Zamożny wódz dał mu kiedyś jeden, ale Hadrianowi nie odpowiadało to, że pierścień utrudnia mu pewny chwyt, więc zostawił go karczmarce w ramach napiwku. Domyślał się jednak, że złotnicy mają inne zdanie na ten temat.

Naprzeciwko Hadriana siedziała Vivian owinięta w pelerynę. Kiedy podciągnęła kolana do piersi, całkiem zniknęła w fałdach opończy. Hadrian nigdy nie lubił tej części garderoby, którą mieszkańcy Calisu nazywali bisztem. Kupił go od żarliwego sprzedawcy na bazarze w Dagastanie, tuż przed wejściem na pokład statku płynącego do Avrynu. Hadrian, który nigdy nie był dobry w targowaniu się, wydał więcej, niż to było konieczne. Na wschodzie często mu się to zdarzało i peleryna stanowiła namacalne przypomnienie czasu spędzonego w Calisie. Mimo wszystko na Vivian wyglądała dobrze.

Barka posuwała się w górę rzeki, zatrzymując się tylko po to, żeby wymienić konie, ich poganiaczy oraz zmienników sternika, dzięki czemu Farlan mógł się przespać. Świat wokół Bernum radykalnie zmienił się w ciągu nocy. Rzeka stała się węższa, bardziej wzburzona, a brzegi były wyższe. Ściany kanionu rzucały cień na rzekę, a ścieżka holownicza z wiejskiej dróżki zamieniła się w wąski szlak okrążający klify, gdzie sosny walczyły o znalezienie oparcia w cieniutkiej warstwie ziemi i rosły z odsłoniętymi korzeniami.

To był północny krajobraz, jaki zapamiętał – góry i jary, śnieg i lód. Tyle się wydarzyło w ciągu tych dwóch lat od jego wyjazdu. Za urwiskami ciągnęły się ziemie Warric, królestwa leżącego na północ od jego rodzinnego domu. Stary Clovis Ethelred był wtedy królem. Okrutny władca, ale Hadrian miał dopiero poznać inny rodzaj panów. Ethelred stworzył wspaniałą armię. Hadrian

uważał, że ma szczególnie wyrobione zdanie na ten temat, ponieważ walczył zarówno przeciwko niej, jak i w jej szeregach. Stąd znał urwiska i wąwozy w okolicy, dlatego je pamiętał – gdy był młodym żołnierzem, wspinał się po graniach ku terenom położonym powyżej pozycji wrogów, którzy kilka miesięcy wcześniej byli jego przyjaciółmi.

Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na Vivian. Kiedy odpowiedziała na nie, szybko odwrócił wzrok i popatrzył na brzegi rzeki. Za późno zdał sobie sprawę, że takie nagłe odwrócenie wzroku można uznać za przyznanie się do winy.

– Wie pan, gdzie się pan zatrzyma w Colnorze, panie Blackwater? – spytała.

– W tej chwili nie mam żadnych planów – przyznał Hadrian.

– Przecież jesteś żołnierzem. – Ton Eugene’a był dostatecznie lekceważący i pełen wyższości, żeby zirytować.

– A ty kupcem – odparł Hadrian, chociaż myślał o innym słowie niż „kupiec”.

Eugene uśmiechnął się znacząco.

– Miałem na myśli to, że zatrzymasz się w koszarach, czyż nie?

– Właściwie... Przeszedłem na emeryturę.

– Emeryturę? – Sebastian zarechotał. – Nie wyglądasz na dość dorosłego, żeby dokonać czegoś więcej niż się zaciągnąć.

– A jednak... – Hadrian uśmiechnął się do nich, rozkładając ręce.

– Zatem jakie masz plany? – zapytał Samuel.

Hadrian zaczął rozumieć, dlaczego zakapturzony mężczyzna trzymał się na uboczu.

– Po prostu podróżuję.

– Dokąd?

– Na północ.

– To rozległa kraina. Gdzieś konk...

Łódź szarpnęła, odbiwszy się od głazu. Lina holownicza zwiotczała i zaraz potem gwałtownie się napięła. Hadrian obejrzał się i zauważył, że nie ma sternika.

– Gdzie jest Farlan?

Sebastian odchylił głowę, żeby się rozejrzeć.

– Nie wiem.

Wszyscy wstali, a Hadrian poprowadził ich na rufę barki, gdzie nie było śladu po sterniku. Sebastian wskazał linę obwiązaną wokół rączki rumpla.

– Robi tak, kiedy musi zrobić sobie przerwę, ale zawsze zaraz wraca. Może przygotowuje śniadanie. Robi się późno.

Hadrian obejrzał się i zobaczył rzekę, która płynęła względnie spokojnie i prosto przez długie mile, ale teraz roło się w niej od głązów, a odkąd pojawiły się wysokie klify, zaczęła płynąć zakolami.

Zerknął w stronę kajut.

– Nie uważasz, że po takim podskoku już by wyszedł?

Spojrzeli wyczekująco na drzwi, ale kiedy się otworzyły, wyjrzał zakapturzony mężczyzna. Nadal zasłaniał twarz kapturem. Rozejrzał się i bez słowa zszedł pod pokład.

– Ktoś tu się wcale nie przejmuje – zauważył Sebastian.

– Czy ktoś widział dzisiaj Farlana? – zapytał Hadrian.

Trzej kupcy i Vivian popatrzyli po sobie.

– Teraz, kiedy zapytałeś... Nie. Nie widziałem go. A wy? – spytał Sebastian.

Wszyscy pokręcili głowami.

– Jego zmiennik zszedł na brzeg po kolacji wczoraj wieczorem, prawda? – upewnił się Hadrian.

– Tak mi się wydaje – odpowiedział Sebastian. – Kiedy wymieniali nam konie.

– Czy to możliwe, że Farlan też wysiadł, a my tego nie zauważyliśmy? – spytał Hadrian.

– Może zaszła jakaś pomyłka – zasugerował Eugene. – Błąd w harmonogramie czy coś takiego? Może konie zaczęły holować barkę, zanim Farlan wsiadł z powrotem?

– Myślę, że Farlan kazałby je zatrzymać.

– Dajcie znać poganiaczowi – powiedział Sebastian.

Samuel zagwizdał, a Eugene machał rękami, aż mężczyzna zatrzymał konie. Hadrian odwiązał rumpel i skierował barkę do brzegu, ku któremu zresztą i tak ją zносиło. Kupcy przeszukali barkę, ale nie znaleźli zaginionego sternika. Wszyscy wysiedli na brzeg, nawet mężczyzna w kapturze, który obserwował sytuację z dystansu.

– Zmiennicy sternika wchodzi na pokład i schodzą, ale Farlan nigdy nie opuszcza łodzi. Odrzucił cumy, kiedy moje dziewczynki zostały zaprzężone i były gotowe ruszać – powiedział im poganiacz. Nazywał się Andrew i był starszym jegomościem o krótko obciętych włosach, którego najwyraźniej przerastała rozmowa z klientami. Onieśmielony cały czas klepał zadki klaczek. – Nigdy nie widziałem, żeby Farlan schodził na ląd, z wyjątkiem sytuacji, kiedy trzeba było pomóc wnieść zapasy albo ładunek.

– To gdzie się podział? – zapytał Sebastian.

– Mógł wpaść do rzeki. Niektórzy wpadają. Nie Farlan, ale słyszałem, że innym się to przytrafiło.

– Nie powinniśmy zaczekać? – zapytał Hadrian. – Mógł dopłynąć do brzegu i teraz biegnie, żeby nas dogonić?

Andrew pokręcił głową.

– Jeśli wpadł, to najpewniej utonął. Ta rzeka jest zła na całej długości, a już szczególnie w tej okolicy. Prąd jest silny i porywa człowieka. Jeśli wpadniesz blisko środka, nawet nie zbliżysz się do brzegu. Poza tym jest jeszcze prąd przydenny, który wciągnie nawet najsilniejszego pływaka. Wytarza człowieka i wyobraca jak łanię w zaciśniętych szczękach aligatora. Ciała nigdy nie wypływają. Rzeka połyka je w całości.

– A jeśli jednak mu się udało?

Andrew wzruszył ramionami.

– Nic by mu nie było, o ile nie przygrzmocił gdzieś za bardzo głową. Najpewniej wróciłby do ostatniej stacji albo usiadł i czekał na następną łódź.

– Czemu szedłby w dół rzeki? Czemu nie górę?

– Nie ma w górze następnych stacji. Wpływamy w wąwozy.

Zatrzymamy się dopiero w Colnorze. Mógłby iść w stronę miasta, ale łatwiej jest schodzić niż iść pod górę.

– Czyli nie ma już żadnych sterników, którzy mogliby go zastąpić?

Andrew pokręcił głową.

– Ani nowych koni. Od tej chwili jesteśmy tylko ja, Bessie i Gertrude.

– To co zrobimy? – spytał Samuel.

– Będziecie musieli poczekać tutaj, a ja zejdę do ostatniej stacji. Nawet jeśli nie ma tam Farlana, wezmę innego sternika, żeby przeprowadził łódź do Colnory.

– Ile czasu to potrwa? – zapytał Sebastian.

– Podejrzewam, że większość dnia, i to pod warunkiem, że będzie ktoś wolny. Może nikogo nie być, a wtedy zajmie to trzy dni, bo trzeba będzie czekać na następną barkę.

– To nie do przyjęcia – uznał Samuel.

– To absolutnie nie do przyjęcia – poparł go Sebastian. – Możemy sami zająć się sterowaniem.

Andrew głąskał konie kolistymi ruchami, sprawiając wrażenie, że wolałby być teraz gdzie indziej.

– Chyba można to tak załatwić, ale od Colnory dzieli nas jeszcze dzień, a ostatnia część jest...

– Zatem zrobimy tak, jak mówię – oznajmił Sebastian dostatecznie głośno, żeby jego głos odbił się echem od urwiska.

– Kto stanie przy sterze? – spytał Eugene.

– Będziemy stać na zmianę. Możesz zacząć pierwszy. To na pewno nie jest zbyt trudne. – Spojrzał na Andrew.

– Po prostu płyncie środkiem i unikajcie skał. To cała sztuka. Moje panny zajmą się najcięższą robotą. – Poklepał zadek jednej z klaczy.

\* \* \*

Znowu ruszyli, tym razem z Eugene'em przy sterze. Sprawiał

wrażenie niezbyt pewnego siebie, a chociaż Hadrian nie znał się na sterowaniu, posiedział przez jakiś czas przy młodym kupcu, dopóki tamten nie nabrał odrobiny pewności w omijaniu skał. Hadrian nie wiedział, czy Eugene jest wdzięczny, czy poirytowany jego obecnością. W końcu zostawił złotnika.

– Został zamordowany – powiedział mu Samuel, kiedy wrócił na środek barki, gdzie zebrali się dwaj kupcy i Vivian. Zakapturzony mężczyzna wrócił na dziób; pewnie nie ufał Eugene’owi przy sterze i nie chciał utonąć pod pokładem. Samuel skinął głową w jego kierunku. – Tamten poderżnął mu gardło i wrzucił go do rzeki.

– Nie wiemy tego – odparł Hadrian.

Sądząc po wyrazie ich twarzy, tylko on tak uważał.

– Naprawdę myślisz, że doświadczony sternik wypadł za burzę na trasie, którą przebył pewnie setki razy? – zapytał Sebastian.

– Nie, ale nie chcę wyciągać pochopnych wniosków.

– Otwórz oczy, niemądry chłopcze – powiedział głośno Samuel. – Ten człowiek nie żyje! I nie można zaprzeczyć temu, kto za to odpowiada.

Hadrian się skrzywił.

– Chcesz to powtórzyć jeszcze trochę głośniej? Myślę, że Andrew i Bessie nie usłyszeli. Słuchaj, upierasz się przy tym, że Farlana zabito, ale zapominasz o jednej ważnej rzeczy.

– Mianowicie? – zapytał Samuel.

– Dlaczego? – Pytanie zawisło w powietrzu. – Możesz mi powiedzieć, dlaczego miałbyś chcieć śmierci Farlana? Ponieważ mi nie przychodzi ani jeden rozsądny powód poza szaleństwem, a on do tej pory nie sprawiał wrażenia wariata.

Kupcy wyraźnie przygaśli. Spojrzeli po sobie i wyglądali na szczerze skonsternowanych. Kiedy rozmyślali, rozległ się drżący, słaby głos Vivian:

– Myślę, że ja znam powód.

Wszyscy trzej na nią spojrzeli.

– Był tutaj wczoraj wieczorem, prawda? – powiedziała, patrząc w stronę dziobu. – Kiedy rozmawialiśmy we dwoje. Nie stał zbyt

daleko, kiedy powiedziałeś mi, że Farlan zawiadomi szeryfa o dochodzeniu w sprawie morderstw w Vernesie.

– Rzeczywiście? – zapytał Sebastian.

Hadrian pokiwał głową.

– Musiał dopilnować, żeby Farlan zniknął – powiedział Samuel i jego spojrzenie także powędrowało w stronę dziobu. – Nie ma Farlana, nie ma dochodzenia, problem rozwiązany.

– Sam więc widzisz – orzekł Sebastian. – Teraz wszystko nabrało sensu, ale...

– Ale co? – zapytał Hadrian.

– Teraz my musimy podjąć pewne kroki – powiedział Sebastian.

– Co masz na myśli?

– Wiemy już, prawda? Teraz już wszystko wiemy.

– Wiemy co?

– Że nie tylko jest mordercą z Vernesu, ale że też zabił Farlana. Co więcej, on wie, że my wiemy. Skoro był gotowy zabić Farlana, to teraz się nie zawaha. Jedyne wyjście dla niego to zabić nas wszystkich.

– Chyba nie mówisz poważnie! – odpowiedział Hadrian. – Jest nas piątka, szóstka, licząc Andrew. Moim zdaniem mamy znaczną przewagę.

– Dopadnie nas przez zaskoczenie w czasie snu albo kiedy będziemy stać samotnie przy sterze. Jak drapieżnik przerzedzający stado, będzie nas zdejmował pojedynczo.

– W takim razie wszystko jasne – szepnął tym razem Samuel. – Musimy zabić go pierwsi. Albo my, albo on. Nie jest większy od Eugene'a, może nawet mniejszy, i nie widzę żadnej broni. Moglibyśmy załatwić to od razu. Jest nas trójka. Hadrianie, pożycz nam swoje miecze i weź swój duży z kajuty. Rzucimy się na niego hurmem, a potem wyrzucimy łajdaka do wody, jak on zrobił z Farlanem.

Sebastian pokiwał głową z pełnym przekonaniem, jak sędzia przewodniczący rozprawie.

Hadrian przelał dość krwi za trzech ludzi. Jednakże istniała



możliwość, nawet całkiem duża, że kupcy mieli rację. Kaptur sam jeszcze bardziej się pograżał. Dlaczego trzymał się tak na uboczu? Musiał słyszeć ich rozmowy. Czemu nie zaprzeczył oskarżeniom, skoro był niewinny? Jego zachowanie ściągało podejrzenia, a postawa niepokoiła, ale to żaden dowód.

– Nie – odpowiedział Hadrian. – Nie zabiję człowieka na podstawie spekulacji. Coś się przydarzyło Farlanowi, coś niewyjaśnionego, ale nie wiemy nawet, czy nie żyje. Jeśli został zamordowany, kto orzeknie, że przez niego? Facet trzyma się na uboczu, wielkie mi rzeczy. Nie podoba wam się wyraz jego oczu? Jaki to dowód? Dlaczego nie mógłby to być Eugene albo jeden z was, czy nawet ja, skoro już o tym mowa?

Dwaj kupcy pokręcili głowami z przerażeniem, rozdziawiając usta.

– Zbyt wielu rzeczy nie wiemy – mówił dalej Hadrian. – Myślę, że powinniśmy zrobić dokładnie to, co planował Farlan. Przetrzymamy resztę dnia i noc, a kiedy dotrzemy do Colnory, Andrew pójdzie po szeryfa. Jeśli to wam poprawi samopoczucie, dopilnuję, żeby nikt nie zszedł z pokładu, dopóki szeryf nie zjawi się i wszystkiego nie wyjaśni.

– Chyba nie mówisz poważnie – powiedział Sebastian.

– Farlan może być cały i zdrowy, może właśnie popija zupę w ostatniej stacji. Jak będziesz się czuł, kiedy pojawi się w Colnorze i zrozumiesz, że zabiłeś niewinnego człowieka?

– Naprawdę oczekujesz, że niczego nie zrobimy, tylko będziemy czekać, aż nas wymorduje?

– Oczekuję, że pozwolicie prawu zadecydować, co należy zrobić.

– Hadrian wstał, wykorzystując przewagę wzrostu dla podkreślenia wagi słów. – A jeśli spróbujesz choćby go tknąć, utnę ci rękę.

– Broniłbyś zabójcy!

– Nie, ale będę bronić kogoś, kto może być niewinnym człowiekiem, przed bezmyślnym motłochem. Od samego początku miałeś coś do niego.

– A co z panną Vivian? Nie obiecałeś jej wczoraj, że będziesz jej bronił?

– Obiecałem i będę. – Spojrzał na nią. – Zadbam o pani bezpieczeństwo. Obiecałem to pani.

– A co z nami? – zapytał Samuel.

– Radzę, żebyście trzymali się razem. Sami powiedzieliście, że w pojedynkę jesteście narażeni na atak. Nie dajcie mu okazji, a na pewno nic wam się nie stanie.

– To niczego nie zmieni. Nie dostrzegasz, w jakim niebezpieczeństwie wszyscy się znaleźliśmy? Jesteś zaślepionym głupcem! – powiedział Samuel.

Hadrian położył od niechcienia dłoń na główicy miecza, a Samuel zamarł.

– Dołożę „głuchy” do tej listy, ale tylko ten jeden raz – powiedział cicho Hadrian.

Odszedł rozdrażniony małymi rozmiarami barki, czując wściekłe spojrzenie Samuela na plecach. Odczucia Sebastiana były trudniejsze do oceny. Hadrian pomyślał, że może spokojnie uznać, że obaj kupcy są z niego niezadowoleni; czy to oznaczało zmianę w ich opinii, trudno było orzec.

Stając przy relingu, Hadrian zdał sobie sprawę, że może się wspiąć na przybudówkę z kajutami – na niezbyt spadzisty daszek z osmołowanych desek. Wystawiona bezpośrednio na słońce smoła była miękka, ale nie lepka. Usiadł samotnie w miejscu, które, jak odkrył, było najwyższym punktem na barce. Stamtąd miał doskonały widok na cały pokład. Na rufie Eugene siedział z opartymi wysoko nogami, zupełnie jak Farlan. Hadrian miał nadzieję, że stary sternik dopłynął do brzegu. Polubił go, chociaż niewiele rozmawiali. Poniżej Samuel i Sebastian nadal się naradzali, ale teraz ściszym szeptem, stłoczeni, podobnie ubrani. Vivian stała obok nich. Na dziobie mężczyzna w kapturze sprawiał wrażenie niczego nieświadomego. Patrzył na rzekę.

Hadrian wrócił na swoje nowe ulubione miejsce nad kajutami i patrzył na gwiazdy. Nie miał się o co oprzeć, więc nie siedziało mu się tu tak wygodnie jak na pokładzie, ale wejście było trudne – wymagało to sporego wysiłku przy wspinaczce – co gwarantowało mu odosobnienie. Żaden ze złotników nie wespnie się po relingu w swoich eleganckich, powłóczystych szatach, podobnie Vivian. Zostawał więc tylko zakapturzony mężczyzna, a Hadrian wątpił, żeby się tu zjawił.

Dzień upłynął spokojnie. Bez Farlana radzili sobie najlepiej, jak się dało. Sebastian, Samuel i Vivian rozłożyli posiłek w południe oraz kolację. Hadrian odsiedział swoje przy sterze po Eugenie. Potem obowiązek przejął Samuel, a na koniec został Sebastian. Kolejność jednakże miała niewielkie znaczenie, ponieważ wszyscy trzech kupcy zebrali się na rufie i Hadrian domyślał się, że żaden z nich nie będzie spał tej nocy. Będą się wzajemnie pilnować, żeby nie zasnąć, pilnując swego bezpieczeństwa i w razie czego zmieniając się przy sterze. Zakapturzony człowiek nadal czuwał na dziobie, a Vivian zamknęła się w kajucie.

Rzeka nadal się zwęzłała, a ściany wąwozu rosły. Hadrian wiedział, że żeglowna część Bernum kończy się przy Bursztynowym Wodospadzie, kawałek na południe za Colnorą. Nie miał pojęcia, skąd to wie, tak samo jak nie wiedział, gdzie się nauczył, że nie wkłada się ręki do ognia albo nie staje na wzgórzu w czasie burzy z piorunami. Ktoś musiał mu powiedzieć, ale nie pamiętał kto i kiedy. Mnóstwo wiedzy zgromadził w ten sposób i domyślał się, że spora jej część musi być nieprawdziwa.

Jako chłopiec mieszkający w małej wiosce wiele historii usłyszał od przybyszy, przeważnie wędrownych druciarzy. Tylko oni regularnie odwiedzali Dolinę Hintindaru i Hadrian podejrzewał, że to szczególnie zmieniło się od jego odejścia. Najczęściej zjawiał się Packer Rudzielec, którego przybycie już na milę przed wioską zwiastowały brzęk wozu i widok płomiennych włosów. Kiedy słońce zachodziło, jego głowa wyglądała, jakby naprawdę płonęła. Druciarz sprzedawał i wymieniał towary z dużą praktyką,

ale opowieściami zawsze dzielił się za darmo, dzięki czemu był mile widziany we wszystkich domach.

Packer twierdził, że zawędrował aż na odległe krańce znanego świata, od gęstych puszczy nad Nidwaldenem, który – jak mówił – wyznaczał granicę starożytnego elfickiego królestwa, po niezmiernie wysokie wieże Drumindoru, starożytnej krasnoludzkiej fortecy, która potrafiła plunąć stopionym kamieniem w powietrze na wysokość setek stóp. Wszyscy zachwycali się jego opowieściami, w których występował zwykle na samotnych drogach w środku nocy. Najczęściej snuł fantastyczne historie o spotkaniach z duchami, goblinami albo wróżkami, które próbowały go znieść w paszczę przedwczesnej śmierci.

Kiedy Hadrian był mały, jego ulubione historie to były te, które opowiadały o Packerze nagle otoczonym przez gromadę goblinów. Druciarz opisywał je jako małe zielone ludziki z rogami, szpiczastymi uszami i wytrzeszczonymi oczami. Wybredny drobny ludek, który według Packera nosił surduty i cylindry. Gobliny wyglądały wytwornie w blasku księżyca i mówiły z caliskim akcentem. Chciały zabrać Packera do swojego miasta, żeby poślubił ich królową, ale druciarz je przechytrzył. Przekonał je, że miedziany garnek ma magiczne właściwości i założony na głowę ukazuje przyszłość. Wspaniałe opowieści Packera sprawiały, że wszyscy w wiosce gromadzili się przy palenisku, słuchali w skupieniu i piszczeli przy każdym zwrocie akcji, nie wyłączając Hadriana. Doskonale wyobrażał sobie gobliny opisane przez Packera i wierzył w każde słowo. To było na długo przed tym, jak odszedł z Hintindaru, zanim udał się do Calisu i zobaczył prawdziwego goblina. Do tego czasu Hadrian zaczął powątpiewać w światowość Packera, ale zrozumiał, jak idiotyczne były opowieści druciarza w chwili, w której wszedł do dżungli i zobaczył pierwszego przedstawiciela ludu Ba Ran Ghazel. Packer nigdy nie widział prawdziwego goblina. Gdyby zobaczył, nie przeżyłby, żeby o tym opowiadać.

Większość swojej wiedzy Hadrian zdobył, kucając przy różnych

paleniskach zimą albo pod cienistymi drzewami latem i słuchając ludzi, którzy nigdy nie oddalili się na więcej niż kilka mil od domu. Nikt w Hintindarze nie miał pojęcia, co leży poza doliną, z wyjątkiem lorda Baldwina i ojca Hadriana.

Danbury Blackwater nie pochodził z Hintindaru. Przybył do wioski raptem kilka lat przed narodzeniem syna i nigdy nie opowiadał o młodości. Najpewniej nie było o czym mówić. Danbury był prostym człowiekiem, bardziej zainteresowanym wykuciem lemiesza niż przygodami. Hadrian pogardzał taką małosłkowaną postawą i był to jeden z powodów, dla których odszedł z domu – pragnął dowiedzieć się więcej o świecie.

Packer mógł kłamać na temat goblinów, duchów, wróżek i elfów, ale jego znajomość geografii była nienaganna. Rzeka rzeczywiście skończy się Bursztynowym Wodospadem w pobliżu największego miasta Apeladornu – Colnory. Dalej rozpadnie się na garstkę bystrych, wzburzonych kaskad spływających z wyżyn, na których Hadrian spędził większość żołnierskich lat. Jednakże w tamtych czasach Hadrian ani razu nie postawił stopy w mieście.

Ziewnął, żałując utraconych godzin snu. Nogi mu zeszywniały i kiedy wstał, żeby je rozprostować, zakapturzony mężczyzna ruszył do kajut. Hadrian szybko zszedł z dachu. Wszedł do korytarza z kajutami i zobaczył, że Kaptur idzie po prostu do swojego pokoju.

Hadrian skierował się do własnej kajuty, ale jego kroki musiały zaniepokoić Vivian, która zawołała drżącym głosem:

- Kto to? Jest tam kto?
- Proszę się nie martwić, panno Vivian, to tylko ja, Hadrian.
- Och, dzięki Mariborowi. Możesz poczekać minutkę?

Hadrian usłyszał odgłosy ciągnięcia czegoś ciężkiego. Po chwili majstrowania przy zamku drzwi się otworzyły.

Vivian przywołała go gestem, otwierając szerzej drzwi.

- Muszę ci oddać twoją pelerynę i chcę o coś zapytać.

Wszystkie kajuty wyglądały tak samo, z wyjątkiem może tej, którą wynajęli kupcy – Hadrian spodziewał się, że zajmują

dwuosobowa kajutę, a Eugene pewnie musi spać na podłodze. Pokój Vivian wyglądał identycznie jak Hadriana – jedno wąskie łóżko, a obok kufer pełniący także funkcję stołu. Latarnia zwieszała się z sufitu i Hadrian uderzył w nią głową, tak jak ciągle to robił u siebie.

Kiedy wszedł, zdziwił się, gdy Vivian dała mu znać, żeby zamknął drzwi. Drżącymi rękami zaczęła rozwiązywać pelerynę.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy wreszcie udało jej się z niej wyplątać.

Wziął od niej pelerynę, a Vivian roztarła ramiona.

– Może ją pani zatrzymać, jeśli nadal pani marznie. Nie mam nic przeciwko.

Pokręciła głową.

– Nie, to nie będzie potrzebne. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Hadrian nie był pewien, co miała na myśli.

Vivian oblizwała usta, a potem powiedziała szeptem:

– Wiem, że to zabrzmie niezwykle, ale z drugiej strony trudno uznać tę noc za zwykłą. – Zawahała się. Latarnia w kajucie rzucała halo wokół jej szczupłej sylwetki. – Otwarcie przyznam, że bardzo się boję. Obawiam się, że jeśli zamknę oczy tej nocy, to nigdy więcej ich nie otworzę.

– Powiedziałem, że panią ochronię. Mogę sprawiać wrażenie młodego, ale może mi pani zaufać. Będę tuż obok. Gdyby cokolwiek...

– W tym właśnie rzecz. A jeśli on zatarasuje twoje drzwi i nie będziesz mógł wyjść? Albo zaśniesz i nie usłyszysz odgłosów włamania? Ile czasu trzeba, żeby poderznąć gardło?

Jej ręka powędrowała do gardła, a potem opadła, muskając piersi. Vivian nabrała powietrza, zamknęła oczy i powiedziała:

– Czułabym się o wiele bezpieczniej, gdybyś spędził noc w moim pokoju.

Hadrian uniósł brwi.

– Nawet nie wiem, jak wyrazić, jak bardzo byłabym wdzięczna.

Kilka ostatnich dni to były najgorsze chwile mojego życia. Straciłam wszystko. Całe swoje życie. I jestem przekonana, że ten człowiek zamierza mnie zabić. – Zadrżała i przysunęła się nieco. – Proszę, to znaczyłoby dla mnie tak wiele. Dopilnuję, żebyś na pewno nie zmarł tej nocy. – Ujęła jego dłoń.

Hadrian zmrużył oczy. Był młody, ale nie głupi.

– W porządku. Posiedzę... Posiedzę tu przy drzwiach. Oprę się o nie plecami, więc nawet jeśli zasnę, nikt nie wejdzie bez mojej wiedzy. Co ty na to?

Nie pytał na poważnie. Chciał zobaczyć jej reakcję.

Nie kazała mu czekać.

Nie dostrzegł szoku i zdumienia ani frustracji z powodu jego ignorancji i konieczności wyłożenia kawy na ławę. Nie zaczęła tłumaczyć się niezręcznie. Spojrzała mu tylko w twarz i zaczęła rozwiązywać delikatne wstążki sukni. Latarnia sprawiała, że jej cień kołysał się powoli z boku na bok w rytm melodyjnego skrzypienia drewnianego kadłuba. Poluzowała stanik sukni i zaczęła pociągać napiętą satynę, odsłaniając bladą skórę. Hadrian wreszcie zrozumiał, dlaczego wiecznie marzyła – nie miała na sobie nic oprócz sukni.

Vivian przestała drzeć. Chłód, który początkowo panował w kajucie, ustąpił żarowi. Jej zwinne palce nie dygotały już, a ona ani razu nie oderwała wzroku od jego oczu.

– Chcę ci podziękować za spędzenie ze mną nocy – powiedziała chrapliwym szeptem. – Wiem, że to duży wysiłek. Mam nadzieję, że dzięki mnie nie pożałujesz zachodu.

– Nie chcę psuć nastroju, ale czy twój mąż dopiero co nie zginął? Powiedziałaś, że został zamordowany.

– A co to ma do rzeczy? – Jej dłonie wróciły do pracy, tym razem przy jego pasie od mieczy.

– Domyślałam się, że nie należałaś do przesadnie wiernych żon.

– On nie żyje. A ja przeciwnie i chcę, żeby tak zostało.

Wygięła plecy, wspięła się na palce i zamknęła oczy.

– W takim razie trzymaj ręce z dala od mojego miecza.

Otworzyła oczy.

– Co?

– Powiesz mi, co tu naprawdę jest grane?

– Ale ja nie rozumiem...

– Ja też, i na tym polega problem. Twój mąż nie został zabity, co?

– Nie, ale to nie znaczy, że nie potrzebuję ochrony.

– Przed czym?

I wtedy rozległy się krzyki.

\* \* \*

Hadrian wybiegł na pokład z mieczem w ręku, ale nikogo nie znalazł.

Krzyki umilkły na długo przed tym, jak otworzył drzwi kajuty Vivian. Powiedział jej, żeby zamknęła się na klucz, a potem popędził na pokład. Nasłuchiwał odgłosów przepychanki towarzyszących walce, ale krzyki zdecydowanie się urwały. Powinien rozlec się łoskot kroków na pokładzie, znak, że zabójca ucieka, ale Hadrian słyszał tylko plusk wody.

Począł.

Cisza.

Nie, nie cisza – rzeka nadal mówiła. Przez wiele dni głos rzeki rozbijającej się o dziób płynął stałym pienistym strumieniem. Teraz ton się zmienił. Plusk o kadłub stał się niższy, cichszy. Coś tu się nie zgadzało. Nie była to jedyna zmiana. Barka już się nie poruszała.

Rozejrzył się po otwartym pokładzie.

Nic się nie poruszyło.

Przeszedł powoli na rufę i znalazł Samuela niedaleko od rumpla. Leżał twarzą do desek w rosnącej kałuży krwi.

Gdzie są Sebastian i Eugene?

Hadrian widział wiele śmierci. Zabił więcej ludzi, niż chciałby pamiętać, ale tłumaczył sobie, że każda śmierć była konieczna. To



było kłamstwo, w które nigdy tak naprawdę nie uwierzył, choć naprawdę bardzo chciał, żeby to była prawda. Niemniej zawsze walczył na polu bitwy lub arenie. To było coś innego – niesprowokowana niczym rzeź.

Noc, która była taka spokojna, ukazała nowe oblicze. Staroświeckie rozkołysane latarnie dawały mało światła, a księżyc pokazywał mniej niż pół twarzy, ożywiając tysiące zarysów. Hadrian nie bał się o siebie; coś się wydarzyło i już było po wszystkim. Na ile się orientował, pokład był bezpieczny, co zostawiało tylko ładownię i kajuty. Wziął latarnię i zakradł się na dziób, gdzie znalazł dwóch pozostałych kupców. Obaj nie żyli. Poderżnięte gardła. Leżeli we własnej krwi.

Parę stóp od ich ciał znajdowała się kłapa w pokładzie prowadząca do ładowni. Kłódka zniknęła, kłapa była otwarta. Hadrian zajrzał do środka. Stały tam ciasno upakowane skrzynie, worki, torby, pudła. Nikt nie czekał w mroku. Znowu chwilę nasłuchiwał i znowu odpowiedziała mu cisza. Z mieczem w gotowości ruszył wąskimi przejściami, które biegły przez pół długości barki. Znalazł ogromne kufry należące do kupców. Je także otwarto. Wewnątrz leżały szaty, srebrne platery, srebro stołowe, złote kielichy, naszyjniki, kandelabry, misy, kryształowe kieliszki. Znalazł także małą skrzynkę i sejf. Obie otwarto, dwie kłódki leżały nieopodal. Wewnątrz niczego nie znalazł.

Zostawił wszystko, jak było i wrócił na pokład.

Nadal wszędzie panowała cisza... Martwa cisza.

Wtedy przypomniał sobie o Andrew i o tym, że barka stoi nieruchomo. W słabym księżycowym świetle zobaczył tylko zarys końskiego zaprzęgu podświetlony przez latarnię poganiacza.

Wrócił do kajut.

Korytarz zastał w takim samym stanie, w jakim go zostawił. Drzwi Vivian były nietknięte. Wiedział, że będzie przerażona, i tym razem nie bez powodu. Przynajmniej mógł jej powiedzieć, że są bezpieczni. Mężczyzna w kapturze zniknął.

– Proszę otworzyć drzwi, panno Vivian – powiedział, pukając. –

Już...

Drzwi uchyliły się do środka ze skrzypieniem. Ten nagły ruch tak go zaskoczył, że oddech mu zamarł i serce zabiło szybciej. Pchnął mocniej drzwi i zobaczył, że małą kajutę nadal oświetla latarnia. Drzwi zaraz zatrzymały się z głośnym, przyprawiającym o skręt żołądka łomotem. Zza ich krawędzi widział tylko dłoń. Jej dłoń z lekko podkurczonymi palcami. Vivian leżała na brzuchu w jeziorze krwi, która rozlała się po podłodze i wsiąkała w suche drewno.

A jeśli wcale nie dotrę do Colnory? A jeśli zabije mnie tutaj, na barce?

Hadrianowi zrobiło się niedobrze. Pokręcił głową, wycofując się. Znowu zahaczył o latarnię i cienie zatańczyły na ścianach.

Obiecał, że ją ochroni. Zapewnił ją, że jest bezpieczna.

Wycofując się tyłem z kajuty, zauważył szkarłatne plamy, które zostawiał na podłodze korytarza.

Dlaczego tam, gdzie ja jestem, jest i śmierć? Przebyłem setki mil i nadal zostawiam krwawe ślady.

Wrócił do swojej kajuty i zebrał rzeczy. Swoją jedyną torbę z całym życiowym dorobkiem. Kiedy ją podniósł, przypomniał sobie Korniszona. Możliwe, że tamten oficer w porcie ocalił chłopakowi życie. Wielki miecz Hadriana nadal wisiał na kołku. Hadrian przełożył pendent przez ramię, poprawił espadon na plecach i wyszedł na pokład.

Barka już zbliżała się do ścieżki holowniczej niczym wahadło zegara, gdy przestały ją ciągnąć konie i nikt nie stał przy sterze. Hadrian z łatwością z niej zeskoczył i wylądował na brzegu. Gdy podszedł do koni, jego obawy potwierdziły się – Andrew przepadł. Nie było ciała, ale kałuża krwi i ślady prowadzące do rzeki wszystko wyjaśniały.

Stojąc na ścieżce do holowania, Hadrian znajdował się u podnóża stromego kamiennego urwiska, które przesłaniało większość nieba. Latarnia Andrew rzucała jego ogromny cień na skalną ścianę, jakby był olbrzymem. Pomijając krew i brak

poganiacza, było tu równie spokojnie jak na łodzi. Linę przywiązano do drzewa, Bessie i Gertrude czekały na sygnał, by ponownie ruszyć.

Hadrian przywiązał linę holowniczą do drugiego drzewa, a potem wyprzął konie. Ze względu na silny prąd zaklinał drąg holowniczy między dwoma głazami, żeby łódź na pewno nie odpłynęła. Potem wrócił do koni. Przywiązał Bessie – a może Gertrude? – do tego samego drzewa, co linę holowniczą, i wskoczył na grzbiet drugiej klaczy.

– Nie ma sensu zostawiać cię tutaj – powiedział do niej i szturchnął ją lekko.

Nie był to koń przygotowany do jazdy wierzchem, więc nie chciał poruszać się szybciej niż niemrawym krokiem. Tempo było nieznośnie powolne, ale lepsze to niż wędrówka pieszo.

Hadrian wbrew sobie zastanawiał się, czy nie natknie się na mężczyznę w kapturze w jakiejś karczynie lub oberży. Wyobraził go sobie, jak pije z nogami na stole i przechwala się, jak to właśnie wymordował barcę pełną ludzi na Bernum. Kiedy zobaczył to oczami wyobraźni, od razu lepiej się poczuł.

Miał dość zabijania, ale dla człowieka w kapturze może zrobić wyjątek.

# Rozdział 6

## *Rudera na Przekornej*

Przez dwa lata Gwen wyglądała przez okna karczmy „Pod Ohydnym Łbem” na rozpadający się budynek naprzeciwko, ale dopiero tego dnia pierwszy raz do niego weszła. Wielu jednak ją uprzedziło. Kiedy nadchodziły zimowe mrozy i bezdomni desperaci opadali z sił, zawsze szukali schronienia w tych ruinach. Wielu tu umarło. Co roku Etan wyciągał przynajmniej jednego zamarzniętego trupa spod zwalonych belek. Dzielnica Dolna była dnem kloaki tego miasta, a ulica Przekorna jej odpływem. Kiedy Gwen stała w rozpadających się szczątkach starej gospody, zastanawiała się, ile czasu minie, zanim wir w odpływie zassie je w dół.

Dwie ściany stały pewnie, trzecia, potwornie wypaczona, przechylała się do środka, a ostatniej prawie nie było. Część piętra zawaliła się, podobnie jak spory kawał dachu. Przez ziejące dziury Gwen widziała przepływające po niebie chmury. Co najmniej trzy małe drzewka (jedno wysokie na cztery stopy i o pniu grubym jak jej kciuk) wyrosły na podłodze.

– Nie jest najgorzej – orzekła Rose.

Gwen rozejrzała się, ale nie mogła jej dojrzeć. Odkąd przeszły przez ulicę, dziewczyny snuły się po ruderze jak duchy.

– Gdzie jesteś?

– Nie wiem... W salonie?

Salonie? Gwen prawie się roześmiała. Nie tylko z powodu absurdalności stwierdzenia, ale z powodu sposobu, w jaki Rose to powiedziała – głosem równie beztroskim jak bezchmurne niebo. Gwen zauważyła Jollin – okrążała zniszczoną klatkę schodową z ciasno skrzyżowanymi rękami na piersi i pochyloną głową, powłócząc nogami wśród śmiecia. Napotkała jej wzrok i obie uśmiechnęły się, myśląc to samo – tylko Rose mogła zobaczyć salon w tej ruderze.

Wszystkie poszły za głosem Rose i trafiły do jedyne go pokoju z czterema ścianami. Strzaskane pozostałości starych mebli walały się po podłodze, podobnie jak gruba warstwa kurzu, ziemi i zwierzęcych odchodów. Rodzina jaskółek zagnieździła się w stosie patyków na wiązarach i podłoga pod gniazdem była pokryta grubą białą-szarą warstwą rozbryzgów. Jednakże uwagę wszystkich przyciągnął kominek. W przeciwieństwie do belek i otynkowanych ścian kamienny komin oparł się spustoszeniu szerzonemu przez czas i wyglądał niemalże idealnie, wręcz elegancko.

– Patrzcie! – powiedziała Rose, obracając się ze szczypcami w rękę. – Znalazłem je pod tymi śmieciami w kącie. Możemy rozpalić ogień.

Aż do tej chwili Gwen była całkowicie przekonana, że popełniła największy błąd w życiu, który, tak się składało, był taki sam jak jej poprzednie, największy błąd w życiu – odejście od Grue.

Pierwszego dnia po zrealizowaniu marzenia matki i dotarciu do Medfordu Gwen myślała, że bogowie jej błogosławią i ma nadzwyczajne szczęście. Nie dość, że wreszcie dotarła na miejsce, to jeszcze tego samego popołudnia otrzymała pracę – jako kelnerka w „Ohydny m Łbie”. Grue zapewniał pokój i wyżywienie. Oczywiście pokój był wspólny, więc schowała monety pod deskami podłogowymi małego pokoiku po drugiej stronie korytarza – jedynej sypialni z pojedynczym łóżkiem. Powinna była domyślić się, że Grue nie dał jej pracy z dobroci serca. Na północy nikt nie był dla niej miły. Odstawała i im dalej podróżowała, tym więcej spojrzeń jej rzucano, a wszystkie były nienawistne. Kiedy odkryła,

że „kelnerka” znaczy „dziwka”, próbowała odejść.

Grue ją pobił.

Potem miał ją na oku, nigdy nie pozwalając jej zbliżyć się do drzwi. Po kilku tygodniach stał się nieostrożny. Gwen została sama w barze, drzwi były otwarte. Wybiegła. Jej monety nadal leżały pod deskami podłogowymi, ale ona była wolna. A przynajmniej tak myślała.

Wędrowała po mieście w poszukiwaniu pracy, jałmużny, pomocy. Napotkała obojętność, w pewnych wypadkach nienawiść. Wyzywano ją w sposób, który odbierała tylko jako obelgi, określeniami nisko urodzonych mieszkańców Calisu. Po ponad tygodniu – nigdy nie dowiedziała się, ile dokładnie to trwało – życia na resztkach jedzenia, jakie znajdowała w stosach śmieci, odkryła, że nie jest w stanie prosto chodzić i nie widzi wyraźnie, a nawet ma kłopot ze wstaniem. Jak Hilda poszła do innych burdeli i spotkała się z taką samą odmową. Stąd wiedziała, że plotki o Hildzie nie były wcale plotkami. Wtedy właśnie Gwen się przeraziła. Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że umrze.

Poczekaj, aż to będzie absolutnie niezbędne.

Nie mogła wymyślić bardziej tragicznego położenia. Musiała wykorzystać monety... Tyle że ich nie miała. Musiała spróbować. Nie miała nadziei zakraść się i spodziewała się, że Grue znowu ją zbije. Może tym razem ją zabije, ale nie miała wyboru. I tak by umarła.

Ku jej zdumieniu Grue jej nie zabił. Nawet nie zbił. Popatrzył tylko i pokręcił ze smutkiem głową. Wysłał ją do łóżka i kazał przynieść jej jedzenie – najpierw zupę, a potem trochę chleba. Powiedziała sobie, że odzyska monety, kiedy poczuje się lepiej. Jadła i spała, spała i jadła. Mijały dni. Inne dziewczyny odwiedzały ją, obejmowały, całowały i płakały, mówiąc, jakie są szczęśliwe, że nic jej nie jest. To był pierwszy raz od śmierci matki, kiedy poczuła życzliwy dotyk. Ona też płakała.

W końcu przyszedł Grue.

– Nie musiałem cię przyjmować z powrotem. Wiesz to, prawda?

– powiedział, stojąc nad nią ze skrzyżowanymi rękami. – Jesteś młoda i głupia, ale może teraz widzisz, co naprawdę cię tam czeka. Nikt ci nie pomoże. Nikogo nie obchodzisz. Cokolwiek strasznego myślisz na mój temat albo słyszałaś, pozwól, że powiem ci jedno: większość to prawda. Jestem złym człowiekiem, ale nie kłamię. Wytworni ludzie, ludzie z reputacją, ci kłamią. Ja mam w dupie, co inni o mnie pomyślą. Od dawna już na to bimbam. Możesz więc mi wierzyć, kiedy ci mówię, że nie uroniłbym nawet jednej łzy, gdybyś umarła, i nie straciłem nawet minuty snu, kiedy uciekłaś. Jednak prawda jest taka, że z tobą zarobię więcej pieniędzy niż bez ciebie, więc jestem jedyną osobą na świecie, która przejmuje się tym, co się z tobą stanie. Nie będę cię zamykał jak wcześniej. Nie będę też obserwował. Chcesz odejść, to śmiało. Możesz odczołgać się i umrzeć jak reszta. – Odwrócił się i sięgnął do zasuwki w drzwiach. – Od jutra wracasz do pracy.

Tamtej nocy Gwen nie spała. Mogła zabrać monety i uciec. Powinna je zabrać i uciec. Jednak tydzień na ulicy udowodnił, że wszystkie drzwi w Medfordzie, z wyjątkiem karczmy „Pod Ohydny Łbem”, są dla niej zamknięte. Jeśli chciała przetrwać, musiała wracać na południe. Cztery monety wystarczyłyby, żeby dotrzeć do Vernesu, a nawet do Calisu. I o ile mieszkańcy północy oskarżyliby ją o czary za przepowiadanie przyszłości, o tyle wśród swoich mogłaby żyć skromnie jak kiedyś jej matka.

Wystarczyło, żeby zapomniała o życzeniu umierającej matki.

To powinno być proste. Jaką wartość mają żądania martwej kobiety w obliczu zniewolenia? Może gdyby jej matka wiedziała... Jednak na tym polegał problem. Dla każdego innego przepowiednie były rzeczą zwiewną, śmieszna, dziecinadą. Gwen i jej matka wiedziały swoje. Illia porzuciła wszystko. Porzuciła rodzinę, dom, własne życie, żeby doprowadzić córkę do Medfordu – a Gwen zdawała sobie sprawę dlaczego.

Jej matka od początku wiedziała. Odczytała dłoń Gwen i zrozumiała, jaką cenę córką zapłaci. A mimo to Illia ją wysłała, kazała jej obiecać. Jeśli nie mogła zaufać matce, to komu?

Poza tym Gwen sama go widziała. Spojrzała w oczy tamtego mężczyzny i zrozumiała, kim był, dostrzegła prawdę. Bez względu na wszystko Gwen musiała zostać w Medfordzie, przetrwać za wszelką cenę. Nic innego się nie liczyło, jej wygoda, jej bezpieczeństwo, godność, a nawet życie. Te monety były przeznaczone na coś więcej niż tylko jedzenie.

Poczekaj, aż to będzie absolutnie niezbędne.

Właśnie to musiał mieć na myśli. Jednak jesień to nie jest dobry czas na ogłaszanie niezależności. Powinna była wcześniej to zaplanować, zorientować się, mieć już na oku jakieś miejsce, do którego się uda, prawdziwe miejsce, nie tę kupę desek. Możliwe, że Stane zamordowałyby Jollin, gdyby nie odeszły, ale niewykluczone, że Gwen doprowadzi do śmierci ich wszystkich.

Wtedy odezwała się Rose i jej głos zabrzmiał jak muzyka:

– Czy to nie piękne? – zapytała, wskazując kominek szczypcami, które trzymała jak miecz. Mówiła niemal radośnie. – Będzie wspaniale.

Gwen spojrzała na wesołą twarz Rose i zaczęła płakać. Przeszła przez pokój, objęła młodszą dziewczynę i przytuliła.

– Dziękuję – szepnęła.

Odsuwając się, napotkała spojrzenie zdumionej Rose.

– To tylko szczypce – bąknęła dziewczyna.

– Zawsze to jakiś początek. I zgadza się, możemy rozpalić ogień, więc nie zamarzniemy.

– Co będziemy jeść? – zapytała Abby, patrząc na stertę ptasiego guana.

– Kupię trochę jedzenia – odpowiedziała Gwen.

– Grue niczego nam nie sprzeda – powiedziała Jollin. – A jeśli on odmówi, nikt inny w Dzielnicy Dolnej niczego nam nie sprzeda.

Gwen pokiwała głową.

– Zrobimy zakupy w Dzielnicy Kupieckiej. – Rozejrzała się. – Kupimy też koce i trochę narzędzi.

– Narzędzi?

– Trzeba ogarnąć to miejsce.



– Jakiego rodzaju narzędzi? – spytała Etta, sepleniąc z powodu brakujących zębów.

Miała zmartwioną minę, jakby Gwen zamierzała kazać im odbudować oberżę od fundamentów tego samego popołudnia.

– Przydałaby się miotła, nie uważasz? Nie chcemy spać w brudzie.

– Ale nie możemy tu zostać – powiedziała Jollin.

Oparła rękę na biodrach, a uśmiech, który przesłały sobie z Gwen, był już odległym wspomnieniem.

Gwen jeszcze niczego nie ustaliła. Nie wybiegała myślami poza jedną noc, którą mogły tu spędzić, ale kiedy tylko Jollin to powiedziała – może z powodu sposobu, w jaki to powiedziała – Gwen podjęła decyzję.

– Dlaczego nie?

– Nie pozwolą nam.

– Kto taki?

– Miasto. To nie nasze.

– A czyje?

– Nie wiem. Ale wiem, że nie pozwolą nam tu tak po prostu zamieszkać.

– Nie zamierzam tu po prostu zamieszkać. – Gwen była zła. Miała dość tego, że zamykano jej przed nosem wszystkie drzwi. Może Jollin miała rację, ale ona nie zamierzała się poddać, nie teraz, kiedy wydawało się, że wreszcie może ułożyć sobie życie po swojemu. Słowa, które padły z jej ust w następnej chwili, miały w sobie więcej złości niż sensu. – Grue zarobił na nas fortunę. My zrobimy to samo na własny rachunek, tutaj, i nie będziemy musiały chodzić w szmatach. – Spojrzała na swoje ubłocone nogi. – I, niech to wszyscy diabli, kupimy sobie buty!

Jollin przewróciła oczami.

– Nikt nie korzysta z tego budynku – zaprotestowała Gwen, jakby Jollin właśnie przedstawiła wyważony kontrargument. – I to od wielu lat. Co kogo obchodzi to miejsce?

– To nie ma znaczenia. W interesach obowiązują zasady.

– Jakie?

Jollin wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć, jestem tylko tępą dziwką!

– A ja mam dość zasad! – krzyknęła Gwen. – Chcesz wracać? To wracaj! Stane na pewno jeszcze czeka. Nie przyszedł tam dla mnie, wiesz? Zapomniałaś o tym? Grue obiecał mu ciebie. Mogłabym siedzieć na dole i słuchać, jak twoja głowa rytmicznie wali o podłogę w sypialni. Chcesz być kolejną plamą, którą Grue będzie musiał schować przed klientami? Chcesz? Chcesz?

Jollin nie odpowiedziała.

– To ja tu ryzykuję swoje cztery złote monety! Grue obiecał, że nie dopuści Stane'a do mnie. Ale nie do ciebie, o nie, i nie do żadnej z was. Zamierzał nakarmić go każdą z was. Czemu nie? Patrzcie, ile zarobił na śmierci Avon. Jesteście tylko dziewczynkami, zwykłym śmieciem, a takich jest mnóstwo na świecie. Staram się coś wymyślić... Staram się ocalić nas wszystkie, a słyszę tylko narzekanie!

Gwen zobaczyła to wtedy – delikatne drżenie dolnej wargi Jollin. Oddychała przez nos, jej pierś unosiła się i opadała dwa razy szybciej niż normalnie, a oczy coraz bardziej jej się szklily. Nie klóciła się ze złości. Panikowała. Była przerażona z tego samego powodu, dla którego Gwen najbardziej na niej polegała – ponieważ była najrozsądniejsza.

Gwen złagodniała.

– Już dobrze – powiedziała, biorąc dłoń Jollin i rozcierając ją w obu rękach. – Wszystko będzie dobrze. Musisz mi zaufać.

– Ale nawet nie wiesz, od czego zacząć. Nie wiesz, czy możemy otworzyć interes, czy to dozwolone.

– W gruncie rzeczy mam już trochę dość tego „co dozwolone” – warknęła Gwen. – Dozwolone jest, żeby mężczyźni bili nas i zabijali, trzymali jak niewolnice i zarabiali na naszym upokorzeniu. Mam dość tego, że trzyma się mnie w szmatach i boso. A to właśnie jest dozwolone. Mam tego wyżej uszu. Wolę już umrzeć, jeśli właśnie to mnie czeka. Nauczono nas jednej rzeczy,

na której możemy zarabiać, więc tym się zajmiemy... Przynajmniej na razie. I zrobimy to w Medfordzie, bo znamy to miejsce. Już mamy stałych klientów i tylko jednego wroga. Masz jednak rację. Nie wiemy jeszcze wszystkiego, co powinniśmy, więc się dowiemy. Kiedy pójdziemy do Dzielnicy Kupieckiej, popytam. Tam wszyscy prowadzą interesy, mogą nam coś powiedzieć.

– To będzie kosztować. To będzie kosztować mnóstwo pieniędzy, Gwen. Nie mam pojęcia ile.

Gwen pomyślała o złotych monetach schowanych między jej piersiami. Zawsze uważała, że to fortuna i że każda moneta ma magiczną moc spełniania wszelkich życzeń, ale czy wystarczą?

– Wpierw dowiedzmy się czegoś.

\* \* \*

Miasto Medford dzieliło się na cztery części, pięć, jeśli wliczyć zamek pośrodku, ale to jakby uwzględniać kość przy dzieleniu mięsa. Nikt nie miał specjalnego pożytku z zamku czy króla. Dzielnica Szlachecka obejmowała główną północną bramę miejską. Dzielnica Kupiecka była miejscem, do którego arystokracja wybierała się na zakupy i dla rozrywki, Dzielnica Rzemieślników wykonywała pracę dla miasta, a Dzielnica Dolna była rynsztokiem.

Gwen rzadko opuszczała Dzielnicę Dolną. W innych rejonach ulice były szersze i tłoczne od wozów, koni i ludzi noszących kosze na głowach albo plecach. Rozlegały się krzyki mężczyzn, kwik świń, nieustanny gwar handlu. Każdy miał swoje miejsce i śpieszył się, żeby do niego dotrzeć. Nikt nie zwracał specjalnej uwagi na grupę kobiet w szmatach, które szły boso wolniej niż ludzki nurt, niepewne, dokąd się udać. Gwen dostrzegała jednak zdumione spojrzenia, grymasy i uśmieški wyższości, kiedy ktoś już je zauważał.

Jednakże kobieta za ladą sklepu z wyrobami wełnianymi nie spojrzała na Gwen krzywo. W ogóle na nią nie spojrzała.

– Chciałabym kupić siedem koców – powiedziała Gwen.

Kobieta udała, że jej nie słyszy.

– Tamte będą w sam raz. – Gwen wskazała te, które miała nadzieję, że są najtańsze.

Kobieta znowu nie zechciała uznać jej istnienia czy choćby zerknąć w jej stronę.

– Mam pieniądze – powiedziała słabnącym głosem Gwen, chociaż już wiedziała, że to nie ma żadnego znaczenia.

Spuściła głowę i odeszła pokonana.

– Daj mi sakiewkę – powiedziała Jollin.

Wzięła mieszek i podeszła do lady.

– Czym mogę służyć? – zapytała kobieta z wyuczonym uśmiechem.

– Po ile te koce?

– Jeden za siedem dinów, dwa za ses.

– Dam trzy sesy za siedem.

– Za trzy sesy dostaniesz sześć.

– Trzy sesy i trzy diny – powiedziała Jollin. – To dobrze brzmi, prawda?

– Trzy sesy i sześć dinów brzmi lepiej.

– Trzy i pięć.

Kobieta skinęła głową i przyniosła koce, a Jollin wyjęła złotą monetę. Zaskoczenie wypłynęło na twarz handlarki. Kiedy odliczono resztę, Jollin oddała sakiewkę Gwen, a koce innej dziewczynie.

– Ona ma takie pieniądze? – Sklepiarkka wskazała Gwen.

– Tak, a nawet więcej. Szkoda, że byłaś taka niegrzeczna. Moja pani napełni dzisiaj zakupami kilka wozów, ale tutaj niczego więcej nie kupi. Może to nauczy cię, żeby nie oceniać innych pochopnie. Moja pani jest bardzo szczodra dla tych, którzy rozumieją, że prawdziwe piękno kryje się we wnętrzu, a okrutna dla tych o małych, maleńkich, zwiędłych, wypaczonych sercach i chorych, pokręconych umysłach tak małych i...

– Jollin! – warknęła Gwen.

– Ach, widzisz, moja pani śpieszy się, żeby opuścić twój sklep i znaleźć miejsce, gdzie ją milej powitają.

– Ale ja jestem... – zaczęła sklepikarka.

– ...wredną suką? – podsunęła jej Jollin ze słodkim uśmiechem.

– W pełni się zgadzam.

I to powiedziawszy, wyszła ze sklepu.

Gwen i pozostałe dziewczyny wyszły za nią, wszystkie śmiejąc się i poklepując ją po plecach. Potem Jollin i Abby zostały wysłane po jedzenie, a Mae i Rose poszły po miotłę. Pozostałe czekały z Gwen, stojąc w cieniu markizy sklepu z wyrobami garncarskimi i obserwując otoczenie. Mae i Rose wróciły pierwsze i były tak dumne z zakupu, że na zmianę zamiatały ulicę. Gwen zastanawiała się, czy to pierwsza rzecz, jaką w życiu kupiły. Jollin i Abby wróciły z serem i chlebem.

– To wszystko? – spytała Gwen.

– Nie wiem, czy stać nas na coś więcej – odpowiedziała Jollin.

– Rety, jedzenie jest aż tak drogie? Powinniśmy...

– Nie chodzi o to. Rozmawiałam z piekarzem i on mówi, że musisz kupić królewskie pozwolenie.

– Co? Na jedzenie?

– Nie, na otwarcie interesu. To się nazywa świadectwo zezwolenia, czy jakoś tak. Nie możesz otworzyć interesu bez niego, bo inaczej cię aresztują.

– A jak je zdobyć?

– Trzeba iść do biura miejskiego asesora przy placu Szlacheckim. Pozwolenia są bardzo drogie.

– Ile?

– Piekarz nie wiedział. Powiedział, że to zależy od rodzaju interesu. Boję się, że możemy mieć kłopoty.

– Cóż, nie martwmy się na zapas. Wracajmy do gospody – powiedziała Gwen. A potem dodała z niesmakiem: – Chyba że prawo zakazuje siedmiu dziewczynom zjeść chleb i ser w opuszczonej szcurzej farmie?

Nim zaszły do Dzielnicy Kupieckiej, kupiły zapasy i wróciły na ulicę Przekorną, słońce zaszło i zakradł się chłód. Już w świetle dnia podupadły budynek wyglądał potwornie, a mrok wyniósł go na całkiem nowy poziom grozy. W przeciwieństwie do Dzielnicy Kupieckiej, gdzie właściciele interesów zapalali światła od frontu, Dzielnica Dolna była ciemna. Na Przekornej tylko blask ognia wylewał się przez okna „Ohydneho Łba”, oświetlając ulicę rozciągniętymi prostokątami. Gwen miała ochotę przyłożyć sobie za to, że nie dodała latarni do ich listy zakupów, ale to będzie pierwsza rzecz do załatwienia podczas wyprawy następnego dnia.

Gwen słyszała brzęk kieliszków i muzykę Dizzy’ego Grajka przygrywającego w karczmie. Stłumiony dźwięk jego piszczałki miał być muzycznym przypomnieniem o ich wolności czy wygnaniu? W ciemności trudno było to rozstrzygnąć. Na ulicy i nawet w ruinach budynku porywisty wiatr przybierał na sile, poruszał skrzypiącymi okiennicami i dręczył suche liście. Wnętrze salonu było widoczne tylko dzięki wpadającemu pod kątem światłu księżycy, ujawniającemu liczne dziury i szpary, na których wiatr sam grał jak na piszczałkach, tyle że jego melodia była dużo bardziej smętna niż Dizzy’ego.

Abby i Etta wzięły się do rozpalania ognia. Przykucnęły jak spiskowcy w ciemności przed kamiennym paleniskiem. Gwen zastanawiała się, dlaczego Grue w ogóle je trzymał, zwłaszcza Ettę, która nie zarobiła nawet miedziaka przez prawie rok. Obie sporo czasu spędzały w kuchni „Ohydneho Łba” – Abby, bo była grubokoścista i krępa, a Etta, bo jej uroda nigdy nie odzwierciedlała piękna duszy. Nawet Gwen zastanawiała się, czy słusznie zrobiła, zabierając Ettę. Nie stać ją było na to, żeby obciążać szansę ich przetrwania tak wielkim balastem. Jednak gdyby ją pominęła, mogłoby to wywołać urazę i na dłuższą metę przysporzyć zbyt wielu kłopotów. Będzie musiała znaleźć sposób, aby i one wniosły coś do interesu.

Żeby przetrwać, Gwen musiała stać się twardsza, silniejsza. Spojrzała w stronę świateł karczmy.

Po incydencie z mężczyzną od złotych monet Gwen odkryła, że nie jest jedynym, którego oczy mogła przeniknąć. Musiała się nieco skupić, skoncentrować, ale udawało jej się to i z innymi. Dostrzegała urywki i fragmenty życia, rzadko kiedy przyjemne, a sam proces był niepokojący. Często potem miała koszmary. Jednak przez dwa lata spędzone w „Ohydny Łbie” nigdy nie spojrzała w oczy Raynorowi. Nie dlatego, że bała się zła, jakie wyrządził, ale ponieważ mogłaby zrozumieć, dlaczego je popełnił.

Miały mnóstwo kawałków drewna, suchych liści i gałązek i przez chwilę Gwen widziała płomień. Nie przetrwał długo, a wkrótce wszystkie dusiły się od dymu. Po raz pierwszy Gwen ucieszyła się, że w salonie jest tyle dziur.

– Co się dzieje? – spytała Mae gdzieś w ciemnościach.

– Komin jest zatkany – odpowiedziała Etta stłumionym głosem, gdy weszła do kominka. – Pewnie najróżniejszymi gniazdami i liśćmi. Nie ma ciągu.

– No dobrze, nie próbujcie więcej, bo będziemy musiały spać na ulicy – powiedziała Jollin i zakaszła dla podkreślenia swych słów.

Bez ognia zjadły w ciemności.

Gwen miała nadzieję na wesoły ogień i ciepły posiłek. Te dwie rzeczy mogłyby zmienić gospodę, przynajmniej na chwilę, w coś znajomego, coś dobrego. Zamiast tego skupiły się w kącie salonu z dala od większości dziur, tłocząc się razem dla odrobiny ciepła. Zjadły w milczeniu, nasłuchując śpiewu upiornego wiatru.

Jollin odwróciła się i zapytała cicho:

– Myślisz, że będzie nas stać?

Gwen usłyszała w jej głosie pragnienie zapewnienia.

– Nadal mamy mnóstwo pieniędzy.

Oderwała mały kawałeczek od bochenka, który sobie podawały.

– Ale musimy wyremontować ten dom. Jak to zrobimy? – spytała w ciemnościach Abby.

– Przekonajmy się najpierw, ile kosztuje pozwolenie.

Gwen poczuła, że ktoś podaje jej do rąk ser.

Dym zniknął, ale smród pozostał. Wiatr wiał mocniej i Gwen zastanawiała się, czy zwiastuje burzę. Powietrze było zimne i wilgotne – może tylko deszcz. Przez dziury w suficie spojrzała na niebo. Tego właśnie potrzebowały. Skupiły się bardziej, każda ciasno opatulając się cienkim wełnianym kocem.

– Co było w tym miejscu? – spytała Mae.

Cała zawinęła się w koc, a kawałek opadł jej na głowę jak kaptur. Siedziała obok Rose i dwie drobne dziewczyny wyglądały jak siostry, tyle że Mae była blondynką, a Rose szatynką.

– Kiedyś to była gospoda – wyjaśniła Jollin.

– Co się z nią stało?

Jollin wzruszyła ramionami, które pojawiły się i zniknęły w snopie księżycowego światła.

– O ile dobrze słyszałam... – zaczęła Abby.

– Nic nie słyszałaś – przerwała jej Jollin.

– Ale...

– Powiedziałaś, że nic nie słyszałaś.

– Dlaczego? – spytała Mae. – Czego nie słyszała?

Rose, która już przysypiała między Mae i Ettą, zamrugała i uniosła głowę.

– To tylko plotki – powiedziała Jollin.

– Jakie plotki? – tym razem zapytała Rose.

Jollin spojrzała na Gwen przeproszająco.

– Niektórzy ludzie mówią, że właściciel zamordował żonę – powiedziała Jollin. – A potem jej duch wrócił, żeby się zemścić.

Gwen patrzyła, jak dziewczęta rozglądają się po przetykanej księżycem ciemności, w której tyle miejsc było nieprzenikniętą tajemnicą. Na górze słyhać było uderzenia, a choć Gwen wiedziała, że to okiennica, brzmiały niepokojąco podobnie do uderzeń głową Avon. Gdzieś rozległo się ciche skrobanie, może paznokci martwej kobiety.

– I bardzo dobrze! – powiedziała Rose tak głośno, że wszystkie



na nią spojrzali. – Może Avon zrobi to samo Grue i Stane'owi.

Jollin spojrzała na Gwen i uśmiechnęła się.

Gwen odwzajemniła uśmiech.

– Może tak zrobi.

# Rozdział 7

## *Colnora*

Kapuśniaczek zaczął padać, zanim Hadrian dotarł do miasta. Od nabrzeża, gdzie kończyła się ścieżka holownicza, zaczynała się szersza i znacznie bardziej stroma droga, która wspinała się po ścianie urwiska. Hadrian zsiadł z klaczy. Biedne zwierzę cały dzień ciągnęło barękę i nie potrzebowało dodatkowego obciążenia. Zanim dotarli na szczyt, oboje się zasapali. Ich oddechy tworzyły chmurki, bardziej z powodu wilgoci niż temperatury, która nie wydawała się tak niska po wysiłku przy wspinaczce.

Na górze na ulicach pojawił się bruk, po którym trudno się chodziło. To jednak było lepsze niż bita droga, którą deszcz zamieniłby w błoto. Hadrian uznał, że musi już niedużo brakować do świtu. W mieście wisiały latarnie na żerdziach, ale żadna nie płonęła. Niewielu ludzi było na ulicach, a ci nieliczni poruszali się powoli, ziewali i piorunowali wzrokiem niebo. Colnora dorastała do opowieści o swojej wielkości – stanowiła labirynt ulic i setek budynków – wszelkiego rodzaju domów, sklepów i warsztatów, jakie tylko można sobie wyobrazić. W jednym sklepie sprzedawano damskie kapelusze. Hadrian zachodził w głowę, jak może przetrwać sklep, który oferuje same kapelusze, nie wspominając już o sprzedaży wyłącznie damskich. W innym sprzedawano ranne pantofle dla mężczyzn – nie buty, tylko ranne pantofle. Hadrian nigdy w życiu nie nosił rannych pantofli. Szyld nad wielkim oknem

głosił: „ZOSTAW BŁOTO NA ULICY!”. Hadrian zastanawiał się, czy właściciel sklepu kiedykolwiek widział ulicę, bo na tej przed sklepem nie było ani odrobiny błota. Czuł się jak duch na cmentarzu albo złodziej w rezydencji – wszystkie budynki i ulice były ciemne i ciche, jeśli nie liczyć bębnienia i podzwaniania porannego deszczu.

Hadrian był wyczerpany. Wszelkie resztki sił, jakie mu zostały, skradła wspinaczka. Zastanawiał się, czy nie poszukać gospody albo chociaż suchej werandy – dowolnego miejsca, byle tylko zejść z deszczu i zamknąć na parę godzin oczy. Wiedział jednak, że nie zdoła zasnąć. Vivian go prześladowała. Podobnie pozostali, ale to jej ciało leżące w kajucie z twarzą w ciemnej kałuży cały czas widział. Wygiętą rękę, odwróconą głowę – na całe szczęście odwróconą.

Szedł ulicą, a obok niego stukotał kopytami wielgachny koń. Od rzeki cały czas szedł pod górę, jakby miasto wybudowano na szczycie. Im wyżej się wspinał, tym ładniejsze były budynki. Przypomniał sobie wtedy słowa Korniszona: „Wszystko inne spływa w dół, ale złoto płynie w górę”. Domy wzniesiono z obrobionego kamienia; były wysokie na dwa, trzy piętra, miały mnóstwo przeszklonych okien, bramy z płaskorzeźbami w brązie, a nawet wieżyczki, jakby każdy budynek był miniaturowym zamkiem. Hadrian nie był pewien, w jakiej dzielnicy się znalazł, ale nie czuł się tu najlepiej. Nigdy w życiu nie widział takich luksusów. Mieli tu chodniki i rynsztoki ze studzienkami na deszczówkę, żeby utrzymać ulicę w czystości. Ulicę! Hadrian parsknął śmiechem. Ulica to za słabe słowo dla arterii biegnących blisko szczytu. To były bulwary wyłożone luksusową cegłą, trzy razy szersze od zwykłych alei, ze szpalerami drzew, ogrodami i fontannami okalającymi wysepki pośrodku. A najbardziej zaskakujący ze wszystkiego był całkowity brak końskiego łajna. Hadrian zastanawiał się, czy nocami polerowano tu nawierzchnię.

Szedł, skręcając na oślep i oglądając szyldy, żeby nieco się zorientować. Doszedł do niskiego muru, zerknął ponad nim i zdał

sobie sprawę, jak daleko zaszedł. W dole płynęła rzeka, wąziutka linia na dnie wąwozu, a coś, co wyglądało na dach hangaru na łodzie, było wielkości miedziaka trzymanego na wyciągnięcie ręki.

Przekonany, że na szczycie niczego nie znajdzie, Hadrian zszedł inną trasą. W końcu dostrzegł szyld z koroną i mieczem. Budynek z tabliczką wyglądał jak zabłąkana zamkowa wieżyczka wzniesiona z wielkich kamiennych bloków. Miała nawet blanki na wysokości pierwszego piętra. Hadrian przywiązał konia do słupka i wszedł schodkami na werandę. Zapukał do drzwi u podnóża wieżyczki. Po czwartym razie, kiedy już zastanawiał się, czy nie posłużyć się swoim dwuręcznym mieczem – głowica mogła robić za przyzwoity młot – drzwi się otworzyły. Stał za nimi muskularny mężczyzna z jednodniowym zarostem i nieprzyjaznym wyrazem na świeżo posiniaczonej twarzy.

– Czego?

– To straż miejska? – spytał Hadrian.

– Szeryf Malet – wychrypiął mężczyzna, patrząc na wpół zamkniętymi oczami.

– Miało miejsce morderstwo, właściwie to kilka, na rzece poniżej.

Malet spojrzał z grymasem na niebo.

– Niech to szlag.

Machnięciem ręki zaprosił Hadriana do małego pokoju z piecem, stołem, łóżkiem ze wzburzoną pościelą i taką ilością mieczy, tarcz oraz innych śmiercionośnych narzędzi, że można by wyposażyć małą armię.

– Uważaj, gdzie stajesz, i staraj się nie nanieść wody.

Malet był sam i trzymał świecę, która oświetlała go od dołu, rzucając cienie na opuchniętą i zakrwawioną twarz, przez co wyglądał groteskowo jak kamienny gargulec. Odstawił świecę na stół i spojrzał na Hadriana.

– Jak się nazywasz?

– Hadrian Blackwater.

– Gdzie leży Blackwater?

– To nie jest miejscowość.

Malet, ubrany w samą koszulę nocną, podniósł spodnie z podłogi. Przysiadł na krawędzi biurka z ciemnego drewna i wsunął nogi w nogawki.

– W takim razie co to za profesja?

– To tylko nazwisko. Nic nie znaczy.

Malet spiorunował go zmęczonym wzrokiem.

– Co to za nazwisko, skoro nic mi nie mówi na twój temat?

– Proszę mi mówić po prostu Hadrian.

– Tak zrobię. – Wstał i zapiał pas. – Skąd jesteś, Hadrianie?

– Kiedyś z Hintindaru. To mała wioska na południe stąd, w Rhenyddzie.

– Kiedyś? Co to ma niby znaczyć? Niedawno urodziłeś się gdzie indziej?

– Miałem tylko na myśli to, że nie byłem tam od wielu lat.

– Wielu lat? Nie wyglądasz na dość dorosłego, żeby przeżyć wiele lat. – Szeryf przeniósł wzrok na jego miecze. – Sporo żelastwa nosisz, Hadrianie. Może jesteś zbrojmistrzem?

– Ojciec był kowalem.

– Ale ty nim nie jesteś?

– Proszę posłuchać, przyszedłem tylko zgłosić zabójstwa. Chce pan o nich usłyszeć?

Malet zacmokał.

– Wiesz, gdzie w tej chwili przebywa zabójca?

– Nie.

– Ciała zaraz wstaną i odejdą?

– Nie.

– To skąd ten pośpiech?

– Jestem trochę zmęczony.

Malet uniósł krzaczastą brew.

– Naprawdę? Współczuję. Okazuje się, że sam jestem nieco wyczerpany. Cały dzień spędziłem, powstrzymując wybuch krwawych zamieszek po zachodniej stronie, bo jakiś durny łajdak splunął w złą stronę. Dwóch moich ludzi leży z ranami od noża,

które otrzymali na pamiątkę. A raptem parę godzin temu rozkwaszono mi nos, kiedy wyciągałem dwóch pijaków z oberży „Pod Szarą Myszą”, którzy demolowali lokal, bo uznali, że to będzie zabawne. Dopiero co padłem na łóżko, kiedy jakiś inny łajdak, który nie mógł poczekać do rana, zaczął dobijać się do drzwi. Wiem, że nie spałem długo, bo nadal głowa mi pęka, zupełnie jak wtedy, kiedy się kładłem. Ja nie dobijałem się do twoich drzwi, prawda, Hadrianie? Więc nie marudź mi tutaj, że jesteś zmęczony. – Odwrócił się do małego piecyka. – Masz ochotę na kawę?

– Nie chce pan zobaczyć ciała?

Malet westchnął i podniósł rękę do nosa.

– Leżą na ulicy na zewnątrz?

– Nie, są w dole rzeki, jakieś trzy mile stąd, jak sądzę.

– W takim razie nie, nie chcę obejrzyć ciała.

– Dlaczego?

Szeryf zerknął przez ramię z mieszaniną niedowierzania i irytacji.

– Jest ciemno i pada, a ja nie będę schodził tą sakramencką błotnistą zjeżdżalnią, dopóki nie wzejdzie słońce. Z mojego doświadczenia wynika, że nieboszczycy to bardzo cierpliwi ludzie. Wątpię, żeby mieli coś przeciwko temu, że czekają parę godzin, nie uważasz? No dobrze, chcesz kawy czy nie?

– Chcę.

– Świetnie. – Szeryf zaczął wpychać do piecyka kawałki drewna.

– No to zaczynaj opowiadać swoją historię.

Hadrian usiadł przy małym stole i wyjaśnił wydarzenia ostatnich kilku dni, podczas gdy szeryf Malet parzył kawę i ubierał się. Zanim skończył, za wcześniej ciemnym oknem ukazała się mokra ulica w coraz mocniejszym przymglonym świetle.

– I ta barka jest jakieś trzy mile w dół rzeki przy ścieżce holowniczej? – zapytał szeryf, siadając naprzeciwko Hadriana przy stoliku obok okna i ściskając w obu dłoniach metalowy kubek.

– Aha, uwiązałem ją dostatecznie mocno przed przyjazdem

tutaj.

Kawa była gorzka i o wiele słabsza niż to, do czego Hadrian przywykł. W Calisie kawę pito w każdym domu, ale w Avrynie była rzadkim i, jak wyobrażał sobie, drogim luksusem.

– I nigdy dotąd nie spotkałeś tych ludzi?

– Nie.

– Nigdy dotąd nie byłeś w Colnorze?

– Nie.

– I obstajesz przy tym, że ten jegomość w ciemnej oponczy z kapturem zabił wszystkich na łodzi, podobnie jak trójkę innych ludzi w Vernesie, a potem po prostu zniknął.

– Tak.

– Zatem powiedz mi, Hadrianie, jakim sposobem ty przeżyłeś?

– Chyba dzięki temu, że jako jedyny byłem uzbrojony. Ponadto nie spałem i dlatego właśnie chcę, żeby jak najszybciej zajęto się tą sprawą.

– Aha. A jak ten jegomość zdołał pozabijać wszystkich na maleńkiej barce w taki sposób, żebyś ty tego nie widział? Bo nie widziałeś, prawda? Zaszlachtował tych wszystkich ludzi, łącznie z kobietą, z którą byłeś, tą Vivian, a potem uciekł i nawet nie widziałeś, żeby płynął do brzegu?

– Nie wiem, jak tego dokonał.

– Hm... – Szeryf siorbnął z kubka. – Zatem nie jesteś kowalem...

A kim jesteś?

– Obecnie nikim.

– Czyli szukasz pracy?

– Będę. Teraz wybieram się do Sheridanu.

– Na uniwersytet? Po co?

– Przyjaciel rodziny wysłał mi wiadomość, że mój ojciec zmarł, i poprosił, żebym go odwiedził.

– Myślałem, że jesteś z Hintindaru.

– Bo jestem.

– Ale twój ojciec zmarł w Sheridanie?

– Nie, zmarł w Hintindarze. Jak się domyślam. Ale przyjaciel

mieszka w Sheridanie. Ma mi coś do przekazania.

– A miecze?

– Byłem żołnierzem.

– Dezerter?

– Dlaczego pan mnie przesłuchuje?

– Bo przybyłeś z historią, według której jako jedyny przeżyłeś rzeź, przez co stajesz się oczywistym podejrzanym.

– Gdybym ich zabił, po co przychodziłbym do pana? Dlaczego nie miałbym po prostu zniknąć?

– Może w tym rzecz. Może myślisz, że jak przypiszesz śmierci Zmiataczowi, to nikt nie będzie cię podejrzewał?

– Kto to jest Zmiatacz?

Szeryf uśmiechnął się krzywo i znowu napił się kawy.

– Powinienem wiedzieć? Bo nie wiem.

Malet patrzył na niego przez chwilę ze zdziwioną miną. Potem, unosząc brwi, odstawił kubek z cichym brzękiem.

– Rok temu w lecie tym miastem wstrząsnęła seria wyjątkowo makabrycznych morderstw popełnionych przez kogoś, kogo zwano Zmiataczem. Sędziowie, prawnicy, kupcy, paru moich ludzi i kilku podejrzanych malkontentów zamordowano i powieszono jak dekoracje. Co rano pojawiała się nowa ozdoba, makabryczne dzieło sztuki. Nikt nie był bezpieczny. Nawet członków Czarnej Diamentu wyżynano. Morderstwa trwały całe lato. Ulice się wyludniły, bo ludzie bali się wychodzić z domów. Handel podupadł, każdy przeklęty kupiec obrzucał mnie wszelkimi wyzwiskami, jakie potrafisz sobie wyobrazić.

– I stał za tym wszystkim jeden człowiek?

– Tak głosi plotka.

– Nigdy go pan nie złapał?

– Nie. Pewnego dnia morderstwa ustały. Odtąd każdego dnia mieszkańcy miasta dziękują Novronowi i Mariborowi. Rozumiesz więc, dlaczego niezbyt mnie cieszy twoja historia.

– A dlaczego myśli pan, że to ta sama osoba?

Szeryf wzruszył ramionami.



– Tylko kilka osób widziało mordercę, a te zgłosiły, że nosił czarną opończę z kapturem.

Zerknął za okno, dopił kawę i zdjął z kołka płaszcz.

– Chodźmy zobaczyć, co zostawiłeś na rzece.

\* \* \*

Lało, kiedy jechali śliską ścieżką holowniczą. Strumyki deszczówki żłobiły błoto. Hadrian zrozumiał teraz, dlaczego Malet obawiał się niebezpieczeństw jazdy po ciemku. W wąwozie narodziły się dziesiątki wodospadów najróżniejszych rozmiarów, którymi przesiąkła ścieżka. Większość potężniejszych zdołali obejść; przy niektórych wzniesiono nawet drewniane daszki, których nie zauważył, jadąc pod górę nocą. Przez inne ostrożnie przeszli, w jednym miejscu zsiadli z koni i przeprowadzili je pieszo. Hadrian nie mógł już bardziej przemoknąć, ale ponieważ cały był mokry i nadal ubrany w niepraktyczne cienkie płótno, przy każdym powiewie wiatru w jarze przechodził go dreszcz.

Szedł przodem wąską ścieżką holowniczą, powoli zwalniając, aż przystanął.

– Coś nie tak? – spytał szeryf.

– Aha, to jest to miejsce. Stała dokładnie tutaj.

– Barka?

– Tak.

Malet obszedł swojego konia, zmęczonego gniadosza ze skołtunioną czarną grzywą.

– Myślałem, że ją uwiązałeś.

– Bo uwiązałem. Właśnie tutaj.

Hadrian zsiadł; jego stopy z pluskiem wylądowały w błocie. Zerknął w dół rzeki, ale nie dostrzegł ani śladu łodzi.

– Cóż... Pewnie przybierający na sile nurt poluzował linę.

Znalazł drzewo, do którego uwiązał barkę, i zobaczył słaby ślad, ale nic równie wyraźnego jak otarcie od liny.

Malet zacisnął usta i skinął głową.

– To możliwe.

Hadrian obszukał ścieżkę w poszukiwaniu drąga holowniczego, który zaklinał, ale on też zniknął. Jeszcze bardziej niepokojący był brak porzuconej uprzęży, końskiego chomąta i drugiej klaczy. Nic się nie ostało. Pobiegł dalej w dół dróżką, aż dotarł do łagodnego zakrętu, zza którego miał dobry widok na rzekę – nadal nigdzie nie było barki.

– Może wrócimy na górę i pogadamy z Bennettem z portu – zaproponował Malet, gdy Hadrian wrócił. – Chciałbym usłyszeć, co myślisz o zaginionej łodzi.

Hadrian skinął głową.

W przewężeniu wąwozu tuż za rzeczonym nabrzeżem krył się drewniany budynek. Miał w sobie tyle wdzięku co szopa na urobek, ale podłużny kształt zdradzał, że to hangar na łodzi. Na dachu widniał szyld z napisem „Colnora – Vernes, transport rzeczny”.

– Zamknięte! Wynoś się! – usłyszeli, kiedy Malet zaczął dobijać się do drzwi.

– Otwórz, Billy – powiedział Malet. – Muszę porozmawiać z tobą na temat twojej łodzi, która powinna dziś przyplłynąć.

Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem i z budynku wyjrzał łysy człowieczek.

– Czyjego czego?

– Barka, której spodziewasz się dziś rano, nie przyplynie. Według tego jegomościa wszystkich zamordowano.

Starszy mężczyzna zerknął spod zmrużonych powiek.

– O czym ty mówisz? Jaka barka?

– Jak to „jaka barka”?

– Nie spodziewam się dzisiaj żadnej barki. Następna będzie za trzy dni.

– Doprawdy? – zapytał Malet.

– Słowo – powtórzył Bennett, pocierając ręce.

– Pracuje dla ciebie pilot barki imieniem Farlan? – zapytał szeryf. – To twój sternik?

Bennett pokręcił głową.

– Pierwsze słyszę.

– A może słyszałeś, żeby pracował dla kogoś innego? Może nawet dla kogoś niezrzeszonego?

Bennett znowu pokręcił głową.

– To może wiesz coś o poganiaczu? Pracuje dla ciebie niejaki Andrew?

– O nim też nigdy nie słyszałem.

Malet odwrócił się do Hadriana. Nie wyglądał na zadowolonego.

– A ten koń? – spytał Hadrian, poklepując klacz. To chyba była Gertrude.

– Co z nim?

– Ta klacz w parze z drugą holowała barkę.

– To twój koń? – zapytał Bennetta szeryf.

Łysy mężczyzna wychylił głowę zza drzwi. Oblała go deszczówka, która spłynęła z dachu, więc zaraz się cofnął. Otarł wodę rękawem i odpowiedział z grymasem:

– Nigdy w życiu nie widziałem tego konia.

– A co ze złotnikami? – Hadrian odwrócił się do Maleta, zdradzając trochę więcej emocji, niżby chciał. Przez tę sprawę wyszedł na wariata. Co gorsza, sam zaczął powątpiewać w swoje zdrowe zmysły. – Słyszał pan, żeby otwierał się tutaj jakiś nowy sklep?

Malet zerknął na niego. Deszcz spływał mu z nosa.

– Nie, nie słyszałem. A ty, Bennett?

– Nie mogę powiedzieć, żebym słyszał.

– W porządku, Billy, wybacz mi tę pobudkę. Możesz wracać do łóżka.

Drzwi zamknęły się bez słowa pożegnania.

Twarz szeryfa przybrała bardziej nieprzyjemny wyraz.

– Mówiłeś, że wybierasz się do Sheridanu, zgadza się?

Hadrian skinął głową.

– To może ruszaj, nim zacznę rozmyślać nad tym, jak to obudziłeś mnie przed świtem i wyciągnąłeś w taką ulewę. Gdybym

nie był tak bardzo zmęczony, a ty nie wyglądałbyś równie żałośnie, jak ja się czuję, to zamknąłbym cię za zakłócanie porządku.

Hadrian patrzył, jak szeryf wraca na wzgórze, gderając pod nosem. Próbował ogarnąć to wszystko, ale nic nie miało sensu.

# Rozdział 8

## *Dom Medford*

Zacinający deszcz przemoczył Gwen i Rose, kiedy stały w kolejce na ulicy przed biurem miejskiego asesora. Nawet ulewa w Dzielnicy Szlacheckiej wyglądała pięknie. Deszczówka spływała po kamiennych krawężnikach i znikwała w przesłoniętych kratą rynsztokach. Nie było tu błota; wszystkie ulice wybrukowano, a domy były wysokie i śliczne.

– Nasz będzie wyglądał tak samo? – spytała Rose Gwen.

Młodsza dziewczyna wyglądała jak wydra przez swe ulizane włosy. Wskazywała wielki dom naprzeciwko. Okazały bladoniebieski budynek stał za niskim, schludnym ogrodzeniem, w fasadzie dominowało ogromne, ozdobne mansardowe okno. Z boku wyrastała wieża na planie kwadratu, przewyższająca dom o całe piętro. Dzięki niej dom przypominał zamek. Kryta weranda od frontu i z boku z pomalowaną na biało balustradą dodawała zaś domowi kobiecości, bo przypominała falbankę.

– Jeśli dzięki nam stara gospoda zacznie wyglądać jak ten dom – odpowiedziała Gwen – to konstabl każe nas spalić za czary.

– Uda nam się. Po prostu wiem, że nam się uda.

Gwen uśmiechnęła się do niej.

– Przekonamy się. Nadal żyjemy.

Tylko na taką zachętę stać ją było tego ranka. Deszcz nie pomagał. Po tym, jak całą noc trzęsły się z zimna, o świcie dostały

w nagrodę zimną ulewę. Twarze dziewcząt były blade, wargi sinawe, zęby im szczękały. Gwen zmusiła je do wstania i pracy. Mae zamiotła podłogę ich nową szczotką, ale równie dobrze mogłaby spróbować usunąć ziemię z pola. Mimo deszczu kilka osób, które przybiegły z zamówieniami do „Ohydneho Łba”, zatrzymało się, żeby popatrzeć. Chociaż wysiłki nie miały sensu, przynajmniej dziewczyny się rozgrzały, a Gwen nie zaczęła wrzeszczeć.

Zostawiła dziewczyny pod opieką Jollin, a sama zabrała ze sobą Rose i poszła na plac Szlachecki. Obawiała się, że Ethan je wypędzi, jeśli nie zdobędą magicznego pozwolenia, więc zamierzała stanąć z samego rana jako pierwsza w kolejce. Deszcz pomógł przynajmniej w tym jednym względzie. Ethan nie będzie rwał się do patrolowania okolicy w czasie ulewy. Gwen nie wiedziała, co jest potrzebne, by uzyskać pozwolenie. Modliła się, żeby nie kosztowało za dużo.

– Następny!

Mężczyzna w długim płaszczu uderzył w drewniany ganek laską.

Gwen złapała Rose za rękę i wciągnęła do środka.

Świat natychmiast ucichł. Urwanie chmury przycichło do odległego szumu, hałasy ruchu ulicznego zostały na zewnątrz i nikt w środku nie odezwał się słowem. Stary mężczyzna w dublecie i wykrochmalonym kołnierzyku siedział za wielkim stołem. Za nim czterech o wiele młodszych ludzi kręciło się, przeglądając stosy pergaminów i ksiąg.

Po stronie interesantów przed biurkiem nie było krzesła.

– Widzę, że nadal pada – powiedział stary mężczyzna.

– Tak, proszę pana – odpowiedziała Gwen, dygając w ukłonie, jakiego nauczyła ją matka.

Nie kłaniała się tak od wielu lat i czuła się niezręcznie.

– W czym mogę pomóc?

Jego pytanie całkiem ją zaskoczyło. Spodziewała się, że usłyszy odmowę, że zostanie obrażona lub zignorowana, jak potraktowała

ją sprzedawczyni wyrobów z wełny. Z tego właśnie powodu Gwen zabrała ze sobą Rose, uznając, że nikt nie odmówi wielkim okrągłym oczętom Rose, ale urzędnik nawet na nią nie spojrzał.

– Ehm... Przy ulicy Przekornej w Dzielnicy Dolnej naprzeciwko Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem” stoi nieużywany budynek i...

– Chwileczkę. – Starszy mężczyzna odchylił się i spojrzał przez ramię. – DD kwartał czternasty! – krzyknął i jeden z młodszych mężczyzn potruchtał do półki i zaczął przeglądać pergaminy.

– I... – zaczęła znowu Gwen, ale asesor uniósł rękę.

– Chwileczkę, muszę się zorientować, o czym mowa. To wielkie miasto i nie można oczekiwać, że będę znał każdy zakątek, już nie wspomnę o tak małym jak kwartał czternasty w DD. Niewiele się tam dzieje.

Gwen skinęła głową. Woda spłynęła jej z czoła do oczu. Zamrugła, zamiast otrzeć twarz, bo nie wiedziała, co uznano by za właściwe zachowanie. W ciszy, która zapadła, zdumiała się, jak głośno rozbrzmiewają krople wody spadające z ubrań.

– Nie jesteś tutejsza, co? – zapytał asesor.

– Urodziłam się w Calisie.

– Widzę. Jak się nazywasz?

– Gwen DeLancy.

– Yhm. A kto ci towarzyszy? Na pewno nie twoja siostra. – Uśmiechnął się ironicznie.

– Nie. To Rose.

– Skąd jesteś?

Rose uśmiechnęła się słodko, doskonale odgrywając swoją rolę, ponieważ wcale nie grała.

– Z okolic Zimnej Kotliny, między Traktem Króla a...

– Wiem, gdzie to jest.

– Jesteśmy... – Gwen się zawahała – ...współniczkami.

– Doprawdy? Nie widuję zbyt wielu młodych kobiet, które prowadzą interesy.

– Jesteśmy pod tym względem wyjątkowe.

– W rzeczy samej.

Urzędnik położył stos pergaminów na biurku przed asesorem, który ostrożnie je przejrzał.

– Mówicie o parceli czterysta sześćdziesiątej ósmej, gospodzie „Przekorny Podróżny”.

– To już nie jest gospoda... To tylko stos wypaczonych desek.

Asesor skinął głową.

– To by tłumaczyło, dlaczego nie płacono podatków za parcelę od... Ośmiu lat, siedmiu miesięcy i sześciu dni. Czego od niej chcecie?

– Chciałybyśmy ją kupić.

– Kupić?

– Tak.

– Nie możecie jej kupić.

Gwen oklapła pod wpływem ostateczności tego stwierdzenia.

– Przecież nikt z niej nie korzysta.

– To nie ma znaczenia. Ziemia w królestwie Melengarar należy do Jego Wysokości. Król nie rozstaje się z żadnym skrawkiem. Nigdy. Zatem, o ile nie macie wojsk, które mogą tam wkroczyć i utrzymać... – spojrzał znowu na pergamin – ...parcelę numer czterysta sześćdziesiąt osiem, stawiając odpór potędze wojskowej Melengarar, to król pozostanie jej właścicielem.

– Ale chwileczkę... A co z „Ohydny Łbem” naprzeciwno? Przecież właścicielem tej karczmy jest Raynor Grue.

Starszy mężczyzna pokręcił głową i westchnął.

– Przecież ci mówię, król jest właścicielem wszystkiego w królestwie. Raynor Grue nie posiada... – znowu zerknął na dokumenty – ...parceli numer czterysta sześćdziesiąt siedem. Otrzymał jedynie przywilej od Jego Wysokości, dzięki czemu może prowadzić w tym miejscu karczmę z wyszynkiem.

– Przywilej? Znaczący pozwolenie?

– Świadectwo Królewskiego Zezwolenia, certyfikat.

– W takim razie chciałabym taki otrzymać.

– A jakiego rodzaju interes zamierzacie prowadzić?



– Burdel.

Asesor pochylił lekko głowę i pierwszy raz zerknął najpierw na Gwen, a potem na Rose.

– Rozumiem.

– To jakiś problem?

– Masz jakąś rodzinę w pobliżu Zimnej Kotliny? – spytał Rose.

– Tak – odpowiedziała dziewczyna. – Matkę. Pochowałam ją tam zeszłego roku.

– A ojciec?

– Gdybym miała ojca, to pewnie nadal miałabym matkę.

Mężczyzna z powagą skinął głową.

– A ty?

– Moi rodzice także nie żyją. To dlatego musimy założyć własny interes.

Mężczyzna zacisnął usta i pokręcił głową.

– Certyfikat będzie was kosztował dwa złote tenenty, plus osiemnaście miedzianych dinów opłaty urzędowej. Macie tyle?

– Och... Tak. Tak, mamy tyle.

Tylko dwa tenenty!

Mężczyzna sprawiał wrażenie zaskoczzonego i uśmiechnął się do niej lekko. Wziął pergamin i zanurzywszy pióro, zaczął pisać.

– Od tej pory będzie wymierzany wam podatek zależny od dochodów w ciągu pierwszych sześciu miesięcy od otrzymania pozwolenia, a jeśli nie zdołacie zapłacić wymaganego podatku w ciągu miesiąca od ostatniego oszacowania, które odtąd będzie przeprowadzane dwa razy do roku, zostaniecie wyeksmitowane bez zwrotu wydatków inwestycyjnych. – Mówił szybko, recytując formułki znudzonym tonem. – Macie przy sobie dwa tenenty i osiemnaście dinów?

– Ehm... Tak.

Gwen wyjęła sakiewkę spomiędzy piersi.

– Certyfikat zachowa ważność na jeden rok. Potem będziecie musiały otrzymać nowy.

– Możemy od razu tam zamieszkać, znaczy od dzisiaj?

– Możecie robić, co zechcecie, dopóki nie łamiecie prawa, nie zagrażacie bezpieczeństwu miasta i królestwa, uzyskujecie podlegający podatkowi dochód i król aprobuje waszą działalność.

– Król nas odwiedzi? – zapytała zdumiona Gwen.

Asesor podniósł wzrok i zarechotał.

– Nie. Jego Wysokość nie będzie was odwiedzał. Za to odwiedzi was ktoś z gildii kupieckiej w Dzielnicy Dolnej.

– I jeśli zaaprobuje naszą działalność, będziemy mogli zachować gospodę? – Gwen podała monety.

– Będziecie mogły dalej z niej korzystać – poprawił ją asesor. – Miej świadomość, że wszelkie ulepszenia na miejscu staną się własnością króla i że certyfikat może zostać wam odebrany w dowolnym momencie z królewskiego nakazu.

Gwen natychmiast zabrała z powrotem pieniądze.

– Co to znaczy?

– Jeśli król zechce, może was stamtąd wykopać.

Gwen się zmartwiła.

Starszy mężczyzna pochylił się ku niej.

– Niech wam się wiedzie, ale nie za bardzo.

Skinęła głową i odłożyła monety, czując ulgę i przerażenie. Właśnie zapewniła im dom, a zarazem oddała większość pieniędzy za zrujnowaną norę.

\* \* \*

– Jest nasza – oznajmiła, kiedy wróciły z Rose.

Nadal lało, ale Gwen już to tak nie przeszkadzało. Budynek należał do nich, każda paskudna, spróchniała belka. Ociepliło się, ale nadal padało, co Gwen uznała za korzystne. Tak jak Ethana, tak samo innych ludzi deszcz zatrzyma w domach. Dopóki nie zdoła zamknąć gospody, będzie czuła, że są odsłonięte jak myszy na polu. Chociaż deszcz był uciążliwy, to przynajmniej uziemił sokoły, dając jej czas na wykopanie nory. Szczeniaki, koty, kaczątko, a teraz myszy – nie miała pojęcia, dlaczego zawsze

myślała o nich jak o drobnych zwierzątkach, poza tym, że były to stworzenia słodkie, ale często uciążliwe.

– Za kilka dni zjawi się człowiek i jeśli zaaprobuje gospodę, będzie nasza.

– Wszystkie te luksusy? – spytała kwaśno Jollin.

Podczas nieobecności Rose i Gwen pozostałe dziewczęta zdołały jedynie uprzątnąć odrobinę śmieci i zasłonić kilka dziur cieniutkimi płytami. Zlikwidowały większość przeciągów, a deszcz przestał lać się do salonu, ale poza tym budynek wyglądał katastrofalnie – stos zwalonych belek i dziurawych ścian.

– Będzie lepiej – zapewniła je Rose. – Musimy tylko trochę tu ponaprawiać.

– Ta noc będzie zimna i mokra – powiedziała Mae. – I choćbyśmy zamiatały do śmierci, nic to nie zmieni.

Gwen pokiwała głową.

– Trzeba przetkać komin i oczyścić kominek przed nocą. Spalimy walające się kawałki drewna, to będzie czyściej. Zostało mi trochę pieniędzy, wystarczy, żeby kupić drewno na opał, ale musimy jak najlepiej wykorzystać to, co mamy.

– Ale my nie znamy się na ciesielce – powiedziała Etta. – W życiu nie zdołamy wyremontować tej gospody.

– Próbowaliśmy z Abby przesunąć kilka większych belek. – Christy wskazała na belkę, która musiała kiedyś podpierać strop, a teraz spadła na schody. – Nawet nie drgnęły.

– Będziemy potrzebować pomocy. – Gwen kiwała powoli głową, przyglądając się ruinie.

– Nikt nam nie pomoże – powiedziała Jollin. – Nikogo nie obchodzi banda dziwek, które uciekły z burdelu i były tak tępe, że nie odeszły dalej niż na drugą stronę ulicy.

Raz jeszcze Gwen ucieszyła się z ulewy, która była dostatecznie głośna, by zamaskować ciszę, jaka nagle zapadła. Nadeszła chwila poważnej decyzji. Poprzedniego dnia kierowały się strachem. Nikt nie miał czasu jasno pomyśleć. Zostawione same sobie na cały dzień, zmuszone do ciężkiej pracy po tym, jak przez całe życie

zarabiały na plecach, i mając w perspektywie kolejną zimną i wilgotną noc, zyskały okazję, by nieco się zastanowić.

Gwen nie zrobiła nic, żeby dodać im pewności siebie czy nadziei. Wskazała im tylko miejsce do spania, dała trochę jedzenia, parę cienkich koców. Po drugiej stronie ulicy wznosił się „Ohydny Łeb”, szepcząc o ciepłe. Gwen miała pomysły, ale cóż znaczą pomysły w porównaniu z suchym łóżkiem?

– Będziemy potrzebować kogoś silnego – powiedziała Rose. – Kogoś, kto będzie pracował za małe pieniądze.

Dzięki ci za nią, Mariborze, pomyślała Gwen i na głos dodała:

– Albo za darmo.

– Już to widzę. – Jollin usiadła na stopniu schodów, które donikąd nie prowadziły z wyjątkiem garstki rozszczepionych desek. – Może po prostu wszystkie uklękniemy i pomodlimy się, żeby nasze kłopoty się skończyły. To ma równe szanse powodzenia.

– Przekonamy się – odparła Gwen. – Przypilnuj, żeby dziewczyny wzięły się za komin i uprzątnięcie śmieci z paleniska, a ja zobaczę, co da się zrobić.

– Gwen zamierza zamienić to miejsce w pałac – powiedziała wszystkim Rose.

Początkowo brzmiało to jak dowcip, okrutny żart, tylko ton był niewłaściwy.

– Widziałyśmy taki dom przy placu Szlacheckim i zamienimy tę gospodę w coś podobnego. I co to był za dom! Miał wieżę i w ogóle!

Gwen uśmiechnęła się do niej smutno. Dom najpewniej należał do barona albo kapitana morskiego. Pewnie kosztował skrzynię złotych sztabek, może nawet wymagał przychylności arystokracji. Im została jedna złota moneta i wspólne oszczędności ich życia, co dawało garść dinów i sesów. Cudne marzenie, ale nieziszczalne. Rose żywiła wiarę typową dla niewiniątek.

– Dom Medford – powiedziała Rose.

– Co? – spytała Jollin.

– Tak nazwiemy gospodę. Możemy, Gwen? To będzie najwspanialsze miejsce w mieście.

Żadna się nie roześmiała. A powinny. Już na pewno Jollin powinna pękać ze śmiechu.

– Niech będzie Dom Medford – zgodziła się Gwen. – Ale musimy tu posprzątać. Musimy jak najszybciej otworzyć interes.

– Jak myślisz, ile mamy czasu? – spytała Mae.

– Nie wiem. – Gwen spojrzała na ulewę, przez którą kałuże na ulicy wyglądały, jakby się gotowały. – Dziewczyny, pomóżcie Jollin. Wrócę za kilka minut.

Opuściła namiastkę osłony i wyszła z powrotem na potop.

W przeciwieństwie do Dzielnicy Szlacheckiej ulica Przekorna nie miała eleganckich rynsztoków i w takie dni jak ten zamieniała się w brązowe bajoro. Jeśli deszcz będzie padał dostatecznie długo, woda przeleje się z rowu z mostkiem i ulice napełnią się smrodem końskiego łajna i szczyń pijaków.

Przemoczona do suchej nitki Gwen nie próbowała chować głowy czy obchodzić kałuż. Przeszła przez wodę z chlupotem. Chociaż znalazły się w rozpaczliwej i trudnej sytuacji, czuła się dobrze. Po raz pierwszy szła ulicą Przekorną, nie czując zasysania odpływu. Nie czuła żadnego przymusu poza tym, który sama sobie narzuciła. Mogła pójść, dokąd zechce, i zostać tam tak długo, jak zechce. Z niespodziewanym uśmiechem Gwen weszła w największą kałużę i przeszła przez nią, tupiąc.

Minęła wspólną studnię i podeszła do połamanego wozu. Dixon siedział obok niego z łokciami na kolanach, brodą na dłoniach. Woda spływała mu po twarzy, jakby był rzeźbą w fontannie.

Gwen usiadła obok niego, sadowiąc się w kałużę mętnej wody. Poczekała minutę, patrząc na wóz przed nimi, i wreszcie powiedziała:

– Ładny dzień, żeby pogapić się na wóz.

Dixon obrócił głowę, by na nią spojrzeć i wodospad spłynął mu z ronda kapelusza.

– Też tak sobie pomyślałem.

– Posłuchaj, wiem, że jesteś zajęтым człowiekiem, ale widzisz ten stary budynek? – Wskazała. – Ja i reszta dziewczyn, które

kiedyś pracowały w „Ohydny Łbie”, zamierzamy go odnowić.

– Tak? Obserwowałem was i zastanawiałem się, co kombinujecie. Zamierzasz jakoś go wykorzystać?

– Otworzę burdel.

– Gratuluję.

– Aha, cóż, niedługo siądziemy sobie do kolacji. Może nawet ciepłej, jeśli odzyskamy ciąg w kominie. – Wzruszyła ramionami. – Niewiele tego mamy, sam wiesz, ale jeśli uda nam się rozpalic ogień, to już będzie coś, rozumiesz?

– Zapowiada się uroczo.

– Chciałybyśmy, żebyś do nas dołączył.

– Ja? – zapytał zaskoczony.

– Nie rób sobie nadziei. Nawet chleb jest rozmokły.

– To dziwne, ale właśnie taki chleb najbardziej lubię.

– Czyli przyjdiesz?

Zwiesił głowę, wylewając wodę, która zebrała się na kapeluszu.

– Nie mam pieniędzy, Gwen. W tej chwili, gdybym miał monetę, to rzuciłbym ją, żeby zdecydować, co kupić: jedzenie czy butelkę. A coś mocniejszego wydawałoby mi się sensowniejszym wyborem. Jedzenie tylko przedłuży moje udreki.

– Nie potrzebujemy twoich pieniędzy. Jeszcze nie otworzyłyśmy interesu. Zapraszam cię tylko na posiłek, nic więcej. – Gwen odsunęła z twarzy mokre włosy. – No dobrze, to nie całkiem prawda. Chcę ci zaproponować pracę.

– Jakiego rodzaju?

– Ciężką harówkę. – Nie miała powodu kłamać. – Mamy jeszcze tylko parę monet, ale jeśli uda nam się uporządkować trochę ten budynek, żeby dało się mieszkać w paru pokojach i kupić jakieś łóżka, to powinniśmy zacząć zarabiać. – Gwen zaśmiała się. – Rose chce tę ruinę zamienić w pałac. Wytworny i śliczny jak te pałace przy placu Szlacheckim. Chce nazwać tę ruderę Dom Medford i spodziewa się, że to będzie najlepszy burdel w mieście.

– Mówimy o starej gospodzie, zgadza się? Tej, którą przed chwilą pokazałaś? Co się przechyla jak pijak i próbuje oprzeć na

sąsiedniej karczmie?

– O tej właśnie.

– Wiesz, że będziesz potrzebowała certyfikatu, a one kosztują...

– Już go załatwiłam.

Zdziwił się.

– Załatwiłaś?

– Tak, owszem, drogi panie. – Przyłożyła dłoń do piersi, gdzie przywarła jej do skóry ukryta kopia dokumentu. – Podpisany raptem godzinę temu w biurze miejskiego asesora. – Gwen skinęła głową i uśmiechnęła się. – Teraz to może nie być nic takiego i pewnie nigdy nie będzie tak wspaniałym miejscem, jakby chciała Rose, ale to już coś.

– Do czego mnie potrzebujesz?

– Widziałeś kiedyś Mae?

– To ta mała, co?

– Tak, rozmiarów ptaszyny. A widziałeś kiedyś, żeby ptaszyna przerzuciła sobie zgrubnie ociosaną dębową belkę przez ramię?

– Raczej nie.

– I nie zobaczysz. – Dotknęła jego ramienia. – Do takiej roboty potrzeba wołu.

– Chcesz, żebym pomógł wam wybudować dom?

– Chcę, żebyś pomógł nam wybudować Dom Medford.

Uśmiechnął się do niej.

– Fakt, że nie zdołałem naprawić tego wozu, w ogóle cię nie zniechęca?

– Jeśli spotkasz cieślę gotowego pracować za rozmiękły chleb, to bardzo proszę, skieruj go do nas. Do tego czasu ucieszą mnie po prostu mocne plecy.

– Tyle mam.

– Mogę powiedzieć paniom, że nas odwiedzisz?

Dixon spojrział na wóz, jakby to były zwłoki.

– Jeśli masz kawałek sznura, to wyczyszczę ci komin.

– Mogę załatwić kawałek sznura.

– Nie kupuj go. Pożycz od Henry'ego Rybaka z południowego

nabrzeża. Dzisiaj mu się nie przyda. Powiedz mu, że to dla mnie. Pewnie będzie... – Spojrzał na nią i zarechotał. – Lepiej sam do niego pójde.

– Jak uważasz.

– Lepiej nie wysyłać kobiety o twojej urodzie na drugi koniec miasta do baru pełnego opryskliwych rybaków.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Co?

– Jesteś piękną kobietą.

– Dziękuję.

– Mam na myśli to, że nikt nie powinien mylić cię z mężczyzną.

– Chyba jeszcze nikomu się nie zdarzyło.

– Zachowuj się w ten sposób, a może się zdarzyć. Przed chwilą sam się na tym złapałem.

– To kiepska nowina dla kobiety mojej profesji.

– A jak myślisz, jak ja się z tym czuję? Dostałem pracę i tego samego dnia odkryłem, że jestem ślepy.

– Bylebyś nie był głuchy i głupi.

– Niczego nie obiecuję. Bierzesz mnie takiego, jaki jestem.

– Zgoda.

\* \* \*

Gwen poszła z Dixonem poszukać Henry'ego Rybaka. Pracował na własnej łodzi, zarzucał sieci i pułapki na Galewyrze, a potem sprzedawał połowy do rybnych straganów w porcie rzeczonym. Tam też cumował swoją łódź w czasie niepogody, bo miał stamtąd blisko do tawerny „Trzy Żagle”. Gospoda mogłaby być konkurencją dla „Ohydneho Łba”, gdyby znajdowały się w tej samej dzielnicy czy w tej samej lidze. Trzy Żagle należały do lepszej kategorii, chociaż obsługiwano tam hałaśliwych żeglarzy i rybaków z portu. Ściany, strop, a nawet podłogi były pobielone i najpewniej regularnie przecierane, bo Gwen poczuła zapach ługu po wejściu.

– Właściciel jest emerytowanym kapitanem – wspomniał Dixon,



kiedy weszli do sali udekorowanej kołami sterowymi, takielunkiem i sieciami. – Może lepiej poczekaj na zewnątrz.

– Starasz się uchronić mnie przed zepsuciem panoszącym się w karczmach?

Dixon się uśmiechnął.

– Nie, ale gdybym wszedł tam z tobą, to jakbym podszedł do baru z butelką w ręce. „Żagle” mają własne kobiety.

Gwen poczekała w progu, obserwując tłum. W „Ohydny Łbie” nigdy nie było takiego ruchu, bez względu na pogodę. Nie widziała żadnych znajomych twarzy, choć, rzecz jasna, nie pamiętała wszystkich klientów, których obsługiwała. Poza paroma stałymi bywalcami, większość stanowiła jedynie mgliste wspomnienie. Nieznajomi nocą, których, jak myślała, prędzej rozpoznałaby dotykiem. Niewielu klientów „Ohydny Łba” przychodziło z portu – za daleko trzeba iść, kiedy chce ci się pić, za daleko trzeba wracać, kiedy się upijesz. Znała jednak paru rybaków – oczywiście nie spędzali wieczorów gawędząc o pracy, ale smród ryb był wyraźną wskazówką. Ponadto podobnie się ubierali. Rybacy i pracownicy portowi nosili takie same wełniane uniformy i mieli ręce szorstkie jak papier ścierny.

Jeśli Dom Medford miał odnieść sukces, musiał przyciągnąć klientów spoza Dzielnicy Dolnej, z takich miejsc jak to. Gwen dobrze się orientowała, ile liczył sobie Grue, chociaż starał się to ukryć. Nie ma sensu przyznawać się do małej fortuny, jaką zbijał na ich pracy. Ponadto nie brał takich samych stawek za wszystkie dziewczyny. Gdyby wiedziały o tych różnicach, mogłyby to przysporzyć kłopotów. Właściwie Gwen uznała, że mądrze robił. O Grue można było powiedzieć wiele rzeczy, ale nie że był głupi. Ani też, że odniósł sukces w interesach. Radził sobie, może nawet nienajgorzej, ale zważywszy, że prowadził jedyną karczmę przy Przekornej, mógł zrobić lepszy interes. Nie miała pojęcia, dokąd szły zarobki. Na pewno nie wracały do „Ohydny Łba”, to jedno wiedziała. Grue uznał, że mężczyźni pijący w jego przybytku nie dbają o to, czy podłoga to klepisko, czy marmury. Miał rację, ale

nigdy nie wziął pod uwagę, że posprzątanie karczmy mogłoby przyciągnąć nowych ludzi, klientelę, która dba o takie rzeczy, ponieważ ma pieniądze i stać ją na lepsze lokale.

Gwen odwróciła się i przyjrzała się ulicy. Nabrzeże nad rzeką słynęło jako najżałośniejsze miejsce w mieście, ale zdaniem Gwen nie wyglądało gorzej od ulicy Przekornej. I chociaż rybi smród był niewątpliwie silniejszy niż odór z okolic kładek, to ogólne wrażenie sprawiane przez mieszkańców przekonało Gwen, że nabrzeże nie ustępuje Dzielnicy Dolnej pod względem ubóstwa. Powinna poradzić sobie równie dobrze jak Trzy Żagle.

Ulicą przeszedł mężczyzna z naręczem świeżo pociętych desek. Minęła ją dziewczyna z belą materiału. Ceglarz odstawił pusty koziół do noszenia cegieł obok drzwi, zanim wszedł do środka. To była Dzielnica Rzemieślników. Wszystko, czego Gwen mogła zapragnąć, znajdowało się tutaj – robotnicy do zbudowania jej domu i klientela, która by za to zapłaciła. Potrzebowała tylko rozkręcić interes i potem będzie już z górki.

Dixon wyszedł sam.

– Nie ma go tu?

– Jest. Gdzieindziej miałby być? Nie widzi tylko powodu, żeby wychodzić na deszcz tylko po to, żeby dać mi kawałek liny. Weźmiemy ją od jego pani.

– Jest żonaty?

– Mówię o jego łodzi.

Gwen poszła za Dixonem na drewniane molo. Trzy Żagle znajdowały się raptem dwa budynki od rzeki. Tylko składzik rybny i biuro floty rybackiej dzieliło tawernę od brzegu. Wyobraziła sobie, że w pierwszej kolejności mężczyźni cumują i dostarczają połowy, w drugiej odbierają zapłatę, a na koniec wszystko wydają.

Gwen rzadko miała okazję zobaczyć wielką rzekę i tym razem też jej się nie udało. Łodzie z pojedynczymi i podwójnymi masztami zasłaniały większość widoku. Resztę przesłaniał deszcz. Umocowane do pachołków i knag łodzie kołysały się na wodzie. Większość przykryto napiętym płótnem nieprzemakalnym, a kilka

innych leżało odwróconych do góry dnem na nabrzeżu, ich boje, sieci i wiosła upchnięto pod spód. Na dziobie każdej namalowano imię: *Fortuna*, *Siostra*, *Rozkołysana Beulah*.

– Dlaczego wszystkie łodzie mają kobiece imiona? – spytała.

Dixon wzruszył ramionami.

– Ja nazwałem swój wóz Dolly, po kłaczy, która go ciągnęła. Krzyczałem na nią, żeby się ruszyła i jak stara szkapina zdechła, to dalej tak krzyczałem.

Dixon znalazł łódź Henry'ego, *Loralee*, i pogrzebał pod płachtą. W tym czasie Gwen zapatrzyła się na stoczną w górze rzeki. Widziała wielkie rusztowanie podobne do szafotu z żurawiem wyciągniętym nad łodziami, z którego zwieszał się ogromny wielokrążek. Nawet w deszczu słyszała stukot młotków.

– Wiesz, gdzie są warsztaty cieśli? – spytała, kiedy Dixon wrócił z liną owiniętą wokół ciała jak szarfą.

– Warto poszukać przy ulicy Rzemieślników.

Gwen się uśmiechnęła. Powinna była się domyślić.

Wracali deptakiem, kiedy zobaczyła pierwszą znajomą twarz. Stane piorunową ją wzrokiem z miną psa, który zastał intruza na swoim podwórzu.

– Mnie szukasz? – zapytał, nie zważając na Dixona.

– Nie – odpowiedziała i szła dalej.

Stane złapał ją za nadgarstek.

– Przeszłaś taki kawał drogi, powinnaś przynajmniej się przywitać.

– Puść mnie.

Chciała wyrwać rękę. Jego palce zacisnęły się mocniej.

– Sposób, w jaki odeszłaś, był bardzo niegrzeczny. Przyszłaś przeprosić?

– Chyba jej się nie podoba, to jak ją trzymasz – zauważył Dixon.

– Odpieprz się – warknął Stane, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Gwen.

– Chyba nie rozumiesz – ciągnął Dixon. – Mój koń zdechł rok temu.

Stane po raz pierwszy spojrział na niego zdziwiony.

– I co z tego?

– Ponieważ nie mam już konia, przez cały ostatni rok sam pchałem i ciągnąłem ciężki wóz po ulicach tego miasta.

– A co mnie to obchodzi?

– Ponieważ nie jesteś nawet w przybliżeniu równie ciężki, mógłby niechcący coś ci złamać, kiedy wrzucę cię do rzeki. – Dixon złapał go za rękę, którą trzymał Gwen, a Stane skrzywił się i ją puścił.

Dixon pchnął go z dużą siłą na ścianę rybnego składziku.

– Mam mnóstwo kumpli, którzy pracują w tej okolicy – powiedział Stane. – Nie wracałbym tu na twoim miejscu.

– A ja na twoim miejscu unikałbym Dzielnicy Dolnej, bo nie lubię mężczyzn, którzy krzywdzą kobiety i nie potrzebuję mnóstwa kumpli.

Dixon trzymał się między Stane'em i Gwen, dopóki nie wrócili na ulicę.

– Dziękuję – powiedziała Gwen – ale powinieneś uważać. To on zabił Avon.

Dixon przystanął. Twarz mu poczerwieniała. Odwrócił się.

– Nie – powiedziała, kładąc dłoń na jego rękę.

– To dlatego odeszłyście?

– Wrócił po nas, a Grue nie miał nic przeciwko.

– Ja bym miał.

Gwen uśmiechnęła się i wzięła go za rękę.

– Moje gratulacje, jesteś pierwszy. – Znowu ruszyła, ale Dixon wahał się i nadal się oglądał.

– Zostaw go. Już nie stanowi zagrożenia.

– Jeśli jeszcze raz cię zaczepi, to już nic z niego nie zostanie.

Powlekli się w deszczu na ulicę Rzemieślników. Każda dzielnica ma lepsze i gorsze okolice, a kwartał przy wejściu do Dzielnic Dolnej był rzemieślniczym odpowiednikiem ulicy Przekornej. Był to rząd wąskich piętrowych warsztatów tak małych, że większość prac wykonywano na ulicy. Zwykle panował tam ścisk,

ludzie musieli kluczyć między stołami warsztatowymi, krosnami i stojakami, ale z powodu deszczu wszyscy zostali pod dachem, gdzie najwyraźniej niewiele się działo.

Szydł na jednym z budynków głosił „Bracia Williams, Budowniczości”. Pod słowami znajdował się młot i piła.

– Co ty na to? – zapytała Dixona.

– Chyba równie dobrzy jak inni.

Skinęła głową i przystanęła pod okapem ganku, żeby wyjąć wodę z włosów i spódnicy, zanim weszła. Przyciągnęła wiele spojrzeń. Deszcz uniemożliwiał mężczyznom pracę, więc wielu stało, siedziało albo krążyło w środku, gdzie wałały się trociny i narzędzia ciesielskie. Podeszła do kontuaru, wyprostowała się, żeby spojrzeć mężczyźnie, który tam siedział, prosto w oczy i powiedziała:

– Chcę wynająć pana do budowy domu na końcu ulicy Przekornej w Dzielnicy Dolnej.

Nikt nie odezwał się słowem.

– Dama do ciebie mówi – warknął basowo Dixon.

– Nie ma tu żadnej damy, przyjacielu – odpowiedział siedzący na stołku mężczyzna.

Był to chudy blondyn w skórzanym fartuchu z kawałkiem grafitu za prawym uchem.

– Ani żadnego przyjaciela – odpowiedział Dixon.

Gwen wyjęła małą sakiewkę spomiędzy piersi, wyłowila ostatnią złotą monetę i pokazała.

– Ile za to dostanę?

Mężczyzna wstał ze stołka i wziął od niej monetę. Zadrapał ją paznokciem kciuka. Uniósł brwi. Tym razem odezwał się głośniejszym i bardziej piskliwym głosem:

– To zależy od ceny drewna. Czego pani szuka?

– Chcę wybudować dom jak ten naprzeciwko biura asesora przy placu Szlacheckim na fundamencie ruiny, która stoi obecnie na końcu ulicy Przekornej. Chcę mieć piętro, mnóstwo sypialni i rozległy salon, bawialnię i... i mały gabinet, tak, gabinet na

parterze. Ach, i chcę mieć werandę wzdłuż całego frontu i boków z elegancką balustradą.

Cieśla popatrzył na nią osłupiały, jakby napiła się farby.

– Na to potrzeba będzie znacznie więcej pieniędzy.

– Sama się domyśliłam. Na razie wystarczy mi pokój.

– Pokój?

– Wybuduj mi jeden pokój w tej ruinie, tylko cztery ściany i drzwi. Ach, i napraw dach, żeby nie przeciekał. Możesz wykorzystać to, co uda się ocalić z rudery. Dasz radę zrobić to za tę monetę?

Mężczyzna popatrzyła na złoto, pomyślał chwilę, a potem skinął głową.

– Świetnie. Zrób to, a będziemy mogły zacząć zarabiać. Jak napłyną pieniądze, wezmę cię do dalszych robót. Umowa stoi?

– Ty jesteś tą caliską dziwką? Tą, co pracuje w „Ohydny Łbie”?

– Byłam.

– Byłaś czym? Mieszkanką Calisu czy dziwką?

Dixon zrobił krok naprzód, ale Gwen powstrzymała go dotknięciem ręki.

– Jednym i drugim. Teraz jestem z Medfordu i prowadzę własny interes.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Jaki interes?

– Dom Medford, najlepszy burdel w mieście.

– Pierwsze słyszę.

– Dziwne, zważywszy, że to ty budujesz ten burdel.

# Rozdział 9

## *Profesor*

Hadrian spędził pięć dni w Colnorze, a deszcz nie ustawał. Większość czasu przespał. Pozostały spędził włócząc się ulicami, odwiedzając zajazdy i szynki w poszukiwaniu znajomej zakapturzonej głowy. Nigdzie nie znalazł mężczyzny, a za to wszędzie widział twarz Vivian. Niemalże wszystko, co wydarzyło się w jego podróży od opuszczenia Vernesu, zostało wymazane. Gdyby nie koń, uznałby, że to był jakiś koszmar. Kiedy pogoda wreszcie się poprawiła, z radością wyruszył w drogę. Chciał oddalić się od upiornej przygody, chciał, aby więcej mil dzieliło go od kolejnych duchów.

Miał nowego wierzchowca – wymienił ciężką kobyłę pociągową na ładna klaczkę imieniem Tancerka z dwiema białymi skarpetkami na tylnych nogach i białą gwiazdką na czole. Kupił też nowe ubrania – wełnę i skórę, rzeczy solidne i ciepłe. Deszcz bardzo szybko sprawił, że wydawały się Hadrianowi starymi przyjaciółmi. Dwa dni podróżował z kapturem naciągniętym na spuszczoną głowę, ale ani razu nie opuściło go niepokojące wrażenie.

Zostawiwszy miasto daleko za sobą wjechał na ziemie uprawne z kolorowo pomalowanymi stodołami, które coraz bardziej blakły i szarzały, im dalej na północ docierał. Wkrótce stodoły zniknęły, tak samo jak pola i trzeciego ranka Hadrian znalazł się w gęstym

lesie. Sklepiiony szpaler dębów wytarganych przez kolejną burzę zrzucił na drogę liściasty kobierzec czerwieni i złota. Duże liście, barwne i piękne na tle czarnego błota. Deszcz zawsze wydobywał najpiękniejsze kolory. Pnie i gałęzie stały się czarne jak atrament, a w innej porze mdłe liście były żółte jak złoto i czerwone jak krew.

Hadrian zatrzymał konia i poczekał. Był sam, a miał inne wrażenie.

Powietrze było nieruchome. Hadrian słyszał bębnienie wody kapiącej z drzew, głęboki oddech wierzchowca, brzęk uzdy, kiedy klacz potrząsała łbem. Nie podobało jej się, że przystanęli, ona też się denerwowała.

W taki sposób zawsze zaczynały się straszne rzeczy w opowieściach snutych przy ogniskach i małych stolikach w gospodach. Młody mężczyzna wjechał głęboko w las. Znalazł się sam pośród znieruchomiałej szarości, słyszał tylko kapanie wody, szelest liści i nagle... Setka rzeczy mogła się potem wydarzyć. Mężczyzna mógł zobaczyć światelko między drzewami i ruszyć ku swemu straszliwemu przeznaczeniu albo usłyszeć hałas zdradzający, że podkrada się do niego jakieś stworzenie.

– Myślisz, że zwariowałem, co? – zagadnął Tancerkę. – Zapytaj szeryfa Maleta z Colnory, to ci przytaknie.

Szturchnął ją lekko i klacz znowu ruszyła przed siebie. W tej samej chwili Hadrian dostrzegł jakiś ruch. Nie spadający liść – coś dużego, ciemnego, co poruszało się za kolorowymi liśćmi. Odwrócił się i spojrzał. Zobaczył tylko liście.

– Widziałaś to? – szepnął.

Klacz dalej stąpała ciężko przed siebie.

Hadrian nie spuszczał oka z tamtego miejsca, ale niczego nie zauważył. Wkrótce za daleko odjechał drogą, żeby to miało jakieś znaczenie, ale nadal zerkał nerwowo przez ramię. W opowieściach prześladowcą byłby pół-człowiek, pół-wilk, troll albo duch. A gdyby to była jedna z historii Packera, byłby to goblin w kamizelce i cylindrze. Chociaż jego wyobraźnia potrafiła przywołać wiele możliwości, Hadrian wiedział przynajmniej, że to nie jest goblin.



Może rozbójnik? Samotny jeździec taki jak on, w nowych ubraniach i z nowym rzędem, stanowiłby kuszący cel. Hadrian jechał dalej, rozglądając się po lesie i nadstawiając ucha, ale niczego nie wychwytał.

Nieliczne wiadomości z geografii, jakie Hadrian zachował z wieczorów przy palenisku z Packerem, kończyły się zasadniczo na Colnorze, tak samo jak jego własne podróże w czasie służby wojskowej. Nadal znajdował się w Warric, nadal w królestwie Ethelreda, chociaż blisko jego północnego krańca. Sheridan znajdował się na północ od Warric, tyle Hadrian wiedział. Gdzieś na drodze, ale jak daleko, nie bardzo się orientował i nie był pewien, czy znajdzie po drodze jakieś drogowskazy do szkoły. Minął kilka ścieżek, które zignorował, zgadując, że uniwersytet będzie znajdował się przy najczęściej używanej drodze. Jedyna rzecz dalej na północ od Sheridanu, o jakiej Packer kiedykolwiek wspomniał, to ziemie Trentu. Stary druciarz opisał je jako górskie królestwo założone przez agresywny lud. Hadrian wątpił, żeby ominął uniwersytet i zapędził się za daleko, ale zdarzało mu się robić głupsze rzeczy.

Przed południem wjechał do małej wioski o prostych krytych strzechą chatach, krętych płotkach i oczyszczonych z kamieni polach. Nie widać było w mżawce żadnych mieszkańców. Zastanawiał się, czy nie zapukać do drzwi domu, z którego komina unosił się dym, kiedy zobaczył człowieka pchającego ręczny wózek z gnojem.

– Co to za wioska?

Wieśniak powoli podniósł głowę, jakby jego głowa ważyła więcej niż u zwykłych ludzi. Hadrian rozpoznał ten znak w mowie gestów. Często natykał się na niego; zwykle towarzyszył mu dobrze uzbrojony oddział. Strach. Reakcja wieśniaka była równie odruchowa jak ucieczka spłoszonej łani i Hadrian był przekonany, że gdyby mężczyzna i wózek mogli śmignąć z prędkością jelenia, to już by ich nie było. Hadrian zaciągnął się do wielu armii i żadna nie zastanawiała by się, czy ma prawo zająć taką wioskę. Dowódca

wzięłyby najlepszy dom na swoją kwaterę. Inne oddałyby adiutantom, kazałyby wypędzić poprzednich właścicieli pod gołę niebo, zabrałyby im nawet pościel. Ładnym córkom pozwolono by zostać. Gdyby ojciec się sprzeciwił, może zebrałyby tylko lanie – jeśli dowódca miałby dobry humor. Niestety dowódcy wojskowi rzadko bywali w dobrym humorze. Hadrian nie przypomniał sobie, czy kiedyś zatrzymywał się w tej konkretnej wiosce. Wszystkie wyglądały podobnie, tak samo jak pola bitewne zlały się w jedną pozbawioną znaczenia masę w jego umyśle. Mimo wszystko strach to trudna lekcja i Hadrian zgadywał, że ten człowiek widział lub odczuł już ból, jaki przywożą ze sobą konni.

Zsiadł z konia i zapytał łagodniej:

– Proszę o wybaczenie, nie chciałem pana przestraszyć. Tylko przejeżdżam tędy i miałem nadzieję, że wskaże mi pan drogę.

Mężczyzna zerknął ukradkiem na jego twarz.

Hadrian się uśmiechnął.

Wieśniak odwzajemnił uśmiech.

– Windham.

– To nazwa wioski, czy pańskie nazwisko?

Mężczyzna się zakłopotał.

– Wioski, panie. Ja nazywam się Pratt.

– Miło pana poznać, panie Pratt. A co to za rzeka?

– Galewyr, panie.

– Czyli co to za królestwo?

– Znajdujemy się w prowincji Chadwick, w królestwie Warric.

– Czyli nadal w Avrynie?

Mężczyzna zrobił zdziwioną minę.

– Ależ oczywiście, panie. Chociaż na drugim brzegu zaczyna się królestwo Melengar.

– Nadal w Avrynie?

– Tak, panie.

Mężczyzna oparł wózek i otarł twarz rękawem.

– Wybiera się pan do Trentu?

– Nie, do Sheridanu. Jestem jednak w drodze już kilka dni

i myślałem, że zajechałem za daleko.

– Do Sheridanu? Och, nie, panie. Jeszcze przed panem pół dnia drogi.

Hadrian spojrział na przeciekające szare niebo.

– Cudownie. Możesz mi coś powiedzieć o drodze przede mną?

– Nigdy nie przekraczam rzeki.

– Panuje jakaś wrogość między ludźmi na obu brzegach?

– Och, nie, Ethelred i Amrath od lat są spokojnymi sąsiadami. Odkąd tu mieszkam, nie było straży na Moście Wjazdowym, a mieszkam tu całe życie. Nigdy jednak nie miałem okazji przejść na drugą stronę. Bib Garncarz, o, ten tam był. Sprzedaje swoje garnki w mieście Medford. Chodzi tam dwa razy do roku, o tak. To królewska siedziba Melengarów. W górę rzeki, tamtędy. – Wskazał drugi brzeg rzeki i nieco na lewo od mostu. Hadrian widział tylko niewyraźne szare kształty przesłonięte przez zasłonę deszczu. – W pogodną zimową noc, gdy już nie ma liści, widać światła zamku Essendonów, a w zimonaliowy ranek słyszeć dzwony katedry Mares. Bib przynosi z powrotem sól i kolorowe ubrania, a raz wrócił nawet z żoną. Ładna dziewczyna, ale... – wieśniak zniżył głos – ...potwornie leniwa. Nie może jej zmusić do przygotowania posiłku, co właściwie nie jest najgorsze, bo taka z niej kucharka jak z koziego zadka trąba. Dom Biba wygląda teraz jak rudera.

– Czyli wiesz, którędy mam iść, żeby dostać się do Sheridanu?

– Oczywiście. Nigdy tam nie byłem, ale mnóstwo ludzi przechodzi tędy w obie strony, z i do Sheridanu. Rozmawiałem z paroma. Niewielu jest tak miłych jak pan, ale z paroma rozmawiałem. Wygląda na to, że droga rozdziela się tuż za rzeką. Bib mówi, że nie ma żadnego drogowskazu ani nic takiego, ale na lewo idzie się do Medfordu, Traktem Króla. A pan powinien się trzymać prawej drogi, minąć Wschodnią Marchię, potem Wysokie Łęgi. Bib nigdy tamtędy nie szedł, on chodzi tylko do Medfordu, ale inni mówią, że szkoła jest niedaleko Łęgów, kawałek na wschód.

– Dziękuję bardzo... Pratt, zgadza się?

– Tak, panie. Skąd pan jedzie?

– Z Colnory.

– Słyszałem o tym miejscu. Mówią, że to wielkie miasto. Nie bardzo wiem, czemu ludzie chcą tak mieszkać na kupie, jeden obok drugiego. To wbrew naturze. I tacy właśnie ludzie przychodzą tutaj, kiedy chcą uciec przed gniewem Maribora. Tak to było, kiedy sześć lat temu przysłała zaraza. Mnóstwo porządnych ludzi pomarło i to oni ją przywlekli. Gdyby nie Merton z Fallon Mire, to pewnie wszyscy bylibyśmy martwi. Jak się tam żyje?

– Dziwnie, Pratt. To mokre i dziwne miejsce.

\* \* \*

Przed wieczorem słońce zdołało wyciąć parę dziur w chmurach i ukośnie snopy światła wlały się do Doliny Sheridanu, kiedy Hadrian nadjechał. Ten zesłany przez Maribora widok dodał Hadrianowi nadziei na odmianę jego losu, ale nie wyczekiwał tej zmiany ze wstrzymanym oddechem.

Hadriana prześladował pech, odkąd otrzymał list. To, że wiadomość dotarła do niego w dziczy na wschodzie, było prawdziwym cudem... albo przekleństwem. Nadal nie mógł się zdecydować. Przebywał w głębi terytorium Calisu, w mieście Mandalin, gdzie zawsze była najlepsza publika, na wielkiej arenie z białymi wieżami. Miał trzy walki tego wieczoru, ale pamiętał tylko ostatnią. Może czułby to samo, nawet gdyby nie przeczytał listu. Chciał tak myśleć, żeby odzyskać część szacunku dla siebie, zmniejszyć wyrzuty sumienia. Myśl, że ojciec musiał umrzeć, żeby on rzucił walki, sugerowała powiązanie i sprawiała, że czuł się winny. Była irracjonalna, ale czasem takie myśli były najlepsze. Nie był odpowiedzialny, ale nie był też niewinny.

Wskazówki Pratta okazały się precyzyjne i kiedy tylko Hadrian dostrzegł dzwonnice na wschodzie, uznał, że znalazł cel swojej podróży. Nie widział dotąd milszej doliny. Budynki uniwersyteckie otaczały cienisty dziedziniec niczym kamienne monolity w dżungli

Gur Em. Tamte plemienne świątynie spowijała taka sama mistyczna aura świętości i zarazem zagadkowości, tyle że zabudowania uniwersytetu były zwyczajnie znacznie większe. Pośrodku stał ogromny posąg przedstawiający mężczyznę, który w jednej ręce trzymał książkę, a w drugiej miecz. Hadrian nie miał pojęcia, kto to może być, możliwe, że założyciel szkoły. Może to w ogóle nie był posąg, ale olbrzym, który wzniósł gigantyczne budynki, a potem w jakiś sposób skamieniał. To by przynajmniej tłumaczyło obecność kamiennych gmachów. Hadrian nie widział żadnych odsłoniętych skał w odległości wielu mil, a byłoby potrzeba dziesięciu ciężkich koni i nasmarowanych tłuszczem sani, żeby przesunąć jeden taki kamienny blok, nie mówiąc już o wysokim na cztery piętra stosie. Jeśli nie wzniósł ich olbrzym, to Hadrian nie wiedział, jak inaczej wyjaśnić istnienie tych budynków.

Kiedy wszedł do kręgu gmachów, zobaczył dziesiątki młodzieńców w togach. Szli chodnikami, uważając, by nie zamoczyć sobie rąbków szat w kałużach. Paru przystanęło i spojrzało w jego stronę, przez co Hadrian zakłopotał się, bo nie miał pojęcia, dokąd pójść. Spodziewał się, że uniwersytet będzie pojedynczym budynkiem, najpewniej z jednym pomieszczeniem, do którego drzwi mógłby po prostu zapukać i zapytać o profesora. A znalazł coś, co wyglądało jak sporawe miasteczko.

Doszedł do ławki, zsiadł z konia i przywiązał Tancerkę do poręczy.

– Zamierzasz rozpocząć tu studia? – zapytał jeden ze starszych chłopców, taksując go wzrokiem.

Widząc zmarszczony nos chłopaka, Hadrian uznał, że tamten nie pochwalałby takiej decyzji. Młodziak przemawiał dość wyniośle jak na kogoś tak młodego, drobnego i nieuzbrojonego.

– Przyjechałem zobaczyć się z człowiekiem imieniem Arcadius.

– Profesor Arcadius jest w Gmachu Glena.

– A który to...? – Hadrian podniósł wzrok na budynki z kolumnadami, które wydawały się jeszcze wyższe, kiedy już

zsiadł z konia.

– Ten duży – odpowiedział chłopak.

Hadrian omal nie zarechotał, zastanawiając się, które budynki młodzik uważał za małe.

Student wskazał gmach z dzwonnica.

– Ach... Dzięki.

– Nie odpowiedziałeś mi. Czy spodziewasz się wstąpić na uniwersytet?

– Też coś, już skończyłem naukę.

Młody człowiek był zaszokowany.

– W Sheridanie?

Hadrian pokręcił głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W innej szkole. Łatwiej się do niej dostać, ale nauka tam jest dosłownie mordercza. Ej, popilnuj mi konia, dobrze? Tylko uważaj, bo gryzie.

Zostawił chłopaka i pozostałą oszołomioną trójkę obok ławki. Poszedł do wielkich drzwi Gmachu Glena odprowadzany przez nich spojrzeniami.

Wewnątrz architektura nie przestała go zdumiewać. Hadrian większość czasu po opuszczeniu Hintindaru spędził w obozach wojskowych. Jego otoczenie ograniczało się do namiotów i ognisk, lasów i pól. Widział parę zamków, zwykle atakując ich mury, ale niewiele zapamiętał. Setka mężczyzn wymachujących naostrzoną stalą i wystrzeliwujących strzały utrudniała zauważanie subtelnych niuansów w obróbce kamienia i rzeźbień w drewnie. Najbliższym odpowiednikiem tego, co tu ujrzał, były areny – te, na których walczył pod koniec, kiedy już opuścił dżunglę. Wspaniałe amfiteatry ze zstępującymi poziomami wypełnionymi tupiącymi stopami i klaszczącymi dłońmi. Skala była zbliżona, ale areny nie miały nic z jakości tutejszych budowli. W Gmachu Glena Hadrian miał wrażenie, że powinien zdjąć buty.

Sklepienie wznosiło się na trzy kondygnacje nad wejściem. Wisiał tam żyrandol z dwoma tuzinami świec, które płonęły niepotrzebnie, gdyż z wysokich okien na marmur padały jasne

promienie. Głosy niosły się echem w dół od strony wielkich schodów, które były dostatecznie szerokie, żeby mogło po nich iść pięciu mężczyzn ramię w ramię. Hadrian przeszedł po wypolerowanej posadzce ze skrzypieniem butów, zerkając zza rogów. Jediną twarzą, jaką ujrzał, było oblicze starszego mężczyzny przedstawionego na obrazie tak wysokim jak Hadrian. Przystanął, zastanawiając się, jak człowiek zabiera się do malowania portretu takich rozmiarów.

Dzwon na wieży zaczął dzwonić, wyrywając gmach z atmosfery zadumy, kiedy wypełniły go podniecone głosy i szuranie stóp. Grupa młodych mężczyzn przewaliła się w dół schodów. Togi najróżniejszych odcieni wylały się frontowymi drzwiami albo odpłynęły w boczne korytarze. Hadrian przywarł do ściany, jakby pędzące w popłochu niebezpieczne stado zaskoczyło go w wąwozie.

– Nie, to nie tak. Profesor Arcadius powiedział, że Gwiazda Zaranna to był lśniący klejnot – powiedział jeden z chłopców.

Albo był wysoki jak na swój wiek, albo był jednym z najstarszych.

– To była magnezja – odpowiedział chłopak idący obok niego i przyciskający książkę do piersi.

Był niższy i smukły jak wierzbowy witek. Hadrian omal nie wziął go za dziewczynę.

– Nie sądzę.

– Założysz się? – Chłopiec z książką złapał drugiego za rękę i reszta tłumu zaczęła opływać ich z obu stron. – Przejmiesz moje obowiązki na miesiąc?

– Jestem synem barona. Nie mogę szorować podłóg.

– Pewnie, że możesz. Nauczę cię. Nawet syn barona może nauczyć się szorować podłogi.

Syn barona uśmiechnął się z wyższością.

– W porządku, Angdon, to co powiesz na wymianę posiłków przez miesiąc?

– Oszalałeś?

– To nie trucizna.

– Dla mnie by była. Nie wiem, jak możesz jeść te pomyje.

– Boisz się, bo wiesz, że mam rację.

Syn barona pchnął drugiego chłopaka na podłogę i stanął nad nim, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Niczego się nie boję. Lepiej to sobie zapamiętaj.

Odwrócił się zdecydowanie, zamierzając odejść. Udałoby mu się to, gdyby Hadrian nie stanął mu na drodze. Angdon, syn barona, wszedł prosto na niego.

– Uważaj, jak idziesz, ciołku!

– Nie, przepraszam, moje imię brzmi Hadrian.

Wyciągnął dłoń z uśmiechem.

Angdon spiorunował go wzrokiem.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś. Odejdź.

– Z przyjemnością. Możesz mi wskazać, jak dojść do gabinetu profesora Arcadiusa?

– Nie jestem twoją osobistą asystą.

Hadrian dostrzegł gniew w oczach chłopaka. Dzieciak był wściekły, ale Hadrian był starszy i wyższy. Angdon zauważył także miecze i był bystrzejszy niż chłopak z dziedzińca, ponieważ postanowił nie naciskać.

– To była Gwiazda Zaranna! – zawołał przez ramię Angdon na odchodnym.

– Magnezja – mruknął drugi chłopak.

– Twój przyjaciel? – zapytał Hadrian, podając mu rękę i pomagając mu wstać.

– Angdon to arystokrata – wyjaśnił młodzik.

– A ty nie?

Chłopiec spojrzał zaskoczony.

– Żartujesz sobie? Jestem synem kupca. Jedwabie, satyny i aksamity, które – strzepnął materiał szaty ze zmartwioną miną – które teraz są brudne.

– Hadrian. – Znowu wyciągnął rękę.

– Bartholomew. – Chłopiec uściśnął mu dłoń, odpuszczając sobie otrzepywanie szaty. – Mogę ci pokazać, gdzie jest pokój profesora,



jeśli chcesz.

– To będzie okropnie miłe z twojej strony.

– Nie ma sprawy. Tędy.

Bartholomew pokłusował schodami w górę, wskakując po dwa stopnie. Kiedy dotarli na pierwsze piętro, skręcił w jeden korytarz, potem w drugi i przystanął przed drzwiami na końcu. Zapukał pięścią.

– Gość do pana, profesorze.

Po krótkiej przerwie drzwi otworzyły się do środka, ukazując twarz starszego człowieka o siwej brodzie i w okularach. To, co Hadrian wiedział o Arcadiusie, ograniczało się do wspomnień z dzieciństwa na temat nieznanego, który z rzadka odwiedzał ojca. Pojawiał się nieoczekiwanie, zatrzymywał się na kilka dni, a potem odchodził, często bez słowa pożegnania. Robił magiczne sztuczki ku uciechu dzieciaków ze wsi, sprawiał, że kwiatki znikwały, a świece zapalały się, gdy machnął ręką. Raz oznajmił, że przywołał deszcz, chociaż tego dnia było dość pochmurno. Hadrian zawsze lubił starszaka, który mówił łagodniej i był bardziej przyjazny niż jego własny ojciec. Kiedy Hadrian miał sześć lat, tuż po śmierci jego matki, Arcadius odwiedził ich po raz ostatni. On i Danbury rozmawiali do późnej nocy. Nigdy potem nie wrócił, a ojciec nigdy o nim nie wspominał.

Hadrian wszedł do pokoju.

– Dzień dobry, jestem...

Arcadius uniósł rękę, powstrzymując go, a potem pogłaskał brodę, przesuwając językiem po zębach.

– Rzecz w tym, że my starzy nie zmieniamy się tak bardzo jak młodzi. Starzejmy się stopniowo, przybywa nam kolejnych słoików jak drzewom, tu nowa zmarszczka, tam odrobina mniej koloru, a młodzi przechodzą metamorfozę jak gąsieniczki zmieniające się w motyle. W ciągu jednej nocy stają się całkiem nowymi ludźmi. – Skinął głową, uśmiechając się szerzej. – Hadrianie Blackwater, ależ wyrosłeś. – Odwrócił się do chłopca. – Dziękuję ci, Bartholomew. Och, i to była Gwiazda Zaranna, ale biała, nie

czerwona.

Chłopak patrzył na niego zaszokowany.

– Ale...

– Zmykaj! – Ponaglił go profesor. – Wchodząc, zamknij drzwi, proszę, Hadrianie, dobrze?

Hadrian zrobił krok i zamarł. Słowo bałagan ledwie opisywało wnętrze gabinetu, który wyglądał jakby wcielony chaos zamknięto za drzwiami. Był to magazyn osobliwości, ale przede wszystkim pokój wypełniały książki. Hadrian nigdy nie widział ich tak wielu zgromadzonych w jednym miejscu. Półki sięgały sufitu, a każda była zastawiona. Jeszcze więcej książek stało w stosach wysokich jak kolumny, które chwiały się i kołysały. Wiele się przewróciło i tomy leżały rozrzucone na podłodze, jakby to były pozostałości jakichś starożytnych ruin. Skały, kamienie, pióra i suszone rośliny zostały poutykane w każdej widocznej szczelinie. Stare gniazdo oswisało w kącie nad klatką z rodziną oposów. Były tam także inne klatki z ptakami, gryzoniami i gadami. Pokój rozbrzmiewał krakaniem, ćwierkaniem i świergotem.

Hadrian nie zauważył, jaką drogę obrał Arcadius, i musiał sam ocenić, którądy najlepiej przebrnąć przez to morze odpadków. Stawiając ostrożnie stopy, dołączył do starca, który usiadł na wysokim stołku przy małym drewnianym biurku.

Arcadius zdjął okulary i zaczął polerować soczewki szmatką, która mogła być skarpetką.

– Zatem otrzymałeś mój list?

– Nie jestem pewien jakim cudem. Byłem w Mandalinie, w Calisie.

– Ach... starożytna stolica wschodniego imperium. Jak się trzyma? Rozumiem, że nadal stoi.

– Częściowo.

– A odpowiadając na twoje pytanie, wysłałem Tribiana DeVole, żeby cię odnalazł i przekazał mój list. Ten człowiek jest niemal tak wytrzymały jak wartownik, a ponieważ urodził się na wschodzie, dobrze zna tę krainę.

- Nadal nie wiem, jak zdołał znaleźć mnie i skąd w ogóle pan wiedział, że jestem w Calisie.
- Magia.
- Magia?
- Ojciec nie mówił ci, że jestem czarnoksiężnikiem?
- Ojciec nigdy o panu nie mówił.
- Arcadius otworzył usta, zawahał się i skinął głową.
- Tak, rozumiem.
- Chuchnął na drugą soczewkę i zaczął ją pocierać szmatką.
- Skoro potrafi pan czarować, to czemu nie poprawi pan sobie wzroku?
- Właśnie to robię. – Arcadius założył okulary. – O, proszę, od razu lepiej.
- To nie jest prawdziwa magia.
- Nie? Gdybym wystrzelił strzałę i zabił Phineasa, żabę w tej klatce za tobą, to byłaby magia?
- Nie.
- A gdybym pstryknął palcami i biedny Phineas padłby trupem, to byłaby magia, zgadza się?
- Chyba tak.
- A co to za różnica?
- Ludzie zwykle nie zabijają żab pstryknięciem palców.
- Prawie dobrze. Prawidłowa odpowiedź brzmi, że jest to magia, ponieważ nie wiesz, w jaki sposób zabiłem żabę. Gdybyś wiedział, że otrułem żalostnego małego Phineasa na chwilę przed twoim wejściem, czy to nadal byłaby magia?
- Nie.
- A teraz pozwól, że cię zapytam... W jaki sposób noszenie okularów sprawia, że widzę wyraźniej?
- Nie wiem.
- Magia! – Starzec uśmiechnął się promiennie, patrząc sponad okularów. – Widzisz, w miarę jak się starzeję, mam coraz więcej kłopotów z widzeniem. Świat się nie zmienił, moje oczy owszem. Zauważywszy, że szkło wyostrza widzenie, zdołałem stworzyć te

kawałki szkła, które pomagają moim oczom wzmocnić wzrok. Oto czym jest magia. Obserwacje połączone z logiką, wiedzą i rozumowaniem umożliwiają czarnoksiężnikowi takiemu jak ja zrozumienie natury. To pozwala mi ujarzmić jej moce. – Profesor podniósł wzrok, jakby nasłuchiwał. – Spokojnie, Phineasie, wcale cię nie otrujęm.

Hadrian odwrócił się. Rzeczywiście w klatce za nim znajdowała się żaba. Kiedy znowu usiadł prosto, Arcadius był zajęty poprawianiem stołka.

– W twoim przypadku – ciągnął – wystarczyło przyłożyć ucho do ziemi i nasłuchiwać wieści o wielkim wojowniku. Znam rodzaj szkolenia, jakie zapewnił ci ojciec. Poinformował mnie również o twoich zamiarach po tym, jak opuściłeś Hintindar. Razem te skrawki informacji gwarantowały, że do tej pory zdobędziesz sławę. Określenie miejsca twojego pobytu było łatwe.

Hadrian skinął głową, czując się głupio, że pytał.

– Chcę podziękować za powiadomienie mnie i zajęcie się sprawami ojca podczas mojej nieobecności. Cieszę się, że miał kogoś, na kogo mógł liczyć, zwłaszcza że przestał pan nas odwiedzać.

– Twój ojciec i ja byliśmy starymi przyjaciółmi. Poznałem go na długo przed twoimi narodzinami, mniej więcej w tym czasie, kiedy osiedlił się w Hintindarze. Często go w tamtych czasach odwiedzałem, ale lata i nasz wiek zaczęły to utrudniać. Ciężko jest pokonywać znaczne odległości, kiedy przejście korytarzem stanowi wyzwanie. Tak to bywa... Czas upływa niepostrzeżenie.

– Jak usłyszał pan o jego śmierci?

– Odwiedziłem go w zeszłym roku i wspominaliśmy nasze dawne czasy. Był bardzo chory i wiedziałem, że zostało mu niewiele czasu, więc poprosiłem, żeby powiadomiono mnie o zmianie jego stanu.

– Wrócił pan wtedy do Hintindaru?

– Nie i wątpię, żebym to jeszcze kiedyś zrobił.

– Jednak pisał pan, że ma mi do przekazania rzeczy po ojcu.

– Jedną rzecz, ściśle mówiąc. Ostatnim razem, kiedy odwiedziłem Danbury’ego, polecił mi oddać ją tobie.

Widząc stan gabinetu, Hadrian wątpił, czy są jakieś szanse na odnalezienie jego pamiątki rodzinnej, o ile jest mniejsza od psa. Podniósł wzrok i zauważył sowę siedzącą na poręczy balkonu na pierwszym piętrze, przypadkową kolekcję książek i kufrów oraz niemal kompletny ludzki szkielet, który zwieszał się z vasarskiej włóczni wbitej w ścianę.

Arcadius uśmiechnął się i zdjął z szyi łańcuszek z amuletem. Hadrian znał ten medalion. Ojciec nosił go codziennie przez całe życie, nawet kiedy spał albo się kąpał. Amulet stanowił tak integralną część ojca, że kiedy teraz Hadrian go zobaczył, czuł się, jakby patrzył na palec odcięty od dłoni. Wszelkie jego fantazje, że ojciec może nadal żyć, rozpadły się i przez chwilę znowu widział zakrwawionego tygrysa, jak bierze ostatni wdech, a w jego wciąż otwartych oczach maluje się jedno pytanie: „Dlaczego?”.

– Chciałbyś usiąść? – zaproponował łagodnym głosem Arcadius.  
– Myślę, że gdzieś tu jest drugie krzesło. Tak naprawdę powinno być ich pięć. Chyba możesz usiąść na moim stołku. I tak za dużo siedzę.

Hadrian otarł oczy.

– Nic mi nie jest.

Arcadius podsunął mu skarpetkę, ale Hadrian pokręcił głową.

– Mówił o mnie?

Arcadius, który już wstał, znowu usiadł. Położył łańcuszek na stosie rupieci przed Hadrianem.

– Powiedział mi o twoim wyjeździe. Coś o sporze między wami, ale nie rozwodził się, a ja nie naciskałem.

– Nazwałem go tchórzem. To była najgorsza rzecz, jaką potrafiłem wymyślić, i ostatnia, jaką mu powiedziałem.

– Nie przejmowałbym się tym zbytnio. Słyszał gorsze wyzwiska.

– Jednak nie z ust syna. Nie z ust jedynej osoby, jaka została mu na tym świecie. – Hadrian pochylił głowę nad biurkiem i medalionem. Srebrny krążek był odrobinę większy od monety

i składał się z pierścienia poskręcanych węzłów. – Skąd to miał? Matka mu to dała?

– Nie, podejrzewam, że to pamiątka rodzinna przekazywana z pokolenia na pokolenie. To bardzo cenna rzecz. Twój ojciec prosił, żebym powiedział ci to, co jemu powiedział jego ojciec: że powinieneś zawsze go nosić, nie wolno ci go nigdy sprzedać i że masz oddać go swojemu synowi, jeśli będziesz go miał. To była pierwsza część jego ostatniego życzenia.

Hadrian wziął łańcuszek, a medalion zwiesił mu się z palców.

– A druga?

– Dojdziemy do tego. Tyle na razie wystarczy. Masz długą podróż za sobą i przemoczone ubranie. Domyślam się, że chciałbyś je wysuszyć, może wykąpać się, zjeść smaczny posiłek i przespać porządnie noc w ciepłym łóżku. Niestety mogę zaproponować tylko trzy z tych czterech rzeczy... Dzisiaj mamy na kolację paszteciki z mięsem.

– Dziękuję. Jestem trochę... – Głos mu się załamał i Hadrian tylko wzruszył ramionami.

– Rozumiem. – Arcadius spojrział na pokój i krzyknął: – Bartholomew!

Drzwi do gabinetu uchyliły się ze skrzypieniem.

– Tak, panie?

– Bądź tak dobry i dopilnuj, żeby Hadrian dostał posiłek i łóżko. O ile się nie mylę, Vincent Quinn wyjechał, więc powinno znaleźć się wolne miejsce w dormitoriach w północnym skrzydle.

– Ach... Oczywiście, ale... Ehm... Skąd pan wiedział, że nadal tu jestem?

– Magia. – Stary czarnoksiężnik mrugnął do Hadriana.

\* \* \*

– Korniszon! – Hadrian wyszczerzył zęby w uśmiechu na widok chłopca.

Bartholomew poprowadził Hadriana schodami do sypialni

zbiorowej, długiego pokoju wypełnionego schludnie pościelonymi łózkami. Wszystkie stały puste z wyjątkiem jednego. Słyszając swoje imię, ulicznik z Vernesu poderwał się i posłał Hadrianowi znajomy uśmiech.

– Dotarłem, dobry panie. Pędziłem najszybciej, jak mogłem, obawiając się, że się rozminiemy, ale proszę, dotarłem do tego cudownego miejsca dwa dni przed panem.

– Miałem kłopoty i spędziłem trochę czasu w Colnorze. Masz szczęście, że nie zdażyłeś na tamtą barkę.

Hadrian mocno uściśnął rękę chłopca. Prawie się nie znali, ale byli teraz cudzoziemcami o wspólnej historii. Nawet jeśli łączyło ich tylko kilka minut spaceru przez zaszczurzone miasto, w tej chwili Korniszon był najstarszym i najdroższym przyjacielem Hadriana.

– Jeszcze raz muszę przeprosić cię, mój dobry panie, że dałem się aresztować w chwili, kiedy najbardziej mnie potrzebowałeś.

– Naprawdę nie musisz za to przeproszać i mów mi Hadrian.

Korniszon był zaszokowany.

– Jestem twoim sługą unizonym. Nie mogę zwracać się do pana po imieniu.

– „Panie” sprawia, że czuję się skrępowany i ludzie mogą pomyśleć, że udaję rycerza,

Korniszon zmarszczył czoło w zamyśleniu. A potem znowu się uśmiechnął.

– W takim razie „panie Hadrianie”.

Nie tego chciał, ale zgodził się na to.

– To niesamowite miejsce, panie Hadrianie. Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego. Jak tu czysto. W ogóle nie śmierdzi rybą ani końskim łajnem.

Konie. Tancerka! Całkiem o niej zapomniał.

– Muszę znaleźć miejsce dla swojego konia.

– Wiem gdzie – oznajmił z dumą Korniszon. – Widziałem stajnie. Mogę zająć się twoim problemem z wierzchowcem. Poza tym muszę zejść na dół, żeby oddać tę książkę.

Hadrian zauważył zaskakująco duży tom obok łóżka.

– Potrafisz czytać?

Korniszon pokręcił głową.

– Nie, oczywiście, że nie, ale w tej książce jest dużo ilustracji. Profesor powiedział, że mogę ją przejrzeć dla zabicia czasu, czekając na twój przyjazd, pod warunkiem, że zwrócę ją do biblioteki we wschodnim budynku, skąd ją pożyczyłem. Podrzucę ją i zajmę się twoim koniem, panie Hadrianie. Gdzie zostawił pan to zwierzę?

– Pokażę ci.

– Nie trzeba, z radością panu służę, panie Hadrianie. Proszę zostać tutaj i wylenić się za wszystkie czasy.

Hadrian spojrział na surowy pokój, który przypominał mu aż zbyt wiele koszar.

– W porządku, dość się już leniłem.

\* \* \*

Słońce, zniknąwszy za wzgórzami, zostawiło tylko poświatę na niebie. Na dziedzińcu chłopiec z drabiną był zajęty zapalaniem lamp. Korniszon, idący obok Hadriana, męczył się z książką, która była równie nieporęczna jak nagrodzona w konkursie dynia. Chłopiec posapywał, przenosząc ciężar z ręki na rękę.

– Mogę ci z tym pomóc? – zapytał Hadrian.

– Skąd! – wykrzyknął Korniszon i przyśpieszył, idąc coraz szybciej, żeby udowodnić, że nad wszystkim panuje, a może żeby dojść do celu, zanim mu odpadną ręce.

Obok Gmachu Glena znajdował się niższy budynek. Hadrian wreszcie zauważył, że budowle różnią się rozmiarami, chociaż nadal wszystkie były imponujące. Ten budynek był podzielony mnóstwem przepierzeń i wypełniony biurkami, dużymi stołami i krzesłami. Biblioteka nie była bardzo duża, ale pod wszystkimi ścianami stały regały, na których ustawiono książki. Było ich o wiele mniej, niż Hadrian się spodziewał. Na wielu półkach były



puste miejsca, zgadywał, że po książkach wypożyczonych przez studentów. Korniszon upuścił swoją księgę na centralny stół, gdzie wylądowała z hukiem.

– I proszę! – powiedział z teatralnym sapnięciem, po czym osunął się na stół, jakby otrzymał śmiertelny cios. – Nie nadaję się na badacza. – Wyprostował się powoli, ciężko dysząc. – Nie pojmuję, jak ci się to udaje, panie Hadrianie. Domyślam się, że miecze są ciężkie.

– Złe miecze są ciężkie.

– To są złe i dobre miecze?

– Tak jak ludzie.

– Naprawdę?

Korniszon nie wyglądał na przekonanego.

– Złe miecze są bezużytecznie ciężkie, podczas gdy dobrze wykonane są względnie lekkie i dobrze wyważone.

– Nadal wątpię, czy zdołałbym jakiś unieść.

Hadrian wyciągnął krótki miecz i podał mu rękojeścią do przodu.

Korniszon spojrział na broń z powątpiewaniem.

– Ten mi nie wygląda na dobry miecz. Wybacz mi te słowa, panie Hadrianie, ale sprawia wrażenie bardzo zmęczonego.

– Wygląd bywa zwodniczy.

Uśmiech Korniszona stał się jeszcze szerszy.

Chłopiec wyciągnął rękę i złapał miecz w obie ręce, krzywiąc się na myśl o ciężarze. Hadrian wypuścił broń i ostrze poleciało tak ostro do góry, że Korniszon omal się nie przewrócił.

– Jest lekki! Nie lekki jak piórko, ale o wiele lżejszy, niż się spodziewałem.

– Dwa i pół funta.

Korniszon zabrał lewą rękę i trzymał miecz tylko w prawej.

– Nie sprawia wrażenia aż tak ciężkiego.

– To dzięki wyważeniu, o którym ci wspominałem.

– A nie powinien być ciężki?

– Nie trzeba aż tak wiele, żeby przebić się przez skórę. Lepsza

jest szybka broń.

Korniszon opuścił nadgarstek i ciał ostrzem powietrze.

– Mając go w ręce, czuję się prawie jak bohater.

– I prawie to najwięcej, co czuje każdy, trzymając coś takiego w ręce.

Korniszon wyciągnął rękę z mieczem przed siebie i spojrzał wzdłuż ostrza.

– Zatem został wykonany przez znamienitego zbrojmistrza?

– Ja go wykułem.

– Ty, panie Hadrianie? Naprawdę?

– Mój ojciec był kowalem. Dorastałem obok kuźni.

– Och! – Korniszon się zakłopotał. – Ogromnie przepraszam, panie Hadrianie. Bardzo mi przykro, że powiedziałem, że wygląda na zmęczony.

– Bo jest zmęczony. I brzydki. Brzydkie narzędzie do brzydkiego celu.

– Ale ten to co innego. – Korniszon wskazał espadon na plecach Hadriana.

– Tego nie wykułem.

Hadrian zabrał z powrotem swój miecz i wsunął ostrze do pochwy z cichym szcękaniem.

Wrócili na dziedziniec. Hadrian odpinał paski, którymi umocował swoje rzeczy na Tancerce, podczas gdy Korniszon odwiązywał ją od ławki. Kiedy Hadrian przerzucił sobie plecak przez ramię i podniósł wzrok, zobaczył ostatnią rzecz, jakiej by się spodziewał. Na drugim piętrze Gmachu Glena z ostatniego okna na lewo wyglądał mężczyzna. Mężczyzna w ciemnym kapturze. Hadrian potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co widzi, a mężczyzna cofnął się i zniknął w ciemnościach, stapiając się z nimi jak duch.

– Widziałeś to? – spytał Hadrian.

– Co takiego?

Wskazał.

– W tamtym oknie, przed chwilą. Mężczyzna w kapturze.

– Nie, panie Hadrianie, nikogo tam nie widzę. W którym oknie dokładnie?

Hadrian wskazał.

– W tamtym.

Korniszon przyglądał się chwilę, a potem pokręcił głową.

– Na pewno kogoś widziałeś, panie Hadrianie? Dlaczego ktoś miałby nosić kaptur w budynku? Tam jest bardzo ciepło.

– Nie wiem – mruknął Hadrian, nie odrywając wzroku od okna.

– Na pewno nikogo nie widziałeś?

– Nie, mój panie... znaczy panie Hadrianie.

Hadrian czuł się jak głupiec. To nie mógł być ten mężczyzna. Jeśli już, to był to jakiś student.

– Mam tam pójść i sprawdzić, czy jest tam jakaś osoba w kapturze?

– Nie, znajdziemy miejsce dla Tancerki – odpowiedział Hadrian, ale musiał jeszcze raz spojrzeć w okno, zanim się poddał.

\* \* \*

Zadbawszy o wygody Tancerki, wspięli się po schodach i znowu weszli przez ogromne drzwi do Gmachu Glena. Wnętrze sprawiało zupełnie inne wrażenie niż za pierwszym razem – nie było tak jasne ani tak zachęcające. Żyrandol i latarnie na ścianach nie były w stanie oświetlić ogromnego wejścia i ciemnych przestrzeni korytarzy po zachodzie słońca. Miejsce przypominało jaskinię, przepastną i mroczną.

– Profesor powiedział, że będziesz mile widziany w jadalni – wyjaśnił Korniszon, kiedy Hadrian zrzucił torbę i miecze na pożyczone łóżko.

– A co z tobą?

– Ze mną? Zostanę tutaj i będę strzegł twoich licznych cennych rzeczy przed wścibskimi oczami i lepkiemi palcami.

– Korniszon, to szkoła. Złodziejom wstęp wzbroniony.

– W Vernesie również wzbrania się wstępu złodziejom,

a zdziwiłbyś się, ile rzeczy codziennie tam ginie, panie Hadrianie.

– To co innego. Myślisz, że jakiś dzieciak wyjdzie stąd z moim espadonem? Gdzie by go ukrył?

Korniszon zastanowił się nad tym, patrząc na ogromne dwuręczne ostrze leżące na łóżku, i wreszcie orzekł:

– Mimo wszystko moim zadaniem jest pilnować twych licznych i cudownych rzeczy, żeby nikt ich nie ukradł.

– Nalegam, żebyś poszedł ze mną.

– Ale...

Hadrian z surową miną skrzyżował ręce na piersi.

– Co jest ważniejsze? Moje rzeczy czy moja osoba? To niestosowne chodzić po szkole z bronią, ale co zrobię, jeśli ktoś mnie zaatakuje?

Korniszon popatrzył na Hadriana z zaciekawieniem.

– Myślę, że coś złego przydarzyłoby się każdemu, kto by cię zaatakował, panie Hadrianie.

Hadrian zmarszczył brwi.

– Mimo wszystko ktoś musi nade mną czuwać. Jedno ostrzeżenie może ocalić mi życie.

– O tak, to prawda. – Korniszon kiwał głową ruchem zbyt entuzjastycznym jak na zwykłe potakiwanie. – Jesteś zdecydowanie zbyt ufny, panie Hadrianie. Pójdę z tobą i zajmę się czuwaniem i ostrzeganiem.

Kiedy Hadrian ruszył do wyjścia, Korniszon porwał jego rzeczy i upchnął je pod materacem. Potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Proszę, żadne lepkie paluchy nie będą dotykały licznych i cennych rzeczy pana Hadriana.

– Prowadź, Korniszonie.

Weszli do wielkiej sali z długimi stołami, przy których tłoczyli się jedzący posiłek chłopcy. Z sufitu zwieszało się kilka chorągwi, ale poza tym wszystko w jadalni zrobiono z drewna, kamienia i cyny. Gwar setki studentów sumował się w dudniącą wrzawę.

Korniszon miał rozmarzoną minę.

– Cudowne miejsce. Wystarczy wejść i dają ci jedzenie.

Porwał dwa paszteciki z kuchennego stołu, na który wykładano je na wielkich drewnianych paletach. Razem z Hadrianem wcisnęli się na miejsca przy końcu długiego stołu. Wyróżniali się, bo jako jedyni nie nosili tog.

Mimo głodu Hadrian tylko wpatrywał się w pasztecik. Znowu myślał o oknie i zakapturzonym mężczyźnie.

To nie mógł być on. Po co miały się tu pojawić?

Hadrian był świadkiem morderstw. Jako jedyny mógł go zidentyfikować.

Świadkiem czego? Nie ma łodzi, nie ma złotników, nie ma Vivian.

Mogło mu się przewidzieć. Może nikogo tam nie było. Może to była gra światła... Albo cienia. Korniszon stał obok i nikogo nie widział.

Nie mógł mnie tu znaleźć, prawda? Wspominałem o Sheridanie na barce?

Nie był pewien. Możliwe, że wspomniał. Sporo się mówiło, kupcy i Vivian wciąż zadawali pytania. To było możliwe. Jednak jak dostał się do szkoły? Z drugiej strony Hadriana nikt nie zatrzymał ani nie wypytywał. Chłopcy na dziedzińcu nie liczyli się. Żaden z nich pewnie nie odezwałby się do zakapturzonego mężczyzny, a nawet jeśli, zaczepki zniechęciłyby nieznanego jeszcze mniej niż Hadriana.

– Kim jesteście? Nie jesteście studentami.

Hadrian rozpoznał twarz. Angdon, syn barona, który wpadł na niego w korytarzu.

– Gośćmi – odpowiedział Hadrian. – Już się spotkaliśmy. Nazywam się Hadrian, nie pamiętasz? Wpadłeś na mnie z godzinę temu, może dwie.

– A, tak, ignorant i prostak, który nie potrafi zejść z drogi.

– I odkryłeś to wszystko, wpadając na mnie, co?

– Nie ruszyłeś się i nie wiedziałeś, dokąd idziesz, więc owszem.

A kim jest to stworzenie obok ciebie?

Hadrianowi nie bardzo spodobał się ten syn barona.

– Ten wspaniały młody człowiek naprzeciwko ciebie nazywa się Korniszon.

– Korniszon? A cóż to za imię? – odezwał się inny chłopak.

Hadrian widział, jak Korniszon się kuli.

– Wpada w ucho, nie uważasz? – odpowiedział wesoło.

– Idiotyczne, ale ewidentnie pasuje – orzekł Angdon. – A czyimi gośćmi jesteście, że przyszedliście kraść nasze jedzenie?

– Profesora Arcadiusa. Och, i miałeś rację co do Gwiazdy Porannej, tyle że była biała, nie czerwona – odrzekł Hadrian.

– Myślisz, że dzięki temu wyjdiesz na bystrego? Spodziewasz się, że pochwalę cię, bo stanąłeś po mojej stronie?

– Uznałem tylko, że chciałbyś wiedzieć.

– Wiedziałem i bez ciebie. Nie potrzebuję durnego wieśniaka, żeby potwierdził moje wykształcenie. Nie potrzebuję też twojej brudnej osoby przy swoim stole. Zabieraj kradzione paszteciki i Korniszona i idź jeść na zewnątrz, gdzie twoje miejsce. Ty nędzny...

Hadrian zobaczył tylko pasztecik Korniszona uderzający w twarz Angdona. Talerz odpadł wraz ze spodnią częścią ciasta. Reszta zawisała na kilka sekund na policzkach chłopaka. Byłoby to przezabawne, gdyby pasztecik nie był bardzo gorący. Angdon wrzasnął, zdrapując ciasto z twarzy.

Twą Korniszona naprzeciwko też była szkarłatna. Chłopiec zerwał się na równe nogi i zacisnął dłonie. Hadrian zastanawiał się, czy skoczy przez stół za wyjąłym synem barona.

Hadrian złapał własny pasztecik i Korniszona i ruszył do wyjścia z jadalni, podczas gdy studenci szukali ręczników i wody, żeby pomóc przyjacielowi.

– Nie powinieneś był tego robić – zbeształ Korniszona Hadrian, pośpiesznie go wyprowadzając.

– Masz rację, panie Hadrianie. Powiniennem był zlać go nogą od stołka.

– Nie to miałem na myśli. Miałeś obserwować i ostrzegać, zapomniałeś? Nie uderzać i bić.

Zwolnili, kiedy dotarli do schodów.

– Nieważne. Zjemy na spółkę ten pasztecik. I tak nie byłem głodny.

– Powinieneś być dać mi z nim walczyć, panie Hadrianie.

– Narobiłbyś sobie kłopotów. To syn barona, szlachetnie urodzony.

– Nie zauważyłem, żeby był szczególnie szlachetny.

– Poza tym jest większy od ciebie.

Korniszon skinął głową.

– Ale ja jestem twardszy od niego.

– Ma mnóstwo przyjaciół.

– Może. – Korniszon przystanął na schodach i dodał: – Ale ja mam jednego, który jest wart więcej niż oni wszyscy razem wzięci.

Hadrian nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Tak, masz. I najwyraźniej ja także.

# Rozdział 10

## *Zakapturzony człowiek*

Hadrian spędził noc w łóżku zwolnionym przez Vincenta Quinna, który był zdecydowanie niższy od niego albo po prostu pogodził się z faktem, że stopy mu zwisają. Wszystkie łóżka zajęła sfera chłopaków, co przypominało Hadrianowi dowolne koszary, w jakich sypiał. Roje mężczyzn żyjących prosto, mających tylko tyle rzeczy, ile są w stanie unieść – posłuszne psy diuka lub króla. Nie najgorsze życie, ale pozbawione celu. Dlatego nie było to życie dla niego. Żołnierz powinien być kołem u wozu, turlać się, kiedy padnie rozkaz. Hadrian zawsze wolał sam obierać kierunek i drażniło go poczucie, że jest mieczem, który wykorzystuje się do rąbania drewna.

Korniszon też spał w pożyczonym łóżku, gdzieś w odległym końcu sali. Żaden z chłopców nie odezwał się do nich słowem, ale często na nich zerkano. Między łózkami niosły się szepty i Hadrian wychwycił słowo „pasztecik” więcej niż raz. Materac był twardy, nie tak wygodny jak w pokoju w Colnorze, ale lepszy od spania na ziemi. Hadrian rozebrał się, przeciągnął, zamknął oczy i zasnął.

\* \* \*

Możliwe, że to koszmar go obudził. Hadrian miewał je często, ale zniknęły po przebudzeniu, pozostawiając niewiele więcej niż osad



niepokoju. Otworzył oczy. Nadal było ciemno, ledwie zaczynało szarzeć. Zamknął oczy, ale nic z tego nie wyniknęło. Leżał więc i wpatrywał się w ciemny sufit, belki, nasłuchiwał chrapania studenta imieniem Benny i myślał o kapturze, który widział w oknie. Może tamto to był koszmar.

Widziałeś jego oczy? Zimne, tyle ci powiem. Martwe oczy.

Próba ponownego zaśnięcia była bitwą, której nie mógł wygrać. Postanowił wycofać się z pola walki. Spuścił bose stopy na podłogę. Zimno. Spodziewał się cieplejszego poranka niż te, których doświadczał w drodze. Po raz pierwszy od dwóch dni obudził się suchy, ale obudził się też nagi. Odrzucił koc i zadrzał. Ciepło ciała zgrai chłopców powinno rozgrzać sypialnię jak konie stajnię, ale to był duży pokój. Zgarnął ubrania, odrobinę sztywne, lecz suche. Małe łóżko skrzypiało pod nim, kiedy się ubierał.

Hadrian nie miał pojęcia, która jest godzina, wiedział tylko, że coś widzi. Całkowita ciemność w pokoju ustąpiła niewyraźnym kształtom, a okna, wcześniej niewidzialne, teraz były źródłem szarego światła. Nic poza kojącym chórem głębokich oddechów i czasem szelestem koców nie zakłócało ciszy. Koszmar, czegokolwiek dotyczył, pozostawił niepokój, przez który Hadrian sięgnął po broń. Zapiął pas, bardzo uważając, żeby metal nie uderzył o metal. Kiedy zrobił krok, deska jęknęła pod jego ciężarem i jeden ze studentów zerknął spod zmrużonych powiek, ale zaraz obrócił się na drugi bok i schował pod przykryciem.

Poza sypialnią Gmach Glena wypełniony był cichymi korytarzami ze słabo oświetlonego drewna i kamienia. Hadrian przystanął, kiedy dotarł do głównych schodów, i zerknął na górne stopnie. Znajdował się na pierwszym piętrze. Okno, w którym widział kaptur, znajdowało się na drugim.

Jesteś tam na górze?

Trzeba było być jedynym w swoim rodzaju szaleńcem, żeby uznać, że zabójca śledził go przez całą drogę aż do uniwersytetu, i jeszcze większym, żeby uznać, że nadal tu przebywa. Z drugiej strony Hadrian pomylił się w ocenie na barce i sześciu ludzi

zapłaciło za to życiem.

Wspiął się po schodach i zwolnił, kiedy dotarł do północnego korytarza. Lampy pogaszono, więc musiał dotykać ściany, idąc, aż doszedł do końca korytarza. Odsunął zasuwkę i otworzył ostatnie drzwi od strony dziedzińca. Odchyliły się do środka z cichym skrzypieniem. Wczesny świt przeszedł już w jasną szarówkę i ujawnił wnętrze małego pomieszczenia. Było wielkości dużego schowka i wykorzystywano je jako składzik pełen skrzyń i wiader; leżał tam nawet stos porąbanego drewna.

Hadrian spojrział w głąb i zobaczył okno z półksiężycowym zwieńczeniem, które pamiętał z poprzedniego dnia. To było to miejsce. Drugie piętro, ostatnie okno.

Podszedł i wyjrzał. Poniżej rozciągał się dziedziniec. Teraz pusty, spokojny o świcie. Hadrian wyobraził sobie siebie i Korniszona stojących obok ławki, do której przywiązał Tancerkę.

Składzik.

Żaden student by tu nie wszedł.

Ma oczy jak wilk, prawda?

\* \* \*

Tego ranka Hadrian krążył po korytarzach jak duch. Gmach Glana był większą budowlą i bardziej zawikłaną, niż się spodziewał. Zastanawiał się, czy nie obudzić Korniszona, on pewnie lepiej się tu orientował, ale zarzucił ten pomysł. Wkrótce wyruszą i najlepiej, żeby jak najporządniej się wyspał.

W końcu Hadrian znalazł się na parterze i dostrzegł ogromny obraz. Zaszedł zatem w okolice wejścia, a stamtąd znał drogę do jadalni. Słyszał też brzęk talerzy i dzwonienie garnków. Inne ranne ptaszki z książkami w ręku czekały razem z nim w kolejce na coś ciepłego. W przeciwieństwie do poprzedniego dnia rozmowy przybrały formę szeptów.

– Jak ci się spało? – Głos Arcadiusa przeszył względną ciszę bez cienia skrępowania.

Profesor siedział obok ognia, gdzie sadowiła się większość, ponieważ w kamieniu nadal utrzymywał się chłód nocy. Na stole przed nim stały kubek i mały pusty talerz. Profesor wyglądał prawie tak samo jak wczoraj. Siwe włosy opadały mu z głowy kaskadami we wszystkich kierunkach. Znowu nosił okulary na koniuszku nosa, chociaż nadal nie patrzył przez nie i ciemnoniebieską togę zasłaną w tej chwili okruszkami.

– Nie wiem, położyłem głowę i zamknąłem oczy.

Starzec się uśmiechnął.

– Powinieneś tu studiować. Zwykle potrzeba miesięcy, nim złamiemy nawyk przyjmowania nieuzasadnionych założeń. Spróbuj gorącego jabłecznika, jest słaby, ale dzięki odrobinie cynamonu ożywia nieco poranek.

Hadrian wziął kubek, a Arcadius wskazał, żeby usiadł obok niego. Hadrian usadowił się, czując na boku rosnące ciepło porannych kłód. Para z jabłecznika biła mu w twarz. Ogrzał dłonie o kubek. Profesor rozparł się w wygodnym skórzanym fotelu, jednym z czterech, jakie znajdowały się w całej jadalni, co wskazywało, że albo zszedł tu dość wcześnie, albo cieszył się przywilejami należnymi profesorowi.

– Kiedy się nad tym zastanowić, to jeden z moich największych kłopotów – powiedział Arcadius, pocierając ścianki kubka.

– Mianowicie?

– Sprawienie, żeby studenci oduczyli się tego, co myślą, że wiedzą. Usunięcie złych nawyków. – Upił ostrożnie łyżeczek, chociaż jego napój już nie parował. – Widzisz, każdy rodzi się z pytaniami.

– Arcadius uniósł kubek. – Puste kubki palą się do tego, żeby napełnić się czymkolwiek, nawet bzdurami. Na przykład jaki kolor ma ten stół?

– Brązowy.

– Skąd to wiesz?

– Widzę.

– A czy potrafisz opisać ten kolor bez odnośników? Jak na przykład wyjaśniłbyś kolor niebieski osobie niewidomej od

urodzenia?

Hadrian zastanawiał się, czy powiedzieć, że jest chłodny lub spokojny, albo podobny do nieba lub wody, ale żadna z tych rzeczy nie definiowała tak naprawdę koloru niebieskiego. Toga Arcadiusa była niebieska, a nie była żadną z tych rzeczy.

– Nie da się – orzekł w końcu profesor. – Poznajemy kolory tylko przez relacje. Twój ojciec najpewniej wskazał ci setki przedmiotów, których wspólną cechą był kolor, i w końcu zrozumiałeś, że wspólność koloru równa się słowu, którym się posłużył. Z wieloma rzeczami tak jest, abstrakcyjnymi ideami, za którymi nie stoi konkretny przedmiot je definiujący. Na przykład dobro i zło. Kłopoty pojawiają się, kiedy ludzie ochoczo napełniają swoje kubki i czerpią wiedzę od tych, którzy, ujmując to metaforycznie, są daltonistami. Kiedy raz przygarniemy ideę, kiedy już zadomowi się w nas, jest nam z nią wygodnie i trudno się jej pozbyć, tak jak trudno pozbyć się starego kapelusza. A zaufaj mi, mam wiele starych kapeluszy. Niektórych nie nosiłem od lat, ale nadal je trzymam. Emocje stają na drodze względem praktycznym. Biorąc czas, jaki z nimi spędzamy, idee stają się starymi przyjaciółmi, a skoro nie możesz zmusić się do wyrzucenia starego kapelusza, którego w ogóle nie nosisz, wyobraź sobie, o ile trudniej jest porzucić idee, z którymi dorastałeś. Im dłuższy związek, tym trudniejsze rozstanie. To dlatego staram się szukać młodych, zanim ich umysły skamienieją z nonsensami, jakich nauczą się w świecie daltonistów. Nie zawsze mi się udaje. – Spojrzał na starszego chłopca, który siedział naprzeciwko nich i mrugnął, a chłopak skrzywił się i odwrócił.

– Rozumiem, że znalazłeś swojego przyjaciela Korniszona?

– Tak. Zjedliśmy razem kolację.

– Słyszałem o tym. Coś o rzucaniu pasztecikiem z mięsem. Gdzie poznałeś tego popędliwego młodzieńca? Z pewnością nie w Calisie.

– W Vernesie. W drodze tutaj. Trochę z niego dzikus.

– Tak słyszałem. Powiedz mi jednak, co porabiałeś od

opuszczenia domu?

– Trochę musi pan wiedzieć albo domyślił się pan, skoro mnie pan znalazł.

– Twój ojciec powiedział, że zostałeś żołnierzem.

– Powiedziałem mu, że odchodzę, żeby dołączyć do armii króla Uritha.

– I tak zrobiłeś?

Skinął głową nad kubkiem, wachając cynamon.

– Jednak nie zostałeś tam?

– Pojawiły się pewne kłopoty.

– Weterani rzadko wybaczą, gdy ktoś pokona ich w walce, zwłaszcza gdy zostają upokorzeni przez piętnastolatka.

Hadrian zerknął na starca przez parę.

– Potrzebowałem chwili, zanim to zrozumiałem. Chyba myślałem, że im zaimponuję, że poklepią mnie po plecach i będą wiwatować. Inaczej to wyszło.

– Ruszyłeś więc dalej?

– Lepiej poradziłem sobie w wojsku królestwa Warric pod dowództwem króla Ethelreda. Nie wrywałem się tak do popisów i skłamałem na temat wieku. Doszedłem do stopnia kapitana, ale Ethelred wszedł w spór z Urithem i nagle stanąłem przeciwko ludziom, u których boku walczyłem prawie rok. Złożyłem rezygnację, mając nadzieję dołączyć do wojska w bardziej odległym królestwie. Przenosiłem się, aż dotarłem do Calisu.

– Idealne miejsce, żeby zniknąć.

– Tak myślałem i tak było... W pewnym sensie. – Hadrian zerknął przez ramię na drzwi, przez które wchodzili kolejni studenci w togach w nieładzie. – Część mnie z pewnością zniknęła.

Arcadius zamieszał napój palcem.

– Co masz na myśli?

– Dżungle zmieniają człowieka na swój sposób... Albo... Nie wiem, może po prostu wydobywają coś, co już w nim jest. Nie ma tam granic, zasad, porządku społecznego, w który można się uwikłać, żadnej kotwicy. Widzisz siebie w jaskrawym świetle,

a mnie nie podobało się to, kim się stałem. Coś we mnie pękło, gdy dostałem list od pana.

Hadrian spojrział na miecze. Przypasał je rano bez większego zastanowienia, jak kiedy wkładał buty – ba, z mniejszym nawet, bo buty zwróciły jego uwagę – były nowe.

– Wyjmowałeś je z pochwy od opuszczenia Calisu?

– Nie, żeby walczyć.

Arcadius skinął głową nad kubkiem. Jego oczy były dziwnie jasne i czujne w starej twarzy, jak oszlifowane brylanty w starodawnej oprawie.

– Nie mogę przestać myśleć, ilu ludzi żyłoby dzisiaj, gdybym posłuchał ojca i został w Hintindarze.

– Możliwe, że i tak by zginęli. Ryzyko zawodowe.

Hadrian pokiwał głową.

– Możliwe, ale przynajmniej ich krew nie plamiłaby moich mieczy.

Arcadius się uśmiechnął.

– Dziwne podejście jak na zawodowego żołnierza.

– Może pan podziękować za to mojemu ojcu. Jemu i jego durnemu kurczakowi.

– To znaczy?

– Ojciec dał mi kurczaka, który dopiero co się wykluł, w moje dziesiąte urodziny i powiedział mi, że moim obowiązkiem jest utrzymać go przy życiu, zapewnić mu bezpieczeństwo. Sumiennie pilnowałem pisklaka. Nazwałem go Gretchen i karmiłem z ręki. Nawet spałem, trzymając go w objęciach. Rok później ojciec orzekł, że jego syn dostanie pieczonego kurczaka na urodziny. Nie mieliśmy innych kurczaków. Błagałem i przysięgałem, że jeśli zabije Gretchen, nie zjem nawet kąska. Tyle że ojciec nie zamierzał jej zabijać. Dał topór mnie. „Naucz się cenić życie, które odbierasz”, powiedział. Odmówiłem. Tego dnia i następnego obeszliliśmy się bez jedzenia. Postanowiłem sobie, że przetrzymam ojca, ale on był jak skała. Mimo całej mojej dumy, całego współczucia i lojalności wystarczyły tylko dwa dni. Płakałem

podczas posiłku, ale zjadłem wszystko, nic się nie zmarnowało. Przez miesiąc nie odzywałem się do ojca i nigdy mu nie wybaczyłem. Co rusz nienawidziłem go to za to, to za tamto, aż do dnia, kiedy odszedłem. Potrzebowałem pięciu lat walki, żeby zrozumieć wartość tamtego posiłku, powód, dla którego nigdy nie czerpałem przyjemności z zabijania ani nie ignorowałem cierpienia.

– A to wszystko przez jednego kurczaka?

– Nie. Kurczak to był dopiero początek. Były też inne lekcje. – Hadrian zerknął na innych chłopców siedzących w pobliżu i udających, że nie słuchają. – Powinniście się cieszyć, że macie profesora za nauczyciela. Są gorsi mistrzowie.

– Uczył cię wartości życia – powiedział Arcadius.

– A jednocześnie szkolił, jak najskuteczniej je odbierać? Jaki człowiek uczy syna latać, wpajając mu lęk przed wysokością? Chciałem zrobić coś ze swoim życiem. Wykorzystać umiejętności, które mi przekazał. Jaka korzyść ze świetnego posługiwania się mieczem, kiedy tylko wykuwasz lemiesz? Widziałem innych: bogatych rycerzy, wychwalanych przez wielkich lordów za ich umiejętności, i wiedziałem, że pokonałbym każdego z nich. Mieli wszystko: konie, wytworne kobiety, posiadłości, zbroje. A ja nie miałem nic. Myślałem, że gdybym tylko mógł im pokazać... – Hadrian dopił resztki jabłecznika i spojrzał na kolejkę do śniadania, która się wydłużyła.

– Powiedz mi zatem, Hadrianie, co zamierzasz zrobić teraz, kiedy wrócisz? Domyślam się, że nie dołączysz do szeregów żadnego miejscowego magnata?

– Moje dni wojaczki już się skończyły.

– W takim razie jak będziesz żył?

– Nie zastanawiałem się nad tym. Mam dość pieniędzy, żeby jakiś czas pożyć. A potem nie wiem... Chyba tak naprawdę unikałem tego tematu. Dryfowanie bez celu chwilowo brzmiało dobrze. Nie wiem czemu... Może mam nadzieję, że coś się pojawi, że coś mnie znajdzie.

– Naprawdę?

Hadrian wzruszył ramionami.

Profesor pochylił się. Już chciał coś powiedzieć, ale zawahał się i odsunął.

– To musiała być długą podróż z Calisu tutaj. Mam nadzieję, że przynajmniej była przyjemna.

– Wręcz przeciwnie. Dobrze, że pan o tym wspomniał. Widział pan ostatnio na terenie szkoły kogoś, kto nie jest studentem? Kogoś w ciemnej oponczy z kapturem naciągniętym na głowę?

– Dlaczego pytasz?

– Sześcioro ludzi zostało zamordowanych na barce, którą płynąłem z Vernesu do Colnory. Pięcioro w jedną noc, wszystkim poderżnięto gardła. Ten jegomość w kapturze wymknął się, zanim go znalazłem. Myślę, że mógł podążać za mną aż do tego miejsca.

Arcadius zerknął na chłopców siedzących wokół.

– Może wrócimy do mojego gabinetu? Ogień zaczyna trochę za bardzo grzać.

– A powiedziałem...

Arcadius uniósł rękę.

– Porozmawiamy w moim gabinecie, gdzie nie będę się martwił, że ktoś poza Sisarusem Wiewiórką może rozpuścić plotki.

Arcadius powoli szedł schodami, unosząc rąbek togi i odsłaniając parę niebieskich – pod kolor stroju – rannych pantofli.

Zostaw błoto na ulicy!

Dotarli do drzwi gabinetu. Profesor przystanął i odwrócił do Hadriana.

– Pamiętasz wczorajszy dzień, kiedy mówiłem o przedśmiertnym życzeniu twojego ojca?

Zanim Hadriana zdążył odpowiedzieć, profesor z impetem otworzył drzwi. W środku, przy drugim końcu pokoju siedział mężczyzna w kapturze.



Siedział samotnie w kącie pod gniazdem os i obok klatki z gadami, jak zawsze spowity w czarną opończę i z kapturem na głowie, więc jego twarz pozostała ukryta. Mimo to Hadrian był pewien, że to on. Siedząc, sprawiał wrażenie mniejszego, jak czarna kałuża czy zabłąkany cień, ale odzienie nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Profesor wszedł, nie zważając na intruza.

– Profesorze! – Hadrian wyminął go szybko, wyciągając oba miecze.

Sam fakt, że trzymał je w dłoniach, sprawił, że poczuł się tak dobrze, jak nie czuł się od wielu dni. Chociaż nie cieszyły go ich wspólne dokonania, nadal były jego najlepszymi przyjaciółmi.

Zakapturzony mężczyzna nie poruszył się, a nawet nie drgnął.

Hadrian ustawił się między Arcadiusem i zabójcą.

– Profesorze, musi pan wyjść.

Ku jego zaskoczeniu Arcadius zajął się zamykaniem drzwi na zasuwkę i klucz.

– To on – oznajmił niskim głosem Hadrian i wskazał mieczem. – Morderca z barki.

– Tak, tak. To Royce – potwierdził Arcadius. – Możesz odłożyć miecze.

– Pan go zna?

– Oczywiście, wysłałem go, żeby eskortował cię w drodze tutaj. Kazałem mu wyglądać mężczyzny z trzema mieczami. Nie ma takich wielu, a jeszcze mniej takich, którzy przybywają z Calisu. Miał cię tu skierować. – Profesor spiorunował wzrokiem zakapturzonego mężczyznę i dodał głośniejszym, pełnym wyrzutu tonem: – Oczekiwałem, że cię powita i przedstawi się, jak każdy cywilizowany człowiek. Miałem nadzieję, że poznacie się lepiej po drodze.

– Doprowadziłem go żywego. Już to było trudne – odpowiedział Royce.

– Zabiłeś tych ludzi! – Hadrian teraz już krzyczał.

Za żadne skarby nie odłożyłby mieczy, dopóki zakapturzony mężczyzna znajdował się w pokoju.

– Tak. – Odpowiedź zabrzmiała całkiem zwyczajnie, jakby Hadrian pytał o pogodę. – Chociaż jest w tym trochę przesady. Nie zabiłem ich wszystkich.

– Bo ja jeszcze żyję? – zapytał Hadrian. – Po to się tu zjawiłeś? Żeby dokończyć robotę? Myślę, że przekonasz się, że to błąd. – Hadrian uniósł miecze i podszedł do niego.

– Hadrianie! Przestań!

Zakapturzony mężczyzna poderwał się wtedy, a Hadrian nigdy nie widział, żeby ktoś poruszał się równie szybko. Wspiął się po półkach i dźwignął się na balkon na piętrze, uciekając poza zasięg Hadriana. W górze wrzasnęła sowa, podenerwowany gołąb zatrzepotał skrzydłami w klatce. Hadrian przystanął bardziej zaskoczony sprawnością fizyczną mężczyzny niż słowami profesora. Nie był pewien, co zobaczył. Dostrzegł tylko rozmazaną plamę ruchu.

– Royce nie próbuje cię zabić – powiedział Arcadius.

– Przecież sam właśnie powiedział co innego!

– Nie, wcale nie. On tylko...

– Gdybym chciał twojej śmierci, to nie denerwowałbyś mnie teraz swoją głupotą – rozległ się z góry głos Royce'a.

– Royce, proszę! – Profesor uniósł ręce i wymachiwał nimi, nie kryjąc irytacji.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał Hadrian. – Dlaczego wszystkich pozabijałeś?

– Żeby uratować ci życie.

Hadrian nie był pewien, czy dobrze słyszał.

– Co?

– Miałem nadzieję, że to spotkanie zacznie się w bardziej przyjaznej atmosferze – powiedział profesor, stając przed Hadrianem. – Podejrzewam jednak, że to były płonne nadzieje, nieprawdaż?

– Może gdyby uprzedził mnie pan zawczasu, byłoby lepiej. Może wystarczyłoby uprzejme: „Och, a tak przy okazji, wypijemy rano herbatkę z mordercą!” Ten człowiek zabił trzech kupców, kobietę,

poganiacza koni imieniem Andrew i sternika Farlana. A wszyscy...

– Nie sternika. – W głosie (bo dla Hadriana był to tylko głos, bezcielesny dźwięk dobywający się z mrocznych głębin peleryny) pobrzmiwała cięta nuta. – To kobieta zabiła sternika.

– Kobieta? Vivian? Oszalałeś?

Już sama ta myśl sprawiła, że zrobił krok w stronę schodów z kutego żelaza.

– A dlaczego miałyby to zrobić?! – krzyknął w górę.

– Sama ci powiedziała. Farlan zamierzał skłonić szeryfa do przeprowadzenia dochodzenia.

– Tak, żeby zajął się tobą!

– Ale ja nikogo nie zabiłem. W każdym razie nie w Vernesie... Nie ostatnio.

– A Vivian zabiła?

– Tak.

– Naprawdę chcesz, żebym w to uwierzył?

– Wierz sobie, w co chcesz. Wiedzieli, że śledztwo połączy wszystkie łupy w ich skrzyniach z przedmiotami, które zginęły z domów ludzi pomordowanych w Vernesie.

– Chwileczkę... W ich skrzyniach? O czym ty mówisz? Oskarżasz o współudział także jubilerów?

– Na Mara, ale ty jesteś powolny w myśleniu. – Royce wydał z siebie odgłos, który mógł być śmiechem. – Najpierw Farlan otworzył pułapkę, mówiąc o zwróceniu się do Maleta, a kiedy zabili go za to, ty poszedłeś i oznajmiłeś, że zamierzasz zrobić tę samą durną rzecz. Namalowałeś tarczę na swoich plecach i mnie zostawiłeś ją do zmazania.

– I nie mogłeś wpaść na żadne lepsze rozwiązanie niż zabicie wszystkich zaangażowanych? – zapytał z niesmakiem Arcadius. – Wiesz, jakie jest moje zdanie na ten temat.

– I wiesz, jak mało przejmuję się twoimi zdaniem – odpowiedział Royce. – Chciałeś, żebym sprowadził go tu żywego i proszę, jest na miejscu. Ciesz się. A jeśli to ci poprawi samopoczucie, to wiedz, że nie ja zacząłem. To oni mnie

zaatakowali. Ten gruby z młodszym próbowali skoczyć na mnie, kiedy wychodziłem z ładowni na dziobie. Chyba nie spodobał im się fakt, że odkryłem ich sekret.

– A może Sebastian i Eugene uznali po prostu, że jesteś zabójcą – odpowiedział Hadrian. – I zaatakowali cię ze strachu. Nie wiesz tego. Nie masz więcej dowodów, żeby ich oskarżyć, niż oni mieli przeciwko tobie.

– Widziałem, jak kobieta zabiła sternika – opowiedział Royce. – Myślała, że wszyscy są pod pokładem. Usiadła obok niego, taka serdeczna i przyjazna. Powiedziała, że marznie... Czuje się samotna. Sternik ucieszył się z towarzystwa. Podeszła go od tyłu, sięgając ręką z nożem. Nadal się uśmiechał, kiedy poderżnęła mu gardło. Nie dała rady wyrzucić ciała do wody, było za ciężkie, więc poszła po Samuela i Sebastiana, żeby jej pomogli. Na ile się zorientowałem, to samo robiła z mężczyznami z Vernesu. Była przyjazna, a potem podrzynała im gardła. Pozostali trzej zajmowali się dźwiganiem ciężarów. Nie najgorszy układ.

Zapadła cisza, kiedy Hadrian próbował to wszystko przetrwać.

*Powiesz mi, co tu jest naprawdę grane?*

*Ale ja nie rozumiem...*

*Ja też, i na tym polega problem. Twój mąż nie został zabity, co?*

Wiedział, że coś tam nie grało. Kobieta, która dopiero co straciła męża, nie zapraszałaby go do swojego pokoju. I jakie to dziwne, że wszyscy z takim uporem obstawali, że zakapturzony mężczyzna za wszystko odpowiada, mimo braku jakichkolwiek dowodów.

Po chwili schował miecze do pochew.

– To znaczy, że będzie się grzecznie zachowywał? Mogę zejść?

– Tak, tak, myślę, że teraz jest już bezpiecznie – odpowiedział Arcadius. – Prawda, Hadrianie?

Ten pokiwał głową.

Royce zszedł bez najmniejszego wysiłku. Nadal zachowywał bezpieczną odległość i nie zdjął kaptura, ale zsunął go nieco i Hadrian widział część jego twarzy. Był blady, jak sugerował jego nos, rysy miał ostre, wyraziste, oczy zimne i wyrachowane.

Hadrian analizował przebieg wydarzeń w myślach.

– Barka... Jak sprawiłeś, że zniknęła cała barka?

– Nie sprawiłem. Puściłem ją tylko razem z całą resztą z prądem. Pięć minut roboty. Potem musiałem porozmawiać z właścicielem barki w jego biurze. Przekonałem go, żeby powiedział Maletowi, że żadna barka nie przypływa tego dnia. Jestem pewien, że łódź już znaleziono. Możliwe, że wieść dotarła do Maleta, który najpewniej wścieka się na siebie za to, że cię nie posłuchał.

– Chwileczkę, zabiłeś Andrew. Chcesz powiedzieć, że on też brał w tym udział?

Royce pokręcił głową.

– Nie, ale nie zabijasz czworga ludzi, żeby zostawić potem świadka. To nieprofesjonalne.

– Mnie zostawiłeś przy życiu.

– Ciebie chroniłem.

– Naprawdę nie powinieneś zabijać niewinnych ludzi, Royce. – Profesor nachmurzył się, patrząc na mężczyznę w kapturze.

– A ty naprawdę nie powinieneś oczekiwać, że cię posłucham.

– A właściciel barki? – zapytał Hadrian. – Zabiłeś go później, żeby zatrzeć ślady?

– Nie zostawiłem żadnych śladów.

– Chyba po części mnie trzeba winić – odezwał się Arcadius. – Powinienem to przewidzieć. Royce nie jest zbytnio... – Westchnął.

– Towarzyski, można by rzec. Jednak teraz, kiedy już wszystko wyjaśniliśmy, możemy wrócić do rzeczywistego tematu tego porannego spotkania?

– A mianowicie? – zapytał Hadrian.

Staruszek zdjął okulary i ponownie otarł je tą samą skarpetką, którą najwyraźniej specjalnie po to zostawił na biurku. Albo napięcie sprawiło, że soczewki zaparowały, albo czyszczenie ich miało ten sam cel, co obgryzanie paznokci, czy – w przypadku Hadriana – picie na umór.

– Twój ojciec poprosił mnie, żebym zadbał o ciebie po twoim

powrocie. Przewidział, w jakim będziesz stanie, i wiedział, że przyda ci się pomoc.

– Naprawdę muszę być przy tym? – zapytał Royce.

– Owszem, ponieważ to dotyczy także ciebie. – Profesor odwrócił się do Hadriana. – Jak już mówiłem, obiecałem, że pomogę ci odnaleźć cel.

– I co sugeruje pańska wielka mądrość?

– Nie ma powodu, żebyś zwracał się do mnie tym tonem. – Starzec przechylił głowę, zerkając na Hadriana, jakby nadal patrzył ponad okularami.

– Przepraszam, ale denerwuję się przez niego. – Hadrian skinął głową na Royce'a.

– Wszyscy się przy nim denerwują. Przyzwyczaisz się.

– Nie widzę takiej potrzeby.

– Ależ w tym właśnie rzecz. Sprowadziłem was obu, ponieważ chcę, abyście stali się partnerami.

Obie głowy się obróciły.

– Nie mówisz poważnie – powiedział Royce.

Hadrian parsknął śmiechem.

– Może pan zapomnieć.

– Niestety mówię poważnie i nie zapomnę. Obaj znaleźliście się w impasie, obaj macie niespotykane umiejętności, a mimo to obu was dręczy pytanie: „I co teraz?”. Jako nauczyciel młodych umysłów mogę orzec, że żaden z was nie jest gotowy w pojedynkę stawić czoła światu. Jednakże dla was razem może jest jakaś nadzieja. Ujmując to w prostych słowach, myślę, że będziecie mieć dobry wpływ na siebie nawzajem. Poza tym mam zadanie, które trzeba wykonać, a powodzenie misji zależy od waszej współpracy. Mam nadzieję, że kiedy raz przekonacie się o korzyściach płynących z umiejętności drugiego, dostrzeżecie zysk w długoterminowej spółce.

Royce wynurzył się z wnęki, a Hadrian podziwiał łatwość, z jaką tamten poruszał się w tym zdradzieckim krajobrazie. Royce spiorunował Arcadiusa pełnym groźby spojrzeniem i dla

podkreślenia słów wymachiwał palcem.

– Posłuchaj, starcze... Nie potrzebuję go do tej roboty. Nie chcę partnera, a nawet gdybym kogoś szukał, byłby to ktoś dyskretny i finezyjny w działaniu. I chociaż względnie inteligentny.

– Jestem przekonany, że Hadrian posiada te przymioty oraz wiele innych, których nie wymieniłeś. A jeśli idzie o te, których mu brakuje, to będziesz musiał go ich nauczyć.

– Nie potrzebuję go.

– A ja mówię, że potrzebujesz.

– Jesteś głupcem.

– To moja cena.

Royce zrzucił kaptur, odsłaniając czarne włosy. Był młodszy, niż Hadrian się spodziewał, z pięć, może dziesięć lat starszy od niego.

– Obiecałeś, że to będzie tylko jedna robota. Nie dam się obarczyć nim na resztę życia.

– A ja dotrzymam obietnicy.

– Na pewno?

– Tak.

– I to wszystko? Potem uwolnię się od was obu?

– Jeśli tego sobie życzysz. – Arcadius założył z powrotem okulary i usiadł z rękoma złożonymi na biurku, jak człowiek, który właśnie wyłożył karty i jest zadowolony z tego, jak obstawiał. – Chociaż mam nadzieję, że będziesz mnie czasem odwiedzał.

– A jeśli on zginie? Nie mogę odpowiadać za jego własną głupotę.

– Nie oczekuję tego. Jednak będę domagał się uczciwej próby, sprawiedliwego traktowania. Nie możesz celowo doprowadzić do jego porażki.

Royce zerknął na Hadriana i się uśmiechnął.

– Zgoda.

– Nie wiem, o czym wy dwaj mówicie – odezwał się Hadrian. – Przybyłem tu tylko po to, żeby zabrać to, co zostawił mi ojciec. Ta sprawa jest załatwiona, więc teraz odchodzę.

– Dokąd? – zapytał profesor. – Masz plan? Pomysł? Choćby

zgrubne pojęcie, co chcesz zrobić z resztą życia? Chciałeś dowiedzieć się, o co jeszcze poprosił mnie twój ojciec, o co prosił na łożu śmierci.

– Nie, jeśli zamierza pan powiedzieć, że to współpraca z... – Hadrian wskazał kciukiem Royce’a.

– W rzeczy samej.

– Chyba nie spodziewa się pan, że uwierzę?

– A czemu nie? Uwierzyłeś we wszystko, co powiedziała Vivian i jej chłopcy. – Royce wrócił na poprzednie miejsce pod gniazdem os, tym razem opierając nogi na skrzynce opisanej „NIEBEZPIECZNE! Nie otwierać aż do wiosny”.

– Nie pomagasz, Royce. – Arcadius pochylił się i tym razem zerknął na Hadriana sponad okularów. Po co je nosił, skoro nigdy przez nie nie patrzył, było dość zastanawiające. – Taka jest prawda. Chyba nie możesz uznać, że ojciec szkolił cię, żebyś został kowalem w Hintindarze, prawda?

– Tak powiedział.

– Tak powiedział młodemu chłopcu, który marzył o wielkości. Resztę opowieści zachował na później, tyle że ten chłopiec uciekł, zanim poznał prawdę.

– A co to za prawda?

– Możesz ją odkryć tylko, współpracując z Royce’em.

– Albo może mi ją pan po prostu powiedzieć.

– Gdyby to było takie proste, ojciec sam by ci ją wyjawiał. Jak każda głęboka prawda to jest coś, co trzeba samemu odkryć. Naprawdę nie mam pojęcia, co ojciec mógłby ci powiedzieć. Wiem, że uważał, że jesteś zbyt naiwny, zbyt optymistyczny, a Royce... Cóż... Wręcz przeciwnie. Podczas naszego ostatniego spotkania opowiadałem mu o Roysie. To był pomysł Danbury’ego, jego ostatnie życzenie, że gdybym kiedyś odnalazł jego przekornego syna, to powinienem przedstawić was sobie. Myślę, że uważał, że Royce może dostarczyć ci ostatni fragment układanki, którego sam nie zdołał ci dać. Uznaj to za jego ostatnią próbę z kurczakiem, jeśli tak wolisz, lekcję, z której korzyści możesz jeszcze nie



dostrzegać. – Profesor pogładził brodę przy kącikach ust. – Podejrzewam, że żałujesz trochę sposobu, w jaki opuściłeś dom. Może masz wyrzuty sumienia. To twoja szansa, żeby je uciszyć. To drzwi, jakie twój ojciec zostawił dla ciebie otwarte. Poza tym nie musisz żenić się z Royce'em, przyjmij tylko to jedno zlecenie.

– Jakie zlecenie? – zapytał Hadrian.

– Musicie przynieść mi książkę. To dziennik spisany przez byłego profesora z tego uniwersytetu.

– On chce powiedzieć, że mamy ukraść książkę. – Royce podniósł coś, co wyglądało jak długi na sześć cali siekacz niedźwiedzia, i zaczął obracać w rękach.

– Raczej pożyczyc bez pozwolenia – sprostował Arcadius.

– Nie może pan po prostu poprosić, skoro chce ją pan tylko pożyczyc? – spytał Hadrian.

– Niestety to nie będzie możliwe. Po pierwsze, już samo czytanie tej książki to herezja, po drugie, właściciel nie pożycza swoich rzeczy. Powiem więcej, właściciel spędził całe życie w całkowitym odcięciu od reszty świata.

– O kim mówimy?

– O głowie Kościoła Nyphrona, patriarsze Nilnieve.

Hadrian się roześmiał.

– Patriarsze? O tym patriarsze?

Starzec nie był rozbawiony.

– Kiedy ostatni raz liczono, nadal był tylko jeden.

Hadrian nie przestał się śmiać. Kręcił głową i krążył, ostrożnie omijając wyspy książek.

– Naprawdę musiał się pan uciec aż do takich wybiegów?

– Co masz na myśli?

– Nie mógł pan zażądać, żebyśmy ukradli księżyc gwiazdom? Czemu nie poprosić, żebyśmy porwali córkę samego boga Maribora?

– Maribor nie ma córki – odpowiedział Arcadius bez choćby odrobiny wesołości.

– No tak, to wszystko wyjaśnia.

Royce się uśmiechnął.

– Zaczynam go lubić.

– A ja tobie nie ufam – powiedział Hadrian.

Royce pokiwał głową z aprobatą.

– To najmądrzejsza rzecz, jaką do tej pory usłyszałem z twoich ust. Możesz mieć rację staruszku. Myślę, że już mam dobry wpływ na niego.

– To nie jest żart, Hadrianie – powiedział Arcadius z powagą, z jaką do tej pory ani razu nie mówił. – Royce planował to zadanie od wielu miesięcy. Uważa, że da się je wykonać.

– Da się, ale tylko, jeśli będę działał w pojedynkę. Nie wliczałem w to nikogo innego, a już z pewnością nie jego – sprostował Royce.

– Musisz to zrobić z Hadrianem albo w ogóle.

– No to jasne jak słońce: w ogóle.

– Dobrze, ale twój dług wobec mnie pozostanie niespłacony. Jeśli chcesz się pozbyć zobowiązania, oto moja cena. Wypełnij zadanie trzymając się moich reguł i warunków. Taka jest umowa.

– A o jakiej książce mówimy? – spytał Hadrian.

– Dzienniku Edmunda Halla.

Z jakiegoś powodu Hadrian spodziewał się, że rozpozna tytuł, a powinien mieć więcej rozumu. Chociaż ojciec nauczył go czytać, Hadrian nie znał zbyt wielu książek i z pewnością nie rozpoznałby rzadkich czy ważnych.

– Jakiego rodzaju to książka?

– Najrzadszego. Nie dość, że istnieje tylko jeden egzemplarz, to jeszcze na ile się orientuję, tylko jedna osoba kiedykolwiek ją czytała.

– Niech zgadnę: patriarcha?

Starzec pokiwał głową.

– Według legendy Edmund Hall znalazł starożytne miasto Percepliquis. Po powrocie natychmiast został aresztowany. Wraz z książką zamknięto go w Ervanonie i nigdy więcej go nie widziano. Ponieważ stało się to ponad sto lat temu, myślę, że możemy porzucić nadzieję odnośnie do pana Halla, ale jego

książka nadal powinna się tam znajdować wraz z innymi starożytnymi skarbami Glenmorgana.

– Dlaczego chce ją pan zdobyć?

– To moja sprawa.

Hadrian zastanawiał się, czy nie przycisnąć bardziej profesora, ale spodziewał się, że nic to nie da.

– A do czego mnie pan potrzebuje? Nie mam zielonego pojęcia na temat kradzieży.

– Świetne pytanie – wtrącił Royce. – Dlaczego właściwie chcesz, żeby on wziął w tym udział?

Arcadius skupił się na mężczyźnie z kapturem.

– Hadrian to znakomity wojownik, a ja uważam, że twój plan jest niedoskonały, bo zakłada, że uda ci się wykraść książkę niepostrzeżenie. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak jak trzeba, będziesz mi dziękował za to, że nalegałem na udział Hadriana.

Royce obrzucił Hadriana sceptycznym spojrzeniem.

– W życiu nie zdoła się wspiąć.

– Wspiąć? – spytał Hadrian.

– Skarbiec znajduje się na szczycie Wieży Koronnej – wyjaśnił Arcadius.

Nawet Hadrian o niej słyszał. Nawet wieśniacy w Hintindarze słyszeli o Wieży Koronnej. Podobno to jedyny narożnik, jaki się zachował z pewnego starożytnego, ale legendarnego zamku.

– Jestem w dobrej formie. Parę schodów mnie nie zabije.

– Wieża jest wyjątkowo pilnie strzeżona, ale nie spodziewają się, że ktoś wespnie się po ścianie od zewnątrz – odparł Royce, nie odrywając oczu od zęba, który nadal obracał w palcach.

– A nie przypadkiem dlatego, że... Cóż, słyszałem, że jest, jakby to rzec, wysoka.

– Najwyższa budowla wzniesiona przez człowieka, jaka się zachowała – potwierdził Arcadius.

– Mam zabrać lunch?

– Zważywszy, że zaczniemy wspinać się po zmierzchu i potrwa to całą noc, sugerowałbym raczej kolację – odpowiedział Royce.

- Żartowałem.
- A ja nie. Proszę tylko o jedną rzecz.
- Mianowicie?
- Jak już będziesz leciał na łeb na szyję, rób to cicho.
- To zajmie tylko dzień albo dwa – zapewnił Hadriana Arcadius. – Pojedziesz, zabierzesz książkę, a potem możesz żyć własnym życiem ze świadomością, że zrobiłeś wszystko, o co prosił twój ojciec. Co ty na to?
- Zastanowię się.

\* \* \*

Deszcze z ostatnich paru dni ustąpiły idealnemu jesiennemu niebu. Czysty błękit, jaki nie zdarzał się w czasie parnego lata i jakiego Hadrian nie widział od prawie dwóch lat. W dzunglach rzadko widywał niebo albo horyzont. A kiedy mu się udawało, były przesłonięte mgłą. To był tego typu dzień, jaki spędziłby, pracując u boku ojca przy kowadle, a potem ćwicząc walkę. Na koniec wykradłby się na dąb na wzgórzu, żeby pomarzyć. Spoglądałby na nieskończony błękit i wyobrażał sobie siebie jako szlachetnego rycerza wracającego z bitwy, zwycięskiej, rzecz jasna, i lorda Baldwina z dworu, który gościłby go u swego stołu. Mimo skromności dałby się skłonić do opowiedzenia o swoich dzielnych czynach – jak zabił bestię, ocalił królestwo i zdobył serce pięknej księżniczki. Widział to tak wyraźnie, jak odbicie w nieruchomym stawie, które znikало, gdy tylko ku niemu sięgał. To marzenie otrzymało śmiertelny cios podczas pierwszej bitwy Hadriana, w dniu kiedy zabił brodacza. Był jego pierwszą ofiarą z wielu, ale Hadrian nadal widział jego twarz, nadal spotykał go w koszmarach. Wszystkie kurczaki tego świata nie mogły go na to przygotować. Jego idylliczna wizja ratowania królestwa i rycerskiej dzielności nie była już potem taka ładna. Niebo przestało być niebieskie, a Hadrian odkrył nowy kolor, jaskrawy kolor, który zbryzgał wszystko brzydkim odcieniem.

Teraz Hadrian wrócił pod niebieskie jesienne niebo. Ojciec, który zabronił mu dążyć do zrealizowania marzenia, nie żył, ale profesor miał rację – Hadrian nie wiedział już, co zrobić ze sobą. Kiedy myślał, że wie. Było to jasne jak słońce i proste jak chłopięce marzenie.

Nie jak marzenie... Jak obietnica.

Tak to odbierał. Jednak na ile ważne jest dotrzymanie obietnicy złożonej dziecku, zwłaszcza jeśli to dziecko umarło wiele lat temu na odległych ziemiach?

Hadrian poszedł do stajni w poszukiwaniu Korniszona. Nie zastał go w sypialni ani w jadalni. Jedyne miejsce, jakie pozostało, to stajnia. Kiedy tam wszedł, zobaczył, że Tancerkę schludnie wyszczotkowano, napojono i nakarmiono. Nawet kopyta i pęciny miała umyte z błota z poprzedniego dnia, ale nigdzie nie było widać Korniszona.

– Pomyślałem, że cię tu znajdę – powiedział Arcadius. Dopóki nie wkroczył do stajni, szedł z uniesioną ręką, żeby osłonić się przed blaskiem słońca.

– Nigdy pan nie uczy?

– Zawsze. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Właśnie skończyłem wykład z zaawansowanej alchemii, wielkie dzięki. Teraz miałem nadzieję odkryć, jak ty się miewasz.

– Co w tłumaczeniu znaczy: czy przyjąłem ostatnią wolę ojca, jego testament?

– Coś w tym stylu.

– Kim jest ten Royce...

– Melborn.

– Tak, Royce Melborn.

Hadrian przypomniał sobie szeryfa Maleta i zastanowił się, co powiedziałyby o tym człowieku na podstawie jego nazwiska, ale szybko darował sobie te rozważania.

Arcadius się uśmiechnął.

– Jest jak szczeniak doskonałego psa łowczego, którego okropnie bili wszyscy właściciele. To perełka warta odrobiny wysiłku, ale

podda cię próbie. Wielokrotnie. Royce niełatwo się zaprzyjaźnia i nie ułatwia innym zaprzyjaźnienia się ze sobą. Nie złość się. Tego właśnie szuka. Tego się spodziewa. Będzie próbował odpędzić cię, ale ty go oszukasz. Słuchaj go. Ufaj mu. Tego się nie spodziewa. To nie będzie łatwe. Będziesz musiał być bardzo cierpliwy. Jednak dzięki temu zyskasz przyjaciela na całe życie. Takiego, który nieuzbrojony wejdzie w paszczę smoka, jeśli go o to poprosisz. – Arcadius zorientował się, że Hadrian w to nie wierzy, więc zniżył głos. – Mimo wszystkich swoich zgryzot, chłopcze, w porównaniu z nim żyłeś życiem człowieka uprzywilejowanego. Royce na przykład nigdy nie poznał swoich rodziców. Nie zostało mu nawet mgliste wspomnienie, obraz, znajoma melodia, czy ton głosu. Został porzucony jako dziecko w ohydny mieście. Nawe nie wie, jak przetrwał, a przynajmniej nie chce o tym mówić. W zasadzie mi nie ufa, a jednak i tak bardziej niż komukolwiek innemu. To powinno ci wiele powiedzieć. Już skłoniłem go do wyzwania... On by powiedział, że wykradłem mu ten sekret... Że wychowały go wilki.

– Wilki?

– Zapytaj go o to kiedyś.

– Nie sprawiał wrażenia rozmownego typu. Z pewnością nie wobec mnie.

Hadrian zdjął szczotkę z bariereki i zaczął szczotkować Tancerkę. Nawet jeśli tego nie potrzebowała, domyślał się, że sprawiała jej to przyjemność.

– Pewnie masz rację, zresztą wszystkie jego opowieści są przygnębiające, ale takie historie opowiadasz, kiedy w wieku siedmiu lat musiałeś udusić przyjaciół we śnie, żeby przetrwać. Royce zabił pierwszy raz mniej więcej w tym wieku. Nie wie dokładnie, ile ma lat, rozumiesz. Wiele rzeczy, które uznajemy za naturalne, jemu są obce.

– Jak się poznaliście?

– Kupiłem go.

Hadrian przerwał szczotkowanie.

– W porządku... Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

– A co myślałeś?

Hadrian uniósł ręce. Naprawdę nie miał pojęcia.

– Nie to.

– To pewnie moje słodkie usposobienie zwiodło cię, skoro myślałeś, że niewolnictwo jest mi całkiem obce.

– Jest pańskim niewolnikiem?!

Tancerka odwróciła łeb i trąciła go nosem. Hadrian nadal trzymał szczotkę i zapomniał, co robił.

Arcadius się roześmiał.

– Oczywiście, że nie. Niewolnictwo jest mi całkiem obce. To potworna praktyka, a Royce zabiłby mnie, gdybym tego spróbował. Naprawdę nie może znieść, kiedy ktoś go kontroluje, co osobliwie czyni mnie zarazem jego największym wrogiem, jak i najlepszym przyjacielem. To bardzo delikatna i niebezpieczna ścieżka. Jakbym się zaprzyjaźnił z tygrysem.

Hadrian spojrzał.

– Powiedział pan „z tygrysem”?

– Tak. A co?

– Nie pan pierwszy porównuje go z tygrysem.

– To znaczące?

– Nie wiem.

Arcadius popatrzył na niego z zaciekawionym, ale Hadrian nie zamierzał się tłumaczyć. Nie chciał nawet o tym myśleć. Po prostu uznał za dziwne, że dwie osoby posłużyły się słowem „tygrys”, dwie osoby, które w przeciwieństwie do Hadriana nigdy nie widziały tego zwierzęcia.

Tancerka przeniosła ciężar z nogi na nogę i zaczęła opędyć się ogonem od muchy. Hadrian przypomniał sobie o szczotce i wrócił do czyszczenia sierści.

– Zatem dlaczego nie jest pan martwy? To znaczy, dlaczego pana nie zabił?

Arcadius zdjął puste wiadro z haka na ścianie, postawił je do góry nogami i powoli na nim przysiadł.

– Zbyt długie stanie sprawia, że plecy mnie bolą, a stałem prawie przez cały wykład. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Wiek to straszliwa rzecz, może dlatego Royce zostawia mnie przy życiu, a może jest w nim odrobina ludzkich uczuć. Widzisz, zamknięto go w więzieniu Manzanar, w kopalni soli. To naprawdę upiorne miejsce, gdzie podobno sól najpierw wysysa z człowieka duszę, zanim odbierze mu życie. Hojnie zapłaciłem za jego uwolnienie pod warunkiem, że uda się ze mną. Przyjął moją radę i zgodził się, żebym go uczył.

– Czy to mądre wypuszczać go? Wydaje mi się, że ludzie nie trafiają do więzienia przypadkiem.

– Z pewnością nie był to przypadek, ale o dziwo, został uwięziony za zbrodnię, której nie popełnił.

– Wątpię, żeby istniały jakieś zbrodnie, których nie popełnił.

– Pewnie masz rację. Powinienem być precyzyjniej się wyrazić. Nie popełnił tej konkretnej zbrodni, za którą go uwięziono.

Profesor skrzywił się, próbując usadowić się wygodnie, a przynajmniej przyjąć mniej bolesną pozycję. Miał taką samą ochotę siedzieć w stajni, jak Hadrian jeździć konno w deszczu.

– Po co przychodzi pan tutaj i opowiada mi to wszystko? Chce pan, żeby mi się zrobiło żal tego gościa? Raczej nie budzi litości.

– Staram się ci pomóc go zrozumieć. Pokazać, że jest owocem życia, jakie przeżył, i ludzi, jaki spotkał.

– Dlaczego?

– Bo mam nadzieję, że możesz to zmienić. Wszyscy ludzie, jakich znał, zranili go, zdradzili albo porzucili.

– Rozumiem dlaczego.

– Myślę, że odkryjesz, że ma ukryte zalety, jak my wszyscy. On też będzie miał dobry wpływ na ciebie.

– Nie bardzo widzę, w jaki sposób. Już wiem, jak zabijać. Myśli pan, że pokaże mi, jak pozbyć się wyrzutów sumienia?

– Nie, ale opuściłeś dom, zanim ojciec skończył cię wychowywać. Od tamtego czasu mieszkałeś w obozach wojskowych albo gorszych miejscach. To wyizolowane życie, wypaczony mikrokosmos,



zaledwie pozór rzeczywistości. Prawdziwy świat nie żyje zgodnie z regułami i to, w co wyposażył cię Danbury i życie w koszarach, to tylko blady cień tego, czemu stawisz czoło. Nie ogarnąłeś tak naprawdę świata. Nie widziałeś, jak działają mechanizmy, i nie dałeś się ukąsić bestii. Tak jak Royce jest zbyt cyniczny, ty jesteś za bardzo ufny.

– Nie jestem za bardzo ufny.

– Prawie dałeś się zamordować na barce. Już zawdzięczasz Royce’owi życie. On zauważył to, co ty przeoczyłeś, oto dowód, że możesz się od niego uczyć. Royce to twardy człowiek. Ty nigdy nie widziałeś bestii, a on przeżył całe życie w jej żołądku i nie dał się jej strawić. A zważywszy, że Royce ma bardzo niebezpieczną profesję, mógłby skorzystać ze szkolenia, jakie zapewnił ci ojciec. Przydałby mu się ktoś, kto będzie go osłaniał. Mimo wszystkich swoich umiejętności nie ma oczu dookoła głowy. – Profesor klepnął dłońmi w uda. – Wcześniej wspomniałeś, że odrzuca cię idea żołnierskiego życia. Masz dość zabijania, ale masz talent do walki, więc co możesz zrobić? Oto okazja. Na pewno Royce wskaże ci kierunek i wiele okazji do wykorzystania twoich talentów.

Hadrian przerwał pracę i tym razem odłożył szczotkę. Do tej pory zakładał, że staruszek tylko zgaduje. Zgaduje bezbłędnie, ale przecież profesor nie był głupi. Już to udowodnił, używając dostatecznie dużo słów, których Hadrian nie znał, choćby takich jak „mikrokosmos”. Jednakże teraz czynił aluzje do czegoś, co świadczyło, że wie więcej, niż mówi. Czyżby jego człowiek, Tribian DeVole, wrócił pierwszy? Może wysyłał raporty. „Nie uwierzysz, co ten dzieciak tu wyrabiał! Aha, pewnie, że go znajdę. To nie będzie trudne”. Może dlatego wspomniał o tygrysie. To nie powinno go martwić. To go nie martwi! Arcadius nie był jego ojcem. To tylko stary znajomy, którego spotkał parę razy tak dawno temu, że ledwie go pamiętał.

Wyrzut sumienia legł ciężarem na jego piersi. Wiadomość o śmierci ojca była szokiem, niewątpliwie ciosem, ale nie mógł zaprzeczyć, że trochę mu też ulżyło. Nie będzie musiał stawić mu

czoła i wyjaśni, gdzie był i co zrobił. Śmierć Danbury'ego otworzyła Hadrianowi drzwi do powrotu. Fakt, że jego świeżo zdobyta wolność została wykuta z krwi ojca, sprawiał, że odbierał ją jak karę. I jak jest ze wszystkimi innymi karami, gdy się już je zniesie, najlepiej zapomnieć o nich i żyć dalej. Hadrian myślał, że zdoła zostawić swoją przeszłość w Calisie, ale Arcadius musiał mieć jej cząstkę, ziarno skrywanej prawdy, którego nie ujawnił.

– Skoro mowa o zaufaniu – odezwał się Hadrian – nie wierzę w tę historię, że ostatnim życzeniem mojego ojca było zapoznanie mnie z tym gościem, żebyśmy ukradli książkę. Nigdy nie rozmawiałeś z nim o Roysie i o mnie, prawda?

– Przeciwnie. Powiedziałem mu w dniu, kiedy dał mi amulet. Dopiero co znalazłem Royce'a i długo dyskutowałem z Danburym na jego temat, o problemach, jakie z nim mam. – Starzec wstał powoli, krzywiąc się przy tym. – Jednak masz rację, nigdy nie omawiałem z nim planu, w którym jego syn ma wziąć udział w kradzieży książki. Danbury za bardzo przypominał cię, żeby zgodzić się na kradzież. Zatem zadanie, jakie ci postawiłem, to mój pomysł, ale twój ojciec równie silnie jak ja czuł, że możesz wiele się nauczyć, pracując z Royce'em, a on może wiele nauczyć się od ciebie. Jeśli to ci ułatwi, uznaj to za zapłatę dla mnie za zajęcie się sprawami twojego ojca.

– Prosi pan o zapłatę?

– Jeśli dzięki temu udasz się z Royce'em, owszem. Ta misja jest dla mnie bardzo ważna.

Hadrian nie był do niczego przekonany, oprócz tego, że misja rzeczywiście jest ważna dla profesora. A jeśli to prawda, powinien zdołać wycisnąć coś wartościowego od Arcadiusa.

– A co z Korniszonem?

– Słucham?

– Jeśli się zgodzę, chcę, żeby tu został i się kształcił. Żeby miał szansę na prawdziwe życie. Domyślam się, że może pan to zorganizować.

Arcadius obliznął usta i pogłaskał brodę w zamyśleniu, a potem

zaczął kiwać głową.

- Mogę porozmawiać z rektorem. Myślę, że zdołam coś uzgodnić.
  - I chodzi tylko o tę jedną robotę, zgadza się?
- Arcadiusz zawahał się, a potem uśmiechnął.
- Naturalnie.

# Rozdział 11

## *Trening*

Pazur znowu się ześlizgnął. Zsunął się z krawędzi kamienia i Hadrian poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła w czasie lotu. Spadł mniej niż dwa piętra i wylądował na grubej stercie siana, ale to nadal bolało. Całe powietrze uszło mu z płuc. Leżał, patrząc w górę – na niebo i mur.

Na jego twarz padł cień Royce'a.

– To było żałosne.

– Trochę za bardzo cię to bawi, żebym uwierzył, że naprawdę starasz się mi pomóc.

– Zaufaj mi. Chcę, żebyś czegoś się nauczył. Chcę, żebyś spadł ze znacznie większej wysokości.

Hadrian wyciągnął rękę, ale Royce odwrócił się i odszedł.

– Spróbuj raz jeszcze.

– Jestem większy od ciebie, wiesz?

– Nie dziwi mnie, że natura postanowiła cię przekląć.

Hadrian przeturlał się i wstał, piorunując go wzrokiem. Strzepnął z siebie siano.

Doskonale opanował język gestów. To była ważna część walki i umożliwiała przewidywanie. Widząc, gdzie znajduje się punkt ciężkości, jak obracają się ramiona, gdzie patrzą oczy, potrafił odczytać następny ruch przeciwnika i ocenić powagę zagrożenia. Nawet poza walką sposób, w jaki człowiek się nosi, zdradzał jego

pewność siebie i jaki poziom równowagi osiągnął. Sposób, w jaki stawiał stopy, idąc, mówił o jego sprawności fizycznej i szkoleniu. Ojciec nauczył Hadriana, że nikt nie potrafi całkowicie ukryć tego, kim jest, a większość nawet nie próbuje. Każdy jest stosem zebranych doświadczeń, a sposób, w jaki ten stos się chwieje przy każdym ruchu, zdradza jego sekrety.

Po kilku dniach obserwowania Royce'a Hadrian zmienił zdanie na jego temat. Na łodzi był spowity w fałdy długiej oponce i niemal nieruchomy, przez co Hadrian niczego się o nim nie dowiedział. Mógł tylko wnioskować na podstawie jego rozmiarów, które chociaż nie były wyjątkowo skromne, nie były też w żadnej mierze imponujące. Royce uważał też, żeby nie pokazywać broni, która również mogłaby powiedzieć Hadrianowi nieco na temat zdolności i słabości przeciwnika. Wkrótce Hadrian odkrył, że ta skrytość nie była przypadkiem. Ów człowiek był zamkniętym pudełkiem i bardzo dużo wysiłku wkładał w to, by pozostać zamkniętym. Nie należał do tych, którzy cokolwiek ujawniają.

A poza tym był nadzwyczajny.

Na czas ich treningów Royce odrzucił na bok pelerynę i początkowo Hadrian nie mógł uwierzyć własnym oczom. Podczas gdy język ciała innych mężczyzn był prozą, Royce przemawiał poezją. Hadrian nigdy nie widział, żeby ktoś poruszał się jak on. Najbliższe porównanie, jakie go zadowoliło, to prosta elegancja i zwinność wiewiórki. Royce potrafił z całkowitego znieruchomienia przejść do oślepiającego szybkością ruchu. Jego wyczucie równowagi i chwili było tak wspaniałe, że Hadrian patrzył na niego z nabożnym podziwem i łapał się na tym, że chce mu klaskać. Posługując się doczepianymi pazurami, potrafił wspiąć się na samą górę po zewnętrznym murze Gmachu Glena w czasie krótszym, niż Hadrian potrzebował, żeby wbiec po schodach. Widząc to, Hadrian zdał sobie sprawę, że ten człowiek jest znacznie bardziej niebezpieczny, niż kiedykolwiek zdradziły jego wilcze oczy.

Im więcej widział, tym bardziej brakowało mu jego broni.

Miecze Hadriana, tak samo jak peleryna Royce'a, wylądowały w małym pomieszczeniu na strychu, które Arcadius zorganizował dla nich dwóch i Korniszona. Chłopak przez większość czasu pilnował rzeczy Hadriana i przeglądał książki z obrazkami. Royce protestował, ale profesor obstawał przy swoim. Hadrian miał nadzieję, że Royce wygra w tym sporze, ponieważ, dzieląc z nim pokój, czuł się, jakby spał pod ostrzem gilotyny. Korniszon ani razu nie skomentował obecności Royce'a, ale zawsze czujnie go obserwował.

Układ nie był tak zły, jak Hadrian się spodziewał. Royce zawsze wracał do pokoju bardzo późno. Wchodził chyłkiem i spał w ubraniu. Nigdy się nie odzywał i nawet nie chciał na nich patrzeć. Rankiem znikał, a wcześniej nawet nie odchrząknął ani nie ziewnął, przeciągając się. Nie przypominał istoty ludzkiej.

Hadrian raz jeszcze spróbował wspiąć się po północnej ścianie i ześlizgnął się po tym, jak pokonał raptem kilka stóp wysokości. Przy kolejnej próbie dotarł aż do okna na drugim piętrze, zanim powiew wiatru rozproszył jego uwagę. Pazur zaczepił o bluszcz, stopa ześlizgnęła mu się z oparcia. Posiniaczył sobie policzek i chyba złamał stopę przy upadku.

– Jesteś beznadziejny – orzekł Royce, kiedy Hadrian wiał się na sianie, ściskając nogę. – Wieża Koronna ma sześćdziesiąt kondygnacji, a ty nie dajesz sobie rady z trzema. Nic z tego nie będzie.

Royce zdjął mu pazury i zniknął, zanim Hadrian się podniósł.

Kiedy Hadrian dotarł do gabinetu Arcadiusa, Royce już tam był i krzyczał:

– Przecież właśnie powiedziałem, że nie jest w stanie wspiąć się nawet do okna na drugim piętrze. Minęły trzy dni, a nie widać poprawy. Stracimy jesień, a ja nie chcę wspinać się na tę wieżę, kiedy będzie oblodzona.

– Ach, Hadrianie, wejdz. – Profesor pomachał na niego. Miał worek pod jedną pachą i kręcił się po pokoju, karmiąc zwierzęta. – Obiłeś sobie stopę?

– Źle wylądowałem.

– Następnym razem spróbuj wyhamować upadek karkiem – poradził mu Royce bez krztyny wesołości. – To będzie mniej bolesne dla nas obu.

– Royce – powiedział Arcadius, zatrzymując się obok klatki popiskującego szopa, żeby wyjrzeć przez okno. – Gdyby Hadrian rzeczywiście złamał nogę, a ty musiałbyś go wciągnąć na Wieżę Koronną, to co byś zrobił?

– Niczego bym nie zrobił. Zostawiłbym go, żeby jęczałby albo krzyczał. Wtedy poderznięłbym mu gardło i zaciągnął...

– Tak, tak, ale gdybyś naprawdę musiał go wciągnąć na górę, co byś zrobił?

Royce krzywił się jeszcze chwilę, a potem Hadrian zobaczył, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Z łatwością, z jaką można zdmuchnąć płomień świecy, zniknęła frustracja, a w jego spojrzeniu pojawiło się skupienie. Odwrócił się do zewnętrznej ściany gabinetu i przesunął palcami po kamieniu.

– Wziąłbym linę i jakąś uprząż. Potem wbiłbym cienkie kolce w zaprawę między kamieniami, coś, o co dałoby się zaczepić linę, żeby mógł się podciągać.

– Czemu tego nie spróbujecie?

Frustracja powróciła i Royce odwrócił się błyskawicznie.

– To za długo trwa. Mogę wspiać się na górę w godzinę, najwyżej dwie, ale jeśli będę musiał zrobić windę z liny, to mowa będzie o czterech, pięciu, może nawet sześciu godzinach.

– Szczęściarz z ciebie – powiedział Arcadius z uśmiechem. – Nadchodzi zima, noce są coraz dłuższe. Będziesz miał mnóstwo czasu.

– Wiszenie na ścianie pochłania mnóstwo energii. Będę wyczerpany.

– Weź uprząż i dla siebie, dzięki temu będziesz mógł odpoczywać, kiedy on będzie się wspinał.

– To idiotyczne. – Royce podnosił głos. – Jeśli naprawdę chcesz dostać tę durną książkę, daj mi ją zabrać. Wespnę się i zaraz zejść.

– Nie taka była umowa.

– Dlaczego nie? – warknął Royce. – Dlaczego muszę go zabrać? A skoro muszę, dlaczego nie może zostać przy koniach? Wtedy przynajmniej przydałby się do czegoś. Wyciągnąłeś mnie z Manzantu po to, żeby się mną zabawiać? Jestem jednym z twoich zwierząt w klatce? Bawi cię krępowanie mi stóp i patrzenie, jak próbuję pobiec? Robisz notatki?

Tym razem to było coś więcej niż warknięcie, a Hadrianowi nie podobał się sposób, w jaki pracowały mięśnie Royce'a. Ten pies nie tylko warczał; szczyrzył też kły i zjeżyło mu się futro.

Arcadius odłożył worek i bez lęku spojrział Royce'owi w twarz.

– Zabierzesz go na wieżę i weźmiesz książkę. Taka jest umowa.

Royce, nie kryjąc agresji, zrobił krok naprzód.

Profesor nawet się nie wzdrygnął. Hadrian nie był pewien, czy starzec w ogóle oddycha.

„Stój całkowicie nieruchomo”, powiedział raz Hadrianowi jego ojciec, kiedy natknęli się na niedźwiedzicę z młodymi. „Niech sobie przejdą. Ona boi się tak samo jak ty. Strach sprawia, że każdy z nas robi głupie rzeczy. Zrób krok naprzód, a ona uzna, że nie ma nic do stracenia. Cofnij się o krok, a uzna, że ma przewagę, więc ją wykorzysta. Jedyne sposob, żeby wygrać, to stać nieruchomo i pozwolić, żeby pierwsza wykonała krok”.

Arcadius prowadził tę samą grę i robił to doskonale. Royce oderwał od niego wzrok i się odsunął.

– Koniec ćwiczeń, dopóki nie zrobię ci upręży – powiedział. – Coś, co zdoła unieść balast, jakim jesteś.

Royce wyszedł z impetem i zatrzasnął za sobą drzwi, przy okazji gasząc stojącą nieopodal świecę. Przez chwilę w pokoju trwała cisza. Hadrian i profesor patrzyli tylko na drzwi.

– On ma rację. – Hadrian pokuśtykał, żeby przysiąść na brzegu biurka Arcadiusa. – Będę tylko ciężarem. Powinien pan pozwolić mu załatwić to samemu.

Arcadius westchnął. Wyglądał na zmęczonego. Zwiesił nisko głowę i opadły mu ramiona. Opierając się o biurko, obszedł je



i usiadł powoli na prostym stołku. Westchnął znowu i pogładził brodę.

– Powiedz mi, Hadrianie, jak nauczyłeś się machać mieczem?

– To znaczy?

– Kiedy ojciec rozpoczął twoją naukę, dał ci ten wielki espadon i od tego zaczęliście?

– Zaczął mnie uczyć, kiedy miałem cztery lata. Nie byłem w stanie unieść żadnego miecza, nie mówiąc już o tym.

– Wobec tego jak sobie poradziłeś? Jak zdobyłeś siłę, żeby dzierżyć tak ogromne ostrze?

Hadrian przypomniał sobie drewniane miecze do ćwiczeń, którymi się posługiwał, ale one były lekkie jak piórko.

– Młot – powiedział. – Kazał mi uderzać w kowadło, kiedy tylko byłem dość duży, żeby do niego sięgnąć. Jak uderzasz młotem dostatecznie długo, to budujesz mięśnie w ramionach i rękach.

– Właśnie. Nie stajesz się silny od leżenia ani od zwykłego unoszenia rąk nad głowę. Potrzebne jest obciążenie. Potrzebny jest opór. Potrzebne jest wyzwanie. A jak Danbury kształtował metal?

– Metal?

– Tak, od czego zaczynał?

– Podgrzewał, a potem uderzał, nadając mu kształt.

– A gdy wykuwał miecz, dobry miecz? Taki, który musi być i ostry, i mocny? Jak to uzyskiwał?

– Trzeba zacząć od dobrego metalu, odpowiedniej mieszanki węgla i żelaza. A potem go młotkujesz.

– Młotkujesz? Po co?

– Dzięki temu węgiel i żelazo rozkładają się w równych warstwach, a wtedy razem pracują, czyniąc ostrze mocnym i elastycznym, a jednocześnie twardym, żeby się nie tępiło.

– Jak gorąca musi być do tego kuźnia?

– Bardzo. Trzeba zostawić metal w węglach na bardzo długo, aż uzyska idealnie złoty kolor.

– Wykuwałeś sam miecze, prawda?

– Wykułem te, które noszę.

– Myślisz, że wykucie doskonałego miecza to przyjemny proces?  
– Przyjemny? – Hadrian zastanowił się nad tym. – Nie bardzo. To mnóstwo pracy i potrafi być prawdziwą torturą. Trwa to bardzo dużo czasu i nigdy nie masz pewności, że uda się, dopóki nie wrzucisz miecza do wody i nie zobaczysz efektów hartowania. Dopiero wtedy wiadomo, jak dobrze żelazo i węgiel się związały.  
– Zastanawiałeś się kiedyś, jak czuje się wtedy miecz?  
Hadrian zrobił zdziwioną minę.  
– Miecz? Nie.  
Arcadius wrócił do karmienia zwierząt.  
– To dlatego łatwiej jest być kowalem.

\* \* \*

Minęły dwa dni, a Royce nadal pracował nad uprzężą, co odpowiadało Hadrianowi, któremu nigdzie się nie śpieszyło. To, nad czym pracował, mogło zdefiniować granicę między życiem i śmiercią, więc wolał myśleć, że Royce nie śpieszy się za bardzo. Tyle że Hadrian nie miał żadnego zajęcia. Jego kostka wymagała czasu na wyleczenie, ale dni były zbyt piękne i nie mógł znieść siedzenia w czterech ścianach.

Siedział sam na dziedzińcu i patrzył na posąg. W czasie spędzonym w szkole dowiedział się, że kamienny olbrzym to rzeźba przedstawiająca Glenmorgana I. Podobno niewiele brakowało, żeby ponownie zjednoczył cztery państwa ludzi po tym, jak wojna domowa doprowadziła do rozpadu starego imperium. Hadrianowi powiedziano, że to było wielkie dokonanie. Glenmorgan ustanowił stolicę na północy w Ervanonie i zbudował tam potężny pałac. Wybudował także uniwersytet. Hadriana intrygowało to, że zdobywca świata stworzył także miejsce służące nauce. Próbował lepiej przyjrzeć się jego twarzy, bo pomyślał, że mógłby polubić tego człowieka.

– Potrafisz czytać, panie Hadrianie? – spytał Korniszon.  
– Tak – odpowiedział Hadrian, nadal patrząc na posąg. – Ojciec

mnie nauczył. Dlaczego...

Przeniósł wzrok na Korniszona i zobaczył, że twarz chłopca jest spuchnięta i posiniaczona. Jedno oko tak zapuchło, że całkiem się zamknęło, a opuchlizna na górnej wardze podeszła pod sam nos.

Hadrian usiadł prosto.

– Angdon?

– Miałeś rację co do jego przyjaciół, panie Hadrianie.

Korniszon usiadł na trawie, poruszając się powoli i krzywiąc się przy każdym ruchu. Kiedy już usadowił się u podnóża posągu, wziął kilka oddechów.

– Pozostali cię trzymali?

Korniszon pokręcił głową.

– Z pewnością zrobiliby to, ale nie musieli. Walczy lepiej ode mnie.

– Widzę.

– Wszyscy są lepsi ode mnie.

– Arystokraci uczą się walki od małego. – Hadrian na próbę poruszył nogą w kostce. Prawie nic, żadnego ostrego bólu, tylko tępy dyskomfort i sztywność. – To dlaczego pytałeś, czy potrafię czytać?

– Pomyślałem, że mógłbyś mnie nauczyć. Nigdy nie widziałem tak wielu książek.

– W tej chwili myślę, że trudno ci jest cokolwiek zobaczyć. Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku.

– Pewnie. Zamiast uczyć cię czytać, może powinienem nauczyć cię lepiej walczyć.

– To dlatego chcę, żebyś nauczył mnie czytać, panie Hadrianie.

– Korniszon próbował przywołać swój słynny uśmiech, ale tylko się skrzywił. – Już wymyśliłem, jak pobić tego baroniego syna, Angdona.

– Serio?

Korniszon pochylił się nieco, jakby zdradzał sekret.

– Odnosząc ogromny sukces jako kupiec, zdobędę stosy złota,

będę podróżował we wspaniałym powozie, nosił najlepsze jedwabie i mieszkał w najbardziej zbytkownym pałacu. Zwycięzę, zdobywając życie, jakiego on pragnie, i dokonując tego własną pracą oraz przemyślnością. On nadal będzie miał tytuł szlachecki, ale ja będę miał szlacheckie życie. A jeśli będę potrafił czytać, nauczę się, jak być takim, jak ci najpotężniejsi ludzie z cytadeli w Vernesie.

– Rozmawiałeś z profesorem Arcadiusem, co?

– Troszkę.

– Nikt nie rozmawia z Arcadiusem troszkę.

– Nauczysz mnie, panie? Oddam za to wszelką zapłatę, jaką zamierzałeś mi dać.

– Rozumiem. Cóż, mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość. Zła jest taka, że jeśli naprawdę chcesz odnieść sukces i dokonać tego wszystkiego, co powiedziałeś, będziesz musiał nauczyć się znacznie więcej niż tylko czytać. Dobra wiadomość jest taka, że znajdujesz się na renomowanym uniwersytecie.

– Niestety nie zechcą uczyć kogoś takiego jak ja. To szkoła dla synów arystokratów i kupców, a ja... Cóż... Jestem nikim.

– Profesor Arcadius to ważna osobistość na tej uczelni i chce, żebym coś dla niego zrobił. Niedługo wyjadę, a ty tu zostaniesz.

– Ale...

– Żadnych ale. Zostaniesz tutaj, a profesor dopilnuje, żebyś otrzymał pierwszorzędne wykształcenie, bo inaczej nie wykonam dla niego zadania.

– Coś takiego ma wielką wartość, prawda? Dlaczego zrobiłbyś to dla mnie? Nawet nie jest twoim prawdziwym sługą.

– Bo nie chcę wykonać tego zadania, ale widzę, że i tak to zrobię, więc przynajmniej niech coś z tego mam, a w każdym razie jeden z nas. Może pewnego dnia, kiedy będziesz miał swoje stopy złota, wynajmiesz mnie do jego ochrony, co?

– Zdecydowanie! – Mimo bólu twarz Korniszona znowu się rozpromieniła. – Czego oczekuje od ciebie profesor, panie Hadrianie?

Hadrian znowu spojrział na Gmach Glena i niebieskie niebo w górze.

– Szczerze mówiąc... Nie jestem pewien.

\* \* \*

Później tego samego dnia Hadrian poszedł poszukać Royce'a.

Jego stopa miała się już lepiej. Czuł tylko delikatne kłucie, kiedy opierał się na niej całym ciężarem, przez co nieco utykał. Przetrwał dziesiątki bitew bez zadrażnienia, ale jedno popołudnie z Royce'em wystarczyło, żeby został kaleką.

Bez skutku przeszukał szkołę i tereny wokół niej. Szedł właśnie do gabinetu Arcadiusa, kiedy zatrzymał go student.

– Ty jesteś Hadrian, zgadza się?

Hadrian nie widział wcześniej tego dzieciaka, a przynajmniej tak mu się wydawało. W szkole było mnóstwo studentów i większość dla niego wyglądała tak samo.

– Tak.

– Twój przyjaciel, ten młody, co zabawnie mówi...

– Korniszon?

– Aha, chyba tak.

– Co z nim?

Hadrian zaprowadził poobijanego przyjaciela do profesora, który z kolei zabrał go do szkolnego lekarza. Hadrian spodziewał się, że Korniszon zostanie tam na resztę dnia, ale może stało się inaczej. W końcu tylko spuszczone mu lanie. Nie połamał żadnych kości.

– Przysłał mnie po ciebie. Jest w stajni.

– W stajni?

– Mówił, że to ważne. Chce, żebyś szybko przyszedł.

Hadrian ruszył schodami w dół, zanim chłopak skończył mówić. Zapomniał o bólu w stopie. Zdecydowanie pchnął drzwi i wyszedł na dziedziniec. Chociaż nadal był wczesny wieczór, dolina otoczona przez wysokie wzgórza pogrążyła się już w cieniu. Stajnie

zbudowane po zachodniej stronie dziedzińca, gdzie docierało najmniej światła, już zniknęły w głębokim cieniu, a w środku panowała ciemność.

– Korniszon? – zawołał Hadrian, zaglądając do środka. – Nic ci nie jest?

Nie było odpowiedzi. Hadrian ruszył przejściem aż do miejsca, gdzie stała Tancerka. Przywitał się z klaczą, poklepując ją po zadku. Odpowiedziała, tupiąc kopytem i wymachując ogonem.

Odwróciła głowę i Hadrian wyobraził sobie, że się uśmiecha. Uważał, że bogowie popełnili błąd, nie obdarzając zwierząt umiejętnością uśmiechania się i śmiania. Każde żywe stworzenie powinno mieć tę przyjemność. Jednak kiedy się nad tym zastanowił, myśl o koniu, który śmieje się z niego, nie wydawała się aż tak doskonała.

Światło padające do stajni z dziedzińca zamigotało. Hadrian odwrócił się i zauważył sylwetki w wejściu.

– Korniszon?

To nie był on. Hadrian zliczył pięć osób, nim zamknięto drzwi. Latarnia zapłonęła i zobaczył Angdona. Nie nosił togi. Zamiast tego miał na sobie wełniane bryczesy i lekką koszulę – coś, co arystokrata mógłby uznać za strój do pracy. Teraz było oczywiste, dlaczego Korniszon przegrał walkę. Angdon był mniejszy od Hadriana, ale niewiele, miał mocne ramiona i ręce, jakie Hadrian widywał zwykle u parobków i swojego ojca.

– Przykro mi, ale Korniszon nie przyjdzie. Zastanówmy się teraz... Mówiłeś, że twoje imię brzmi Hadrian. – Angdon uderzył trzonkiem od topora w dłoń. Pozostali chłopcy też mieli drągi i żaden nie nosił togi. – Najwyraźniej zgubiłeś miecze, Hadrianie.

– Nie zgubiłem. Zostawiłem je w pokoju. – Hadrian pomyślał, że chłopak może być dość bystry, żeby zrozumieć zawołaną groźbę, ale Angdon jej nie dostrzegł.

– Pożałujesz tej decyzji.

– A to dlaczego?

Chłopcy ruszyli, uderzając drągami w dłonie. Rozproszyli się,

patrząc na Hadriana, uderzając w beczki i boksy z groźnymi uśmiezkami. Dla nich to była zabawna część – zastraszenie. Dla tych chwil żyli dręczyciele słabszych i nie różniło się to aż tak bardzo od pól walki. Tam metody były tylko bardziej teatralne i pomnożone przez tysiące.

Hadrian przypomniał sobie, jak każda bitwa zaczynała się od dwóch stron stojących naprzeciwko siebie. Szyki ciągnęły się, jak okiem sięgnąć, pięć do dziesięciu mężczyzn w rzędzie. Dzielili ich trawiasta szczelina mająca mniej niż sto jardów szerokości. Patrzyli na siebie, a potem uderzali w tarcze mieczami i toporami. Wreszcie zaczęli wyc jak wilki. Nikt nie wydawał takiego rozkazu; żaden dowódca nie kazał im zachowywać się jak zwierzęta – to przychodziło naturalnie mężczyznom szykującym się do zabijania. Obie strony robiły, co w ich mocy, żeby przestraszyć drugą. Wtedy właśnie rozgrywała się prawdziwa bitwa. Można by rzec, że na każdym polu, na którym Hadrian walczył, ustawiano wagę – której szale znajdowały się w równowadze do chwili, kiedy obie grupy się zobaczyły. Licniejsza armia dorzucała ciężar na swoją szalę; nikt nie lubi, gdy przeciwnik ma przewagę liczebną. Konnica była przerażająca i widok koni też mógł zmienić położenie szal. Krzyki także służyły przechyleniu szali zwycięstwa, bo zwycięzcą bynajmniej nie jest strona, która najlepiej walczy. Żadna bitwa nigdy nie toczyła się do ostatniej kropli krwi. Zwycięzcą zawsze była grupa, która przechyliła szalę na swoją stronę i sprawiła, że przeciwnik pierwszy rzucił się do ucieczki. Hadrian widział już, jak zwyciężająca strona uciekała, bo myślała, że przegrywa.

Ustanowienie swojej przewagi na samym początku, napełnienie przeciwnika strachem i beznadzieją, ułatwiało każdą potyczkę. Hadrian rozumiał to nawet lepiej niż Angdon, ale tak samo jak wycie, takie zachowania przychodziły naturalnie ludziom zamierzającym kogoś skrzywdzić. To była kluczowa chwila w każdej walce i rolą Hadriana – samotnego człowieka wobec wielu przeciwnikom – było skulić się ze strachu i drzeć, może

nawet płakać i błagać.

– Przyjaźnisz się z Korniszonem. – Angdon powiedział to oskarżycielskim tonem. – Wy dwaj lubicie wprawiać mnie w zakłopotanie. Myślicie, że to zabawne deprecjonować lepszych od siebie. Ja przeciwnie. Dla żadnego z nas to nie jest zabawne.

– Widziałem, co zrobiłeś Korniszonowi. Trochę za ostra reakcja na rzucenie pasztecikiem.

– Daliśmy mu nauczkę. W końcu to szkoła. Większość tego, czego nas tu uczą, to bezużyteczne bzdury, same słowa. Słowa nic nie znaczą poza tą doliną. Ja jednak uczę czegoś ważnego, to edukacja z prawdziwego świata. Udzielam lekcji, które mogą pomagać przez całe życie, i zaraz jednej ci udzielenie, Hadrianie. Pokażę ci, dlaczego powinieneś szanować lepszych od siebie.

– Doceniam intencje, ale nie jestem studentem.

– To darmowa lekcja. – Angdon okrążył Hadriana i chwycił trzonek od topora mocno w obie ręce.

Hadrian rozstawił lekko nogi. Przygiął kolana i równo rozłożył ciężar ciała. Obserwował ciało Angdona i kierunek jego spojrzenia. Chłopak zakołysze się z prawej na lewo, celując raczej w bok Hadriana niż w głowę. Zamierzał go pobić, a nie zabić. Szelest słomy za plecami Hadriana zdradzał, że pozostali też podchodzą.

Angdon obrócił rękę i uniósł trzonek. Mięśnie nabrzmiały mu na szyi, kiedy brał zamach, ale trzonek nawet nie drgnął. Cień spowił młodego człowieka od tyłu.

– Mmmfff... – Angdon wydał z siebie cichy jęk, wyginając plecy w łuk i wytrzeszczając oczy.

Osunął się na kolana, chwiał się na nich chwilę i padł na bok. Krew plamiła jego roboczą koszulę, rozlewając się i przesączaając się przez płótno.

Cień z tyłu nadal stał. Czarna peleryna i kaptur bez twarzy. Ponury kosiarz zrobił jeden krok do przodu i pozostali czmychnęli, w panice rzucili się do drzwi. Wypadli na zewnątrz, upuszczając latarnię na trawę. Zgasła, wypuszczając cieniutką smużkę dymu.

– Po co to zrobiłeś?! – krzyknął Hadrian.



Royce wycofał się w ciemną niszę, zebrał naręcze skórzanych pasów i wyszedł ze stajni.

\* \* \*

– Rozmawialiśmy już o tym, Royce! – wrzeszczał Arcadius. – Nie wolno ci krzywdzić studentów.

– Powiedziałeś „zabijać”. Jeśli chcesz unikać nieporozumień, wyrażaj się precyzyjnie. Dzieciak barona przeżyje. Zaufaj mi, wiem, gdzie wbić nóż.

Znowu znajdowali się w gabinecie profesora. Hadrian zaniósł Angdona do szkolnej infirmerii, a potem poszedł zobaczyć się z Arcadiusem, który wezwał już Royce’a. Złodziej zsunął kaptur. Przytargał naręcze pasków i sprzączek, które odłożył na jedną ze skrzyń. Nadal coś szył zakrzywionym szydłem, jakby był damą na wieczorku hafciarskim.

– Zostanie przeprowadzone dochodzenie – powiedział profesor. – Rektor tego zażąda.

– To żaden problem, pod warunkiem, że nie będzie zawracał mi głowy – odparł Royce.

– Obawiam się, że może obstawać przy aresztowaniu ciebie.

– No to ma pecha.

– Nie pozwolę, żebyś zamienił uniwersytet w drugą Colnorę.

Arcadius zgarbił się przygnieciony frustracją. Obszedł biurko i usiadł wyraźnie zmęczony. Był bez wątplenia najstarszą osobą, jaką Hadrian znał, a w tej chwili wyglądał, jakby postarzał się o dekadę.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Arcadius.

– Próbowałem ci pomóc – wyjaśnił Hadrian.

Royce podniósł wzrok znad szycia i uśmiechnął się do profesora.

– Pochlebia sobie. Te bachory zamierzały zlać go trzonkami od toporów. Wiedząc, jaki jest kruchy i że każesz mi czekać, aż dojdzie do siebie, chociaż nadchodzi zima, interweniowałem.

– Nie potrzebowałem twojej pomocy – powiedział Hadrian.

Royce uśmiechnął się znacząco.

– Oczywiście, że nie. Jak zawsze panowałeś nad sytuacją. To dlatego zdobyłeś sobie pięciu wrogów w cztery dni. I dlatego dałeś się nabrać na tak oczywistą sztuczkę. Dlatego pozwoliłeś, żeby poszli za tobą i odcięli ci drogę ucieczki i dlatego nie wzięłeś ze sobą żadnej broni. Nie, nie potrzebowałeś mojej pomocy, zupełnie jak na łodzi. Przebiegła z ciebie sztuka, zwodzisz nas i dajesz nam fałszywe poczucie wyższości, odgrywając skończonego głupka. A poza tym już wiem. – Royce zwrócił się do Arcadiusa. – Wiem, dlaczego chcesz, żebym go zabrał. Dlaczego upierasz się, żebym zabrał go na górę. Założyłeś się. Podejrzewam, że obstawiasz przeciwko mnie. Wyciągnąłeś mnie z więzienia Manzant, żeby rozegrać poważną partyjkę, pojedynkę dla rozrywki... Z kim? Tego jeszcze nie rozgryzłem. Z jakimś innym nauczycielem? Może z zamożnym diukiem? A może z kimś, kogo znam osobiście? – Royce wypowiedział ostateczne zdanie tonem nieskrywanej groźby i spiorunował Arcadiusa takim wzrokiem, że tamten aż cofnął się o krok. – Ostrzegam cię, rzucano mi już wyzwania. Od tego wszystko się zaczęło, wiesz? Hoyte próbował mnie zabić w taki sam sposób. Na wypadek gdybyś nie słyszał, Hoyte nie żyje. Załatwiłem go i zostawiłem na widoku. Zatem jeśli szukasz rozrywki, zapewniam, że ją otrzymasz.

– To nie jest gra – zapewnił go Arcadius. – I żadna z tych rzeczy nie ma już znaczenia. Dźgnąłeś Angdona. Będą tacy, którzy zażądają zadośćuczynienia, a to znaczy, że obaj musicie odejść.

Royce odwrócił się do Hadriana.

– Zbierz swoje rzeczy i osiodłaj konia. Spotkamy się w stajni.

– Nie zgadzam się z tym, co zrobiłeś – powiedział mu Hadrian – ale mimo to dziękuję.

Royce pokręcił głową.

– Zdajesz sobie sprawę, że zabieram cię na śmierć?

– Mam nadzieję, że cię rozczaruję.

– Nic z tego.

# Rozdział 12

*Raynor Grue*

Grue siedział przy rozchwierutanym stole obok jedyne go okna w „Ohydny Łbie” dostatecznie czystego, żeby dało się wyjrzeć na zewnątrz. Ktoś wylał zawartości kielicha i wytarł szybę, ścierając przy okazji trochę brudu. A może ktoś go zlizął – Grue nie zdziwiłby się, wiedząc, jacy pijacy regularnie wypełniali „Ohydny Łeb”. Nie spędzaliby każdego wieczoru na tym krańcu miasta, gdyby mieli choć tyle rozumu, ile Muriel dała psu. Przez względnie czysty kawałek szyby wielkości dłoni Grue spojrzął na budynek po drugiej stronie ulicy.

Dawno temu była to gospoda zwana „Przekorny Podróżny”, okazały przybytek, jak mu powiedziano. Od niej nazwano ulicę i przez lata interes świetnie prosperował, przechodząc z rąk do rąk kolejnych właścicieli, zanim w końcu podupadł. Niektórzy mówili, że makabryczne morderstwo odstraszyło klientów. Inni, że żona właściciela uciekła z kochankiem, zostawiając męża zbyt przybitego, by zdołał dalej prowadzić interes. Grue wiedział tylko z całą pewnością, że dach gospody zawalił się tej samej zimy, kiedy skończył dwanaście lat. Od tamtego czasu nikt nie tknął ruiny, co najwyżej kradziono z niej deski szalunkowe na podpałkę. W ciągu lat gospoda dorobiła się idealnego odcienia rozpaczliwej szarości i wraz z innymi warsztatami oraz domami przy Przekornej stwarzała szczególną atmosferę Dzielnicy Dolnej. Jednak

w okamgnieniu dziwki zamieniły rudere w barwne szkaradzieństwo.

Stukot młotkiem zaczął się tydzień temu. Przerywany łomot, który cichł i powracał. Stała jedna ściana, potem druga. I miały tam łóżko. Widział, jak wnoszono materac, na ile się orientował na razie tylko jeden. Czasem przechodził ktoś z naręczem desek i torbą na ramieniu. Zawsze to były twarze, których Grue nie rozpoznawał, jacyś cieśle z ulicy Rzemieślników. Na pewno. Nikt z Dzielnicy Dolnej nie pomógłby dziwkom bez jego pozwolenia.

Po deszczu Grue codziennie słyszał walenie młotkiem i to mu się nie podobało. Ten hałas naprzeciwno i cisza w karczmie irytowały go. Nie zdawał sobie z tego sprawy do tej pory, ale przywykł do tupotu drobnych bosych stóp i rytmicznego skrzywienia ram łóżek. Nigdy nie przepadał za ciszą, nie ufał jej. Cisza zapadała, gdy kogoś uduszono.

Przybite gwoździami świeżo pocięte drewno, któremu brakowało patyny czasu, wyglądało jak nagie – blady tyłek wypięty na niego z naprzeciwka. Tego ranka cieśle zaczęli pracować nad piętrem. Grue właśnie dźgał widelcem jajecznicę, kiedy zaczęli nosić deski. Nie on jeden obserwował. Grupa głupków zebrała się, żeby popatrzeć. Czterech stało przy stajniach, dwóch w gnoju na ulicy, a trzech na jego własnej werandzie – zupełnie jakby oglądali zawody, a nie ulokowali się w wejściu do karczmy z wyszynkiem. Opuścił im, ponieważ było dopiero rano. Jako właściciel interesu nigdy nie chciał, żeby oskarżano go, że przyczynia się do wzrostu demoralizacji w dzielnicy. On sam nigdy nie pił, „dopóki mgła nie podniosła się z pól”. Był przekonany, że kapłan Novrona powiedział mu raz, że odwrotne postępowanie obraża bogów, chociaż całkiem możliwe, że były to tylko słowa piosenki, którą pamiętał piąte przez dziesiąte. Bez względu na pochodzenie słów Grue wziął je sobie do serca i nie ufał ludziom, którzy postępowali inaczej. Chociaż nie odmówiłby nikomu sprzedania kielicha. Uważał, że skoro Maribor nie zabrania słońcu świecić na ramiona głupich i podejrzanych, to kimże jest on, żeby odmawiać im

napitku? Nigdy jednak nie zaufałyby takim nikczemnikom i szanował moralny hart tych, którzy czekali w progę. Jednakże gdy nadejdzie południe, lepiej, żeby kupili coś do picia, bo inaczej mogą zmiatać na ulicę i stać w błocie razem z resztą guzdrał.

– Wstawiają szyby w okna.

Głos Willarda brzmiał tak, jakby ktoś pocierał kamieniem o kamień. To nie była jego wina; urodził się ze żwirem w gardle. Prawdziwy problem stanowił Grue, który za dużo wypił poprzedniego wieczoru. Trzeci raz z rzędu zasnął przy tym stole. Zerknął na szybę z czystą dziurą. Może to on wylał zawartość kieliszka na okno. Chyba przypominał sobie sprzeczkę z oknem poprzedniej nocy. Zarzucił mu, że jest brudne.

Spodziewał się, że do tego czasu dziwki już wrócą.

Uznał, że posnują się dzień lub dwa, dorobią się bąbli na stopach i zgłodnieją. A potem, kiedy słońce zajdzie i powieje zimnem, zapukają do jego drzwi ze spuszczoneymi głowami, posępnyimi twarzami i wszystkie będą dygotać na jego werandzie. Zamierzał zmusić je do przenocowania na werandzie. Powinny dostać nauczkę. Konia wystarczy raz złamać i jeśli często na nim jeździsz, to efekty nauki są trwałe, ale nierządnicę trzeba regularnie edukować. A w szczególności chciał je oduczyć nawyku słuchania się jej.

Obserwował Gwen przez brudne okno. Stała na połamanym wozie i krzyczała jak kapitan na statku. To mu się nie podobało. Od tej wolności tak jej spuchnie głowa, że nie zmieści się w drzwiach. Zawsze była zarozumiała. Już pierwszego dnia, kiedy ją zobaczył, wiedział, że patrzy na ból głowy. Nawet kiedy była ubrana w tę połataną, postrzępioną spódnicę, nie było wątpliwości co do tego, że wygląda olśniewająco. Ciemnoskóra, ciemnooka z długimi czarnymi włosami jak diablica z południa, której oczy zdradzają nikczemność – takie kobiety mężczyźni lubili. Zaproponował jej pracę, a ona się zgodziła. Potem jednak próbowała udawać, że nie rozumiała, i zachowywała się, jakby wymagano od niej tylko podawania do stołów. Musiał trzy razy

spuścić jej lanie pasem, żeby wszystko wyjaśnić.

– Ładne te okna – powiedział Willard.

– Wszystkie baryłki są pełne? – Nawet własny głos wywoływał migrenę u Grue.

– Prawie.

– Nie chcę żadnego prawie!

Willard był wielkich chłopakiem z dłońmi jak pokrywy od beczek, ale leniwym jak kamień w polu. Pewnego razu Grue znalazł go śpiącego w karczmie. Chłopak nie miał dokąd pójść. Pracował przy naprawie dróg, przepijał wypłatę i tracił przytomność w szynku, gdzie rankiem towarzysze z pracy budzili go szturchańcami. Okazało się, że Willard pije na kredyt, więc Grue zażądał, żeby odpracował dług. Dwa lata później Willard nadal odpracowywał dług.

Grue spojrzał na dom naprzeciwko. Willard miał rację – to rzeczywiście były ładne okna – duże, z cienkimi szybami. Musiały kosztować mieczek srebra.

Jak ona to robi?

Musiała podwędzać pieniądze, zarabiać na boku, bez jego wiedzy, i ukrywać pieniądze. Nie bardzo wiedział, jakim cudem. Zawsze baczył na interesy, a klienci dobrze wiedzieli, że nie warto go oszukiwać. Każdy, kto wchodził do „Ohydneho Łba”, znał reguły.

Raynor Grue rządził ulicą Przekorną.

Żadne to dokonanie, ale mimo to był dumny. Większość budynków przy ulicy to były szopy pełne śmiecia ludzi, którzy mieszkali i pracowali w lepszych miejscach. Przekorna – zwana czasem „Ostatnią Ulicą w Medfordzie” oddzielała tych, co nie mają nic, od tych, którzy są niczym. Jak na ironię jedyny drugi dochodowy interes przy tej ulicy należał do Kenyona Czyściocha. Produkował mydło i z powodu smrodu musiał przenieść się na Ostatnią Ulicę w Medfordzie, gdzie jego odór nie był gorszy od reszty zapachów. Pozostali mieszkańcy pracowali w niepełnym wymiarze godzin, za to chlali w pełnym, jak Mason Grumon z jego

niekiedy działającą kuźnią, którą otwierał, gdy wytrzeźwiał.

Jako człowiek, który w tej okolicy wydzielał żywotne soki, Raynor Grue był królem Przekornej, tyranem władającym kurkami. Nie tylko rządził jedyną karczmą z wyszynkiem na ulicy i piwem, które warzyli z Willardem w piwnicy, to jeszcze oferował hazard i aż do ubiegłego tygodnia kobiety.

Jakimś cudem Gwen odłożyła trochę pieniędzy. Nie trochę, ale mnóstwo. Potrzebowała co najmniej złotego tenenta albo dwóch, żeby otrzymać dokumenty na ten budynek. Oczywiście jeszcze do niej nie należał, a Grue, jak każdego monarchę, bolała utrata nawet najmniejszego zakątka swojego królestwa. Nie był złym dyktatorem, tylko pragmatycznym i kiedy wyglądał przez okno uznał, że czas to udowodnić.

– Dopilnuj, żeby beczułki były pełne, kiedy wrócę, i nie zapomnij podłożyć pod nie klinów. Mam dość wyciągania beczek, w których został jeszcze galon. Przez jedną nadwyrężyłem sobie plecy wczoraj wieczorem.

– Gdzie idziesz? – zapytał Willard z nagłym zainteresowaniem.

Przypominał Raynorowi psa, który goni za panem do drzwi.

– Nigdzie. Wracaj do roboty.

Na zewnątrz słońce przygrzewało mocniej, niż się spodziewał. Deszcz sugerował wczesną zimę, ale bogowie są nieobliczalni. Grue nie był żarliwym wyznawcą Kościoła Nyphrona, ale to nie znaczyło, że nie jest religijny. Przeciwnie, uważał się za bardziej pobożnego niż wszyscy inni, ponieważ wierzył w dziesięć razy więcej bogów. Codziennie modlił się do boga ale i być może jako jedyny wiedział, że bardzo się różni od swojego brata – boga piwa i ich występnej siostry, bogini wina. Niedawno spostrzegł, że bóg hazardu, którego nazywał Walter, to dokładnie to samo bóstwo, które kontroluje pogodę, i że jest nadzwyczaj zmienne. Dzisiaj Walter był w pogodnym nastroju, co dowodziło, jak bardzo często Grue za nim nie nadaża.

Grue powlókł się przez przeważnie już suche koleiny na ulicy, zbliżając się do Gwen, która nadal stała na wozie plecami do niego.

Jej sukienka wyglądała na czystą. Zastanawiał się, jak Gwen tego dokonała, kiedy ta odwróciła się i zamarła na jego widok.

– Grue! – wyrwał jej się zduszony okrzyk, jakby nie spodziewała się go zobaczyć raptem dziesięć stóp od jego własnego domu i karczmy.

– Myślałaś, że umarłem?

– Ach... Nie, oczywiście, że nie.

Odsunęła się tak gwałtownie, że aż oparła się pośladkami o poręcz po drugiej stronie wozu. Kupiła budynek dokładnie naprzeciwko jego domu, a teraz nie mogła uciec przed nim dostatecznie daleko.

– Co tu budujesz, dziewczyno?

– B-burdel. – Wypowiedziała to słowo cicho, jakby zawstydzona, niczym dzieciak przyłapany na tym, że trzyma szczęśliwą srebrną monetę ojca, stojąc przed Kasynem i Spirytualiami Braxtona.

– Skąd wytrzasnęłaś tak dużo pieniędzy?

– Co zarobimy, to inwestujemy.

– Rozumiem. – Skinął głową i obszedł nieco wóz, zatrzymując się, żeby spojrzeć na budowę, jakby po raz pierwszy ją zauważył. – Wygląda na to, że to może być naprawdę ładny lokal.

– Dziękuję. – Zabrzmiało to tak, jakby słowo musiało pazurami wydrzeć sobie drogę z jej gardła.

– Jak to możliwe, że nigdy nie zapytałaś mnie o pozwolenie?

– Nie wiedziałam, że powinnam.

– Nie? Pomyślałaś, że możesz po prostu wybudować burdel naprzeciwko mojej karczmy, ale nie wpadałaś na to, że może mnie to zainteresować, hm?

– Pomyślałam, że może się ucieszysz.

Kłamała, słyszał to w słabym i pełnym nadziei tonie, jakim to powiedziała. Tym samym tłumaczył się kiedyś przed lokalem Braxtona, tuż przed tym, jak ojciec usunął mu przedni ząb za pomocą ceramicznego kubka.

– Ładniejsze miejsce przyciągnie więcej klientów, a my dopilnujemy, żeby byli spragnieni. Zarobisz dwa razy więcej niż



teraz.

Irytowało go, że musi patrzeć na nią z dołu, bo stała na wozie. Nie podobało mu się, że przez nią musi zadzierać głowę. Co gorsza, Walter umieścił płonące słońce tuż za jej głową, więc Grue musiał mrużyć powieki, bo oślepiało jego nawykłe do ciemnych pomieszczeń z brudnymi oknami oczy.

– Masz śmiałe pomysły. Widzę to. Jednak nadal jesteś dziwką, moją dziwką, a to jest moja ulica. Tu nie dzieje się nic bez mojego pozwolenia. A ja nie dałem ci pozwolenia. No dobra, zafundowałyście sobie miłe wakacje, miałyście okazję zobaczyć świat, odetchnąć pełną piersią. Szczerze mówiąc, myślę, że miałyście rację, odchodząc. Ta nieszczęsna historia z Avon... Taki smród wymagał wietrzenia. Wszyscy skorzystali na tej przerwie, ale teraz nadszedł koniec tych bzdur. Jestem cierpliwym człowiekiem, ale wy kosztujecie mnie konkretne pieniądze. Wydajecie konkretny grosz na te bzdury, a na to nie pozwolę. Masz odesłać tych cieśli i zagonić dziewczyny do „Ohydneho Łba”. Jestem dziś zmęczony, więc pośpieszcie się, a zapomnę o wszystkim. Możecie nawet zatrzymać to, co zarobiłyście na tym nowym łóżku. A jak każecie mi czekać, to zapoznam was z nowym pasem, który sobie sprawiłem.

– Nigdy nie wrócimy, Grue – powiedziała to głośniejszym i innym tonem.

To nawet nie brzmiało jak jej głos.

– Nie wystawiaj mnie na próbę, Gwen. Lubię cię, naprawdę, ale nie stać mnie na to, żeby jedna z moich dziwek odstawiała taką szopkę. Rób, co ci każę, bo inaczej nawet Etta będzie ci współczuła. I złaż z tego pieprzonego wozu.

Gwen stała pewnie, co doprowadziło go do furii. Starał się być miły, wybaczyć jej ucieczkę i głupotę. Powinna być wdzięczna, a ona przeciwstawiała mu się na środku ulicy, na oczach tych przeklętych cieśli. Miała swoją szansę, a Grue miał dość upokorzeń. Bycie miłym nigdy nie działało; wpadało się tylko w głębszą dziurę, z której trzeba się potem wygramolić. Nie miał

tak naprawdę nowego pasa, ale jak już skończy z Gwen, to na pewno będzie musiał go sobie kupić.

Postawił jedną stopę na wozie i już chciał wspiąć się dalej, kiedy szorstka ręka złapała go za gardło i cisnęła nim do tyłu. Wylądował na ziemi, uderzając skacowanym łbem o koleinę.

– To mój wóz, Raynor. Tknij go raz jeszcze, a skrećę ci ten przeklęty kark.

Walter znowu świecił mu prosto w oczy, ale Grue wypatrzył jakoś Dixona Wozaka, który stał nad nim.

– To dotyczy także towaru na wozie.

Grue wstał, otrzepał się. Plecy miał mokre, bo wylądował w kałuży.

– To był błąd, wozaku.

Dixon podszedł jeden krok, a Grue się cofnął.

– Chcę, żebyś wiedziała, że próbowałem załatwić to jak należy. Byłem gotowy puścić wszystko w niepamięć, ale to ty odrzuciłaś moją ofertę – powiedział do Gwen Grue. – Chcę, żebyś to sobie zapamiętała.

Wszędzie przerwano pracę, cieśle się przyglądali. Pozostałe dziwki też wyszły.

– Chcę, żebyście wszyscy to sobie przypomnieli... W swoim czasie.

\* \* \*

Dziewięć godzin później Grue nadal czuł pieczenie po upadku i znajdował kolejne miejsca, gdzie błoto uparcie przywarło mu do skóry. Wrócił do karczmy, jak niedźwiedź do swojej jaskini, żeby wylizać rany i naostrzyć zęby. Spędził tam cały dzień i większość nocy, siedząc, czekając, myśląc.

Siedział przy stole w pobliżu baru, starając się nie patrzeć na frontowe drzwi, bo wtedy czas dłużyłby mu się w nieskończoność. Grue nie był młodym człowiekiem i takie upadki były dla niego ryzykowne. Niczego nie połamał, ale jego reputacja została mocno

posiniaczona.

Opowieść o tym popłynie jak mocz ściekami. „Grue stracił kontrolę nad Przekorną. Kobiety nim pomiatają. Jego własne dziwki wepchnęły go w błoto i wyśmiały”. Nie przypominał sobie, żeby ktokolwiek się śmiał; nikt się nawet nie uśmiechał. Gwen, jeśli już, to wyglądała na przerażoną, kiedy upadł. Jednak to wszystko nie miało znaczenia. Pewnie śmiali się potem, a nawet jeżeli nie, to według opowieści śmiali się, i to przeważa. Mógłby zwołać swoich ludzi. Willard zna dwóch gości z portu, których nazywa Twardziel i Borsuk, duzi faceci z dużymi pięściami. We trzech zlaliby na kwaśne jabłko Dixona. A gdyby myślał naprawdę poważnie, wezwałby Stane’a – ten facet to wariat i zrobiłby wszystko za butelkę, dziewczynę i bezkarność. Dixon zapłaci, to już sobie Grue obiecał, ale ten prezent mógł zaczekać.

Grue miał inne plany.

Świeca na stole zamigotała. Zwrócił uwagę na cynowy talerzyk pod nią – jedyny, jaki mu został. Specjalnie go wyjął.

Pamiętając, żeby nie zerkać na drzwi, odwrócił się w stronę baru i skupił na wiszącym tam obrazie. Sporo patrzył na niego tego dnia. Pomagał mu się uspokoić. Cały „Ohydny Łeb” zbudowano z drewna z odzysku i ochłapów szabrowanych z pobliskich budynków. Pod tym względem „Ohydny Łeb” był najprawdziwszym owocem Dzielnicy Dolnej – dzieckiem tego, co istniało tu wcześniej, bękartem tuzina rodziców, przez wszystkich wydziedziczonym. Frontowe drzwi, na które nie chciał patrzeć w obawie, że nigdy się nie otworzą, pochodziły z Przekornego Podróżnego i nadal były najlepszymi drzwiami na ulicy. Okna – te dwa większe, od frontu, pochodziły z warsztatu krawieckiego, który splajtował. Mniejsze okno, jak mówiła legenda, zostało wyrwane z kadłuba statku, który osiadł na mieliźnie w porcie nad rzeką. Biorąc pod uwagę te szczątki, karczma była magazynem, który przechowywał historię Dzielnicy Dolnej.

Właśnie w ten sposób Raynor Grue lubił patrzeć na karczmę. Miał skłonność do decydowania o naturze faktów – to ułatwiało

życie. Mógł być żalonym starym szuja, który żył w nędzy, zerując na ludzkich słabościach, albo mógł być szanowanym biznesmenem żyjącym w skarbcu pełnym starodawnych pamiątek, który dostarcza rozrywki ciężko pracującym ludziom. Obie wersje były na swój sposób prawdziwe. Grue wolał drugą. Po części dlatego, że wierzył, iż dostarcza potrzebnych usług, a po części dlatego, że wiedział, iż na nic lepszego nie może liczyć w życiu.

„Ohydny Łeb” był znacznie starszy od Grue, a wiele z tych dawnych czasów stanowiło tajemnicę – jak przedstawiający jezioro obraz nad barem. Namalowany na kawałku drewna pociemniał z biegiem lat, więc teraz wyglądał jak nocny pejzaż. Grue siedział godzinami, gapiąc się na obraz, zastanawiając się, skąd się tam wziął, kto go namalował, ale najczęściej po prostu chciałby znaleźć się pod tym ciemnym niebem, obok tego jeziora. Czasem, zwykle po minimum sześciu kieliszkach, słyszał plusk wody i klangor gęsi, tak subtelnie zasugerowanych dwoma maźnięciami pędzlem. Obraz był tylko jednym z setek ciekawostek w „Ohydny Łebie” i na przestrzeni lat Grue dodał własne upiększenia, żeby zdumiewać następnego właściciela. Cynowa podstawka pod świecę na stole była jednym z nich. Kupił ich dziesięć od wędrownego druciarza w noc, kiedy był zbyt pijany, żeby zajmować się interesami. Dziewięć zniknęło w ciągu lat – rozkradziono je. Leżąca przed nim była ostatnią, jaka przetrwała. Wygrzebał ją z ukrycia, żeby upiększyć nieco karczmę.

Gdy usłyszał tętent kopyt i parskanie konia, wiedział, że zaproszony gość wreszcie dotarł. Spośród około piętnastu stałych klientów „Ohydny Łeb” i jakichś dwudziestu paru sporadycznych żaden nie jeździł konno.

– Willard! – zawołał Grue. – Przynieś tę butelkę, którą trzymam w kasecie na monety, i dwie szklaneczki, te z górnej półki.

Frontowe drzwi do „Ohydny Łeb” otworzyły się, wpuszczając rześkie jesienne powietrze, od którego zamigotała świeca na cynowej podstawce. Wszedł Reginald Lampwick, przytrzymując pelerynę, żeby nie przytrzasnąć jej w drzwiach. Nosił kapelusz

z szerokim rondem zawiązany ciasno pod brodą i rękawiczki, które zdejmował, pociągając za palce i przyglądając się stolikom. Zauważył Grue i podszedł, tupiąc głośno wysokimi butami.

– Panie. – Grue wstał i pochylił z szacunkiem głowę.

– Raynor – odpowiedział Reginald, nie podając mu ręki.

Grue nie spodziewał się innego zachowania.

Przyszedł Willard z butelką i szklaneczkami.

– Nie mogę zostać – uprzedził Reginald.

– Noc jest zimna – odpowiedział Grue. – A zwłaszcza gdy jedzie się z Dzielnicy Szlacheckiej. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Nalał do szklanek. Sam wypije z obu, jeśli Reginald po prostu wyjdzie. Będzie wtedy tego potrzebował. Choćby nie wiadomo ile czasu gapił się na obraz, nic to nie pomoże, jeśli Reginald go przynajmniej nie wysłucha. Reginald spojrział na szklanę, ale nawet nie drgnął, żeby jej dotknąć.

– Nie ma pan pojęcia, co powiem – zaczął Grue. – To jednak nie ma znaczenia, prawda? Nie lubi mnie pan i już sam przyjazd tutaj jest dla pana przykry. Pewnie z tuzin razy przeklął mnie pan po drodze.

– Nie doceniasz siebie, ograniczając się do dwunastu przekleństw.

Grue się uśmiechnął. Przynajmniej dobrze wyczuł Reginalda.

– I jadąc, doszedł pan do wniosku, że cokolwiek powiem, będzie to strata czasu.

– Wiele rzeczy skłania mnie ku temu.

– Może mi pan przysporzyć wielu kłopotów. Nie chcę panu dokuczyć bardziej, niż już to zrobiłem. Proszę się napić. – Wskazał butelkę. – Najlepsze, co mam. Kupiłem to od kupca z samej Colnory dwanaście lat temu. Miała elegancką etykietkę z obrazkiem nagiej kobiety, która odlepiła się parę la temu. Dobra rzecz i, jak mniemam, stosownie droga jak na pański gust. Jeśli napije się pan i trunek panu zasmakuje, jazda nie będzie taką zupełną stratą czasu bez względu na to, co powiem.

Reginald z gracją wziął ciężką szklanę w dwa palce. Powąchał

najpierw, a potem wypił łyżek. Zachował kamienną twarz, co poirytowało Grue. Alkohol był dobry, gość mógłby choć tyle przyznać.

Reginald nic nie powiedział, ale zdjął kapelusz i pelerynę, po czym usiadł.

– Zatem co jest tak ważnego, że nalegałeś, abym odwiedził tę nędzną spelunę?

Grue popukał w okno krawędzią szklaneczki.

– Pański szef wydał certyfikat na przybytek po drugiej stronie ulicy.

Reginald spojrział i skinął głową.

– Kobieta nazwiskiem Gwen DeLancy złożyła prośbę w zeszłym tygodniu. To burdel, o ile się nie mylę.

– Burdel prowadzony przez dziwkę. Uważa pan to za słuszne? I to jeszcze cudzoziemkę.

Reginald wzruszył ramionami.

– Niezwykłe, ale nie niesłychane. Rozumiem, że nie jesteś tym zachwycony.

– Do diabła, pewnie, że nie jestem. Te zdziiry pracowały kiedyś dla mnie. – Grue przełknął whisky, która popłynęła płonąca strugą przez jego gardło, a potem nalał znowu po szklaneczce. – Zarabiam na trzech rzeczach: piwie, hazardzie i kobietach. Po drugiej stronie ulicy siedzi jedna trzecia moich dochodów, a nawet więcej, bo hazard ostatnio przynosił marne zyski. – To było kłamstwo, ale nie chciał przyznawać się Reginaldowi do sukcesów finansowych.

Grue nigdy nie lubił gildii kupieckiej z Dzielnicy Dolnej i tego, że pomaga oszacować wysokość podatków miejskim asesorum. Zdrajcy, jeden w drugiego. Jako okręgowy inspektor Reginald był najgorszy ze zdrajców i im mniej wiedział, tym lepiej.

– Przejdź do rzeczy.

– Jeszcze nie złożył pan raportu na temat ich lokalu?

– Nie. Mam listę i ci, którzy już wykazują dochody, wyprzedzają tych, którzy dopiero starają się o pozwolenie.

Dobra nowina. Grue wypił łyk, tym razem zatrzymując alkohol

niedługo w ustach.

– Mnie to odpowiada. Chciałbym nawet, żeby pan rozwlekł tę listę, zepchnął tamten skromny przybytek w dół o parę nazwisk.

– Dlaczego?

– Musiał pan to widzieć. Te dziwki budują tam pieprzony pałac. Dwie kondygnacje, nowe drewno, okna, słyszałem nawet plotkę, że zamierzają to pomalować. Im dłużej pan poczeka, tym więcej roboty odwalą.

Reginald upił spory łyk, znowu zacisnął usta i zmrużył oczy. Kiedy odezwał się, mówił napiętym głosem:

– A co to ma z tobą wspólnego?

Grue uniósł szklaneczkę, żeby światło świecy przebiło się przez mroczny płyn, ukazując jego miedzianą barwę.

– Chcę, żeby pan poczekał, aż lokal będzie prawie wykończony, a potem, żeby pan odrzucił ich wnioski. Następnego dnia ja złożę prośbę o tę samą parcelę, a pan wyrazi zgodę.

– A dlaczego w imię Novrona miałbym to zrobić?

– Ponieważ oddam panu połowę wszystkiego, co zarobię... Przed odprowadzeniem podatków.

Dla Grue następne chwile decydowały o wszystkim. Studiował bacznie twarz inspektora. Nic. Reginald byłby doskonałym hazardzistą, ale Grue wiedział swoje. Nawet nic znaczyło już coś. Nie powiedział nie.

Mógłby unieść gwałtownie ręce i przewrócić stół z oburzenia. Inspektor nie zrobił tego, nawet nie drgnęła mu brew. Albo rozważał propozycję, albo czekał na coś więcej, pewnie jedno i drugie, a to oznaczało szansę dla Grue.

– Uwierzyłby pan, gdybym powiedział, że skłamałem, mówiąc, ile zarabiałem na tych dziewczynach?

Jeśli Reginald nie zgodzi się, Grue nie będzie już zarabiał na prostytutce, więc wyznanie nie miało znaczenia. Jeśli zgodzi się, zostaną partnerami i Grue wiedział, że poborca podatkowy będzie uważnie obserwował dochody z interesu, w którym ma udział. Lepiej od razu się przyznać i wykorzystać potencjalne korzyści

płynące ze szczerości i podniecenia.

– Zarabiałem na nich więcej niż na piwie. Proszę tam spojrzeć. Wie pan, jak za to wszystko płacą? Mają jedno wyro. Jedno! Ten jeden materac sfinansował ściany, okna i drzwi. Mają klientów nawet z Dzielnicy Kupieckiej. Wszystkich tych cieśli i handlarzy, którzy mają pieniędzy w bród. Nie wiem, co biorą w rozliczeniu, ale takich zysków może się pan spodziewać. I jak powiedziałem, to tylko jedno łóżko. Jak już skończą odnawianie, jeśli ładnie to zrobią, burdel będzie ściągać klientów z całego miasta. Dołożymy parę dziewczyn, parę łóżek, a takim alkoholem, jaki teraz pijemy, będziemy splukiwać usta.

To było ledwie widoczne, ale Grue dostrzegł, że usta Reginalda drgnęły minimalnie.

– Jest pan uczciwym człowiekiem i wiem, że nigdy nie rozważał pan takiego układu z kimś, kogo pan ocenia. – Grue nie był pewien, czy to kłamstwo, ale z drugiej strony nie miał też pewności, czy słońce jutro wzejdzie. – Jednak ciężko pan pracuje, jeżdżąc po całym hrabstwie, i co pan za to dostaje? Jestem pewien, że nie dostatecznie dużo. A co pan robi, kiedy będzie już za stary, żeby tak krążyć? Miło byłoby wiedzieć, że ma się dodatkowe dochody, własny interes pompujący pieniądze do pańskiej sakiewki, nieprawdaż?

Reginald nie saczył już whisky ani nie pił łykami. Wypił resztę jednym potężnym haustem i popukał w szklanę, domagając się dolewki.

– Nikt nie musi nic wiedzieć – kontynuował Grue, wyciągając znowu korek. – Pan nie chce, żeby to się rozniosło, i ja także. Muszę dbać o swoją reputację. Ludzie muszą wierzyć, że panuję tu nad wszystkim, w każdym razie na Przekornej. Te dziwki rzuciły mi wyzwanie i najlepiej, by to wyglądało tak, że sam je załatwiłem. Niech więc pan po prostu nie śpieszy się z oceną. Pewnie wystarczy kilka dni, a potem przekaże pan im złą wiadomość. A ja przygotuję podanie. Pan je tylko sprawdzi, przepchnie, a ja zajmę się resztą.



Inspektor rozejrzał się po sali z nonszalancją niedźwiedzia w salonie.

– Co pan powie?

Reginald spojrział mu w oczy i z uśmiechem uniósł szklaneczkę. Grue stuknął w nią własną.

# Rozdział 13

## *Iberton*

Hadrian jechał za Royce'em. Miejsca było dość, żeby jechać obok siebie, ponieważ droga na północ była tak szeroka, że zmieściłyby się na niej trzy wozy zaprzężone w woły, jednak on trzymał się z tyłu. Jazda ramię w ramię wydawałaby się zbyt przyjacielska, a Hadrian nie żywił żadnych serdecznych uczuć. Możliwe, że Royce ocalił mu życie na barce, ale z niewłaściwych powodów. I chociaż pomógł mu w stajni, znowu nie kierował się przyjaźnią czy lojalnością. Hadrian był tylko kamieniem w strumieniu, który tamten musiał przekroczyć – był użyteczny, ale dopóki Royce opierał na nim stopę.

Jechali od wielu godzin. Słońce zaszło i księżyc zajął jego miejsce, ale Royce nie odezwał się słowem, odkąd opuścili gabinet Arcadiusa, ani razu nie spojrział. Hadrian mógłby zasnąć, spaść z urwiska, a Royce ani by o tym nie wiedział, ani by się tym nie przejął.

Podróżowali przez ponurą, pozbawioną drzew krainę. Smagana wiatrem wyżyna była zamieszкана głównie przez skały i wysokie trawy, które rosły kępami i pochylały się wszystkie w tym samym kierunku, skłaniając się pokornie przed wiatrem. W oddali Hadrian dostrzegł skaliste góry, poszarpane, ciemne, posępne. To był Ghent, a przynajmniej tak nazywali ten region Royce i Arcadius. Żaden z nich nie uważał, że Hadrian powinien znać

szczegóły misji. Arcadiusa interesowało tylko to, żeby Hadrian wziął w niej udział, a nie żeby był świadomym uczestnikiem. I bardzo dobrze. Hadrian w ogóle nie chciał brać w tym działu. Kradzież była zła. Tak uważał, ale nie zdobył się na okazanie oburzenia, zważywszy, że w ciągu ostatnich lat robił dużo gorsze rzeczy. Starał się być lepszym człowiekiem, ale jak na razie udawało mu się tylko uciekanie. Uciekł z domu, dezercerował z jednej armii do drugiej, porzucił Avryn na rzecz Calisu i wreszcie, kiedy nie miał już dokąd uciec, wrócił do domu. Uciekł nawet z Vernesu, kiedy mógł zostać, żeby pomóc Korniszonowi, i opuścił Colnorę, zamiast spróbować rozwiązać zagadkę barki. Teraz miał zostać złodziejem, co mu nie odpowiadało. Kradł jednak tylko zakurzony dziennik, nie odbierał żadnej rodzinie chleba od ust. Jeśli dzięki temu mógł odmienić życie Korniszona, wyciągnąć go z rozpaczliwej biedy i dać mu niemal bezgraniczną nadzieję, będzie to jego najszlachetniejszy uczynek w życiu.

Starał się nie myśleć za dużo. Nie zadawał pytań, co jak podejrzewał, było prawdziwym powodem, dla którego tak niewiele wiedział, ale nie sposób było spędzić trzech dni w Sheridanie i nie dowiedzieć się czegoś. Po pierwsze, dowiedział się, że wełna to najważniejszy towar w okolicy i że żyje tu znacznie więcej owiec niż ludzi. Po drugie, odkrył, że Ghent, a ściśle rzecz biorąc, miasto Ervanon, było niegdyś stolicą trzech z czterech ludzkich państw jako siedziba krótkotrwałego imperium. Hadrian nie uważał żadnego z tych faktów za szczególnie ciekawy czy ważny. Jednakże trzeci go zaskoczył. Ghent, chociaż to najbardziej wysunięty na północ region Avrynu, nie był ani królestwem, ani księstwem. Były to posiadłości kościelne, którymi władał Kościół Nyphrona, a Ervanon stanowił główną siedzibę Kościoła i patriarchy. O tej ostatniej rzeczy Hadrian już kiedyś słyszał. Jego ojciec nigdy nie mówił o Kościele, a w Hintindarze nie było kapłana, jednak wszyscy słyszeli o patriarsze, tak jak wszyscy wiedzą o bogach Novronie i Mariborze. To oznaczało, że okradnie Kościół. Jeśli do tej pory nie rozgniewał bogów, to teraz miał to zapewnione.

Na razie Hadrian nie był pod szczególnym wrażeniem Ghentu. Stoki miały oblicza jak starzy weterani wojenni, pobliźnione i zwiędłe. Pola były puste, wyzbierane do czysta, stratowane i pozbawione życia. Droga była kiedyś wybrukowana. Hadrian widział czasem kamienie, teraz głównie pochowane pod warstwą ziemi. Cała kraina sprawiała wrażenie zużytej, wycieńczonej. Coś, co niegdyś mogło być wspaniałe, teraz było tylko przykrytym kurzem wspomnieniem.

Dojechali do zakrętu, gdzie droga kierowała się bardziej na zachód niż na północ. Rosła tam przysadzista jodła; Hadrian przez ostatnie ćwierć mili podejrzewał, że to niedźwiedź.

W chwili kiedy mijali drzewo, Hadrian doszedł wreszcie do wniosku, że Arcadius zdziecinniał na starość. Pewnie, że był bardzo wiekowy. Hadrian nie znał nikogo starszego. Był nawet starszy od jego ojca, który w chwili, gdy Hadrian odchodził, był najstarszym mieszkańcem Hintindaru (choć wszyscy mówili, że świetnie się trzyma jak na swój wiek). Profesor zaś wcale nie trzymał się świetnie, a wiadomo, że niektórym starszuszkom odbija. Do tego nie trzeba być nawet takim starym. Hadrian znał pewnego watażkę z Gur Em, który mówił o sobie, jakby był dodatkową osobą w pokoju. Czasem wdawał się w takie kłótnie, że już dłużej nie chciał ze sobą rozmawiać i upierał się, żeby inni przekazywali wiadomości „temu idiocie”. A daleko mu było do wieku Arcadiusa. Jedyna dobra rzecz, jaką można było powiedzieć o profesorze, to że dobrze się krył ze swoim szaleństwem. Tak dobrze, że Hadrian musiał dojechać aż do niedźwiedziego drzewa, by dojść do wniosku, że profesor zwariował.

Musiał zwariować. Inaczej jego naleganie na współpracę Hadriana i Royce'a nie miało żadnego sensu.

Jeśli istniało jakieś przeciwieństwo Hadriana na tym świecie, to jechało na ciemnoszarym koniu przed nim. Ta myśl bawiła przez kilka godzin Hadriana. Różnił ich nawet sposób, w jaki jechali konno. Royce trzymał wodze krótko, podczas gdy Hadrian zostawiał Tancerce mnóstwo luzu. Royce garbił się i pochylał,

Hadrian odchyłał się swobodnie, kołysząc się w rytm końskiego kroku. Często też patrzył na drogę pod nogami albo nawet na siodło, dla zabicia czasu rozwiązując i związując węzły na paskach siodła. Royce ciągle rozglądał się i patrzył na wszystkie strony – oczywiście z jednym wyjątkiem: nie oglądał się.

Dlaczego Arcadius upierał się, by Hadrian jechał z Royce'em? Dlaczego powiedział, że to życzenie jego umierającego ojca? Nie mogło chodzić o książkę, którą mieli zdobyć. Jak oznajmił kilkanaście razy Royce, miał większe szanse w pojedynkę. Chociaż Hadrian bardzo chciał udowodnić, że się myli, musiał mu przytaknąć. Był żołnierzem, nie złodziejem. Gdyby mieli oblegać wieżę, mógłby coś wniesić, jednak w obecnej sytuacji nie widział, po co bierze w tym udział. Był balastem ciągniętym przez osobę niezadowoloną z jego obecności, a to zawsze dodawało uroku wypadom.

Royce zjechał z drogi, omijając krzewy i skały, wspinając się, a potem zjeżdżając ze wzgórza, które zasłaniało ich przed każdym, kto przejeżdżałby traktem. Hadrian pojechał za nim i zobaczył, że Royce zsiadł z konia obok kępy krzewów i uwiązuje wierzchowca. Hadrian nie zsiadł, patrząc, jak towarzysz zajmuje się swoim koniem, a potem, znalazłszy dobre miejsce, rozwija koc i się kładzie.

– Rozumiem, że będziemy tu obozować?

Royce nic nie powiedział, nadal nie racząc dostrzec jego obecności.

– Mógłbyś powiedzieć: „Spędzimy tu resztę nocy”. Nie czekaj, masz rację, to za dużo słów. Może „śpimy tutaj?”. Dwa słowa. Nawet ty dałbyś radę tyle wypowiedzieć, co? W końcu wiem, że potrafisz mówić. Miałeś mnóstwo do powiedzenia w gabinecie Arcadiusa. Wtedy nie potrafiłeś się powstrzymać od mówienia, a teraz, proszę, jesteś całkowicie niezdolny do zasugerowania w jakikolwiek sposób, że zatrzymamy się tutaj na noc.

Hadrian zsiadł z konia i zaczął go rozkulbaczać.

– Jak długo jedziemy?

Spojrzał na księżyc.

– Co? Pięć, sześć godzin? I ani jednego przekłętego słowa. „Robi się zimno, nie uważasz, Hadrianie? Księżyc wygląda jak obrzynek paznokcia, nieprawdaż, Hadrianie? To drzewo przypomina cholernego niedźwiedzia, prawda, Hadrianie?”. Nic. A tak nawiasem mówiąc, na wypadek gdybyś nie zauważył, zaatakował mnie gołębiarz i krasnolud na świni, który strzelał we mnie jajkami z procy. Stracono mnie z konia, musiałem siłować się z krasnoludem, jastrzębiem i na dodatek swinia przez jakieś pół godziny. Krasnolud cały czas rozbijał mi jajka na twarzy, a pieprzona świnia przyszpiliła mnie do ziemi, zlizując je. Wyrwałem się tylko dzięki temu, że krasnoludowi skończyły się jajka. Wtedy jastrząb zamienił się w ćmę, której uwagę odwróciło światło księżyca.

Royce odwrócił się na bok.

– Aha, cóż... Bogom dzięki, że tym razem nie potrzebowałem pomocy.

– Niespecjalnie ucieszyłeś się z mojej pomocy w stajni – odgryzł się Royce.

– To mówi! – Wybrawszy sobie miejsce po drugiej stronie koni, Hadrian rozłożył derkę i ułożył koce. – Przecież podziękowałem ci za pomoc.

– A mnie wzruszyła twoja szcera do bólu wdzięczność.

– Nie musiałeś go dźgnąć. I nie musiałeś zabijać tych wszystkich ludzi na barce. Mogłeś mi po prostu powiedzieć, kim jesteś, kim oni są i co planują.

– Ty masz swoje sposoby, ja mam swoje. Nie byłem pod wrażeniem twoich metod. Moje działają.

– Cóż, w takim razie ze wszech miar trzymaj się swoich. Może ci się poszczęści i znowu wylądujesz w więzieniu. Słyszałem, że jest tam mnóstwo ludzi, którzy dzielają twoje poglądy.

– A ty pozdrów ode mnie robaki.

– Robaki?

– Groby to miejsce, gdzie kończą ludzie, którzy myślą jak ty.

– Nie, nieprawda. Tylko szczęściarze. Do tego trzeba mieć kogoś, kto cię pochowa. Znasz kogokolwiek, kto zadałby sobie dla ciebie tyle trudu?

– Jak już będę martwy, to co mnie to będzie obchodzić? A jeśli nie będę, to lepiej, żeby to była bardzo głęboka dziura.

– Masz jakichś przyjaciół?

– Jednego.

– Arcadiusa?

– Nie.

– Gdzie jest twój przyjaciel?

– Nie mam pojęcia.

– Kiedy ostatnim razem go widziałeś?

– Kiedy zrobił mnie w morderstwo i posłał do więzienia.

– Chyba nie rozumiesz znaczenia słowa „przyjaciel”.

– A ty myślisz, że żyjesz w bajce, gdzie słowa mają niezmiennie znaczenie. Potrafisz czytać i pisać?

– Ojciec mnie nauczył.

– Gratuluję. A zauważyłeś kiedyś, że wystarczą trzy litery, żeby przyjaciel zamienił się w nieprzyjaciela? To raczej nie jest zbieg okoliczności.

– Optymista z ciebie, to ci muszę przyznać. – Hadrian zarzucił na siebie drugi koc i obrócił się na bok, plecami do Royce’a.

– Zaoszczędziłeś parę? – zapytał Royce.

– Czego?

– Tych jajek. Bo moglibyśmy ugotować je rano na śniadanie.

Hadrian leżał przez chwilę skonsternowany, a kiedy wreszcie zrozumiał, omal nie parsknął śmiechem.

\* \* \*

Drugiego dnia Royce i Hadrian podróżowali w milczeniu. Hadrianowi już to nie przeszkadzało. Żart z jajkami zmniejszył nieco napięcie – może Royce był jednak człowiekiem. Hadrian też nie należał do szczególnie gadatliwych. Miał po prostu wrażenie,

że przerwali dyskusję w połowie, kiedy uciekali z Sheridanu, i późniejsze milczenie zaogniało się jak drzazga wbita w skórę. Drzazga nadal tam tkwiła, ale to była jedna z tych głęboko wbitych, które muszą same wyjść. Przechodził gorsze rzeczy, a ta sytuacja miała potrwać tylko kilka dni. A przynajmniej tak mu obiecano.

Przez kilka ostatnich mil Hadrian widział coś, co wziął za wytwór swojej wyobraźni jak niedźwiedzie drzewo, tyle że znacznie odleglejszy i większy. Pojedynczą pionową linię niczym potężna tyczka wbita w horyzont. Z każdą mijającą godziną tyka rosła. Nim zatrzymali się na posiłek w południe, tyczka zamieniła się w wieżę i nadal znajdowała się wiele mil od nich.

– To jest to, prawda? – zapytał Hadrian.

Royce klęczał, grzebiąc w płóciennej torbie. Podniósł wzrok, a Hadrian skinął ku horyzontowi.

– Wieża? Aha. Nadal mamy do niej z dzień jazdy.

Hadrian stał i patrzył. Wszystko w oddali było niebieskawe, miało stonowany, sprany odcień, który zaczynał zlewać się z niebem. Wieża stała na szczycie potężnego wzgórza, które dominowało nad równiną.

Idealne miejsce dla wojsk.

Hadrian wyobrażał sobie szeregi żołnierzy piechoty stojące na otwartym polu. Jazdę krążącą po szerokich łukach. Legiony legionów mogły tu manewrować bez wysiłku i pewnie tak właśnie było. Ta wieża była ruiną, wszystkim, co zostało z potężnej budowli. Musiała być gigantyczna. Prawie ją widział – potężną fortecę na wyniesieniu górującym nad rozległą przestrzenią. Finałowa bitwa w wojnie, która pobliżniła tę krainę, skupiła się na wzgórzu i zwieńczającym je zamku.

Hadrian usiadł na kępie trawy, opierając się plecami o skałę, i otworzył swój worek z jedzeniem. Miał mnóstwo jabłek, które turlały się na dnie, tanich i licznych o tej porze roku. Nie mieli ich w Calisie, więc kupił tutaj pół tuzina. Wgryzł się w jedno i wyjął z torby kawałek sera.



– Na czym spałeś ostatniej nocy? – zapytał Royce.

Hadrian już miał powiedzieć „na ziemi”, kiedy zorientował się, o co chodzi.

– Na płótnie, które nasmołowałem. W Gur Em wszystko jest mokre. Wykładasz koc, to zaraz przesiąknie. Smoła zatrzymuje wodę. To nie dżungla, ale pamiętam, że rosa tak samo przemaczała mi posłanie.

Royce pokiwał głową.

– Ciekawe. Nie wpadłem na to. Dobry pomysł. Uczą tego w wojsku?

– Nie. – Hadrian wzruszył ramionami. – Po prostu miałem już dość spania w wodzie. Pewnego dnia byłem w porcie i zobaczyłem, jak żeglarz smaruje sobie kapelusz od góry smołą. Powiedział, że dzięki temu nie przemaka. To mi podsunęło pomysł.

– Sprytne – przyznał Royce z lekkim zaskoczeniem, zerkając na Hadriana spod zmrużony powiek.

– Mogę ci zrobić coś takiego. Potrzebny jest tylko drugi kawałek płótna i trochę smoły.

– W porządku. Dam sobie radę.

– To żaden kłopot, a na początku bywa trudne. Dasz za mało smoły, to woda przesiąknie, za dużo, to popęka przy zwijaniu posłania. Woda dostaje się w szczeliny i...

– Nic mi nie będzie.

– Nie, serio, mogę ci pokazać...

– Nie potrzebuję twojej pomocy – warknął Royce.

Naciągnął na głowę kaptur, który miał spuszczone prawie przez cały dzień.

Nie rozmawiali dłużej. Zjedli, dosiedli koni i pojechali dalej.

Chmury przewalały się po niebie jak wielkie szare bestie. Zasłona deszczu omiotła horyzont na zachodzie, ale nie zbliżyła się do nich. Oglądając się, Hadrian zdał sobie sprawę z tego, o czym Tancerka wiedziała już od jakiegoś czasu – że od wielu mil powoli się wspinali. Widoczność była znakomita. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek sięgał wzrokiem tak daleko. Lasy wyglądały jak

krzaczki, a góry, które prezentowały się tak ponuro i imponująco poprzedniego dnia, były maleństwami. Wieża nadal rosła. Mniej błękitna, mniej omglona, wcześniej pozbawiona cech kolumna teraz już wyraźnie składała się z bloków. Blanki, które otaczały szczyt, wykonano z innego materiału, czegoś jasnego jak kreda, może z marmuru. Kiedyś pewnie w całości była obłożona białym kamieniem, może nawet cały zamek, ale ładny budulec rozebrano. Hadrian widział takie rzeczy w Starym Calisie. Potężne fortece wypatroszono, niegdyś szlachetne gmachy wykorzystywano do budowy murów wokół pól i na zagrody dla owiec. Znajdujący się wyżej kamień trudno było ukraść. Chociaż białe płyty były śliczne, nie warto dla nich umierać. Efekt był dramatyczny – szara wieża z białą... koroną.

Hadrian zaśmiał się.

Royce się odwrócił.

– Wieża Koronna – powiedział, Hadrian. – Teraz rozumiem.

Royce przewrócił oczami.

\* \* \*

Wioska Iberton obejmowała brzeg wąskiego jeziora, które ginęło wśród pagórków żółknącej trawy. Dziesiątki łodzi kołysały się przy pomostach, które wychodziły w wodę jak szczerbata szczeka. Małe, urocze domki z kamienia miały obrzucone tynkiem pięterka. Z kominów domków bił dym i każdy miał ogródek z dojrzałymi warzywami. Dzieci biegały nabrzeżem, a goniły je dwa czarne psy. Po prawie dwóch dniach słuchania wiatru ich śmiech brzmiał dla Hadriana jak muzyka.

Za jeziorem, za przedgórzem na północy, zaczynały się prawdziwe góry. Ośnieżone zęby wznoszące się poszarpanym murem na tle nieba. Dalej leżał Trent, zupełnie inny kraj. Dotarli do sklepienia Avrynu. Wieża znajdowała się dalej przy drodze i górowała nad wszystkim z wyjątkiem gór. Miało się wrażenie, że wspięli się po wysokiej drabinie i doszli do ostatniego szczebla.

Widoki były imponujące, ale miejsce niepokojące.

Royce skręcił z szerokiej drogi na wąską ścieżkę prowadzącą do wioski i zsiadł z konia przed małym budynkiem z sztyldem przedstawiającym spieniony metalowy kufel. Chociaż robiło się późno, w środku było znacznie ciemniej i najpierw Hadrian widział tylko migoczące latarnie zwieszające się z belek. Przystanął w wejściu, żeby oczy miały szansę przyzwyczaić się do mroku, a Royce podszedł do małego stolika między niewielkim kamiennym paleniskiem i oknami.

– Jak się miewasz? – powitał go z szerokim uśmiechem mężczyzna za barem.

Wyciągnął rękę i Hadrian musiał zrobić kilka szybkich kroków, żeby ją uścisnąć. Właściciel miał pewny uścisk ręki i uczciwe spoglądał prosto w oczy rozmówcy.

– Jestem Dougan. A ty?

– Hadrian.

– Miło cię poznać, Hadrianie. Co mogę podać?

– Ehm... – Zerknął w stronę Royce'a, który znowu zniknął w zakamarkach kaptura. – Piwo.

Karczmarz spojrział z żalem.

– Przykro mi, chłopcze. Nie serwujemy piwa. Piwo dostaniesz w podłym szynku przy pylistej drodze, dokąd dowozi się beczki wozem po tygodniach podróży w gorącym słońcu. To jest Iberton. Musisz wyrazić się bardziej precyzyjnie.

Wszyscy trzech klienci siedzący przy barze skinęli głowami i spojrzeli na niego z pełnymi politowania minami. Byli to starsi dżentelmeni z rodzaju tych, których można zastać przy kuflu jeszcze przed zachodem słońca.

– Przepraszam. Nie rozumiem. Co serwujecie?

– Ale, mnóstwo ale, najlepszego w Ghencie.

– Najlepszego na świecie – dodał najstarszy z mężczyzn siedzących przy barze. Miał długą siwą brodę, która opierała się o bar, i obszarpaną podróżną pelerynę, porozdzieraną i pozszywaną różnobarwnymi nićmi. – I wiem, co mówię, bo byłem

wszędzie.

Uniósł kufel. Pozostali poszli za jego przykładem, każdym wypił łyk, po czym wszystkie kufle uderzyły jednogłośnie w drewno.

– W takim razie poproszę ale – odrzekł z uśmiechem Hadrian.

Znowu smętne spojrzenia.

– Jakie konkretnie? – zapytał Dougan, tym razem pochylając się i opierając łokcie na barze.

Skinął głową w stronę ścian, gdzie wisiały namalowane na deskach oferty. Na każdej przedstawiono przelewającą się szklanicę albo kufel, szklany lub metalowy, i dodano frazy takie jak „Smak letniego poranka”, „Jęczmienna uczta”, „Gorzko-słodkie do ostatniej kropli”.

Ściany były całe zasłonięte. Hadrian zapatrzył się.

– Skąd jesteś? – zapytał Dougan, nadal patrząc na niego z ciepłym, wesołym uśmiechem.

– Z Rhenyddu.

Hintindar był za mały, żeby ktokolwiek o nim słyszał.

– Ach, z południa. Pierwszy raz w tej okolicy, co?

Hadrian skinął głową. Nadal patrzył na coś, co, jak zdał sobie sprawę, było rozrzuconym po ścianach menu karczmy. Niektóre tabliczki były prześlicznymi obrazkami ukazującymi jezioro albo po mistrzowsku wykonanymi płaskorzeźbami. Inne zostały zgrubnie wycięte albo wypisane na korze węglem drzewnym.

– No dobrze, to jęczmienna osada – wyjaśnił Dougan. – Tu wszyscy się tym zajmują. Hodują jęczmień.

– I łowią ryby. – Tym razem odezwał się najgrubszy dżentelmen siedzący najbliżej drzwi. Nosił kapłańską szatę i mówił, gestykulując. Wykonał ruch, jakby zarzucał wędkę, i dodał: – Mamy tu dużo dobrych ryb, jeśli tego szukasz.

– Myślałem, że Ghent słynie z owiec i wełny?

– Och, tego też tu nie brakuje – zgodził się Dougan. – I jeśli szukasz świetnej wełnianej tuniki albo peleryny, to znam doskonałe miejsce. Jeżeli jednak interesuje cię ale, nie musisz nigdzie dalej szukać. Posłuchaj, naprawdę wielu ludzi hoduje tu

jęczmień i większość z nich warzy własne ale. To idealne miejsce do warzenia ale. Gospodarstwa hodujące jęczmień i tutejsze jezioro dostarczają najlepszych składników w całym Elanie. Tylko wyjdź i nabierz wiadro wody, a zobaczysz, że jest krystalicznie czysta. Nawet nie mamy studni. Nie ma potrzeby. Zatem wszystkie okoliczne duże gospodarstwa mają własne marki jak *Gorzko-słodkie* albo *Letni Poranek*. To są farmy z północnego brzegu, a *Jęczmienna Uczta* i *Stary Marbury* są z południowego. – Dougan wskazał półkę, która biegła pod sufitem, zastawioną bardzo dużymi metalowymi kuflami. Na każdym coś wyryto, ale stały za wysoko, a litery były za małe, żeby Hadrian je odczytał. – To trofea wręczane co roku i wielu stara się o pierwsze miejsce. Widzisz więc, że Iberton traktuje sprawę poważnie.

Wszyscy przy barze – wszyscy w karczmie z wyjątkiem Royce’a – obserwowali Hadriana. Wyczuwając presję, postanowił zagrać bezpiecznie.

– A co pan proponuje?

To sprawiło, że kapłan poprawił się nerwowo na stołku, a karczmarz westchnął.

– To mnie stawia w bardzo niewygodnej pozycji. Jako nalewający muszę zachować neutralność.

– Zadławisz się wszystkim innym niż *Stary Marbury* – oznajmił najdalej siedzący mężczyzna, jedyny poza Hadrianem, który nosił miecz.

– Zanim zdecydujesz – wtrącił się kapłan – powinienes wiedzieć, że to jest lord Marbury.

– Tak? – Hadrian wyprostował się i uklonił. – Wasza lordowska mość.

Wszyscy uśmiechnęli się zakłopotani, z wyjątkiem lorda Marbury, który się skrzywił.

– Zrób tak raz jeszcze, a dźgnę cię w stopę.

Hadrian spojrzał na Dougana, który z racji promiennego uśmiechu stał się jego hełmem podczas gradobicia.

– Teraz to raczej tytuł honorowy – wyjaśnił karczmarz.

– Kościół nie uznaje tytułów szlacheckich w Ghencie – wyjaśnił kapłan.

– Kościół nie uznałby nawet... – mruknął Marbury.

– Jeszcze jeden kufelek, wasza lordowska mość? – zapytał głośno Dougan, porywając mu kufel sprzed nosa.

– Jeszcze nie dopiłem tego.

– Och, moim zdaniem przeciwnie. I nie zapominajmy, że nadal nie wiemy, komu złoży śluby wierności ten młody człowiek, nieprawdaż? Albo jego przyjaciel, skoro o tym mowa. – Dougan spojrzała na Hadriana wyczekująco. – Zdecydowałeś?

Hadrian pogubił się i już nie bardzo wiedział, o czym jest mowa. Wtedy Dougan znowu wskazał oferty.

– Och... Racja. Ehm... – Zerknął na lorda Marbury'ego, który garbił się przy barze i piorunował wzrokiem Dougana. – Chyba spróbuję *Starego Marbury'ego*.

To wywołało uśmiech lordowskiej mości i Dougana, a Hadrian poczuł, że wreszcie powiedział coś właściwego i zrobił coś więcej, niż tylko zamówił ale.

– Ja wolę *Gorzko-słodkie* – powiedział brodaty podróżny, który wzniósł podjęty przez pozostałych toast.

Hadrian zauważył, że podzwania przy każdym ruchu, ale zamiast broni nosił u szerokiego pasa ozdobę z licznych metalowych świecidełek.

– Jest pan druciarzem? – zapytał.

– Druciarz Bremey – przedstawił się mężczyzna. Jego uścisk dłoni był słaby i nieprzyjemny, zanim ich kciuki się zetknęły. – Mam dobre haczyki, jeśli przyjechałeś na ryby.

– A czym zainteresuje się twój przyjaciel? – zapytał Dougan, wskazując na Royce'a.

– Dobre pytanie. Nie znamy się aż tak długo.

– Poznaliście się w drodze, co?

– Nie, my...

– Nie jestem spragniony! – zawołał Royce.

Marbury zerknął na niego.

– Na Maribora, więc po co tu przyjechałeś?

– Jemu chciało się pić. – Royce wskazał Hadriana. – Ja tylko chciałem schronić się przed wiatrem. Ma pan coś przeciwko?

– Skądże. – Marbury skinął głową i odwrócił się do Hadriana. – Z jakim uprzejmym człowiekiem podróżujesz.

– A, pewnie. – Hadrian pokiwał głową z uśmiechem. – Tak właśnie przedstawiam go wszystkim: uprzejmy do bólu.

Royce uśmiechnął się z przekąsem i skrzyżował ręce na piersi.

– Sprzedaję gęsto tkane pałatki, które zatrzymują nawet najbardziej porywiste wiatry – poinformował go druciarz. – W komplecie ze sznurami żeglarskiej jakości i kołkami, które utrzymają ją w miejscu. Wystarczy ją rozłożyć i będzie grzała cię całą noc.

Dougan z brzękiem postawił na barze kufle lorda Marbury’ego i Hadriana, oba z przelewającą się pianą jak na obrazkach. W barze zapadła cisza, kiedy Hadrian uniósł do ust ale. Przywykł do małych, stołowych piw w Calisie, gdzie przesadzano z ilością chmielu. Ten napój był mocniejszy, bogatszy i świeższy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, zanim jeszcze odsunął kufel od ust.

– Ha! – Marbury uderzył w blat. – Mówiłem! Powinienem był wygrać w tym roku. Tylko popatrz na niego. Jeśli to nie jest szczęśliwy człowiek, to nie wiem, jak miałby wyglądać.

Hadrian skinął głową.

– Dobre.

– On jest po prostu uprzejmy – powiedział kapłan. – Widać, że to ten rodzaj człowieka. Dobrze wychowany. Matka była pewnie oddaną wyznawczynią Kościoła Nyphrona.

– Tak się składa, że moja matka zmarła, kiedy byłem mały – sprostował Hadrian. – A ojciec... Cóż, jedyna chwila, kiedy wspominał bogów, to kiedy zniszczył kawałek metalu albo sparzył się w kuźni.

– Zatem jesteś synem kowala – stwierdził druciarz. – Powinienem był się domyślić, widząc, jaką stal nosisz. Sprzedaję świetne szczypce i młoty. Jeden kupiłem od krasnoludzkiego

kowala, niczego lepszego nie znajdziesz.

– Dlaczego krasnolud się z nim rozstał? – zainteresował się kapłan.

– Rozpaczliwie starał się wykarmić rodzinę, jak mniemam. Smutna historia.

Hadrian wykorzystał tę okazję, żeby usiąść z Royce'em, który usadowił się plecami do paleniska, za to z widokiem na okna.

– Powiedziałbym, że jesteś okropnie milczący, ale potem mógłbym dodać: „O rety, ty oddychasz”.

Royce pochylił się ku niemu i szepnął:

– Dlaczego od razu im nie powiesz, że jesteśmy złodziejami, skoro już wszystko mówisz?

– Co ty wygadujesz? – Hadrian też ściszył głos, czując się niezręcznie, bo szeptali jak spiskowcy na oczach (czy, jak w tym wypadku, za plecami) nieznanym. – Tylko byłem towarzyski.

– Powiedziałeś im, jak się nazywasz, gdzie się urodziłeś, czym zajmował się twój ojciec, w którym kierunku będziesz jechał i że przybyłeś tu po raz pierwszy. Powiedziałeś im, kim ja jestem i skąd dokładnie przyjechaliśmy, gdybym cię nie powstrzymał.

– A właściwie co w tym takiego złego?

– Po pierwsze, kiedy wykonujesz zadanie, nie chcesz, żeby inni cię zauważali. Chcesz być tylko mglistym cieniem w cudzej pamięci. Nie zostawiaj niczego, co ktokolwiek mógłby wykorzystać, żeby cię odnaleźć. Kiedy już włamiemy się do wieży, ludzie będą nas szukać i przypomną sobie gadatliwego nieznanego z trzema mieczami, który najpewniej wrócił na południe.

– Skoro wolałeś, żeby cię nie zauważono, to czemu w ogóle tu zajechaliśmy?

– To druga rzecz. Spodziewam się gości.

– Gości? – Hadrian uniósł kufel do ust.

– Pięciu mężczyzn, którzy jechali za nami drogą.

Hadrian odstawił kufel.

– O czym ty mówisz? Nikogo nie widziałem.

– Żadna niespodzianka.



- Co? Myślisz, że nas ścigają?
- Nie wiem. Dlatego tu jesteśmy.
- Czekaj... Czyli to mogli być po prostu inni ludzie podróżujący tą samą drogą?
- Zakładam, że wszyscy mnie ścigają, dopóki nie okaże się inaczej.
- To śmieszne.
- Mieli także miecze i kolczugi i bardzo się śpieszyli.
- No i?
- No i pięciu to zbyt wielu jak na kuriera, za mało jak na posiłki, a nikt inny tak nie pędzi, o ile kogoś nie ściga. Piątka to akurat dobra liczba do wysłania za dwoma mężczyznami oskarżonymi o dźgnięcie syna barona, których ostatnio widziano, jak wyruszyli z Sheridanu na północ.

Hadrian odwrócił się i wyjrzał przez okno. Widział tylko kamienny mur, drogę, a za nią jezioro. Zachodzące słońce rzucało złoty blask na powierzchnię wody.

– Są tu boczne drzwi. – Royce przechylił głowę w stronę korytarza, który ciągnął się obok baru. – Wychodzą na rów, gdzie opróżnia się nocniki. Kiedy zjawią się nasi goście, wyjdziemy tamtędy i poczekamy. Jeśli pójdą za nami, będziemy mieli pewność, że nie zajechali tu, bo akurat zachciało im się pić w tym samym czasie co nam. Arcadius mówi, że podobno potrafisz walczyć. Mam nadzieję, bo jeśli wyjdą za nami, zabijemy ich. Wszystkich. A potem wrócimy tutaj i zabijemy tę czwórkę.

– Co? Tę czwórkę? Dlaczego?

– Ponieważ postanowiłeś być przyjazny i towarzyski. Nie możemy zostawić pięciu ciał w ściekach i czterech świadków, którzy o wszystkim rozpowiedzą. Pierwszego masz załatwić lorda Marbury'ego, to jedyne prawdziwe zagrożenie. Ja zabiję kapłana i druciarza. Ten, kto pierwszy skończy, załatwia Dougana. Staraj się nie rozchlapać za dużo krwi. Jak już będą martwi, wyciągniemy ciała na tyły. Przy odrobinie szczęścia kloaka jest na tyle głęboka, żeby utopić w niej ciała. Jeśli nie rozlejemy za dużo

krwi, może minąć wiele godzin, zanim ktokolwiek coś zauważy. Do tego czasu my już znikniemy w tłumie na ulicach Ervanonu.

– Nie zabiję ich – odparł Hadrian. – To mili ludzie.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiałem z nimi.

– Ze mną też rozmawiałeś.

– Ty nie jesteś miły.

– Wiem, wiem, mam te wilcze oczy, przed którymi ostrzegał cię stary dobry Sebastian. Pamiętasz go? Miły człowiek, który razem ze swoją miłą przyjaciółką zamierzał poderznąć ci gardło?

– Przynajmniej miał co do ciebie rację.

– O tym właśnie mówię. Wybierz jednego człowieka i istnieje spora szansa, że nie będzie miły. Wszyscy wyglądają na miłych. Każdy ubrany w piękne ubrania i z szerokim uśmiechem takim jak Dougan za barem. Zapewniam cię jednak, jeśli podrapiesz powierzchnię tej monety, odkryjesz pod spodem cynę. Ludzie zawsze udają, że są mili, dobrzy i przyjaźni, a już w szczególności rzezimieszki i złodzieje.

– Ty nie udajesz.

– Bo ja jestem zaskakująco uczciwy.

– Nie zabiję ich.

– To co tu robisz? Arcadius powiedział, że mamy działać jako zespół. Miałem cię wprowadzić do tego biznesu. Powiedział, że jesteś świetnym wojownikiem, zaprawionym w bojach żołnierzem. W porządku. Nie podobało mi się to, ale dostrzegam zalety towarzystwa zręcznego wojownika właśnie w takich sytuacjach jak ta. Wobec tego w czym rzecz?

– Nie lubię zabijania.

– Nie jestem idiotą. Tyle już się sam zorientowałem. Pytanie: dlaczego? Arcadius mnie okłamał? Naprawdę jesteś jakimś handlarzem bronią i dlatego nosisz tyle żelastwa? Wysłał cię ze mną, żebyś pierwszy raz zakosztował krwi?

– Zakosztowałem jej więcej, niż na mnie przypada, uwierz mi.

– No to w czym problem?

- Odkryłem, że to złe.
- Słucham? Powiedziałaś „złe”?
- Aha, no wiesz, złe, w sensie przeciwieństwa dobrego.
- Ile ty masz lat? Wierzysz w dobre wróżki, prawdziwą miłość i życzenia wypowiedane, gdy spada gwiazda?
- Nie wierzysz w dobro i zło? W to co słuszne i niewłaściwe?
- Jasne, słuszne jest to co dobre dla mnie, a złe to, co mi się nie podoba, a to są bardzo, bardzo niewłaściwe rzeczy.
- Naprawdę wychowały cię wilki, co?
- Owszem.
- Zatem wy, chłopcy, jesteście z Rhenyddu, co?

Podszedł do nich lord Marbury, odsunął krzesło i usiadł.

Hadrian miał nadzieję, że lord niczego nie usłyszał. Choć wcale się go nie obawiał. Nawet z mieczem nie stanowił zagrożenia. Jak większość wysoko postawionych arystokratów nie miał pojęcia o walce. Dla nich miecze były jak futro albo purpura – symbolem szlachectwa i władzy, ale Hadrian byłby zakłopotany, gdyby lord usłyszał ich rozważania na temat planowanego morderstwa. Polubił tego człowieka, Marbury robił wrażenie honorowego jegomościa.

– Jakieś wieści z południa? – spytał lord. – Tutaj są takie nudy jak zdechła koza, co nie przyciągnie nawet jednej muchy. – Beknął gromko. – Trzyma mnie tu przy życiu tylko ale, a nie zdziwiłbym się, gdyby i to Kościół odebrał mi w następnej kolejności. Zatem jakie są wieści z pałaców królewskich?

Royce posłał Hadrianowi wściekłe spojrzenie.

– Nie odwiedzałem żadnych pałaców. Nie wpuściliby mnie w takim stroju – odpowiedział Hadrian.

Marbury uderzył pięścią w stół i zarechotał.

– Podejrzewam, że mnie też by nie wpuścili. Jestem jak mir, pół człowiek, pół elf, tyle że w moim wypadku to krzyżówka arystokraty z chłopem. Lord w krainie, gdzie arystokracja jest zakazana. Wiedzieliście, że moje lenno wywodzi się z czasów Glenmorgana?

– Na miłość boską, a skąd ty to wiesz? – spytał kapłan z miejsca przy barze.

Marbury obrócił się, omal nie wylewając piwa łokciem.

– Zapraszałem cię do tej rozmowy?

– Nie, ale oni też cię do siebie nie zapraszali.

– Harding, odbłogosławał się.

– Sam się błogosławał.

Lord Marbury odwrócił się do Hadriana i Royce'a.

– Jak już mówiłem, lenno mojej rodziny wywodzi się z czasów Glenmorgana.

Hadrian skinął głową.

– Niedawno dowiedziałem się o nim. Prawie odbudował imperium, tyle że nigdy nie zdołał podbić Calisu. Zbyt wiele osobnych królestw, zbyt wielu watażków, no i goblinów, rzecz jasna.

– To on. Chociaż nie nazwałbym go imperatorem. Kościół nazwał go „Namiestnikiem Novrona”, bo nie chciał porzucić marzenia o odnalezieniu zaginionego spadkobiercy. – Odchylił się na oparcie krzesła i zamachał rękami, jakby próbował oczyścić powietrze z dymu. – Glenmorgan władał tym wszystkim. Rhenyddem też. Wybudował Wieżę Koronną, gdzie mieszkają patriarcha i arcybiskup. Musieliście ją widzieć w drodze tutaj. A to tylko część jego zamku. Masz rację, nigdy nie zajął Calisu, ale jego wnuk, Glenmorgan III ocalił Avryn. Mój praprapra, i tak dalej, dziadek walczył u jego boku w bitwie na wzgórzach Vilan, gdzie powstrzymaliśmy najazd goblinów na Avryn. To był tak naprawdę koniec Glena III. Arystokratom i Kościołowi, którzy utoczyli się pod żałosnymi rządami Glena II, nie podobało się, że Glen III był silny jak dziadek. Wszyscy ci wygodniccy panowie w futrach i bijący w dzwony biskupi zdradzili go. Zamknęli Glenmorgana III w zamku Blythinów w Alburnie. Oskarżyli go o herezję. A kiedy ludzie zbuntowali się, Kościół, jako ten cnotliwy, oskarżył arystokrację, a potem klechy wszystko zgarnęły.

– Klechy? – zdziwił się Hadrian.

– Ludzie tacy jak ja – odezwał się znowu kapłan. – Ma na myśli Kościół.

– W rzeczy samej.

– Zdajesz sobie sprawę, że to zdrada i herezja zarazem?

– Tyle mnie to obchodzi, co przyszcz na zadku Novrona. Przyślesz sereta i zaciągniesz mnie przed trybunał? Sprowadzisz wartownika, żeby wychłostał Iberton?

Hadrian nie miał pojęcia, co to jest seret i o jakim wartowniku mowa, ale nie brzmiało to przyjemnie.

– Nie.

– Tak myślałem. – Marbury zniżył głos, zwracając się znowu do siedzących przy stoliku. – Czasem chciałbym, żeby to zrobił, ale nie ma takiej potrzeby. Jestem wykastrowanym bykiem. Do niczego się nie nadaję, mogę tylko włóczyć się po polach i robić jęczmienne ale.

– Nigdy nie spotkałem woła, który warzyłby tak dobre ale – powiedział Hadrian.

Marbury się zaśmiał.

– Podobasz mi się, chłopcze. – Spojrzał na Royce'a. – On też mi się podoba. Trochę milkliwy, ale to on robi za tego bystrego, co? Cisi zawsze są bystrzy. Mają dość rozumu, żeby nie paplać jak stare, wykastrowane, arystokratyczne byki-piwowarzy.

Hadrian spojrzał na Royce'a, który pochylił głowę, ukrywając oczy.

– Lubi uważać się za bystrego, ale nie wie wszystkiego.

– Nigdy nie twierdziłem, że wiem wszystko – odparł Royce. – Wiem to, co się liczy.

– Dla kogo? – spytał Hadrian.

– Dla mnie.

– Racja. To daleko odbiega od wszystkiego.

– To dość, żeby podejmować inteligentne decyzje. Ty pozwalasz, żeby emocje przesłaniały ci zdrowy rozsądek.

– Ja mam odwrotny kłopot – powiedział lord Marbury. – Pozwalam, żeby rozsądek przesłonił mi emocje. Na przykład już

ponad trzy lata temu powinienem wbić miecz w brzuch Hardinga. I zrobiłbym to, gdybym zaufał sercu.

– Nadal cię słyszę – powiedział kapłan.

– Wiem, ty nędzny klecho.

– Sprawia wrażenie dość miłego – powiedział Hadrian.

– Bo jest. Diabelnie porządny jegomość. Miałem gorączkę dwa lata temu, a on siedział przy mnie, kiedy wszyscy inni odeszli z obawy, że to znowu zaraza. Więcej, obmywał mi nawet zadek. Czegoś takiego się nie zapomina. Harding to filar tej społeczności.

– To też słyszałem – wtrącił Harding.

– Zamknij się. – Marbury napił się z kufła. – Rzecz w tym, że nadal jest jednym z nich, tych węży, które pełzają i wszystko zatruwają. To ci, którzy zniszczyli imperium Glenmorgana i wysłali takie rody jak mój na zieloną trawkę. To oni zamienili mnie z rycerza służącego imperatorowi w farmera serwującego ale i gdybym był choćby w połowie takim człowiekiem jak mój pradziadek, to już lata temu ściałbym mu łeb.

– Nigdy nie jest za późno – zasugerował Royce.

Marbury roześmiał się i uderzył w stół.

– Słyszysz to, Harding? Ten w kapturze zgadza się ze mną.

Na zewnątrz słońce schowało się za wzgórzami, pogrążając świat w widmowym świetle gasnącego nieba. Dzieci zniknęły, psy ułożyły się obok dróżki, światełka zdradzały życie w zapadającym zmroku.

Royce podniósł raptownie głowę. Pochylił się i powiedział:

– Udowodnij mi, że się mylę.

Potem wstał i ruszył do tylnych drzwi. Chwilę potem Hadrian usłyszał odgłos zbliżających się kroków.

\* \* \*

Hadrian patrzył, jak do karczmy wchodzi pięciu ludzi. Każdy owinał się ciemną oponczką, ale brzęk kolczugi nie pozostawiał żadnych wątpliwości i umysł Hadriana natychmiast przywołał

zapach krwi, chlupot błota i wrażenie wiecznie przemoczonych stóp. Twarze mieli zarumienione od wiatru, włosy splątane i odrzucone do tyłu. Baczenie rozejrzeli się po sali.

– Witajcie, chłopcy, nazywam się Dougan. – Karczmarz wyciągnął rękę, ale żaden jej nie uścisnął. – Czym mogę służyć?

Jeden z mężczyzn odrzucił pelerynę przez ramię, odsłaniając czerwoną podszewkę i symbol pękniętej korony na piersi. Odsłonił też miecz – tilinerski rapier z rękojeścią jak kastet i zaostrzoną głowicą. Hadrian widział ich setki. To była ulubiona klinga wśród zawodowców. Wyrabiane w Tilinerze, w Delgosie były solidną bronią, skutecznym i praktycznym narzędziem do mordowania.

– Szukamy dwóch mężczyzn z Sheridanu, którzy zaatakowali nożem chłopca – oznajmił.

Dougan uniósł brwi.

– Doprawdy?

– Owszem. – Mężczyźni rozproszyli się, szurając ciężkimi butami po zdartych deskach.

Przyglądali się druciarzowi i kapłanowi. Potem trzech stanęło wokół małego stolika, przy którym siedzieli Hadrian i lord Marbury.

– A kim jesteście wy dwaj?

– Ten tam to lord Marbury – wyjaśnił Dougan łagodnym, acz ostrzegawczym tonem. – Jest właścicielem większości ziem na południe od jeziora.

Harding się odwrócił.

– I wypił parę kufli, więc nie powiedziałbym, że jest dziś w najlepszym nastroju.

– Nie jestem – warknął Marbury – a ty mi go nie poprawiasz.

– Powiedziano nam, że jeden z nich nosił trzy miecze – odezwał się inny mężczyzna. Gęste brwi, przyszczyżona broda przzerwana przez sierpowatą szramę. Stał nad Hadrianem. – Jakiś żołnierz, może najemnik.

– Ten chłopak to mój przyjaciel z Rhenyddu – oznajmił Marbury. – Jest kowalem. Sam wykuł te miecze, mam rację?

Hadrian skinął głową.

– Zatem to są próbki twojej roboty, tak? – Mężczyzna stał nad nim z głową przekrzywioną na bok, jednym palcem odpychając i przysuwając głowicę dwuręcznego miecza.

– Zgadza się – potwierdził Hadrian.

– Niech spojrzę.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

Hadrian nie mógł teraz zerknąć za siebie, nie budząc podejrzeń, ale był pewien, że co najmniej dwóch z trzech mężczyzn przesunęło się. Royce czekał na zewnątrz w zasadzce obok ścieku, gotowy poderżnąć gardło temu, kto wyjdzie za nim na zewnątrz. Pewnie słuchał każdego słowa. Hadrian zerknął w stronę tylnych drzwi. Gdyby pobiegł ku nim, złapałoby go co najmniej dwóch, a pozostali dobyliby broni. Gdyby do tego doszło, mógłby wrzasnąć i Royce usłyszałby go. Wtedy doszłoby do krwawej jatki, a potem...

*Udowodnij mi, że się mylę.*

Poddawał go próbie. *Arcadius mówi, że podobno potrafisz walczyć.* Może chciał przekonać się przed robotą. Może chciał wiedzieć, czy Hadrian ma dość odwagi, żeby wbić stopę stali w człowieka, czy zdoła zabić niewinnych świadków, gdyby przyszło co do czego.

*Udowodnij mi, że się mylę.*

Hadrian spojrzał na lorda Marbury'ego i uznał, że właśnie to robi.

Wyciągnął krótki miecz z pochwy i uważając, żeby złapać go za ostrze, podsunął głowicę mężczyźnie, który nad nim stał. Patrzył, jak tamten zaciska palce na rękojeści. Wiedział, jak obchodzić się z mieczem, ale dopiero się z nim witał, nie zamierzał wbić go nikomu w pierś. Na razie.

– Po co seret miesza się w drobną bójkę na noże? – zapytał Marbury.

Zatem to jest seret.

– Chłopak, którego dźgnięto, jest synem barona Lerwicka. – Uniósł miecz, machnął nim na boki, potem zakręcił nim, przeturlał



rękojeść po wierzchu dłoni i znowu ją złapał.

– Lerwick, hę? – Marbury skinął głową. – Jak dawno to się stało?

– Parę dni temu.

– Dzieciak nie żyje?

– Żyje. – Mężczyzna obracał ostrze w dłoni w tę i z powrotem.

– Ale ledwie dycha?

– Nie.

– Strasznie duże zamieszanie jak na taką drobnostkę.

– Baron tak nie uważa. Podobnie arcybiskup.

Marbury uśmiechnął się krzywo.

– O? Gratuluję tak wspaniałych koni – powiedział głośno Marbury. – Ci ludzie muszą mieć najszybsze wierzchowce w Avrynie, żeby dowiedzieć się o bójce, pojechać do Monreelu, porozmawiać z baronem, a potem do Ervanonu porozmawiać z arcybiskupem i wreszcie dotrzeć tutaj, a to wszystko w jeden dzień.

Mężczyzna nie zwracał na niego uwagi.

– Ten miecz jest strasznie zniszczony.

– Sporo się go używa – odpowiedział Hadrian.

– Myślałem, że jesteś kowalem, a to tylko próbka towaru.

– No pewnie – odezwał się druciarz – to dlatego jest taki zniszczony. Już ja się na tym znam. Jestem druciarzem dłużej, niż ktokolwiek dycha w tej sali. Kiedy sprzedajesz narzędzia, wiesz, że ludzie wypróbują je na wszelkie durne sposoby. Uderzają w kamienie, rąbią drewno, wbijają w ziemię... I to tylko podejmując decyzję. Nie można pozwolić, żeby zniszczyli ci w ten sposób cały towar. Zamiast tego wybierasz jedną rzecz i za każdym razem dajesz ją do wypróbowania.

Mężczyzna znowu spojrzął na broń i oblizał usta.

– Niezbyt dobra robota.

– Nie jestem szczególnie dobrym kowalem.

– Jak długo przebywa tu ten człowiek? – Seret spojrzął na Dougana, trzymając miecz Hadriana.

Karczmarz wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć.

– Trzy dni – odpowiedział Marbury. – Zatrzymał się u mnie, w moim domu na północnym brzegu. Robi dla mnie nową miedzianą kadź do gotowania brzezki na ale.

– Zgadza się? – mężczyzna zapytał karczmarza.

Dougan wzruszył ramionami.

– A skąd ja mam wiedzieć, co się dzieje w domu lordowskiej mości?

– A co pan powie, wielebny? Może pan potwierdzić tę historię?

Harding zerknął na Marbury'ego.

– Nigdy nie podważyłbym słów lordowskiej mości. To porządny, prawy członek tej społeczności.

– Doprawdy?

– W rzeczy samej.

– Ktoś jeszcze tu zaglądał?

– Jest też mój siostrzeniec – wyjaśnił Marbury. – Wyszedł z nocnikiem. Zjadł dziś po południu fatalnego kurczaka i nadal za to płaci. Chcecie zaciągnąć tu chłopaka, żeby jego też ponieść?

Mężczyzna skrzywił się i z brzękiem upuścił miecz Hadriana na stół. Poprowadził pozostałych do drzwi, a przed wyjściem przystanął.

– Będziemy tędy wracać. Para, której szukamy, to duży mężczyzna i mały, ubrany na czarno. Jeśli zauważycie kogoś takiego, byłbym wdzięczny, gdybyście dali nam znać.

– Pewnie, wracajcie, jak będziecie mogli zostać na kufelek. – Dougan uśmiechnął się i pomachał im na pożegnanie.

Hadrian spojrział na lorda Marbury'ego, chowając miecz do pochwy.

– Wykuwam dla pana miedzianą kadź?

– Najwyraźniej jesteś niewiarygodnie leniwy, bo chyba nawet nie zacząłeś. – Uniósł kufel. – Przyjaciel cię porzucił?

– Nie. Czeka na tyłach. Planował zasadzkę na wypadek przemocy ze strony tamtych.

– To on dźgnął dzieciaka?

– Tak, ale...

Marbury uniósł wolną rękę.

– Nie potrzeba żadnych tłumaczeń. Szkoda, że nie wbił noża w samego barona.

– Nie przepada pan za Lerwickiem?

– A gdzieżby. To kłamca, oszust i nędzny drań.

– Jest też dobrym przyjacielem arcybiskupa – wtrącił Harding.

– I dzięki temu dysponuje rycerzami Sereta.

– Co to jest seret?

– Żołnierz Kościoła – wyjaśnił kapłan.

– Żołdak Kościoła – poprawił go Marbury. – To dręczyciele słabszych i brutale. Lord Dariusz Seret założył wieki temu zakon rycerski, kolejny przekłety sukinsyn, słowo daję. Cała ta rodzina jest stuknięta. Lerwick jest jakoś z nimi spokrewniony, co wiele wyjaśnia. Wredne łajdaki.

Hadrian patrzył w korytarz prowadzący do tylnych drzwi.

– Może powinienś sprawdzić?

Hadrian odsunął krzesło z głuchym skrzypieniem, a potem przeszedł korytarzem. Zgodnie ze słowami Royce'a były tam drzwi, a obok stał nocnik. Odsunął zasuwkę i pchnął drewniane drzwi. Otworzyły się, ukazując bity zaułek, który ciągnął się za budynkami.

– Royce?

Odpowiedziały mu tylko zimne powietrze i ciemność.

Hadrian obszedł karczmę ku frontowi, gdzie stała uwiązana Tancerka, ale koń Royce'a zniknął. Przepadły też długie zwoje liny, które do tej pory dźwigała.

Hadrian wszedł do środka i powitały go spojrzenia Bremeya, Hardinga, Dougana i lorda Marbury'ego, który znowu usiadł przy barze.

– Pewnie jest już dwie mile stąd drogą – zgadywał Marbury. – Mówiłem, on jest tym bystrym.

# Rozdział 14

## *Powrót do szkoły*

Następnego ranka Royce'a nadal nigdzie nie było. Lord Marbury dla uprawdopodobnienia swojego wymysłu zaprosił Hadriana na noc do swego domu na południowym brzegu jeziora, które, jak się Hadrian dowiedział, nazywało się Morgan i słynęło z krystalicznych wód oraz jako doskonale łowisko okoni. Hadrian odmówił, uznając, że lepiej zostać w karczmie, na wypadek gdyby Royce wrócił. Spędził wieczór, pijąc i rozmawiając. Namawiany do spróbowania każdego rodzaju ale wypił w końcu co najmniej dwa kufle za dużo. Poza tym, że poznał nazwę jeziora i dowiedział się, że słynie z białych, pasiastych okoni o wielkich pyszczkach, usłyszał też, że Agnes, druga żona Willy'ego pasterza, spodziewa się trzeciego dziecka, a czwartego potomka Willy'ego. A także, że wioska urządzi ponownie coroczne zawody w wędkarstwie podlodowym w czasie tygodnia poprzedzającego zimonia. Jak zawsze pierwszą nagrodą będzie pełna beczułka ale, które w tym roku zdobyło pierwszą nagrodę. Nagrodę przyznawano w ramach obchodów zimonia, urządzanych na zamarzniętym jeziorze, które przystrajano setkami latarni i które przez kilka tygodni pełniło funkcje wioskowych błoni. Słuchając historii i wieści od zagląających do karczmy przyjezdnych, Hadrian wyglądał przez okno i nasłuchiwał tętentu końskich kopyt, ale Royce nie wrócił. Zanim Dougan zgasił latarnie i poszedł spać, pozwolił Hadrianowi

przespać się w składziku.

Nie mając żadnych środków, żeby kontynuować misję, pozbawiony nawet liny, Hadrian osiodłał rankiem Tancerkę. Z ustami wysuszonymi od kaca podziękował Douganowi za nocleg i poprosił, żeby pozdrowił lorda Marbury'ego. Potem pojechał z powrotem w kierunku Sheridanu. Zjechał na szeroką drogę, którą – jak się dowiedział – nazywano Traktem Namiestnika. Jechał z bolącą głową, podrażnionym żołądkiem i rosnącym gniewem. Zanim rozbił obóz, mówił już do siebie.

– Potrafię zrozumieć, dlaczego mogłeś mi nie ufać. Nie znasz mnie. Ja nie znam ciebie – mówił do wymagowanego Royce'a. Rozmowa zaczęła się od myśli, ale zanim położył się spać, myśli otrzymały głos. – I pewnie, jesteś płochliwy jak komar krwio pijca, ale skoro zamierzałeś uciec, dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wyobraził sobie krzywy uśmiezek albo śmiech.

– Próbowałem – odpowiedział nieco wyższym głosem. Royce nigdy nie mówił tak przeciągle i sarkastycznie, a jego głos nie brzmiał dziewczęco, ale Hadrian wypowiedział te kwestie w taki sposób, bo tak by je słyszał. – Powiedziałem, że się zjawia. Powiedziałem ci, że będziemy musieli wszystkich pozabijać, a ty się sprzeciwiłeś. Potem wtrącił się lord Marbury. Co miałem zrobić?

– Trzeba było nam przerwać. Mogłeś przeprosić i powiedzieć: „Słuchaj, jeśli pojawi się pięciu gości z mieczami, to powinniśmy uciec tylnymi drzwiami”.

Podobało mu się, jak rozsądnie i zdecydowanie to zabrzmiało.

Royce przewrócił oczami w wyobraźni Hadriana. Przewracał oczami, odkąd tego ranka Hadrian opuścił karczmę w Ibertonie, i to naprawdę go irytowało.

– Tylko po co? Od samego początku nie chciałem cię tutaj.

– A gdyby mnie złapali? Gdyby zawlekli mnie do jakiegoś więzienia i zatrzymali tam za zbrodnię, którą ty popełniłeś? A jeśli zamierzali oszczędzić sobie drogi i załatwić sprawę od razu w karczmie, na miejscu ściąć mi głowę?

Hadrian już prawie krzyczał, uderzając dłonią w przykrytą kocem trawę. Wbił wzrok w gwiazdy, a parę kroków dalej Tancerka przestępowała z nogi na nogę i przechylała głowę, patrząc pytająco.

– Nie mój problem – odparł wyobrażony Royce.

Sposób, w jaki to powiedział, wyraz twarzy, jaki miał przy tym, jego pełen wyższości uśmieszek i wilcze oczy sprawiły, że Hadrian pożałował, że Royce'a tam nie ma, bo wtedy mógłby pięścią zmyć mu ten uśmiech z ust.

Łajdak!

Hadrian wrócił do Doliny Sheridanu następnej nocy. Specjalnie jechał powoli, żeby dotrzeć na miejsce po zmroku, i poczekał, aż dziedziniec opustoszeje, zanim wjechał prosto do stajni. Znalazł otwarty boks, ale nie rozsiadł Tancerki. Nie zamierzał zostawać tu zbyt długo. Wyjaśni Arcadiusowi, co się stało, zajrzy do Korniszona, a potem... Naprawdę nie wiedział. Pojedzie znowu na południe, może wybierze się do miasta, o którym wspominał mu wieśniak po drodze do Sheridanu. Tego na północnym brzegu Galewyru, gdzie jego przyjaciel sprzedawał garnki. Zjadłby ciepły posiłek i spędził noc w łóżku. Skoro miasto było dość dobre dla garncarza, to dla niego też będzie. Kupi zapasy i może wróci do Colnory.

I co potem?

Hadrian zobaczył już połowę świata, zarobił i wydał fortunę, służył królowym i lordom. Dlaczego więc miał tak mało perspektyw? Rozwahał powrót do Calisu. To była słabość – taka sama, jaką widywał u pijaków, i nienawidził siebie nawet za takie myśli. Tygrys i list wyrwały go z koszmaru, który tylko w jego wyobraźni był snem. Nie mógł do tego wrócić. Nie chciał też znowu być żołnierzem. Porównywał to do dorastania. W pewnym momencie odkrył, że dziewczęta są ładne; potem nie potrafił już ich przezywać. Póki był dzieckiem, musiał obserwować, słuchać i naśladować, ale każdy mężczyzna musi kiedyś skończyć ze służbą albo pogodzić się z życiem niewolnika. Widział mężczyzn, którzy

zostawiali, zawodowych żołnierzy i wiedział, dlaczego się na to zdecydowali – pragnęli władzy. Wysoka ranga gwarantowała przywileje, władzę, szacunek. Hadrianowi nie zależało na żadnej z tych rzeczy. Osiągnął szczyt w każdej z nich i nadal czuł się żałościwie. Nie potrafił już wyciągać mieczy na czyjeś żądanie, tak jak nie potrafił przezywać kobiet. Być może była to jedyna rzecz, której był pewien. To i świadomość, że nigdy więcej nie chce widzieć Royce'a Melborna.

Tylko co mi wtedy zostaje?

Przynajmniej Korniszona czeka lepsza przyszłość. Tyle osiągnął. Hadrian uśmiechnął się na myśl o biednym chłopcu z Vernesu w szkolnej todze. Jego własne życie źle się potoczyło, ale Korniszon znalazł się teraz na dobrej drodze. W najgorszym wypadku Hadrian mógł czerpać pociechę z faktu, że odegrał decydującą rolę w życiowej wolcie Korniszona.

Wspiął się schodami do gabinetu Arcadiusa. Udało mu się uniknąć studentów. Drzwi były zamknięte, musiał więc zapukać.

– Proszę! – usłyszał teraz już znajomy głos.

Po otwarciu drzwi Hadrian ujrzał ten sam stary bałagan. Tym razem profesor siedział przy biurku z otwartą książką i parującym kubkiem w dłoni. Hadrian przeszedł trzy kroki, nim zauważył Royce'a Melborna. Złodziej siedział na drugim końcu rozgardiaszu, zupełnie jak w dniu, kiedy się poznali, tyle że tym razem wyciągał się na kufrze, zajadając jabłko. Pelerynę zdjął i udrapował na ramionach szkieletu zwieszającego się obok z włóczni niczym makabryczna marionetka.

– Ty! – Tylko tyle przyszło Hadrianowi do głowy.

Royce spojrzał na niego równie zaskoczony, a potem kręcąc głową z niedowierzaniem, wyciągnął sakiewkę i wyjął monetę. Wstał i odłożył ją na biurko profesora, a potem znowu siadł na kufrze.

– Naprawdę nie spodziewałem się, że cię jeszcze kiedyś zobaczę.

– A ja miałem nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę – odpowiedział Hadrian. – Zostawiłeś mnie.

– Zostawiłem na pewną śmierć, mówiąc dokładniej. Jakim cudem przeżyłeś?

– Nie walczyłem z nimi.

– Uciekłeś? Musisz być szybki.

– Nie uciekłem. Spędziłem noc w karczmie, myśląc, że po mnie wrócisz.

Royce zarechotał.

– Marne szanse.

– Najwyraźniej.

– To jak się wykaraskałeś?

– Lord Marbury i pozostali w karczmie, ludzie, których chciałeś zabić, ochronili mnie, skłamałi dla mnie. Lord skłamał nawet dla ciebie, ale to nie było potrzebne, bo ty, jak przystało na tchórza, już zwiałeś.

– Nie nazwałbym tego tchórzostwem.

– A jak?

– Koniecznością. Musiałem się ciebie pozbyć. Zwykle to nie problem, ale – przechylił głowę w stronę Arcadiusa, który nadal czytał – mój pierwszy wybór nie wchodził w grę.

– To ta książka? – Hadrian wskazał mały, podniszczony notatnik, który profesor właśnie czytał.

– Tak, tak – potwierdził Arcadius. – Dziennik Edmunda Halla.

– Moja wolność zależała od powodzenia tej misji i nie mogłem ryzykować, że coś popsujesz – powiedział Royce.

– A jednak sam zdołałeś ją zawalić – wtrącił Arcadius.

Royce gwałtownie obrócił głowę.

– Co? Powiedziałeś, że to właściwa książka.

– Umowa nie dotyczyła tylko książki. Obaj musicie ją zdobyć.

– A co to za różnica? Książka była celem. Masz ją. Sprawa załatwiona. On brał w tym udział tylko na wypadek kłopotów, a żadne się nie pojawiły.

– Wyraziłem się bardzo jasno. Po raz kolejny nie zdołałeś wypełnić moich instrukcji. Miałeś zabrać Hadriana na szczyt wieży.



– To w ogóle nie wchodziło w grę. – Royce hałaśliwie odgryzł kolejny kęs jabłka i mówił dalej z pełnymi ustami. – Nie ćwiczyliśmy z uprzężą, a załatwienie tego w taki sposób było... – Machnął ręką, szukając podpowiedzi na suficie, ale zaraz się poddał. – To było zwyczajnie głupie. Jak widzisz, sam świetnie sobie radzę.

Arcadius zamknął książkę i zdejmując okulary z nosa, spojrzał na Royce'a.

– Cieszę się, że zdobyłeś książkę. Fascynująca lektura, nawiasem mówiąc. Jednakże bardzo jasno przedstawiłem warunki. To, że je zignorowałeś, nie zmienia faktu, że oszukiwałeś. Dług pozostał.

Royce wstał z paskudnym wyrazem twarzy i zrobił krok w stronę profesora.

Hadrian oparł dłonie na mieczach i też podszedł.

– To łatwo da się załatwić – dodał szybko Arcadius. – Nadal możesz uwolnić się od zobowiązania. Wystarczy tylko, żebyś odłożył książkę z powrotem.

– Co?

– Trzeba ją oddać, ale tym razem musisz zrobić to tak, jak ci poleciłem, i zabrać ze sobą Hadriana.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Royce spiorunował go wzrokiem. – Teraz po prostu... Czeka! Sam powiedziałaś, że chcesz tylko pożyczyć tę książkę. Od początku zamierzałaś kazać mi ją oddać.

– Istniała możliwość, że mnie zaskoczysz i rzeczywiście już za pierwszym razem weźmiesz Hadriana.

Zdumienie wypłynęło na twarz Royce'a. Hadrian obserwował, jak powoli pojawia się na niej niechętny uśmiech.

– Tak, drogi chłopcze – powiedział Arcadius. – Nie jestem taki głupi, jak na to wyglądam, a twoje zachowanie nie jest aż tak trudne do przewidzenia. A teraz, żeby wypełnić ustalone warunki naszej umowy, musisz odłożyć książkę na miejsce, gdy już skończę ją czytać, rzecz jasna. Tym razem jednak musisz zabrać Hadriana

ze sobą na górę. Będę nalegał, żeby to on miał notatnik i to on go odłożył.

– Dlaczego? – Oszłomiony złodziej wytrzeszczał oczy.

– Royce, ze wszystkich ludzi właśnie ty powinieneś rozumieć kłopoty związane z nieumiejętnością wypełniania dokładnie przedstawionych wskazówek. – Arcadius zwrócił się do Hadriana.

– Jeszcze kilka minut temu lamentował, jakie to było problematyczne, kiedy odmówiłeś zamordowania pozostałych klientów karczmy w Ibertonie. – Znowu spojrzął na Royce'a. – „Nie potrafi nawet wypełnić najprostszego polecenia”. Tak powiedziałaś. A fakty są takie, że Hadrian nie jest twoim służącym.

– Nie, jest balastem.

– Nie, jest twoim partnerem. Jego opinia jest równie ważna jak twoja. Musicie współpracować.

– Ale on jest niepotrzebny. Dowód leży na twoim burku. I załatwiłem to w czasie krótszym, niż on potrzebował, żeby tu wrócić.

– Wszystko zależy od ciebie, Royce, ale jeśli chcesz się mnie pozbyć, oto cena. Pomóż Hadrianowi odłożyć książkę tam, skąd ją wzięłaś, i bez żadnego oszukiwania tym razem.

Royce cisnął jabłkiem przez pokój. Odbiło się od ściany i zniknęło w stosie pergaminów. Potem z tą samą upiorną szybkością wstał i podszedł do Hadriana, który odruchowo wyciągnął miecze.

Royce nie zwrócił uwagi na broń.

– Lepiej tego nie schrzań. Za pięć minut masz być u podnóża muru Gmachu Glena. Jeśli naprawdę mamy to zrobić, będziemy ćwiczyć całą noc. – Spojrzął na ostrza, które Hadrian trzymał przed sobą, i zaszydził. – Kiedy cię zabiję, nawet się nie zorientujesz, że nadchodzę.

\* \* \*

Hadrian podciągnął się i stanął na dachu Gmachu Glena. Zimny wiatr szarpał mu pelerynę i smagał twarz włosami. Pod nim drzewa kołysały się, a posąg na dziedzińcu wyglądał jak zabawka.

– No i? – zapytał, patrząc na Royce’a.

Obaj stali w skórzanych uprzążach nadal połączeni zwojami liny.

– Lepiej, niż się spodziewałem.

Rozczarowanie w jego głosie sprawiło, że Hadrian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie wyobrażaj sobie za wiele. Nie masz pojęcia, czego się spodziewałem.

To nie miało znaczenia. Hadrian wiedział, że się spisał. W gruncie rzeczy niewiele miał do roboty. Royce wykonał całą pracę przy wspinaczce i zakładaniu klinów asekuracyjnych. Hadrian musiał tylko podciągnąć się, przeciągając linę między dwoma metalowymi pierścieniami u pasa, które przy naprężonej linie bez większego wysiłku utrzymywały go w miejscu. Szybko się zorientował, że cały dowcip polegał na tym, żeby nie dopuścić do splątania się liny. Trudne było też wyjmowanie klinów, co musiał robić, żeby móc przeciągać linę przez pierścienie. Royce potrzebował ich do wspinaczki, więc Hadrian musiał chować każdy do woreczka u boku. Gdyby miał trzy ręce, byłoby to łatwe. A tak, wisząc w zagrażającej życiu odległości od ziemi, jedną ręką musiał trzymać zarówno linę, która utrzymywała jego ciężar, jak i jej luźny koniec, a drugą na oślep chować żelazne kliny do woreczka. Trzymanie własnego życia w jednej ręce wystarczyło, żeby przez większość wspinaczki żołądek mu podchodził do gardła. W pewnym bliżej nieokreślonym momencie, zlany już potem, odkrył, że przestał myśleć o tym, gdzie jest, i całkowicie skupił się na zadaniu. Dotarcie na szczyt okazało się radosną niespodzianką. Udało mu się i w nagrodę stanął na omiatanym wiatrem dachu Gmachu Glena obok półki, na której sokół wybudował sobie gniazdo. Podziwiał widoki, które – jak podejrzewał – z wyjątkiem budowniczych i sokoła ujrzeli tylko nieliczni.

– Nadal masz książkę? – spytał Royce.

Royce kazał Hadrianowi nieść przypadkową książkę, którą podniósł z podłogi gabinetu Arcadiusa, mniej więcej podobnych rozmiarów co dziennik Edmunda Halla. Hadrian schował „Podstawy ekonomii: rozwój chałupnictwa” za koszulą, blokując ją między pasem a uprzężą. Poklepał się w pierś.

– Nadal tam jest.

Royce obszedł go z nieszczęśliwą miną.

– Nie ma potrzeby, żebyś tachał te miecze. Tylko zwiększają ciężar i mogą się zaplątać w liny. Poza tym narobisz nimi hałasu.

– Pochwy są skórzane. Nie ma metalu, który by dzwonił. Zaufaj mi, walczyłem z Ba Ran Ghazelami w Gur Em. Potrafię zachowywać się cicho.

– Wątpię. Nigdy nie byłem w dżungli, ale podejrzewam, że jest tam głośniejsze niż w zamkniętym pomieszczeniu w środku nocy.

– Jeśli martwisz się o hałas, to te uprząże podzwaniają jak dzwonki u sań.

– Hałas nie jest problemem przy wspinaczce, na górze zdejmujemy je, zanim dokądkolwiek pójdziemy. Zaprojektowałem je tak, żeby było łatwo się z nich wyslizgnąć i wślizgnąć z powrotem. Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie wystarczy ci tylko ten mały mieczyk. Duży zostaw przy koniu.

– Mogę go potrzebować.

– Możesz potrzebować nocnika, ale nie zabierasz go na górę. I czemu aż trzy miecze? Masz trzecią rękę, której nie zauważyłem? Bo przyznaję, że to byłoby imponujące.

Mówiąc, poprawiał uprzęż na Hadrianie. Pociągał za sprzączki, mocniej zaciskał pasy.

– Używam ich do różnych stylów walki.

– A co to za różnica?

– Nie chcesz walczyć ze mną, kiedy wyciągnę ostrze, które noszę na plecach.

– Serio? – Nie robił wrażenia przekonanego. – To dlaczego nie używasz go zawsze? Wolisz dać przeciwnikowi ucziwą szansę

zabicia ciebie?

– To kwestia doboru odpowiedniego narzędzia do potrzeb. Większość sytuacji wymaga subtelności. Nie posłużysz się młotem kowalskim, żeby wbić gwóźdź. Ty nosisz mały sztylet, prawda? Dlaczego? To cię stawia w nad wyraz trudnej sytuacji, gdy przeciwnik ma miecz.

– Tak uważasz, co?

– Tak jak ty uważasz, że nie potrzebuję tych wszystkich mieczy.  
– Pokazał dwa małe palce. – Ich też tak naprawdę nie potrzebuję, ale zabiorę je na górę.

– Jak sobie chcesz. To ty musisz wciągnąć je na górę i potem spuścić.

Royce wrócił do krawędzi i spojrzał w dół.

Stał tam tak zwyczajnie, że Hadrianowi żołądek podszedł do gardła i poczuł nagłą chęć, żeby go złapać. Dlaczego, sam nie wiedział. Godzinę temu powitałby wieść o śmierci Royce'a z poczuciem satysfakcji, może nawet ulgi.

– Świat zawsze wygląda lepiej z wysokości – powiedział Royce tak cicho, że Hadrian ledwie go usłyszał.

Wiatr przyciskał pelerynę do pleców złodzieja, a brzegi łopotały z boków jak ciemne skrzydła – sokół wypatrujący myszy.

– Jak to?

– Cichy, nieruchomy, mroczny, odległy. O wiele łatwiejszy w obsłudze, mniej kłopotliwy. Ludzie są mali, można nie zwracać na nich uwagi. – Uniósł głowę, patrząc w stronę niewidocznego horyzontu. – Cały świat jest mały z takiej wysokości. Niemalże nabiera sensu, zupełnie jak kiedy patrzysz na mrowisko. Obserwując mrowisko, nigdy nie zastanawiasz się nad polityką, małostkowymi uprzedzeniami i wszelką marnością tego świata, jaka kieruje mrówkami, ale przecież wszędzie jest tak samo. Królowa ma swoich faworytów, swoich dworzan. Większe mrówki rządzą mniejszymi, bardziej produktywnie słabszymi, szczęściarzy pechowcami. Po prostu nie słyszymy ich utyskiwań. Znajdujemy się za wysoko. Zamiast tego wydaje nam się, że kierują się tylko

celem, takie proste, takie szczęśliwe. Może tak wyglądamy dla Maribora i reszty boskiego panteonu. – Spojrzał na gwiazdy. – Może dlatego nigdy nie przychodzi im do głowy przyjść nam z pomocą.

Odetchnął i spojrział przez ramię, jakby zaskoczony, że Hadrian nadal tam stoi. Sprawdził własną uprząż i uśmiechnął się.

– A teraz zabawna część. Postaraj się nie poobcierać sobie rąk na linie, zjeżdżając zbyt szybko.

Z szelmowskim uśmiechem Royce zrobił krok z krawędzi i spadł. Hadrian słyszał wizg liny przechodzącej przez pierścienie w uprzęży, kiedy Royce zjeżdżał wzdłuż muru, odpychając się od niego stopami, aż w kilka sekund później stanął na ziemi.

– Twoja kolej! – krzyknął, a jego głos poniósł się echem wśród budynków.

Hadrian podszedł do krawędzi dachu, nie mając chęci nawet unieść stopy. Mięśnie mu drżały z napięcia. Położył się na brzuchu i podpełził do brzegu. Zwiesił się z dachu, bojąc się puścić, chociaż czuł, że uprząż utrzymuje większość jego wagi.

– Zrobisz to jeszcze tej nocy?! – zawołał Royce.

Hadrian sprawdził jeszcze raz luźny koniec liny, żeby na pewno nie był skręcony albo zasupłany. Nie był pewien, czy trzęsie się ze strachu, z zimna czy od napięcia mięśni.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział Royce. – Wyobraź sobie dwudziestu strażników z wieży z ostrymi mieczami, biegnących w twoją stronę, i dwudziestu następnych strzelających z kusz. Wyobraź sobie, jak ich bełty odbijają się z brzękiem od kamienia. Nie chodzi o to, żebyś zjechał na dół, nim któryś cię dźgnie, sieknie albo ustrzeli. Musisz znaleźć się na dole, zanim się zorientują, że wystarczy przeciąć linę.

Hadrian puścił się, łapiąc cały ciężar na linę i myśląc, jakim szaleństwem jest powierzenie życia kawałkowi splecionego włókna roślinnego. Wisząc, przekładał cal po calu linę przez pierścienie i pełził w dół. Popuścił trochę więcej liny i poczuł, jak spada. Ogarnęło go przerażenie. Pociągnął zwisającą linę w górę pod

kątem do pierścieni i dość szybko wyhamował. Przystanął na chwilę, żeby serce z powrotem ześlizgnęło mu się z gardła, i mimo to uśmiechnął się. Widział już, jak to działa. Royce mu wyjaśnił, ale nic nie zastąpi doświadczenia. Odpychając się stopami, oddalił się od muru i pozwolił linie się prześlizgnąć. Ogarnęło go uczucie szaleńczego podniecenia i wrażenie gracji, kiedy znowu zgrabnie odepchnął się palcami stóp od muru. Lepiej wyczuwał moment na popuszczenie liny i poczuł się jak pająk zjeżdżający na nici. Zamierzał przy następnym odepchnięciu naprawdę polecieć, ale wtedy odkrył, że dotyka stopami ziemi.

Spojrzał na Royce'a.

– Musimy to zrobić raz jeszcze.

\* \* \*

Royce i Hadrian przesiedzieli większość następnego dnia w swoim pokoju. Polecono im zamknąć się na klucz. Po zranieniu Angdona Lerwicka Arcadius wolał, żeby nikt nie wiedział o ich powrocie. Hadrian był rozczarowany, bo nie mógł zobaczyć się z Korniszonem, którego jako studenta przeniesiono do sypialni pierwszego roku. Wiedział jednak, że tak będzie najlepiej. Po czterech dniach w drodze i całej nocy wspinania się na Gmach Glena, był zmęczony. Obaj przespali większość następnego dnia, budząc się tylko, kiedy chłopiec przyniósł coś, co jego zdaniem było śniadaniem, a może lunchem, ale okazało się kolacją. Parujące miski duszonych jarzyn i okrągły bochenek chleba żytniego pojawiły się z liścikiem od Arcadiusa z prośbą, żeby odwiedzili go w gabinecie po posiłku i postarali się, by widziało ich jak najmniej studentów. Dodano także postscriptum do Royce'a, że nic się nie stanie, jeśli jednak jakiś student ich zobaczy. To zdanie podkreślono dwa razy.

Zjedli w milczeniu. Royce rozerwał bochenek na dwoje i większą część oddał Hadrianowi. To zachowanie zajmowało myśli Hadriana przez cały posiłek. *Czyżby był miły? Czy to jakiś subtelny gest*

*pojednawczy? A może to przejaw jakiejś jego logiki – dostaję większy kawałek, bo jestem większy?* Połówka, którą dostał, nie była dużo większa i ostatecznie Hadrian uznał, że Royce w ogóle nie zauważył różnicy w wielkości.

Zeszli na dół bez incydentów i Hadrian był przekonany, że nikt ich nie widział. Zanim dotarli do gabinetu profesora, słońce zaszło i pokój był oświetlony tylko blaskiem świec. Mnóstwo ich rozstawiono w pomieszczeniu równie przypadkowo jak resztę rzeczy.

– Wypoczęci i nakarmieni, jak mniemam? – zapytał profesor.

Obaj skinęli głowami.

To z jakiegoś powodu rozbawiło Arcadiusa i już zaczął się uśmiechać, ale się powstrzymał.

– Skończyłem czytać książkę. Fascynująca opowieść, chociaż w większości spisana fatalnym charakterem. Dość rwana pod koniec. W każdym razie książka jest gotowa do oddania. A ja zdecydowanie sugeruję, żebyście wzięli się do tego natychmiast, bo wasza obecność tutaj jest niebezpieczna. – Profesor obszedł biurko, włożył palce do klatki i pogłaskał śpiącego pręgowca. – Wybraliście zły moment na narobienie kłopotów. Radca Sextant z Delegacji z Ervanonu przybył następnego ranka po waszym wyjeździe. Nabrał zwyczaju zaglądania do nas w nadziei, że przyłapie nas na czymś niestosownym. Podejrzewam, że cała delegacja wierzy, że my tu tylko demoralizujemy młodych ludzi, wpajamy im herezje i pociąg do czarów, których zdaniem większości nauczam.

– A czego pan naucza? – spytał Hadrian.

Zaskoczony Arcadius zerknął na Royce'a.

– On mi nic nie mówi – powiedział Hadrian.

– Najwyraźniej, ale ja też ponoszę winę, prawda? Jestem mistrzem tradycji na tym uniwersytecie.

– Tradycji?

– Historii, baśni, mitów i tajemnic. Wszystkiego, co istniało przed ich zakonem i sekretami.

– A dziennik Halla to książka dotycząca tradycji?



– Bez wątpienia, ale jak już mówiłem, Sextant i jego ludzie przybyli rankiem po waszym wyjeździe. Wraz z nim zjechała się zwyczajowa świta: tuzin rycerzy i piechurów oraz, niestety, baron Lerwick, ojciec Angdona. Oczywiście ojciec bardzo się zdenerwował, dowiadując się, że jego syn został zaatakowany, jak to przedstawił Angdon, podczas próby zamachu.

To sprawiło, że Royce uśmiechnął się kpiąco i prychnął.

– Angdon zidentyfikował was dwóch jako sprawców. Przyjaciele potwierdzili jego historię. Rzecz jasna, wpytano mnie, a ja wyjaśniłem, że nic nie wiem o incydencie i że obaj wyjechaliście poprzedniej nocy bez słowa. Lerwick wściekał się, że jego syna zaatakowało dwóch zwykłych zbirów, i zażądał od Sextanta, żeby wysłał rycerzy, którzy się z wami policzą.

– Skąd wiedzieli, w którą stronę pojechaliśmy?

Profesor wzruszył ramionami.

– Pewnie wysłał drużyny w obie strony.

– Czyli to byli ci rycerze, którzy zjawili się w karczmie w Ibertonie? – spytał Hadrian.

– Tak. I pewnie niedługo wrócą.

– I jeśli nas tu zobaczą... – zaczął Royce.

– Właśnie. Myślę więc, że najlepiej będzie, jeśli znikniecie przed świtem. Lepiej też wstrzymajcie się z powrotem, ponieważ pewnie będzie musiało minąć trochę czasu, zanim sytuacja się uspokoi.

– Ile?

– Dopóki Angdon nie wyjedzie stąd i nie będzie mógł was rozpoznać. Może z rok.

– W ogóle nie widzę powodu, żeby tu wracać – powiedział Royce.

– On odda książkę i będzie po sprawie, zgadza się? Spłacę swój dług u ciebie?

– Tak.

– Więc nie ma powodu, żebym tu kiedykolwiek wracał, prawda?

Arcadius skinął głową.

– Racja, ale mimo to możesz mieć ochotę. Ile jest miejsc na świecie, do których w tej chwili możesz się udać i będziesz mile

widziany? Może być przyjemnie zajrzeć tu czasem. A ja chętnie dowiem się, jak powiodło się wam w tej przygodzie. Może zaszokujecie mnie, wracając razem. Jak już wspomniałem, myślę, że stworzylibyście świetny zespół.

– On i ja? Zespół? – Royce uśmiechnął się z wyższością.

– Tak, zespół, partnerzy, dwóch ludzi, którzy współpracują, wykorzystując swoje talenty dla wspólnego celu. W elfickim jest na to słowo. Nazywają to...

– *Riyria* – dokończył za niego Royce.

– Znasz elficki? – zapytał Hadrian.

Royce zerknął, jakby poirytowany tym, że Hadrian nadal tam jest.

– Rzecz w tym – ciągnął profesor – że jeśli w trakcie wykonywania zadania odkryjecie wzajemne korzyści ze swoich talentów, to możecie rozważyć dalszą współpracę.

– O to ci właśnie chodzi? – spytał Royce. – Bo nic z tego nie będzie.

– Aha – przytaknął mu Hadrian. – Nie widzę szansy, żebyśmy obaj z własnej woli trzymali się razem. Nie jestem pewien, czy zdołamy żyć w jednym kraju. Jesteśmy przeciwieństwami.

– W tym rzecz. Jaki sens mieć swój duplikat? Przeciwiństwa poszerzają wasz zasięg, waszą wiedzę, wasze możliwości. Gdybyście nauczyli się dogadywać, moglibyście stworzyć imponujący duet, ponieważ tak bardzo się różnicie. Obaj znaleźliście się na rozdrożu, nie bardzo wiecie, co dalej. Nauczcie się ufać sobie, a może znajdziecie własną drogę.

– Nigdy w życiu. – Royce wstał. – Mogę iść się spakować, panie profesorze?

Arcadius zmarszczył brwi.

Royce uznał to za pozwolenie i wyszedł.

– Cóż, Hadrianie, mam nadzieję, że przynajmniej ty potraktowałeś mnie poważnie.

– Nie mam planów na przyszłość, ale... – Westchnął.

Po prostu nie istniała taka możliwość. Nie potrafił wymyślić

żadnego sposobu, żeby uratować sytuację. Zdał sobie sprawę, że polubił staruszkę, i chciał mu zostawić nadzieję. Stary profesor włożył w to wszystko bardzo dużo wysiłku, ale pragnął rzeczy niemożliwej.

– To tak jakby pan prosił, żebym zaufał jadowitemu wężowi. To dzięki zwierzę. W jednej chwili wydaje się w porządku, a w drugiej odkrywam, że mnie wrobił. Nie mogę mu ufać. Kiedy tylko spłaci swój dług wobec pana, myślę, że niebezpiecznie będzie mieć go blisko siebie. Gdy już przestanie go cokolwiek ograniczać... Cóż, wiem, że nigdy nie zasnąłbym spokojnie.

– To byłoby wyczerpujące, prawda? Żyć w strachu, nie mogąc zaufać, że osoba obok ciebie nie poderżnie ci zaraz gardła.

– Właśnie.

Arcadiusz zdjął okulary i odłożył je na biurko, a potem stanął twarzą w twarz z Hadrianem. Jego spojrzenie złagodniało, siwe brwi opadły. Położył ręce na ramionach Hadriana.

– I tak właśnie spędza każdy dzień życia Royce. Myślę, że pod tą peleryną kryje się człowiek. Musisz tylko znaleźć sposób, żeby przebić się do niego.

– Myślę, że najpierw potrzebowałbym powodu. Szczerze mówiąc, gdyby nie Korniszon, nie jestem pewien, czy zgodziłbym się na tę robotę na wieży.

Profesor się zatroskał.

– Obawiałem się, że to powiesz.

– Dlaczego? Nadal może uczyć się w szkole, prawda? Załatwił pan, żeby go przyjęto?

– Załatwiłem jego przyjęcie do szkoły, ale niestety mam złe wieści.

– Zrobił coś złego?

Arcadiusz przesunął ręką po ustach i przeczeszał palcami brodę.

– Korniszon... Nie żyje.

Hadrian nie rozumiał. Co to znaczy „nie żyje”? W sensie nie oddycha, jest martwy?

– Powiedział pan: nie żyje?

Profesor pokiwał głową.

– Mówię o Korniszonie. Wie pan. O chłopcu z Vernesu... O tym z szerokim uśmiechem. O nim właśnie mówię.

– Tak, Korniszon. Nie żyje.

Hadrian tylko patrzył, nadal nie mogąc ogarnąć tego wszystkiego.

– Angdon oskarżył Korniszona o próbę zabójstwa.

– Ale...

– Przyjaciele Angdona poparli jego roszczenia. Zrobiłem, co w mojej mocy, ale dowody wspierały oskarżenie Angdona. Pięciu wiarygodnych uczniów o ustalonej pozycji, synów arystokratów, przeciwko słowom sieroty, którego nikt nie zna i który dziwacznie mówi.

– Co się stało?

– Korniszon został stracony za spisek na życie arystokraty.

– Dlaczego pan ich nie powstrzymał? Jak mógł pan na to pozwolić? Korniszon nie miał z tym nic wspólnego. To Royce dźgnął tego dzieciaka!

– Przykro mi. Zrobiłem, co mogłem.

– Co ma pan na myśli? Jest pan mistrzem tradycji. Ludzie nazywają pana czarnoksiężnikiem! Mówi mi pan, że czarnoksiężnik nie mógł powstrzymać ich przed zabiciem małego niewinnego dzieciaka?!

Ręce Hadriana wylądowały na mieczach. Instynktownie chciał ich dobyć. Zwykle, kiedy czuł się w ten sposób, jego twarz była zbryzgana krwią i mógł w coś uderzyć. Jednakże jedyną osobą, jaka znajdowała się przed nim, był starzec, który sam był bliski łez.

– Nie jestem czarnoksiężnikiem – powiedział Arcadius. – Kiedyś istnieli czarnoksiężnicy. Ludzie, którzy potrafili posługiwać się prawdziwą magią, ale wszyscy zniknęli wraz z upadkiem imperium. Ja jestem tylko nauczycielem. Mój wpływ ogranicza się do uczniów, nie sięga teokratycznych rządów w Ghencie. Kościół ma tu władzę absolutną, nie toleruje żadnych ingerencji. Już

traktuje mnie niemal jak heretyka. Dwa razy postawiono mi oskarżenia i ledwie uniknąłem kary. Mogłem tylko powiedzieć im prawdę i uwierz mi, że to zrobiłem. Jednakże, jak już powiedziałem, ci ludzie nie przykładają szczególnej wagi do moich słów.

Profesor spuścił głowę i odwrócił się, odchodząc powoli do biurka.

Hadrian czuł się tak, jakby otrzymał cios prosto w żołądek – okropne wrażenie pustki, przez które nie mógł oddychać. To nie była wina Arcadiusa. To nie była nawet wina Royce'a. Czasem potworne rzeczy działy się bez sensownego powodu. To jednak nie uśmierzyło jego gniewu. Będzie musiał być wściekły, do chwili, aż mu przejdzie.

– Co z nim zrobili?

– Nie wiem. Zabrano go ze szkoły. O dziwo, nie narobił przy tym zamieszania. Żaden ze studentów nawet o tym nie wiedział, jak mi się wydaje. Stracono go na jednym z pobliskich wzgórz. Poprosiłem o ciało. Odmówiono mi nawet tego, ponieważ zabrali je, żeby pokazać ojcu Angdona.

Arcadius usiadł, pochylając się nad biurkiem i chowając głowę w ramionach.

– Tak bardzo mi przykro, Hadrianie.

– Dlaczego od razu mi pan tego nie powiedział?

– Zamierzałem, ale byłeś taki zły z powodu porzucenia przez Royce'a. Pomyślałem, że najlepiej dać ci przespać porządnie jedną noc.

– Dziękuję za to. I przepraszam. Wiem, że to nie pana wina.

Profesor skinął głową.

– To pewnie znaczy, że nie dokończysz zadania z Royce'em. Teraz już nie jestem ci do niczego potrzebny.

– Oczywiście, że to zrobię. – Dłonie Hadriana ześlizgnęły się z głowic mieczy. – Pan wypełnił swoją część umowy. Załatwił pan przyjęcie Korniszona do szkoły. To nie byłoby w porządku z mojej strony, gdybym wycofał się tylko dlatego, że...

Gardło zacisnęło mu się niespodziewanie. Przełknął kilka razy ślinę, próbując je oczyścić, a łzy cały czas napływały. Walczył nawet o oddech, zaciskając zęby.

– Dziękuję, Hadrianie. I jeśli to jest jakieś pocieszenie, szczerzę wierzę, że wszystko, co się dzieje, ma głębszy sens.

– A jaki sens może mieć śmierć Korniszona?

– Może to się dopiero okaże.

# Rozdział 15

## *Oszacowanie przyszłości*

Stara butwiejąca rudera zniknęła z końca ulicy Przekornej. W jej miejsce pojawił się nowy śliczny budynek z oknami, lukarnami i świeżą warstwą farby – głównie białej z wykończeniami w błękitach. Biała farba była tania, niebieska droga, ale Gwen pamiętała dom przy placu Szlacheckim i chciała zachować przynajmniej odrobinę z jego ducha. Dzięki temu nie był to kolejny dom, jakich wiele, ale taki, który się wyróżnia.

Dopiero zaczęto robić werandę i goście musieli wspinać się po skrzynkach i deskach, żeby wejść, a wewnątrz wymagało jeszcze wiele pracy. Gwen skupiła wszystkie pierwsze wysiłki na zewnątrz, przekonana, że przyciągnie ono klientów. Uznała, że jak już wejdą, to w środku zatrzymają ich dziewczęta. Miała rację. Ludzie przychodzili aż z Dzielnicy Kupieckiej, żeby zobaczyć dziw rosnący na ulicy Przekornej. Gwen nie miała pieniędzy na szyld i niemal wszyscy nazywali ten przybytek po prostu Domem.

Gwen była dumna z tego, co osiągnęła, i uśmiechała się, kiedy oprowadzała po domu inspektora Reginalda z gildii kupieckiej w Dzielnicy Dolnej. Starła się pokazywać mu przede wszystkim wykończone pomieszczenia, ale on uparł się, że chce zobaczyć wszystkie zakamarki, także miejsca wypełnione zapasami drewna, trocinami i narzędziami. Zwykle dom rozbrzmiewał stukaniem młotków, ale Gwen przegoniła cieśli na czas inspekcji. Niestety nic

nie mogła poradzić na Clarence'a Dekarza i Mae, którzy prowadzili interesy w „apartamencie”. Mae wiedziała, że trzeba zachować ciszę, ale nie kontrolowała klienta, a Clarence lubił pojękiwać.

– Dwa tygodnie... – powtarzał inspektor, idąc przez salon.

Często to powtarzał i ku wielkiemu zaniepokojeniu Gwen to było jedyne, co powiedział. Trudno było go odczytać. Twarz miał beznamietną, głos nieodmiennie tak monotony, jakby chciał, żeby cisza mu pozazdrościła.

– Jak to wszystko opłaciliście?

W tym momencie Clarence na górze wydał z siebie serię iście świńskich kwiknięć. Gwen tylko się uśmiechnęła i podniosła wzrok.

– Tak, tak, rozumiem naturę pani lokalu – odpowiedział Reginald. – Jednak to bardzo duże wydatki – zerknął na futrynę – i bardzo solidna robota. Minęły tylko dwa tygodnie.

– Ściągamy klientów z Dzielnicy Rzemieślników i Kupieckiej, więc możemy podwyższyć cenę.

– To nie jest jedyny burdel w mieście.

– Jednak my oferujemy usługi wyższej jakości.

– Widziałem pani towar i o ile panią uznałbym za wyjątek, niestety pani dziewczęta nie są ani ładniejsze, ani w większości wypadków nawet równie atrakcyjne jak te, które widywałem w innych lokalach.

Towar. To słowo nie powinno jej zaskoczyć, ale jednak zaskoczyło. Dla niego to był interes, jak hodowla świń, a Clarence w żaden sposób nie pomógł w zmianie tego wrażenia. Łóżko nad ich głowami przesunęło się i wezglowie zaczęło uderzać w ścianę. Gwen odnotowała w myślach, że trzeba przymocować łóżka do podłogi, a łączenia naoliwić.

– Powierzchność liczy się do pewnego momentu – odpowiedziała. – Ładna dziewczyna przyciąga klientów i zwraca uwagę. Wyobrażam sobie, że do tych innych lokali przychodzi wielu nowych klientów, ale my zarabiamy na stałych klientach



i dobrej opinii.

– Wobec tego na czym polega pani sekret?

– Nie jesteśmy niewolnicami i możemy zachować wszystko, co zarobimy. Dla wielu z nas to pierwszy raz, kiedy mamy kontrolę nad własnym życiem, kontrolę nad własną osobą. Zdziwiłby się pan, jakie to potrafi być motywujące. Myślę, że może pan powiedzieć, że te kobiety bardziej starają się zaspokoić klienta niż w innych burdelach. Najwyraźniej klientom to się podoba, ponieważ wracają.

Poprowadziła go z powrotem do salonu.

– Kiedy tylko będzie nas stać na kuchenkę, zaczniemy serwować posiłki i może napitki. Mam nadzieję, że to tylko jeden ze szczebli w rozwoju. Wszystkie pracujemy tutaj na lepsze życie. Może pewnego dnia to już nie będzie burdel. Może to będzie wystawny zajazd, jak to było kiedyś. – Westchnęła, wiedząc, że brzmi to naiwnie.

Odprowadziła inspektora do wyjścia i na ulicę, gdzie odwrócił się i spojrzał znowu na jej lokal.

– Wykonała tu pani niezwykłą pracę – powiedział, stając z kciukami za pasem i kiwając głową.

– Czyli poprze pan nasze starania o certyfikat?

– W żadnym razie.

– Co?! – Gwen nie była pewna, czy dobrze go usłyszała. – Dlaczego?

– Bo jest pani bystra i myślę, że odniosłaby pani sukces. I jaki morał płynąłby z tego? Co, gdyby kobiety zaczęły żądać przyjmowania ich do gildii? Jest pani cudzoziemką, a tu sprawy mają się inaczej. Moim zadaniem jest chronić miasto przed takimi niebezpiecznymi pomysłami jak ten.

Odwrócił się, żeby odejść.

– Nie, proszę poczekać! – Nie mogła pozwolić mu odejść, nie po tym wszystkim, co osiągnęła. Złapała inspektora za rękę. – Proszę, nie. Musi pan zmienić zdanie. Nie może pan po prostu nas zamknąć.

– Ta decyzja nie należy do mnie. Jak tylko przedstawię rekomendację asesorowi. Oczywiście w ciągu dwudziestu lat nigdy nie zlekceważył żadnej z moich rekomendacji, ale może to będzie pierwszy taki przypadek.

Nie chciała puścić jego ręki. Odwróciła ją, otworzyła mu dłoń i wyciągnęła na światło. Wyrwał się, ale Gwen zdążyła znaleźć to, czego szukała. Spiorunował ją wzrokiem i otarł rękę, jakby była chora. Dosiadł konia.

– Mam jeszcze trzy inspekcje do przeprowadzenia, jedną aż w Zimnej Kotlinie, więc spodziewam się, że ma pani czas do jutra, zanim asesor rozkaże się pani wynosić.

– Grue namówił pana do tego.

Widziała szok malujący się na jego twarzy.

– Jak już powiedziałem, jest pani bystra, za bystra.

Zawrócił konia i odjechał ulicą Przekorną, zostawiając Gwen między „Ohydny Łbem” a Domem.

\* \* \*

Gwen patrzyła na powóz przejeżdżający przed biurem miejskiego asesora. Był biały ze złoceniami i wyglądał nieskazitelnie, jakby służący właściciela codziennie go pucowali. Na ulicach Dzielnicy Szlacheckiej mężczyźni w pelerynach i dubletach towarzyszyli damom w oszalałymi sukniach, których wycierające ziemię rąbki pozostały nienagannie czyste. Kolory były szokujące: czerwienie, złoto, żółcie, zielenie. Spektrum nie ograniczało się tylko do ubrań. Chorągwie, flagi, wstążki, nawet markizy ulicznych straganów powiewające na wietrze dodawały blasku i świetności. Oczywiście były też budynki. Kiedy czekała z Rose po raz kolejny na wejście do małego biura, patrzyły na piękny budynek po drugiej stronie ulicy. Bładobłękitny. To, co ostatnim razem było dla niej pięknym budynkiem, teraz było dziwem. Dzięki nowym doświadczeniom orientowała się w cenie każdej balustrady i szyby. Dom Medford był zaledwie jego cieniem, ale

należał do nich, był ich domem, ich marzeniem. Nie mogła pozwolić, żeby Grue go im odebrał.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Rose.

Zadawała to pytanie, odkąd wyszły z domu.

Gwen nie odpowiedziała, bo nie знаła odpowiedzi. W każdym razie nie cała, ale przyznanie się, że nie ma pojęcia, w niczym by nie pomogło. Chociaż czasem odpowiadała wymijająco, nie chciała kłamać. Już wystarczająco długo oszukiwano te dziewczyny. Jeśli ona zawiedzie, będą musiały wrócić do Grue, a on ukarze je wszystkie za nielojalność, zwłaszcza ją. Kiedy czekała na otwarcie drzwi, ręce jej się trzęsły.

Miała jedną nadzieję, a był to desperacki i ryzykowny krok, oparty na założeniu, że miejski asesór okaże się równie chciwy, jak inspektor.

– Zobaczysz.

– Następny! – krzyknął odźwierny w długim płaszczu i z laską.

Po raz kolejny Gwen złapała Rose za rękę i pociągnęła do środka.

Ten sam stary mężczyzna w innym duplecie siedział za tym samym stołem. Podniósł wzrok i zmrużył oczy.

– Znam cię.

– Nazywam się Gwen DeLancy. Otworzyłam burdel w Dzielnicy Dolnej.

– A, tak. – Asesor odchylił się i zawołał: – Parcela czterysta sześćdziesiąta ósma! Jak się mają interesy?

– Dobrze i źle. Widzi pan...

Urzędnik przyniósł pergamin i asesór przeglądał go chwilę.

– Inspektor z Dzielnicy Dolnej nie dostarczył jeszcze raportu na temat twojego lokalu.

– Wiem. Wiem także, że kiedy to zrobi, raport będzie zalecał, aby nie udzielił nam pan pozwolenia.

Mężczyzna spojrział smutno.

– Przykro mi. Muszę polegać na raportach z pierwszej ręki od dzielnicowych gildii i okręgowych administratorów. Jeśli was

odrzucono, nie mogę wam w żaden sposób pomóc.

– Może to ja mogę pomóc panu.

To wzbudziło zaniepokojenie starszego mężczyzny. Spojrzał, mrużąc oczy.

– Myślę, że przekonasz się, że jeden z powodów, dla którego otrzymałem tę pozycję, to fakt, że nie daję się łatwo przekonać ładnej buzi ani obietnicom nocnych przygód.

– Nie to panu oferuję.

– Nie?

– W raptem dwa tygodnie zamieniłam rudere w najładniejszy budynek na Przekornej. Za kolejne dwa będzie najładniejsze miejsce w całej Dzielnicy Dolnej. Już przyciągamy klientów z Dzielnicy Rzemieślników i Kupieckiej, klientów z wypchanymi sakiewkami. Wszyscy szukają tego, czego nie mogą znaleźć gdzie indziej w mieście: czystego, porządnego miejsca, w którym przez kilka godzin mogą poczuć się królami. Dokonałam tego, mając kilka monet i sześć dziewczyn. Razem stworzyłyśmy coś, co może okazać się najprężniejszym interesem w Dzielnicy Dolnej. To nasza szansa, żeby uciec przed takimi mężczyznami jak Raynor Grue, i możemy tego dokonać tylko z pana pomocą. Widzi pan, inspektor Reginald Lampwick odrzuci nas nie dlatego, że nie przynosimy zysków, ale ponieważ zawarł umowę z Raynozem Grue, który nie chce widzieć, jak kobiety, nad którymi kiedyś miał kontrolę, odnoszą sukces. Kiedy tylko pan odrzuci mój wniosek, Raynor przedstawi swój. Lampwick go poprze i Grue przejmie wszystko to, czego ja dokonałam.

– A dlaczego Lampwick miałby coś takiego zrobić?

– Grue zgodził się uczynić go swoim partnerem, oddawać mu ćwierć zysków.

Gwen wyczytała część tego z dłoni inspektora. Ujrzała tam wiele rzeczy: że w południe zjadł plaster jagnięciny i kabaczka, że nosi na szyi kluczyk do kasetki, na łańcuszku od matki, która powiesiła się w jego sypialni, i że pewnego dnia zginie przejechany przez wóz w Dzielnicy Kupieckiej. Nie miała pojęcia, ile Grue

zamierzał mu zapłacić, wiedziała tylko, że zawarli (albo zawrą) taką umowę. Zgadywała, jaka suma wchodzi w grę.

Asesor zmarszczył czoło.

– Niektórzy inspektorzy gildyjni przyjmują prezenty od właścicieli interesów. To nie jest niezgodne z prawem. Może gdybyś zawarła taki układ z panem Lampwickiem, zapewniłabyś sobie spokój.

– To właśnie zamierzam zrobić. Tyle że to panu proponuję umowę, jaką Lampwick chce zawrzeć z Grue. Lampwick powiedział mi, że decyzja nie zależy od niego, lecz od pana, a ja zapłacę ćwierć wszystkich dochodów z burdelu w zamian za zapewnienie nam certyfikatu. – Uniosła sakiewkę i położyła ją na biurku. – Dopiero co zaczęłyśmy. Oficjalnie jeszcze nawet nie otworzyłam interesu i większość dotychczasowych dochodów poszła na remont budynku, odrobina na jedzenie. Tyle może się pan spodziewać w tej chwili, a obiecuję, że będzie tego więcej. Dużo więcej.

Asesor zajął do sakiewki i uniósł brew.

– Nie musi pan wierzyć mi na słowo. Reginald Lampwick dostrzegł już wartość tego lokalu. Nie rozumie tylko, że Grue nigdy nie odniesie tam takiego sukcesu jak ja. Gdyby potrafił, już by to zrobił. To ja urzeczywistniłam ten pomysł i ja go rozwinę. Dlaczego Lampwick miałby zarabiać na pańskiej decyzji? Proszę dać mi certyfikat, a będę w stanie zapewnić niebagatelny dochód panu i pańskiej rodzinie w nadchodzących latach.

Spiorunował ją wzrokiem.

To tyle. Wyłożyła karty i nic więcej jej nie zostało. Nie podobało jej się spojrzenie asesora. W czasie ostatniej wizyty sprawiał wrażenie przyjaznego, dobrego. Był jednym z nielicznych ludzi w mieście, którzy nie traktowali jej jak zarazy. Czowała tak dużo sympatii do niego, że chętnie podzieliłaby się z nim ich sukcesem, teraz jednak rozumiała, że nie doceniła tego człowieka. Patrząc na niego, wiedziała, że popełniła błąd. Nie ubierał się jak Dixon czy Grue. Miał pieniądze, może nawet więcej, niż potrzebował.

Jaki sens miało oferowanie mu paru dodatkowych monet miesięcznie?

Gwen poczuła ciężar porażki. Zawiodła i teraz wszystkie one...

– Jak często otrzymywałam taki upominek, a proszę zwrócić uwagę – powiedział, unosząc palec – że byłby to upominek, a nie udział?

– Oczywiście... Najlepiej byłoby co miesiąc, ale może być co tydzień, jeśli to konieczne.

– Co miesiąc – potwierdził.

Skinęła głową.

Stary mężczyzna wziął pióro i zaczął pisać.

– Proszę dopilnować, aby prezenty nadchodziły każdego miesiąca w porze nowiu.

Gwen nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Zrobię, co w mojej mocy, by nie miał pan siły ich udźwignąć.

Odpowiedział uśmiechem.

– Obawiam się, że pan Lampwick będzie bardzo rozczarowany moją decyzją. – Spojrzał na jednego z urzędników. – Przynies królewską pieczęć.

\* \* \*

Wieczór był wyjątkowo łagodny, kiedy Gwen wyszła na deski, które niedługo będą frontową werandą Domu Medford. Za nią w salonie dziewczyny rozmawiały i śmiały się. Rose znowu opowiadała, tym razem Dixonowi i Mae, którzy przeoczyli pierwsze trzy razy. Z każdą powtórką zwiększała się liczba słów typu „genialna” lub „wspaniała”.

Gwen podeszła do skraju przyszłej werandy, platformy znajdującej się trzy stopy nad ziemią, i oparła się o chropowatą belkę, która będzie podpierała daszek. W „Ohydny Łbie” naprzeciwko panowała cisza. Lampy się paliły, ale drzwi były zamknięte i nie widziała w środku żadnego ruchu. Zastanawiała się, czy Grue usłyszał już nowinę. Trudno uwierzyć, żeby

ktokolwiek w Dzielnicy Dolnej jeszcze jej nie poznał. Rose tak to opowiadała, jakby Gwen pokonała zionącego ogniem smoka samym splunięciem mu w oczy. Dokonała rzeczy niemożliwej. Ocaliła je wszystkie. Była bohaterką.

Oparła się o belkę ogarnięta dziwną melancholią.

Wygrałam bitwę, ale czy nie przegrałam wojny?

Dwa psy biegły zygzakiem ulicą Przekorną, węsząc w poszukiwaniu jedzenia. Poza nimi i kawałkiem płótna trzepocącym na wietrze nic się nie poruszało. Wydała złote monety. Wymieniła je na to. Ocaliła siebie i owszem, możliwe, że także kilka innych kobiet, ale może nic z tego nie powinno się wydarzyć. Jej słabość mogła wszystko przekreślić. Te monety powierzono jej nie bez powodu. Od śmierci matki codziennie budziła się, mając cel większy niż ona sama. Stojąc na werandzie, zrozumiała, że odrzuciła jedyny namacalny dowód, że mężczyzna ze złotymi monetami kiedykolwiek istniał. Sprzedała swoją wiarę za bezpieczeństwo i miała wrażenie, że utraciła część siebie.

Czyżby to stało się zbyt szybko? A może za późno?

To już nie miało znaczenia, monety przepadły. Mogła je zastąpić. Nie okłamywała asesora co do dochodów z burdelu, ale wątpiła, żeby to działało w ten sposób. Na tym polegał problem – nie miała pojęcia, jak to rzeczywiście działa. Znała tylko strzępki i urywki – jak jej spódnica zszyta z przypadkowych kawałków materiału. Obie rzeczy tworzyły wzór, którego sensu nie dostrzegała. Tak się właśnie czują ludzie, kiedy przepowiada im się przyszłość, zdała sobie sprawę. Jej matka porzuciła wszystko i umarła, próbując doprowadzić Gwen do Medfordu, ale nigdy nie powiedziała, dlaczego. Może nie wiedziała. Może tylko mężczyzna z monetami naprawdę to wiedział. Po raz pierwszy w życiu dokonała czegoś wielkiego, a jednak jak nigdy dotąd czuła się przegrana.

Spojrzała w głąb ulicy. Mężczyzna, któremu miała pomóc, nadejdzie tą drogą. Odziany we własną krew. Wiedziała, przeczuwała to w kościach jak nadciągającą burzę. Kim był, że

zwrócił uwagę człowieka, który dał jej monety? Z pewnością kimś wielkim, może królem albo kapłanem. Może nawet...

– Co tam robisz? – zapytał Dixon.

Rose dokończyła swoją heroiczną opowieść i zwalisty mężczyzna stanął w prog, odcinając wewnątrz od światła.

– Nie jest za zimno?

– Nieszczególnie.

– Rose opowiada świetną historię.

– Za każdym razem jest coraz dłuższa.

Dixon stanął obok niej i wyciągnął rękę, żeby przytrzymać się wiażarów.

– Wiatr przybiera na sile. Nadciąga burza.

Skinęła głową.

– Dobrze, że mamy skończony dach.

– Będzie miło dla odmiany tylko patrzeć na deszcz. – Delikatnie położył dużą dłoń na jej ramieniu. – Odwaliłaś tu kawał świetnej roboty.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową, znowu zastanawiając się nad jego współczującym tonem. Wyglądam na aż tak smutną?

– Nigdy nie podziękowałem ci za to, że mnie przyjąłeś.

– Nie przyjąłem cię. Rozpaczliwie potrzebowałam twojej pomocy. Nadal potrzebuję.

Położyła rękę na jego dłoni.

Objął ją ramieniem. Poczwała, jak przysuwa się niczym łódź podpływająca do nabrzeża. Otuliło ją jego ciepło. To było miłe uczucie, wrażenie bezpieczeństwa. Dixon nigdy nie skorzystał z oczywistych przywilejów płynących z ochraniaania burdelu. Po raz pierwszy jej dotknął. Jego ręce i palce leżały delikatnie. Wyczuwała wahanie, nieśmiałość i lęk. Uwielbiała go za to.

Objęła go w pasie i uściśnęła w miarę skromnych możliwości.

– Jesteś dobrym mężczyzną.

– A ty dobrą kobietą. Wiesz, to miejsce zapowiada się na prawdziwy sukces. Pewnie nie będziesz musiała wypełniać żadnych codziennych obowiązków jak pozostałe dziewczyny. Lepiej



będzie, jeśli zajmiesz się innymi sprawami.

– Już mam mnóstwo zajęć.

– Widzisz, to właśnie miałem na myśli. A skoro o tym mowa, to cóż... Ktoś mógłby chcieć zrobić z ciebie uczciwą kobietę.

– Ktoś taki jak ty?

– Chyba że Roy Kanalarz wyjawiał swoje zamiary. Jeśli tak, to będzie bójka. – Uśmiechnął się szeroko, ale uśmiech zgasł, zanim dodał: – Co o tym myślisz?

– Nie wiem.

Po tych słowach oklapł, a ona poczuła się okropnie. Zmalał, ręce mu opadły, spojrzał na ulicę.

– Nie widzę świata poza tobą, ale nie jestem pewna...

– Jak to zrobiłaś?

Nie rozumiała.

– Jak odkryłaś, co inspektor planuje?

Zabrał ręce z jej ramion i odsunął się. Nadal patrzył na ulicę.

– A, o to pytasz.

– Właśnie, skąd wiedziałaś... o Grue i Lampwicku?

– Ja... Ehm... – Zawahała się. – To tajemnica.

Dixon spojrzał na nią zaskoczony.

– Naprawdę? Nie możesz mi powiedzieć?

Widziała po jego minie, że jeszcze bardziej go uraziła.

– Po prostu... Obawiam się, że... Większość ludzi byłaby zaniepokojona. Nie chcę, żebyś przestał mnie lubić.

Uraza zamieniła się w troskę.

– To niemożliwe, żebym przestał cię lubić. – Uśmiechnął się do niej blado. – No to skąd wiedziałaś?

– Wyczytałam z jego dłoni.

Dixon na nią spojrzał.

– Co takiego?

– To bardzo powszechne w Calisie. Mnóstwo kobiet czyta z dłoni i żadna z nich nie jest czarownicą. Mają stragany jak szewcy i są szanowanymi członkami społeczności.

Dixon uniósł ręce.

– Nie zamierzałem nazwać cię czarownicą.

– Nie?

– Nie.

– A co zamierzałeś powiedzieć?

– Chciałem zapytać, gdzie się tego nauczyłaś.

– Och! – Gwen się zawstydziała. – Moja matka nauczyła mnie tego lata temu. Jak wspomniałam, mnóstwo ludzi w Calisie przepowiada przyszłość. Niektórzy są lepsi od innych i jest trochę takich, których moja matka nazywała oszustami. Ona jednak była w tym nadzwyczaj dobra.

– Jak to działa?

– Widzę wzory w liniach, jak uczoney, kiedy czyta książki. Odbieram wrażenia, obrazy z przeszłości lub przyszłości. Niektóre są mgliste. Większość nie ma na początku żadnego. Potem wszystko go nabiera. Niektóre jednak potrafią być bardzo klarowne, bardzo dokładne, jak w jego przypadku. Miałam szczęście. Tak naprawdę sama nie wiem, jak to działa. Jak działają twoje oczy? Nie wiesz, po prostu widzisz, zgadza się? To tak samo. To po prostu coś, co potrafię robić. Czasem mam też sny, które ukazują przyszłość, a czasem widzę coś, po prostu patrząc człowiekowi w oczy, ale to zdarza się rzadko.

I jest przerażające, pomyślała, ale nie powiedziała tego, nie chcąc, żeby Dixon zadawał zbyt wiele pytań, na które nie chciała odpowiadać.

– Naprawdę możesz widzieć przyszłość? To nie jest sztuczka?

– Nie jest.

Dixon podsunął jej rękę.

Spojrzała na nie i uśmiechnęła się łagodnie.

– To, co widzę, nie zawsze jest miłe. Najczęściej widzę złe rzeczy, dlatego nie wróżę zbyt często.

– Chciałbym wiedzieć. Musisz jednak obiecać, że powiesz mi prawdę.

Wiedziała, czego chce się dowiedzieć. Uśmiechnęła się i skinęła głową. A potem, wzięwszy go za rękę, poprowadziła do latarni

i popatrzyła na jego dłonie. Zwykle najłatwiej czytało się z dominującej ręki, a kiedy próbowała określić, która to, zauważyła coś dziwnego.

Podniosła wzrok zdumiona.

– Co widzisz? – spytał.

– To się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

– Co?

– Historia na twojej prawej ręce jest krótsza niż na lewej. To dziwne.

– Nabijasz się ze mnie?

– Hę? Nie, oczywiście, że nie.

– Co to za różnica?

– Nie wiem jeszcze. Muszę popatrzeć.

Dłonie miał tak duże, a linie tak wyraźne, że łatwo się czytało nawet w słabym świetle.

*Mały chłopiec w niedużym domku na farmie między dwoma ładnymi klonami. Jego ojciec jest silnym mężczyzną, który pracuje przy pługu, jakby to była część jego ciała. Nie dostrzegła matki, więc zgadła, że umarła przy porodzie. Wiele jej sztuki sprowadzało się do zgadywania, wnioskowania z dostępnych wskazówek, żeby uzupełnić obraz.*

*Gospodarstwo płonie, w miejscu plonów ciągnie się spękana ziemia, powodzie i burze. Gwen nie ma pojęcia o kolejności, sceny często pojawiają się w przypadkowym układzie. Oto Dixon, jako młodzieniec, stoi w deszczu przed ładnym domem. Nie należy do niego. Należy do rudowłosej dziewczyny. Jest zakochany, ale jej ojciec oddaje córkę komuś innemu, bogatszemu i starszemu mężczyźnie. Dixon stoi w ulewie, obserwując wesele zza kamiennego muru. Nikt nie widzi, że płacze. Ulewy zawsze przypominają mu o tym dniu. Gwen siedzi obok Dixona i jego wozu w ulewie na ulicy Przekornej. To dzień, w którym go zatrudnia. On myśli o rudowłosej dziewczynie.*

*Klacz Dixona chromieje i trzeba ją zabić. Tego dnia Dixon też płacze. Potem sam ciągnie wóz. Wędruje z mozołem wiejskimi*

*drogami. Potem wóz wyrywa mu się na pagórku, uderza o skałę, oś się łamie. Dixon nie ma pieniędzy na naprawę. Podczas kolejnej ulewy stoi na skraju Mostu Wjazdowego nad Galewyrem i patrzy w nurt. Niewiele brakuje, żeby skoczył. Nie potrafiła powiedzieć, czy z powodu wozu, rudowłosej dziewczyny czy czegoś innego. Nie była nawet pewna, czy widzi przeszłość, czy przyszłość.*

*Wielka bitwa, wojna. Dixon jest ubrany w prowizoryczną zbroję i walczy w Dzielnicy Szlacheckiej w pobliżu frontowych bram miasta. Atakuje mężczyznę i...*

Tutaj historie na dłoniach rozchodziły się.

– Twoja prawa ręka zatrzymuje się na bitwie w Medfordzie. Lewa mówi, że zginiesz w innej walce, w twierdzy, wiele lat później.

– Jednak, tak czy inaczej, ginę w walce?

– Na to wygląda, ale minie jeszcze wiele lat.

– To dobrze... Chyba. A jest tam coś o tobie? – zapytał z nadzieją.

Skinęła głową.

– Pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi przez całe życie.

– Przyjaciółmi?

– Przyjaciółmi.

Westchnął.

– Nie na to miałeś nadzieję?

– To nadal dobra wróżba. Właściwie to piekielne dobra. Lepsza niż...

Nadal patrzyła w jego dłoń i przestała go słyszeć, gdy zobaczyła coś nowego.

*Dixon i jego wóz. Tym razem wóz ciągnie koń, ale inny. Nie są w mieście, lecz gdzie indziej, może na farmie. Owce beczą i pada, jest burza, potworna burza. Ludzie leżą twarzami do ziemi w wielkich kałużach. „Nadejdą kolejni. Zostawcie nas, bo będą wiedzieć, że nam pomogliście”.*

Ten głos. Dobiegał z przyszłości Dixona. Przemawiał do niej.

„Tutaj!”. Stary mężczyzna macha ręką. „Pomóż im, błagam.

*Musisz ich stąd zabrać. Wyrzuć drewno i ukryj ich na wozie. Zabierz ich stąd”.*

*Światło błyskawic. Już nie pada, ale jest ciemno. Wóz jest na ulicy Przekornej. Jeden z mężczyzn schodzi z wozu. Mały, słaby, zatacza się i dobija się do drzwi stajni, prosząc o pomoc. Jest cały we krwi.*

*Odziany we własną krew.*

– Co się dzieje? Gwen, co widzisz?

Drżała na całym ciele.

– Kupiłeś nowego konia?

– Nie, ale...

– Co?

– Myślałem o tym. Pieniądze, które mi dałaś, poszły na naprawę osi i odkładałem na... Jest taki koń, którego gość z Kupieckiej tanio sprzedaje. Starawy, ale...

– Czarny z białym uchem? – spytała, a Dixon spojrzał na nią zdumiony. – Co zrobisz, jeśli kupisz tego konia?

– Planowałem później o tym z tobą porozmawiać, ale kiedy skończycie remont, pomyślałem, że wrócę do wożenia. Nadal byłbym tutaj przez większość czasu, na wypadek gdybyś mnie potrzebowała, sama wiesz. Dostałem już nawet ofertę. Jeden z cieśli potrzebuje, żeby przywieźć mu ładunek drewna na północ, i mówi, że farmer, który je zamówił, ma ładunek wełny dla tkacza w Medfordzie. Za jednym obrotem zarobię więcej niż przez cały czas, odkąd padła mi klacz.

– Kiedy wyjedziesz?! – Złapała go za ramiona, podnosząc głos.

– Nie wiem, czy w ogóle pojedę. – Dixon się zdenerwował. – Nie mam jeszcze pieniędzy na konia. Myślałem o pożyczce akonto pieniędzy z przewozu drewna, ale to ryzykowne i nie byłem pewien...

– Zrób to.

Prawie to wykrzyczała, ale siłą woli zapanowała nad sobą.

– Myślisz, że to dobry pomysł? A jeśli coś pójdzie nie tak? Wtedy...

– Pokryję pożyczkę. Albo po prostu kupię konia, jeśli to konieczne.

– Naprawdę?

– To bardzo ważne, żebyś dostarczył to drewno.

– Tak?

– Ogromnie.

– Dlaczego?

– Po prostu jest. Kup konia, weź drewno i wyjedź jak najszybciej. Obiecuj mi to.

– Dobrze.

– Dziękuję. – Ujęła jego twarz w dłonie i wspięła się na palce, żeby go pocałować. – Ach, i jak tam będziesz, jeśli będzie padało i znajdziesz dwóch rannych ludzi, przywieź ich tutaj, dobrze?

– Pewnie.

– Ogromnie ci dziękuję.

Spojrzała na ulicę, na której wiatr zapowiadający burzę wzmagał się i szarpał płótnem.

*Nadchodzi!*

# Rozdział 16

## *Wieża Koronna*

Wieża Koronna wznosiła się nad nimi, rzucając cień na ziemię niczym kolosalna wskazówka zegara słonecznego, na którym wioska Iberton znaczyła porę snu. Hadrian patrzył, jak czarne ramię przesuwa się po równinach i wzgórzach, a wieża rośnie z każdą milą. Znajdowali się bliżej niż poprzednim razem. Minęli już zakręt do wioski, która stała się maleńką garstką budynków daleko w tyle i w dole. Z każdym krokiem wspinali się wyżej na wyniesienie i bliżej olbrzyma, któremu zamierzali rzucić wyzwanie. Jednakże Hadrian myślał tylko o Korniszonie.

Nadal widział twarz chłopca, jego ogromny uśmiech i pamiętał radosny ton głosu. „Jest pan wielkim rycerzem, prawda?”. Dostrzegał tylko miecze. Korniszon obserwował wszystkich, którzy wysiadali ze statku w Vernesie, i uznał, że ktoś z trzema mieczami musi być zamożnym rycerzem, ale Hadrian go rozczarował.

„On miał mnie stąd zabrać. Wybieraliśmy się na północ. Wybieraliśmy się na uniwersytet”.

Hadrian lepiej by zrobił, zostawiając go w Vernesie. Chłopak nadal ganiałby po ulicach wzdłuż nabrzeży, nadal wymykałby się oprychom od mustrowania, może pewnego dnia znalazłby prawdziwego rycerza, kogoś, kto nie odszedłby i nie skazał go na śmierć.

Hadrian miał w zwyczaju odchodzić.

Chciał zobaczyć ciało chłopca, pożegnać się. Nie mógł zrobić nawet tego. Wyobrażał sobie, że wyrzucili Korniszona do rowu albo nieoznakowanego zbiorowego grobu. Nikt nie będzie zawracał sobie głowy ceremonią dla kogoś pokroju biednego dzieciaka z odległego miasta.

Hadrian zacisnął ręce na wodzach i spiorunował wzrokiem wieżę, jakby była źródłem wszelkiego zła. Gdyby nie był tutaj... Gdyby został w Sheridanie, możliwe, że Korniszon nadal by żył. Ta myśl zwiększała jego gorycz, zwłaszcza że niczego nie dokonał, będąc tu poprzednio.

Tym razem podróżowali głównie nocą, żeby dopasować rytm snu do zadania i uniknąć powracających rycerzy Sereta, którzy będą pewnie jechali za dnia. Royce skręcił z drogi i wjechał przez jeżyny i krzaki na niski i podmokły teren ukryty za kępą dzikiej róży. Środek uprzątnięto, a pozostałości ogniska zdradzały, że była to baza Royce'a. Wieża znajdowała się raptem kilkaset jardów dalej, na stromym stoku pośród labiryntu wąskich kamiennych uliczek. Nie wyglądała już jak wieża. Podstawa była zbyt szeroka. Gdyby Hadrian nie podniósł głowy, mógłby ją uznać po prostu za lekko zakrzywiony mur.

Royce pierwszy przerwał milczenie.

– Potrafisz gotować? – zapytał, nie podnosząc wzroku, kiedy zbierał resztki drewna i zaczynał układać pod rozpałkę. – To nasza ostatnia szansa na posiłek. Wjedziemy do miasta, kiedy tylko słońce zniknie za horyzontem, i zaczniemy wspinaczkę, gdy pojawią się pierwsze gwiazdy. Po robocie natychmiast ruszymy. Żadnych postojów, żadnego jedzenia. – Podniósł wzrok. – W każdym razie ja mam taki plan. Ty możesz zrobić, co zechcesz. Właściwie to wolałbym, żebyś udał się inną drogą niż ja. Ja najpewniej skieruję się na wschód w stronę Dunmore'u, więc ty możesz wybrać dowolny inny kierunek. – Znowu zajął się podpałką. – To będzie długa i wyczerpująca wspinaczka, nawet z uprzężą, więc porządny posiłek jest ważny. Inaczej nie zaryzykowałbym ognia. Żaden ze mnie kucharz, więc jeśli jest coś



z prawdy w tym, co Arcadius mówił o przeciwnościach, mam nadzieję, że okażesz się mistrzem kucharskim.

– Korniszon nie żyje – powiedział Hadrian.

Royce patrzył na niego przez chwilę.

– Co?

– Słyszałeś. Słyszysz każdą bzdurę, jaką ktokolwiek mówi. To twoja najbardziej denerwująca cecha. To znaczy nie najbardziej... Właściwie to trudno je uszeregować. Lista jest wręcz idiotycznie długa.

– Mówisz o tym dzieciaku ze szkoły?

– Oczywiście, że tak. A myślałeś, że o kim?

Royce wzruszył ramionami.

– Ponieważ pytałem, czy potrafisz gotować, pomyślałem, że rzeczywiście mówisz, no wiesz, o korniszonach.

– Mówię o Korniszonie! Został skazany na śmierć za przestępstwo, które ty popełniłeś.

– Aha... – Royce pokiwał głową. – A jak to się ma do mojego pytania o twoją umiejętność gotowania?

– Aha?! – powtórzył zdumiony Hadrian. – To twoja reakcja? Stracili dzieciaka z powodu czegoś, co zrobiłeś, a ty odpowiadasz „aha”?

Royce przyciągnął kłodę, żeby mieć na czym usiąść, i zabrał się do rozpalania ognia.

– Nie ja go zabiłem.

– Czyli wiedziałeś, że nie żyje?

– Jak powiedziałeś, słyszę każdą bzdurę, jaką ktokolwiek mówi.

– I nie masz żadnych wyrzutów sumienia?

– Nie. Powiesili go ludzie z rodzaju tych, jacy mieszkają w tej wieży, na prośbę Angdona i jego tatusia. Mnie tam nawet nie było.

– Popełniłeś przestępstwo, za które stracono Korniszona.

Royce zerknął na niego zaintrygowany.

– Dzięki mnie nie stłukli cię do nieprzytomności i uważasz to za przestępstwo?

– Nie potrzebowałem twojej pomocy.

– Naprawdę? – Jego głos ociekał sarkazmem.

– Tak, naprawdę.

Royce wydał z siebie dziwny odgłos, coś pomiędzy sapnięciem a rechotem.

– Pięciu na jednego, każdy uzbrojony w pałkę i ty z gołymi rękami? Wybacz, że ci nie wierzę.

– To dlaczego nie walczyłeś ze mną? Dwóch przeciwko pięciu dałoby im do myślenia, zwłaszcza gdybyś wymachiwał swoim sztyletem.

Znowu Royce spojrzał na niego zdezorientowany, prawie jakby Hadrian mówił w obcym języku.

– W jakim świecie ty żyjesz?

– W takim, w którym nie dźga się chłopców i nie pozwala się, żeby inni chłopcy za to umierali.

– Chłopcy? A co ma do tego wszystkiego ich wiek? Gdy ktoś zasada się na ciebie z kijem, to jakie ma znaczenie jego wiek?

– Duże. To tylko dzieci. Nie są dość dorosłe, żeby rozumieć, co robią.

– Tak samo jak ty.

– Ja? Sam nie jesteś dużo starszy.

Royce, który właśnie zdołał rozpalić ogień i ostrożnie podkarmił go gałązkami, zamarł.

– To nie ma znaczenia. Podejrzewam, że nawet gdybyś był w wieku Arcadiusa, nadal byłbyś takim samym ignorantem. Oto coś, czego już dawno powinienes być się nauczyć: jeśli ktoś chce cię skrzywdzić, a ty masz okazję, zabij go. Wszystko inne pociąga za sobą komplikacje, których nie potrzebujesz.

– Jednak ty go nie zabiłeś.

– Właśnie. Gdybym go zabił, nie byłoby tej rozmowy.

– Dlaczego więc tego nie zrobiłeś?

– Dałem słowo i jestem na smyczy, a Arcadius ma zasady: nie wolno zabijać studentów.

– Nie pomyślałbym, że należysz do tych, którzy przejmują się obietnicami. Dlaczego po prostu nie zabiłeś Arcadiusa? Przecież to

twoje ulubione rozwiązanie każdego problemu, nie?

– Taki właśnie miałem plan, tyle że nie złożyłem przyrzeczenia staremu profesorowi i zabraniało mi ono zabić Arcadiusa, a w każdym razie dopóki nie spłacę swojego długu wobec niego.

– A komu złożyłeś przyrzeczenie? – Hadrian zastanawiał się, jaka osoba mogła do tego stopnia zobowiązać człowieka pozbawionego wszelkich skrupułów.

– Nie twój interes. No dobra, potrafisz gotować czy nie?

Royce zostawił ogień i zaczął grzebać w bagażu. Wyciągnął garnek, łyżkę i podniósł je wysoko.

– No?

– W ogóle nie przejmujesz się śmiercią Korniszona?

Royce skrzywił się i schował z powrotem garnek i łyżkę do torby.

– Ani odrobinę. Nie widzę też korzyści dla nas płynących z tej rozmowy.

– A ja widzę. Chcę dowiedzieć się, jak możesz być tak diabelnie okrutny.

– To dar.

– Jesteś skurwysynem, wiesz?

– Jako sierota nie mam pojęcia, ale możesz mieć rację. A teraz możemy zjeść?

– Nie będę z tobą jadł. I na pewno nie będę dla ciebie gotował.

– W porządku. – Royce zdeptał ogień. – Twoja strata. Prawda jest taka, że próbowałem być miły. Pomyślałem, że chciałbyś zjeść ostatni posiłek. Zdajesz sobie sprawę, że umrzesz za kilka godzin, prawda? Popatrz tam. – Wskazał wieżę. – Czy to ci wygląda jak Gmach Glena? Myślisz, że mamy tak długą linę?

Hadrian o tym nie pomyślał, ale Royce miał rację. Mieli długie liny, ale nic, co dosięgłoby wierzchołka.

– Ponieważ nie umiesz się wspinać, będziemy musieli wnieść na górę kilka dodatkowych zwojów i pokonać wysokość etapami. To znaczy, że będziesz musiał odpiąć się z jednej liny i podtrzymując swój ciężar na tych małych klinach, przepiąć się do drugiej. –

Royce uniósł rękę nad głowę. – Czujesz ten wiaterek? Tu, na dole, to miły, delikatny powiew. Na górze będziesz przysięgał, że to sam Maribor próbuje zdmuchnąć cię z kamienia. Ręce ci się zmęczą. Będziesz miał skurcze mięśni. Będziesz umierał z pragnienia, ale za bardzo będziesz się bał, żeby się napić. I będzie zimno, naprawdę zimno. Wiatr i jesienna noc pozbawią twoje palce czucia, aż nie będziesz pewien, jak ciasno trzymasz linę. Nie będziesz też w stanie nabrać dość powietrza, bo głęboki wdech będzie wypychał cię na wiatr, a twoje mięśnie będą zbyt napięte, żeby na to pozwolić. I jak zgaduję, gdzieś w okolicy trzech czwartych wysokości popełnisz błąd. Głupi błąd. Palce zbyt zdrętwiałe, żeby wiedzieć swoje, mięśnie zbyt zmęczone, żeby się przejąć. Uderzysz o ulicę i pęknie jak skórzany bukłak. Ponieważ masz książkę, znajdą ją przy tobie, a Arcadius powiedział, że jeśli spadniesz z powodu własnego błędu, to ja nie będę odpowiedzialny i uwolnię się od zobowiązania. Zjadę sekundę albo dwie potem, uważając, żeby się nie upaprać. Nie ma wartowni ani patroli u podnóża wieży, więc nawet jeśli ktoś podniesie alarm, będę miał dość czasu, żeby spokojnie tu wrócić, zanim ktokolwiek mnie złapie. Oczywiście pobiegnę, ponieważ zostawimy konie osiodłane, a rzeczy spakowane, i odjadę w tamtym kierunku. – Wskazał ciemność. – W ciągu kilku minut będę dostatecznie daleko, żeby nikt nigdy mnie nie znalazł, i najpewniej pomyślą, że byłeś jedynym złodziejem. O ile w ogóle rozpoznają w tobie człowieka.

Sięgnął do worka z jedzeniem i wyjął kawałek solonej wieprzowiny.

– Potem znajdę jakieś miłe, wygodne miejsce, gdzie zafunduję sobie istną ucztę. Pomyślałem, że ty chciałbyś zaliczyć swoją teraz.

Hadrian spiorunował go wzrokiem.

– Wespnę się na tę wieżę. Odłożę książkę na miejsce, a potem pokażę ci, co potrafi ten duży miecz na moich plecach. I przekonamy się, kto pierwszy uderzy o bruk.

Miasto Ervanon stanowiło studium przeciwieństw. Choć nie było dużo większe od uroczej wioski, zawierało więcej budynków na stopę niż Colnora. Ulice były brukowane, wąskie i liczne. Zamiast krytych strzechą chatki stały tam same kamienne budynki, i to nie z przypadkowych kamieni znalezionych na polu jak w Windham, ale z dużych, wyciętych bloków wapienia, więc każdy wyglądał jak miniaturowa katedra. I chociaż żaden z domów czy sklepów nie miał nigdy więcej niż trzy kondygnacje, wszystkie zgromadziły się u podstawy Wieży Koronnej, która wyrosła jak jakaś mityczna łodyga fasoli z centralnego rynku z kolorowych mozaikowych kafli.

Ponadto miasto nie było obwiedzione murem.

Odziani w ciężkie zwoje liny narzucone na ramiona Royce i Hadrian przekroczyli rów za zaroślami, przeszli wąską szczeliną między dwoma budynkami do wąskich zaułków, w których Hadrian musiał iść bokiem. Słońce zachodziło. Jedyne światło zachował się na niebie i wśród nielicznych zapalonych pochodni oraz latarni. Wciśnięty między kamienne bloki i unieruchomiony liną Hadrian czekał, podczas gdy Royce zerkał na ulicę.

Słyszał odgłosy kół i kopyt rozlegające się echem wśród kamienia. W oddali zadźwięczał głos, a po nim gwizd. Urwany śmiech i trzask drewnianych drzwi. A pod tym wszystkim słyszał muzykę i cichy chór wyśpiewujący słowa, których nie znał. Nie sposób było powiedzieć, skąd dolatywały. Kiedy szło o dźwięki, Ervanon przypominał dom luster.

Po kilku minutach Royce wybiegł na ulicę, a Hadrian popędził za nim. Istniało małe prawdopodobieństwo, że Royce znowu go porzuci, ale raz oszukany Hadrian wolał nie ryzykować. Teraz misja nabrała osobistej wagi i dopilnuje, żeby została wypełniona.

Ulice były niewiele szersze od zaułka. Jeden wózek z jabłkami mógłby zatarasować całą arterię, a osadzone na murach otwarte zbiorniki na wodę, które pełniły funkcję publicznych umywalek, umieszczono w niszach, bo w przeciwnym wypadku utknęłyby przy nich wszystko, co ma koła i więcej wzrostu niż dwie stopy. Royce

zaprowadził ich do takiej wnęki, gdzie stali po dwóch stronach pustej umywalki, czekając, aż powóz przejedzie. Zbudowany z myślą o ulicach Ervanonu czarny powóz był wyraźnie podłużny, jakby zgnieciony i rozciągnięty przez napór kamieni. Miasto było światem samym w sobie i Hadrian zaczął się zastanawiać, czy jego mieszkańcy okażą się nadzwyczaj wysocy i smukli, czy płascy jak kromka chleba.

Przecisnęli się przez kolejny zaułek. Mury nie zostały postawione zbyt precyzyjnie i szpara między przyległymi domami coraz bardziej się zwężała. Royce spokojnie się przecisnął, ale Hadrian musiał zaprzeć się plecami i wciągnąć brzuch, żeby się przepchnąć.

To kolejna próba pozbycia się mnie?

Hadrian czuł, że może doszukać się kłopotów, ale wiedział też, że ma ku temu powody.

Z zaułka wyszli na kafelki mozaiki, za którą panowała całkowita ciemność. Podstawa Wieży Koronnej przesłaniała wszystko. Żadne lampy nie oświetlały kręgu, światło z nieba zniknęło, a księżyc – tej nocy zresztą tylko jego rąbek – jeszcze nie wzeszedł. Hadrian przystanął, żeby spojrzeć w górę, i tak się odchylił, że omal się nie przewrócił. Wieża była monstrualnie wielka. Z bliska widział, że kamienne bloki są wielkości domów.

To szaleństwo.

Royce poprowadził go wokół wieży. Czegoś szukał. W jaki sposób spodziewał się to znaleźć w ciemności, było zastanawiające, ale Hadrian nie zamierzał pytać. Skończyły się czasy, kiedy pytał Royce'a. Zostawało tylko wspinać się. A potem...

Royce wreszcie się zatrzymał, wsunął pazury na ręce i bez słowa zaczął się wspinać.

Hadrian czekał. Nie miał nic innego do roboty. Tak samo postępowali, kiedy wspinali się w Sheridanie, a jednak miał wrażenie, że jest inaczej, jakby Royce specjalnie skazywał go na bezczynność, traktując jak służącego, który czeka na kaprys pana.

Oparł się o wieżę, obracając głowę to w lewo, to w prawo, próbując

przeniknąć ciemność, nasłuchując zbliżających się kroków. Nie było słycać niczego poza narastającym wyciem przybierającego na sile wiatru. Podniósł wzrok i zobaczył, że Royce już rozplynał się w nicości, co tylko pogłębiło jego gniew. Sprawiał, że wspinaczka wydawała się śmiesznie łatwa. Znalazł jakiś znaczek, którego szukał w mroku, i śmignął w górę wieży, jakby gonił za dziewczyną po trawiastym pagórku. Royce z łatwością pokonał nawet trasę prowadzącą do wieży, przemykając zaułkami, jakby był królikiem, a miasto jego prywatną norką.

Czując zimno kamienia na plecach, spojrział na mglisty zarys budynków naprzeciwko i zaczął się zastanawiać... Gdyby miał sam wrócić, czy znalazłby drogę powrotną? Jaką miał szansę znaleźć pojedynczą szczelinę stanowiącą wylot zaułka, którym tu doszli? A potem która ulica doprowadzi go do drugiego zaułka, prowadzącego z kolei do rowu, zarośli i ich koni?

Hadrian zdał sobie sprawę, że popełnił pierwszy błąd, nie uważając. To jeszcze bardziej rozpałiło jego frustrację. Chwilę potem opadł ogon liny, uderzając o kafle obok niego.

Hadrian wspinał się napędzany gniewem. Ręka za ręką podciągał się na linie, skupiając wzrok na czarnej sylwetce w górze. Kiedy wynurzył się z cienia miasta, pojawiło się nieco światła, zaledwie nieśmiały blask gwiazd, ale dość, żeby widział ciemną pelerynę Royce'a. Już samo patrzenie, jak niemal truchta w górę po kamieniu, doprowadzało do szału. Teraz wszystko w złodzieju gniewało Hadriana. Był przekonany, że uczucie jest odwzajemniane, bo żaden z nich nie odezwał się słowem, odkąd zostawili konie.

Pierwsze trzy zwoje minęły prawie niepostrzeżenie. Wspinaczka nie była męką dla Hadriana, cieszył się z niej. Był wzburzony i jego mięśnie aż prosiły się o zajęcie. Pierwszą połowę wspinaczki pochłoneła furia. Nie zastanawiał się nawet przy zmianie lin. Łapał się mocno, odpinał od asekuracji, wpinał się do drugiej liny i nie zważał na to, gdzie się znajduje. Czerpał satysfakcję ze zdziwionej miny Royce'a za każdym razem, gdy tamten spoglądał

w dół i widział, że Hadrian nadal się wspina. Royce nie kłamał na temat wspinaczki, zimna i wiatru. Podmuchy lodowatego powietrza uderzały w Hadriana. Jeden szarpnął nim tak mocno, że Hadrian obrócił się plecami ku wieży i przez chwilę wisiał jak zółw na sznurku. Mniej więcej wtedy zdał sobie sprawę, że nienawiść nie jest nieskończonym źródłem energii. Kiedy gniew przycichł, zostały mu tylko mięśnie. Mięśnie, które zaczynały się męczyć.

Chociaż trudno było to ocenić z jego pozycji, zgadywał, że pokonał więcej niż trzy czwarte wysokości, kiedy w końcu poddał się i dał sobie chwilę na odpoczynek. Napiął mocniej linę i pociągnął, motając ją na pierścieniach, żeby móc spokojnie trzymać się jedną ręką i chwilę powisiec. Po raz pierwszy spojrzął w dół. Świat wyglądał nierealnie. Wszystko było zbyt małe. Budynki i ulice zniknęły w ciemnościach. Tylko drobinki światła, które widniały jak nieruchoma gromadka świetlików, zdradzały obecność miasta w dole. Kolejne światła wskazywały Iberton. Hadrian dostrzegł srebrny zakręt, rzekę, która odbijała blask gwiazd i ciągnęła się krętą linią niemal dokładnie spod nich aż do jeziora Morgan. Poza tym Hadriana otaczały tylko gwiazdy.

Podmuch wiatru odepchnął go od kamienia. Hadrianowi żołądek podszedł do gardła, kiedy wyobraził sobie upadek. Przez chwilę wisiał i wirował. Zabawka dla wiatru. Serce mu biło jak szalone. Potem podmuch ucichł i darował sobie zabawy. Hadrian uderzył znowu o kamień, raniąc sobie ramię. Był zlany potem, czego nie spostrzegł wcześniej, dopiero zimny oddech wiatru zwrócił mu na to uwagę. Royce się zatrzymał powyżej.

Zatrzymuje się ze względu na mnie czy też się zmęczył?

Wisiał jak Hadrian, ale nie sprawiał wrażenia nawet w przybliżeniu równie zaniepokojonego. Wydawało się, że złodziej w ogóle nie boi się śmierci, i w chwili jasności umysłu Hadrian zastanowił się, dlaczego on się boi.

Co boję się stracić? Życie?

Patrząc na gwieździsty wszechświat, nie czuł się mały – czuł, że wręcz nie istnieje. Miedziak był więcej wart.



Czy to naprawdę ma znaczenie? Czy pragnienie przeżycia kolejnego dnia wystarcza?

Większość ludzi ma swoje powody: ukochanych, cele – chcą czegoś dokonać, gdzieś dotrzeć, coś zobaczyć. Hadrian opuścił dom, żeby zobaczyć świat i wyrobić sobie nazwisko. Wyruszył, by zostać bohaterem, naprawiać zło, ratować dziewice, zabijać smoki. A został rzeźnikiem, mordercą. Oto jakie imię zdobył, na jakie sobie zapracował. Początkowo myślał, że Fortuna jest jego przyjaciółką. Do tego się to sprowadzało – kiepski dzień dla nich, dobry dzień dla niego. On był młodszy, oni starsi, albo oni byli młodszy, on bardziej doświadczony. Potem atakowali grupami. Wychodził z tego bez draśnięcia. Publiczność patrzyła na niego z więcej niż nabożną czcią. Tak łatwo było zacząć myśleć, że jest kimś specjalnym, wybranym, faworytem bogów. Wszyscy tak mówili. Niektórzy czcili go nawet jak boga. To były dni jego szaleństwa, miesiące krwi i wina, dni, które skończyły się, kiedy walczył z tygrysem i patrzył, jak zwierzę umiera. Nie był bohaterem. Bohaterowie nie zabijają niewinnych i nie pozwalają, żeby biedni chłopcy ginęli.

Bohaterowie nie wspinają się też na szaleńczo wysokie wieże i nie kradną ksiąg kapłanom.

Nie mógł znaleźć drogi, której szukał.

Może ona nie istnieje.

Poczuł, że lina zadygotała i Royce podjął wspinaczkę. Wtedy Hadrian zdał sobie sprawę, że ma powód do życia. Nie zamierzał dać temu draniowi satysfakcji, poczucia, że miał rację.

Złapał się liny obiema rękami i ustawivszy odpowiednio stopy, również podjął wspinaczkę. Krok, pociągnąć, owinać, przytrzymać; krok, pociągnąć, owinać, przytrzymać; posuwał się w górę. Na ostatnim etapie wspinali się po długiej linie. Mieli jedną dwa razy dłuższą od pozostałych. Royce chciał, żeby znalazła się najbliżej szczytu, by w razie konieczności mogli szybko zniknąć z oczu. Hadrian ją wnosił. Zdjęcie jej z ramion sprawiło, że poczuł się pełen energii.

– Od tej chwili ani słowa – powiedział mu Royce; musiał wrzasnąć, żeby przekrzyczeć wiatr, kiedy Hadrian uniósł zwój liny nad głowę.

To miał być żart?

Znajdowali się tuż poniżej alabastrowego kamienia „korony” i tutaj Royce wdrapał się tylko na rękach; potem jak pająk wspiał się na zewnętrzny pierścień i obrócił się, zanim umocował linę i ją spuścił. Lina zwieszała się w sporej odległości od muru, dwie stopy poza zasięgiem Hadriana. Tego nie ćwiczyli. Spojrzał w górę, ale Royce znowu się wspinał.

Od tej chwili ani słowa.

Specjalnie to zrobił. Żeby iść za nim, Hadrian musiałby wypiąć się z asekuracji i rzucić się w pustkę, by złapać się drugiej liny. To tylko dwie stopy, ale każda odległość dzieląca życie od śmierci była zbyt duża.

Czy to naprawdę ma znaczenie?

Nie przeszedł aż tyle, żeby zawieść. I kto naprawdę się przejmie, jeśli Hadrian zginie? Skupił się na wiszącej linie i na wpół wyobraził sobie Royce’a nad sobą, znieruchomiłego, gotowego do przesunięcia jej, kiedy Hadrian skoczy.

*Widzisz, Arcadiusie, mówiłem, że on nie da rady.*

Łajdak.

Tyle wystarczyło, żeby Hadrian skoczył. Złapanie liny było łatwe, ale nie spodziewał się, że zakołysze się i nagle opadnie. Musiał się natrudzić, żeby zatrzymać się i nie zjechać po całej długości. Skóra zaczęła go piec, kiedy ciężar pociągnął go w dół. Poczul żar między udami i owinął stopy ciasno wokół sznura. Wspólnym wysiłkiem nogi, stopy i dłonie ocaliły mu życie i rozkołysały go, aż uderzył mocno o kamień knykciami i policzkiem.

Royce był już na blankach.

# Rozdział 17

## *Royce*

Coś się zmieniło.

Nic nigdy nie jest takie samo za drugim razem. Co prawda Royce nie miał w zwyczaju robić czegoś dwa razy, ale przy tych rzadkich okazjach odkrywał, że nie jest w stanie dokładnie powtórzyć sekwencji. Dotyczyło to także Wieży Koronnej. Nic nie było takie samo. Oczywiście nie mogło być, zważywszy na niezdare, którego za sobą holował, ale nie o to chodziło. Ten aspekt znajdował się za nim, a on wyczuwał coś przed sobą.

Coś się zmieniło.

Dobłą ilustracją tego była droga do Ervanonu. Za pierwszym razem poruszał się niewidzialny, nie licząc niewydarzonych seretów, którzy nie zdawali sobie nawet sprawy z prawdziwego zagrożenia, jakie stanowił. Kiedy już zrzucił ich na Hadriana, stał się duchem, dyskretnym i niewidzianym. Za drugim razem na drodze roiło się od jeźdźców. Hadrian oczywiście tego nie zauważył. Ten człowiek niczego nie zauważał, nawet własnej głupoty, która podążała za nim jak wierny pies. Kradzież książki poruszyła cały Ghent, a on nadal był ścigany. Żołnierze, nawet ci, którzy pracowali dla Kościoła, byli niewolnikami nawyków. Polowali za dnia, spali nocą. Unikanie ich było prostym zadaniem, ale wskazywało na problem, jakiemu do tej pory Royce nie stawiał czoła. Nigdy dotąd nie wrócił na miejsce przestępstwa kilka dni po

jego popełnieniu. Coś takiego z pewnością było działaniem niespodziewanym, co stanowiło pewną korzyść, ale jednocześnie wywracało wszystkie inne elementy układanki do góry nogami.

Precyzyjnie zaplanował tę robotę. Znał ustalony porządek zajęć służby, patroli, kupieckich karawan, a nawet pijaka zwanego Mosley, który co noc przechodził obok wieży w drodze do domu. Dzięki temu był dość pewny siebie, chociaż nie miał pojęcia, co zastanie na szczycie wieży. Bardzo niewiele było wiadomo na ten temat. Alabastrowa część wieży według pogłosek stanowiła prywatną kwaterę patriarchy, głowy Kościoła Nyphrona. Ten człowiek był mitem; widział go tylko arcybiskup, może też wartownicy. Jeśli miał służących, to trzymał ich przy sobie i żaden z nich nie widywał światła dnia inaczej niż przez okno wieży.

Chociaż z dołu szczyt wydawał się mały, Royce uznał, że „korona” obejmuje więcej niż jedno piętro. Arcadius pomógł mu przy tym. Posłał Royce’a, żeby dokonał pomiarów z daleka za pomocą kija i sznura. Potem policzył i określił, że alabastrowa część może obejmować nawet cztery kondygnacje. Albo dwie, jeśli mają wysokie sklepienia. Już sama średnica wieży sugerowała, że jest to większa powierzchnia mieszkalna niż w wielu zamkowych donżonach i mogła się tam pomieścić liczna służba. Zgadując, że patriarcha pod wieloma względami przypomina króla, Royce spodziewał się prywatnej kaplicy, biblioteki, imponującej sali bankietowej, okazałej sypialni i gabinetu. Na szczycie wieży podobno przechowywano zgromadzone bogactwa Glenmorgana i Kościoła, mógł więc też spodziewać się jakiegoś skarbcza. Zwykły sejf był mało prawdopodobny, chyba że opowieści były zwykłymi plotkami, ale Royce podejrzewał, że mówią prawdę. Jeśli istniało idealne miejsce do przechowywania skarbu, to właśnie na wieży. Musiał tylko znaleźć pokój z największym zamkiem.

Royce mylił się – co do zamka. Książka leżała niestrzeżona w pokoju zawałonym obfitością osobliwości, broni, zbroi, książek, kielichów i klejnotów, a wszystko to potraktowano z takim samym szacunkiem jak rupiecie na strychu. Ku wielkiej uldze Royce’a

leżało tam tylko kilka książek i jeden podniszczony dziennik. W ciągu kilku minut wszedł do środka i wyszedł; nie musiał nawet zaglądać na wyższe piętra, chociaż go ciekawiły. Tym razem, ponieważ dokładnie wiedział, dokąd się udać, oczekiwał, że załatwi to jeszcze szybciej. Jedyną zmienną był Hadrian.

Zerkając w dół, zobaczył, że głupek nadal wisi, kołysze się jak klaun blisko końca liny. Arcadius przykuł go do durnej krowy.

W przeciwieństwie do Hadriana Arcadius nie był idiotą i jego motywy dręczyły Royce'a. Z drugiej strony wszystko w profesorze było zagadkowe. Po wykupieniu Royce'a z więzienia – czego nigdy w żaden sposób nie uzasadnił – dał mu pokój w szkole, karmił go i uczył. Początkowo Royce nie dostrzegał niczego dziwnego w jego działaniach. Był przekonany, że Arcadius ma stare rachunki do wyrównania i potrzebuje dobrego zabójcy, więc zwyczajnie go kupił.

Genialne rozwiązanie – ocal zabójcę przed pewną śmiercią, a może bestia da się poskromić. Każdemu przyda się oswojony zabójca. Jednak mimo wykształcenia Arcadius nie miał zielonego pojęcia o etyce zawodowej zabójców. A może po prostu źle odczytał Royce'a. Royce nie zamierzał dać się oswoić.

Znał już litery i cyfry, co zaskoczyło staruszkę i pozwoliło im przejść do historii i filozofii. Dlaczego profesor chciał go uczyć takich rzeczy, stanowiło jedną z licznych zagadek, których wyjaśniania odmawiał. Nie, nie odmawiał. Arcadius niczego nie odmawiał wprost. Zawsze udzielał odpowiedzi, ale nigdy takiej, jakiej Royce się spodziewał. To była jedna z pierwszych wskazówek, że staruszek jest sprytny. „Głęboko wierzę, że każdy powinien otrzymać wykształcenie. Ignorancja to przekleństwo tego świata. Wiedza niesie ze sobą zrozumienie, a gdyby ludzie pojmowali różnicę między tym, co słuszne a co niesłuszne, czyniliby, rzecz jasna, to, co słuszne”. To był jeden z tych absurdów, którymi profesor wręcz tryskał, przez co Royce zachodził w głowę, próbując odgadnąć jego prawdziwe motywy. Mimo dwóch lat znajomości nigdy ich nie odkrył.

Mijały miesiące.

Royce spodziewał się, że Arcadius dostarczy mu listę ludzi do zlikwidowania, ale nigdy jej nie otrzymał. Stary profesor zgodził się nawet na przydługą nieobecność Royce'a, który musiał „domknąć pewne niedokończone sprawy”. Arcadius nie zadał ani jednego pytania przed ani po, ten temat nigdy więcej nie wrócił, nawet w żartach. To bardziej niż cokolwiek innego przekonało Royce'a, że Arcadius doskonale wiedział, jak on spędził miesiące nieobecności, utwierdzając go w przekonaniu, że profesor jest niebezpiecznie inteligentny i niezmiernie zagadkowy. Minął ponad rok, zanim otrzymał zadanie eskortowania Hadriana w drodze do Sheridanu, a profesor w tym czasie o nic nie poprosił. Teraz Arcadius rzucał mu klucz do wolności, ale dlaczego? W przypadku każdej innej osoby Royce domyślałby się, że zadanie musi być niewykonalne. Widział już dość zasadzek, żeby takową zwęszyć. Jednak dlaczego? Po co wykupywać go z więzienia, a potem wysłać go na misję i patrzeć, jak ginie?

Coś się zmieniło.

Wszystko było nie na miejscu w tym zadaniu – uzasadnienie, cel, idiotyczne warunki. Nic nie miało sensu. Manipulowano nim; nie potrafił jednak powiedzieć, w jaki sposób i dlaczego. „Chcę, żebyście stworzyli duet” – powiedział mu Arcadius. „Możesz mieć dobry wpływ na tego młodego człowieka. Hadrian wspaniale walczy mieczem, właściwie każdą bronią. W uczciwej walce żaden człowiek go nie pokona, ale martwię się, że nie wszystkie jego walki będą uczciwe. Żyje w wymyślonym świecie, wierzy, że ludzie są dobrzy i honorowi. Taka postawa czyni go łatwą ofiarą tych, którzy zechcą wykorzystać jego talenty. Możesz pomóc mu stanąć twardo na ziemi, zakotwiczyć go w rzeczywistości, zapoznać go z prawdziwym światem, światem, który znasz aż za dobrze. I będzie wielkim atutem. Przyda ci się dobry wojownik”.

To wszystko musiało być kłamstwem. Hadrian nie wyciągnął żadnego z trzech mieczy, chociaż sam omal dwa razy nie zginął. Nie wspominając już o tym, że był na tyle głupi, by dać się złapać

w zasadzkę bez broni. Jednakże największą wskazówką był fakt, że nie miał instynktu zabójcy. Ten człowiek był miękki. Royce uznał, że broń to tylko podstęp, kostium, tworzący pozór zagrożenia, które tak naprawdę nie istniało. Pozostało wobec tego pytanie: dlaczego Arcadius zadał sobie tak wiele trudu? O co tak naprawdę mu chodziło?

Coś się zmieniło.

Royce przesunął na bok zwój liny do ucieczki i zerknął z krawędzi. Spodziewał się, że do tej pory ten idiota będzie już martwy. Jego uporczywe czepianie się życia było więcej niż tylko trochę denerwujące, ale jego wytrwała wspinaczka rozwiązywała ten problem w dostatecznym stopniu.

Royce sięgnął między fałdy oponczy i wyciągnął nóż.

„Mówiłem” – wyobraził sobie, jak mówi do Arcadiusa – „spadł i zabił się, tak jak zapowiadałem”. Przynajmniej nie byłoby to kłamstwo.

Lina utrzymująca Hadriana była uwiązana do zęba blanków; skręcała się i ślizgała pod wpływem ciężaru wahadła – jego ciała. Royce wyciągnął rękę z nożem i na ostrzu Alverstone’a zabłysło światło księżyca. Sztylet jarzył się bladym białym blaskiem, niemal go oślepiając. To był dobry sztylet, świetny sztylet, ale w tej chwili żałował, że nie ma innego.

Pokręcił głową, zły na siebie. Obiecałem tylko, że nie zabiję staruszka. Jednak ta myśl nie przyćmiła blasku ostrza w jego ręce. Dobił targu z jedyną osobą, która kiedykolwiek się liczyła. To było głupie. Ten człowiek nie żył. Nie miało sensu dotrzymywanie obietnicy złożonej duchowi. Royce zdołał zdławić większość wspomnień z więzienia Manzant, ale sztylet znajdował się w jego ręce, pożegnalny podarunek od człowieka, który ocalił więcej niż tylko jego życie i poprosił w zamian o jedną małą przysługę. Royce poderżnął dziesiątki gardeł tym białym ostrzem i nigdy nie poświęcił temu nawet jednej myśli, ale nie mógł przeciąć tej żalostnej liny.

„To moja cena, Royce” – przypomniał sobie słowa Arcadiusa.

„I to wszystko? Potem będę wolny od was obu?”

„Tak. Jednak będę domagał się uczciwej próby, sprawiedliwego traktowania. Nie możesz celowo doprowadzić do jego porażki”.

Royce westchnął, schował sztylet i wstał.

Po dostarczeniu książki będę wolny od przysięg.

Skrzywił się. W drodze powrotnej pośle Hadriana przodem, a potem odwiąże przekłętą linę, jeśli będzie trzeba. Przy odrobinie szczęścia ktoś na dole usłyszy jego krzyk i zwróci uwagę na ciało. Royce zejdzie po drugiej stronie wieży, tej najbliższej drodze ucieczki, i zniknie zgodnie z planem. Lepiej byłoby, gdyby znaleziono dziennik przy Hadrianie. Royce znowu zbeształ się za głupotę.

Kiedy zmęczył się pomstowaniem na siebie w myślach, a Hadrian nadal nie dotarł na wierzchołek, Royce nie miał nic innego do roboty, jak usiąść i podziwiać widoki. Ze wszystkich miejsc najbardziej lubił dobry dach. Im wyżej, tym lepiej, a żaden nie znajdował się wyżej niż ten. Powietrze było tu świeższe, księżyc znajdował się bliżej, ludzkość dalej. Oparł się o ząb blanków, nasłuchując stękania Hadriana, a w górze rozbłyskiwały gwiazdy, chociaż szybko nadciągały chmury. Zbliżała się burza. To dobrze. Chmury oznaczały ciemniejszą noc. Burza utrudni poszukiwania. Royce nie przywykł do tego, żeby szczęście mu sprzyjało, ale najwyraźniej Novron uśmiechnął się do niego.

Biorąc pod uwagę jego miłość do wysokości, uznał za ironię losu fakt, że większość życia spędził w rynsztoku. Teraz to wszystko mogło się zmienić. Kończył z miastami. Nie miał do czego wracać, sam tego dopilnował. Nie tylko spalił za sobą mosty; zrównał je z ziemią w apokaliptycznym stylu. Zostały jeszcze tylko jedne wieży i przetnie je tej nocy. Co dziwne, czuł tyle samo żalu, co zadowolenia. Znowu będzie niezależny, ale będzie też sam.

Najlepiej pracuje mi się w pojedynkę.

Royce chciał w to wierzyć, ale nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło, brakowało mu Merricka.

Dawno temu, kiedy był nowy w mieście Colnora, poznał



Merricka. Obaj byli świeżo upieczonymi członkami gildii złodziejskiej Czarny Diament. Merrick miał lepszy start w życie niż Royce – większość ludzi miała lepszy start od Royce'a. Merrick miał zamożnych rodziców, chociaż wtedy już z nim nie rozmawiali, ale wychowali go, wykształcili w nadziei, że pójdzie w ślady ojca i zostanie sędzią. Merrick wybrał sobie inne życie.

Gildia przydzieliła Royce'owi za partnera Merricka, żeby poznał miasto, ale Merrick zawsze był nadgorliwy. Royce stał się jego oczkiem w głowie, Merrick pouczał go we wszystkim. Nauczył go liter, cyfr, pokazał najpewniejsze drogi ucieczki i najbezpieczniejsze kryjówki. Zapoznał go także z jego pierwszą butelką skradzionego montemorceya, którą pewnej nocy wypili razem na dachu. To sprawiło, że Royce nie był w stanie już pić nic innego, a wysoko położone miejsca stały się dla niego świętością.

Nic nie wiedział o świecie i Merrick stał się jego przewodnikiem. Nic dziwnego, że tak się do siebie upodobnili, bratnie dusze pod względem motywów i postaw. Royce nigdy nie poznał swojej rodziny i wkrótce Merrick stał się dla niego bratem, którego nigdy nie miał. Nadal terroryzowałyby ulice, zaułki i dachy Colnory, gdyby Merrick nie zdradził Royce'a i nie posłał go do więzienia. Zdrada udowodniła Royce'owi, że nikomu nie można ufać. Ludzie dbają tylko o siebie. Nikt nie uczyniłby niczego, nawet najdrobniejszej rzeczy, gdyby nie dostrzegał w tym jakiejś własnej korzyści. Każda dobroć była efektem pragnienia szacunku lub podziwu w oczach tych, którym pomagano. To kolejna lekcja, jakiej Merrick nauczył Royce'a, a Merrick wiedział wszystko. Kiedy stryczek się zaciska, kiedy wieje zimny wiatr, każdy, ale to każdy, dba tylko o siebie.

Kiedy o tym myślał, Royce poczuł drżenie drewnianego chodnika okrążającego koronę.

To nie był Hadrian, bo nadal się wspinał.

Wiatr przybrał na sile?

Możliwe, lecz Royce'owi to się nie podobało. Miał szczęście, ale był cyniczny z natury i wiedział, że bogowie są zmienni. Nadstawił

ucha i w tej samej chwili Hadrian wreszcie pokonał blanki i, dysząc, padł na chodnik. Royce zdjął uprząż i dał znać Hadrianowi, żeby zrobił to samo. Kiedy już to załatwili, wskazał na prawo, sygnalizując kierunek. Okno, którym wszedł poprzednim razem, znajdowało się o połowę obwodu dalej. Hadrian musiał tylko pójść za nim. Martwiąc się drżeniem chodnika, Royce nie tracił czasu i od razu ruszył.

Nie pobiegł, chociaż chciał. Jeśli vibracje to efekt kroków, nie chciał przesłać odpowiedzi. Ruszył jednak niecierpliwie, zerkając przed siebie i obserwując, czy nikt nie wynurzy się zza zakrętu.

Coś się zmieniło.

Poprzednim razem nie było żadnego patrolu na blankach, ale włożył kij w mrowisko, kradnąc książkę. Znaleźli ich konie? Ktoś w mieście zauważył Hadriana wlokącego się niezgrabnie ulicami? Ktoś zauważył liny, które niósł, i słusznie się domyślił? Mogli odgadnąć, jakim sposobem Royce dostał się tu poprzednio. Mogli przedsięwziąć odpowiednie kroki. Z drugiej strony potrzebował tylko kilku minut. Dotarł do okna – nadal nie zamknięto go na klucz. To dobrze czy źle? Pchnął szybę i wszedł. Ciemno, ale nie całkiem cicho – słyszał oddech. Na nikogo nie natrafił, skradając się. Pomieszczenie było puste jak poprzednim razem. Oddech dobiegał spoza komnaty. Idąc dalej, natrafił na kapłana, który siedział na ławce i ciężko dyszał. W pobliżu znajdowały się schody, a kapłan najwyraźniej nie przywykł do wspinaczki.

Kapłan stanowił niewielki kłopot. Siedział plecami do okna i dyszał tak głośno, że aż prosił się o poderżnięcie gardła. Royce wyciągnął sztylet i podkradł się do mężczyzny.

Jedno uderzenie serca potem Hadrian wpakował się niezdarnie do środka. Kapłan odwrócił się... I krzyknął.

\* \* \*

Royce przerwał krzyk w okamgnieniu, ale póki przenikliwe wycie trwało, było naprawdę głośne.

– Rzucaj książkę i biegnij do liny! – polecił Hadrianowi. – Zadanie wykonane. Teraz jesteś zdany na siebie.

Royce przebiegł obok niego i wyskoczył przez okno, zanim Hadrian zdążył odpowiedzieć – chociaż nie miał do powiedzenia niczego więcej niż „w porządku”.

Zrobił, jak mu powiedziano. Wyciągnął dziennik Halla i położył go obok ławki, gdzie padł kapłan w kałuży krwi. Potem wyszedł przez okno. Royce’a nigdzie nie było widać. Hadrian nie miał pojęcia, dokąd złodziej pobiegł – może w lewo, może w prawo. W tej chwili jednak nie było to ważne. Sam pobiegł w prawo, w kierunku, z którego przyszedł.

Royce zostawiał go w tyle. Hadrian nie miał najmniejszej nadziei dogonić go, ten człowiek był za szybki, za zręczny. Pewnie już zeskoczył i zjedzie z wieży, zanim Hadrian dotrze do liny. Z trudem łapał oddech po wspinaczce, a jeszcze wiatr wył mu prosto w twarz, więc Hadrian zwolnił do truchtu.

Nie tylko wiatr hałasował. Mężczyźni krzyczeli, a wichura uderzała i niosła gniewne głosy. Przed nim albo za nim – Hadrian nie był pewien. Wiedział tylko, że Royce’a już nie ma i został sam na wieży, gdzie będzie musiał stawić czoło pokłosiu czynów złodzieja. Pomyślał o Korniszonie i zazgrzytał zębami.

Cisza, wiatr, cisza. Kamienne blanki odcinały go od wichury. Szczeliny z gwiazdami błyskały po jego lewej stronie, lity kamień po prawej. Przed sobą zobaczył linę i dwie uprząże.

*Wyobraź sobie dwudziestu strażników z wieży z ostrymi mieczami, biegnących w twoją stronę i dwudziestu następnych strzelających z kusz. Wyobraź sobie, jak ich belty odbijają się z brzękiem od kamienia. Nie chodzi o to, żebyś zjechał na dół, nim któryś cię dźgnie, sieknie albo ustrzeli. Musisz znaleźć się na dole, zanim się zorientują, że wystarczy przeciąć linę.*

Hadrian zatrzymał się z poślizgiem przy krawędzi i podniósł swoją uprząż.

Ile mam czasu? Kilka sekund?

– Po co w ogóle to zdejmowałem? – mruknął, zerkając przez

ramię i wciągając uprząż przez nogi. Nagle przystanął. – Dlaczego leżą dwie?

Wychylił się za krawędź. Lina wisiała, kołysząc się leniwie na wietrze. Nigdzie ani śladu złodzieja. Chociaż Royce potrafi być szybki, bez upręży nie mógł znaleźć się już nad dole, chyba żeby spadł. Hadrian patrzył na drugą uprząż, naciągając paski własnej na ramiona. W oddali krzyki nadal rozbrzmiewały. Czuł wibracje drewnianego chodnika. Na blankach znajdowali się ludzie.

Pomost tworzył duże koło. Okno, którym weszli, znajdowało się w połowie obwodu, licząc od miejsca, w którym się wspięli. Można było pobiec w dowolnym kierunku po wyskoczeniu z okna i w końcu dotrzeć do liny. Hadrian pobiegł na prawo, wracając tą samą drogą, którą nadbiegł. Royce, jak zdał sobie właśnie sprawę, pobiegł w lewo.

\* \* \*

Royce uznał, że nadal ma szansę przeżyć, póki przeciwników było tylko dwóch. Trzech znaczyło pewną śmierć, a teraz było ich pięciu. Przynajmniej wszyscy byli strażnikami z wieży, tutejszymi żołnierzami, nie seretami. Niemniej ich miecze były równie długie, co dawało im trzy stopy przewagi. Uwięziony w wąskiej przestrzeni nie miał za wiele miejsca na manewry i żadnej kryjówki.

Zerknął przez ramię. Nigdzie ani śladu Hadriana, ale to oczywiste – pobiegł w drugim kierunku. Każdy z nich miał taką samą szansę i Hadrian okazał się większym szczęściarzem. Obiegł wieżę stroną, na której nie było strażników, dopadł liny i teraz ześlizgiwał się błyskawicznie. W niecałe pięć minut jego były partner znajdzie się na ulicy i pobiegnie do koni. Za kwadrans będzie już oddalał się klusem. Hadrian zrobił mu dokładnie to, co on zamierzał zrobić jemu. Tyle że w wypadku wojownika zdecydował czysty przypadek.

Strażnicy podchodzili, a Royce się cofnął.

Wzdłuż blanków znajdowały się inne okna i drzwi, ale przez żadne nie odważył się wejść, bo wyobrażał sobie, że w koronie aż roi się od ludzi rwących się, żeby go zabić. Royce miał jedną szansę. Mógł pobiec, okrążyć wieżę jak Hadrian i dopaść liny. Jeśli będzie dostatecznie szybki, zdąży zeskoczyć z krawędzi i zjechać parę stóp, zanim przetną sznur. Jeśli zdąży założyć pazury i chwycić się kamienia, może zdoła zejść na dół. Jednak pewnie i tak go dopadną. Nim on zejdzie, ludzie będą już czekali na dole. Nie miał jednak lepszej możliwości.

Zwlekał zaciekawiony, czemu strażnicy się wahają. Podkradali się krótkimi kroczkami, dźgając wyciągniętymi mieczami. Żadnych poważnych prób zranienia go. Przypominali stadko starych bab zmiotłami, które odpędzały Royce'a, jakby był wiewiórką na ich dachu. Mężczyźni tego rodzaju zwykle nie byli tak nieśmiali – chyba że już go znali. Wyraźnie coś mu umykało.

Czas nie sprzyjał Royce'owi. Odwrócił się, żeby podjąć ryzykowne rozwiązanie, ale zanim zrobił dwa kroki, zobaczył dwóch kolejnych strażników wychodzących z wieży na pomost. Zaszli go teraz od frontu i od tyłu, a już kolejni przepychali się, żeby wziąć udział w zabawie.

To na to czekaliście.

Żaden z mężczyzn dźgających ostrzami nie odezwał się słowem. Nie zażądali, żeby rzucił sztylet, poddał się. Wyglądało na to, że Kościół stosował surowe kary za profanację domu ich świętego przywódcy. Royce miał już teraz tylko dwie możliwości: zginąć od miecza albo od upadku. Oparł się plecami o ścianę, żeby zobaczyć, która strona pierwsza zaatakuje. Mężczyzna z krótką bródką po jego prawej uśmiechnął się szyderczo.

Royce ugiął nogi gotowy skoczyć. Największe szanse miał, jeśli zrobi unik, wyprowadzi cios w serce albo płuca i natychmiast rzuci się do przodu. Tamci zbili się w gromadkę. Mógł ze dwóch przewrócić, dźgnąć kolejnego albo nawet dwóch, zanim...

Ktoś krzyknął.

Krzyk rozległ się za jego plecami.

Royce nie miał czasu spojrzeć, bo Bródka wykorzystał okazję do ataku. Dźgnął mieczem. Royce uskoczył i rzucił się na stłoczonych strażników. Z całej siły uderzył w męczyznę ramieniem, wbijając Alverstone od dołu w pachę. Początkowy opór zniknął, gdy tylko ostrze wbiło się i męczyzna poleciał do tyłu z jękiem. Żołnierz stojący dokładnie za nim też się przewrócił. Trzeci okazał się szybszy, niż Royce się spodziewał. Dźgnął, kierując ostrze w dół. Royce przeturlał się pod wewnętrzną ścianą i klinga żołnierza przebiła udo drugiego męczyzny, który wydał z siebie piskliwy kwik. Royce wspiał się po kwiczącym strażniku i wbił sztylet w stopę trzeciego przeciwnika, który nadal był zaszokowany faktem, że zranił towarzysza. Ból go otrzeźwił, więc zamachnął się na Royce'a, który zdołał odturlać się bezpiecznie. Kuśtykając, strażnik cofnął się, gdy dwaj pozostali towarzysze odciągnęli go na bok.

W każdej chwili Royce spodziewał się ciosu w plecy. Nie miał czasu obejrzeć się i nie mógł walczyć na dwie strony. Mała armia za nim miała odkryty cel. Zastanawiał się, dlaczego tak zwlekają z wykończeniem go. Ich opieszałość niemal go złościła.

Wtedy Royce usłyszał szcęk stali i kolejny krzyk. Wreszcie zaryzykował i zerknął za siebie. Zobaczył ciała co najmniej czterech strażników, zlane krwią i blokujące chodnik. Pośród jatki stał Hadrian z mieczami w obu rękach.

Jak wszyscy inni żywi na pomoście Royce patrzył zaszokowany. Zbyt wiele niemożliwości kotłowało się w jego głowie. Złodziej stał sparaliżowany, nie mogąc myśleć, bo świat właśnie wywrócił mu się do góry nogami. Początkowo nie chciał uwierzyć, że to Hadrian. To musiał być ktoś inny. Może to sam Novron, który podsłuchiwał myśli Royce'a o zmiennych bogach i przybył wymierzyć mu karę? Strażnicy tylko stali mu na drodze. Jakimś cudem to wydawało się bardziej wiarygodne niż to, co widziały jego oczy.

Czy to możliwe, że ten idiota nie znalazł liny?

Hadrian przeskoczył nad trupami i stanął u jego boku.

– Schowaj się za mną.

Royce zrobił coś lepszego. Z jakiegoś powodu bogowie uznali za stosowne dać mu drugą szansę i zamierzał ją wykorzystać. Przemknął się za Hadriana i śmignął w stronę liny.

Nie znajdowała się zbyt daleko, ale zatrzymał się, nim dopadł do tego miejsca. Kolejnych dwóch strażników znajdowało się na pomoście i blokowało mu drogę ucieczki. Tyle że ci pod żadnym względem nie przypominali żołnierzy ani też seretów. Royce nigdy w życiu nie widział kogoś podobnego. Nosili złote napierśniki na koszulach w pionowe pasy w kolorze czerwieni, fioletu i żółci, z długimi mankietami i sutymi rękawami. Do tego mieli podobne spodnie zebrane tuż pod kolanami i opinające łydki pasiaste pończochy. Złote hełmy na ich głowach były ozdobione skrzydełkami posłańców, a twarze przesłaniały im siateczki. Mieli też niezwykłą broń – długie halabardy o ozdobnych, zakrzywionych ostrzach na obu końcach. Trzymali je ciasno przy sobie jedną ręką wyprostowaną i opuszczoną, a drugą uniesioną wysoko ku piersi.

Royce nie wiedział, czy ma się śmiać, czy uciekać. Wyglądali idiotycznie. Byli też potężnie zbudowani i martwiło go, że nie może widzieć ich oczu. Nie wahali się. Nie dźgali jak stare baby. Podeszli z taką determinacją, że Royce wybrał ucieczkę.

– Na Mara! – krzyknął Hadrian, kiedy Royce znowu przebiegł obok niego. – Coś ty znalazł tym razem?

– Nie wiem, ale oni mi się nie podobają.

Hadrian stanął między Royce'em i złotymi gwardzistami, którzy szli gęsiego. Nie śpieszyli się, ale też się nie wahali.

– Gdzie pozostali? – spytał Royce.

– Przekonałem ich, żeby odeszli.

– Gratuluję.

Hadrian otarł rękawem pot i krew z oczu. Pomost podskakiwał pod barwnymi strażnikami.

– Jak już zacznę walczyć, ty obiegnij wieżę. Wskakuj na linę i zjeżdżaj.

Hadrian użył jedynie głosu myślom Royce'a, który zrobił

krok wstecz i już miał uciekać, kiedy zauważył coś, co nie miało sensu.

– Ej, masz na sobie uprząż.

– Niewiele brakowało, żebym zjechał. Masz szczęście, że zorientowałem się, że masz kłopoty.

Złoci strażnicy podeszli.

Hadrian ugiął nogi i uniósł miecze.

– Zwijaj się.

Rzucił się na spotkanie pierwszego ze strażników. Royce patrzył z podziwem na Hadriana, który poruszał się jak tancerz, jednym mieczem trafiając w rękę, w której strażnik trzymał halabardę, a drugim dźgając drugiego przeciwnika. Wyglądało to tak, jakby zdołał wsunąć miecz pod napierśnik, ale czubek się ześlizgnął. Strażnik uderzył Hadriana z dostateczną siłą, żeby ten wpadł na Royce'a.

– Powiedziałem, żebyś uciekał!

– Już, już!

Royce wycofał się, kiedy Hadrian znowu zaatakował. Tym razem strażnik zamachnął się, obracając halabardą tak, że górne ostrze cięło w dół. Hadrian zablokował cios mieczem w lewej ręce, a Royce ze zdumieniem zobaczył, że ostrze zostało przecięte na pół.

– Ożeż!

Hadrian się wycofywał. Strażnik napierał. Hadrian zrobił unik, a spod wirującego ostrza halabardy sypnęły się iskry, gdy uderzyło w kamień wieży. Bez chwili wahania strażnik poderwał dolne ostrze, które Hadrian odbił złamaną klingą, ale tym sposobem złoty mężczyzna zyskał kolejną okazję do cięcia w dół. Hadrian powinien już nie żyć. Royce widział dość walk, by wiedzieć, że większość szybko się kończy. Jedno, dwa parowania to wszystko, na co można mieć nadzieję, a i to pod warunkiem, że obie strony trzymają się zasad fechtunku. Złoci bogowie przed Hadrianem nawet nie posługiwali się mieczami. Cios w dół był szybki i silny.

Brzęk!

Royce nie bardzo wiedział, jak to możliwe, że Hadrian uniósł



drugi miecz dostatecznie wysoko, by uratować się przed przecięciem na pół. Nie można było tego powiedzieć o mieczu, który pękł i koniec ostrza przeleciał poza krawędź muru. Hadrian uniknął rozcięcia na pół dzięki temu, że padł na kolana.

– UCIEKAJ! – wrzasnął.

Royce dość się napatrzył. Śmignął wokół wieży. Dobiegł do ciał, przeskoczył nad nimi i wpadł w taki poślizg na zlanym krwią pomoście, że omal nie wypadł przez przerwę między zębami blanków.

Leżało tam osiem ciał. Hadrian zabił siedmiu.

Royce zbliżał się do miejsca, gdzie zaczepił linę, kiedy znowu zobaczył złotego strażnika. Tym razem tylko jednego, ale po tym, jak widział walkę Hadriana, wiedział, że to i tak za dużo. Ilu takich wspina się schodami, żeby nas dopaść? Nie, zdał sobie sprawę, że to drugi z tych, którym stawiał czoło Hadrian. Czyli Hadrian pewnie już nie żył. Drugi strażnik zaraz zajdzie Royce'a od tyłu, obszedłszy wieżę.

Walka nie miała sensu. Musiał tylko przemknąć obok niego. Gdyby zdołał uniknąć jednego ataku i przeskoczyć dalej, miałby szansę rzucić się do liny. Nie czekając, nie zatrzymując się, Royce pobiegł do strażnika, a potem skoczył w lewo i zaraz w prawo. Złoty strażnik bez twarzy rzucił się za nim i zamachnął się z niewiarygodną szybkością, minawszy o włos lewą nogę Royce'a. Obracając się i wykorzystując rozpęd, Royce przepchnął się przez szparę między ścianą wieży a złotą zbroją. Za późno przypomniał sobie o drugim ostrzu halabardy strażnika.

Poczuł, jak metal wbija mu się w bok, i chociaż zamierzał wylądować na prawej nodze i biec dalej, kończyła odmówiła mu posłuszeństwa. Padł pod własnym ciężarem. Prześlizgnął się po drewnianym pomoście na własnej krwi. Przeturlał się na plecy i patrzył, jak strażnik bez twarzy opuszcza broń w śmiertelnym ciosie, a wirujące, podobne do kosy ostrze celuje w jego pierś.

Brzęk!

Drzewce uderzyło w ścianę, krzesząc iskry i obszczypując kawał

kamienia wielkości pięści. Hadrian znowu się pojawił, stał nad nim. Trzymał wielki miecz i wykręcając nim pełne koła, trafił w szczelinę między kołnierzem hełmu strażnika i brzegiem napierśnika. A przynajmniej tak Royce myślał. Jego głowa powinna polecieć na odległość mili, ale strażnik tylko uderzył o ścianę, a hełm oderwał kolejny kawałek kamienia.

Hadrian nadal uderzał. Prąc przed siebie, zasypywał strażnika ciosami i zmuszał go do cofania się. Royce próbował się podnieść. Oparł się na łokciach i zobaczył, że rozcięcie w boku jest głębokie, a tunikę ma zlaną krwią. Próbował podczołgać się do liny. Z bólu omal nie zemdlął.

Prawie przebijając się przez obrony Hadriana, strażnik powstrzymał jego napór i sam przeszedł do ataku.

Royce, leżąc na plecach i podpierając się na łokciach, zorientował się, co się stanie, ale nie zdążył ostrzec Hadriana. Wojownik wszedł w kałużę krwi i się poślizgnął.

Zdołał zablokować cios, trzymając obiema rękami wielki miecz jak kostur, ale siła ciosu uderzyła nim o kamienną ścianę wieży. W przeciwieństwie do strażnika Hadrian nie miał hełmu. Zdołał jednak przewidzieć cios drugim ostrzem. Próbował blokować, ale nie do końca mu się udało. Krzyknął, padając obok Royce'a.

Strażnik uniósł broń nad nimi i można było rzucać monetą, żeby zgadnąć, który pierwszy zginie.

Tyle że Hadrian jeszcze nie skończył.

Strażnik też stał teraz we krwi Royce'a. Z krzykiem, który złodziej uznał w równym stopniu za wrzask bólu, co determinacji, Hadrian wbił czubek długiego miecza prosto w środek napierśnika. Royce uznał to za nieudolne i rozpaczliwe, dopóki nie zdał sobie sprawy, że Hadrian nie próbował przebić zbroi. Odepchnął strażnika ku krawędzi wieży, celując w przerwę między blankami. Kiedy strażnik uderzył tyłem kolana o kamień, zatoczył się. Stopa na krwi nie miała zaczepienia i bez słowa olbrzymi, odziany w złoto wojownik zniknął za krawędzią.

Chwilę potem Hadrian padł obok Royce'a i obaj leżeli, patrząc

na czarne niebo. Chmury zakończyły proces zasłaniania gwiazd.

– Dasz radę zejść? – spytał Royce.

– Chyba tak.

– No to ruszaj.

– A ty nie idziesz?

– Zostanę. – Może to nie chmury. Wszystko było czarniejsze niż zwykle. Obrzeża pola widzenia zniknęły w atramentowej mgle, która wciąż się rozrastała. – Albo umieram, albo zaraz zemdleję. Jeden z nas powinien przeżyć.

Serce mu waliło, biło za szybko jak na człowieka, który leży na plecach. Mimo dzwonięcia w uszach usłyszał, jak obok niego Hadrian się podnosi.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał Royce.

– Co?

– Wróciłeś. Byłeś bezpieczny. Byłeś przy linie. Dlaczego wróciłeś?

– Z tego samego powodu, dla którego nie zostawię cię tutaj.

Royce usłyszał zgrzyt metalu o kamień, kiedy Hadrian podniósł miecz. Chwilę potem poczuł, że ktoś go podnosi. Przenikliwy ból przeszył go przez środek, potem zalała go czerń.

\* \* \*

Kiedy Royce otworzył oczy, nic nie miało sensu. Znajdował się w pozycji pionowej, twarz miał dociśniętą do pleców Hadriana i obaj lecieli. Potem zwolnili i Royce poczuł, że w ciało wgryza mu się uprząż. Głowa mu opadła, ale dostrzegł, że nadal znajdują się w połowie wysokości wieży. Ulica poniżej była szarą linią nie szerszą niż sznurek.

– Co robisz? – spytał.

– Witaj z powrotem.

– Jesteś idiotą.

– Wołałem, kiedy byłeś nieprzytomny. – Hadrian znowu popuścił kawałek liny i runęli w dół.

Kiedy ponownie zwolnili, Royce poczuł rozdzierający ból i znowu świat mu się rozmazał. Czuł, że coś ściska go w pasie, utrudniając oddychanie.

– Chciałbym mieć pewność, że w pełni rozumiesz, jakim skończonym głupcem jesteś. Nigdy nie uciekniesz ciągnąc mnie ze sobą.

– Wiesz, nigdy do tej pory nie doceniałem twojego milczenia, ale tak naprawdę to jedna z twoich cnót.

Wisielei nieruchomo, kiedy Hadrian przygotowywał się do przeskoczenia na drugą linę.

– Nie ruszaj się.

Royce roześmiały się, gdyby się tak bardzo nie bał, że wylecą mu wszystkie wnętrzności. Nic nie widział, ale dużo mógł zgadnąć po odgłosach.

Hadrian stęknął, przesunął się, znowu stęknął. Nastąpiło szybkie szarpnięcie i Royce'owi aż podskoczyła głowa, policzkiem uderzył o skórę pochwy wielkiego miecza.

– Miałeś rację co do mieczy – powiedział. – Naprawdę potrzebujesz trzech.

– Mówisz jak pijany.

– Czuję się jak pijany. A nie cierpię być pijanym. Wtedy nic nie działa, jak powinno. Zachowuję się wtedy durnie... Zupełnie jak ty.

– Masz świadomość, że właśnie próbuję uratować ci życie, prawda?

– A której części słowa „durnie” nie zrozumiałeś?

Hadrian poruszył się i Royce poczuł, że uprząż się zaciska, i znowu opadli, zakołysali się, zwolnili, odepchnęli i jeszcze raz opadli.

– Tamte dwa miecze pękły jak kość kurczaka – powiedział Royce.

– Aha, nie wiem, jak to się stało.

– A ten duży nie.

– Nie.

– To dlaczego nie robisz wszystkich mieczy w taki sposób?

– Tego nie wykułem sam.  
– Czyli nie dość, że jesteś głupi, to jeszcze kowal z ciebie do dupy?

– Mógłbym cię zrzucić.

– Ale diabelnie dobrze walczysz. Arcadius miał rację, sukinsyn jeden. Naprawdę nie cierpię tego staruszka.

Kolejna zmiana lin, kilka razy opadli i wylądowali. Słyszeli krzyki, ale po drugiej stronie wieży. Royce rozejrzał się, jednak nigdzie nie widział ciała złotego strażnika. Hadrian musiał go zepchnąć dalej, niż to zapamiętał.

– Dobry Mariborze, ale ty jesteś ciężki – warknął Hadrian, rozwiązując sznur.

– Nie, nie jestem. Ty jesteś ranny. – Royce przesunął rękę i natrafił na przesiąknięte krwią ubranie. – Boże, krwawimy jak poderżnięte gardło.

– Ty bardziej niż ja.

– To ci poprawia samopoczucie?

– Prawdę mówiąc, tak.

Uwolnwszy się od liny, ale z Royce'em nadal umocowanym do pleców, Hadrian chwiejnie ruszył ulicą. Usłyszeli trzaskanie drzwi i kolejne okrzyki, ale nikogo nie widzieli.

– Co teraz? – spytał Royce.

– Mnie pytasz? Ja jestem idiotą, zapomniałeś? Ty jesteś geniuszem. Co powinniśmy zrobić? Wracać do koni, nie?

– W życiu nie zdążymy.

– Ale powiedziałaś, że to tylko kawałek.

– To było wtedy, kiedy mogłem chodzić i nie zostawiliśmy za sobą krwawych śladów. Teraz nie mamy szansy.

– Na razie nie jestem pod wrażeniem twojego geniuszu.

– Przyznaję, że lepiej myślę, kiedy nie wykrwawiam się na śmierć.

Hadrian uskoczył w szparę między dwoma kamiennymi domami. Gdzieś rozległ się dźwięk rogu, nie sposób określić gdzie, bo alarm odbijał się od ścian budynków.

– A może rzeka? Widziałem ją z wieży. Płynie parę kroków stąd, prawda?

Hadrian zagłębił się w gęsto upakowaną okolicę ze sklepami i domami. Zaułkiem doszli do niskiego muru, który biegł wzdłuż zakręcającej ulicy. Dwadzieścia stóp niżej płynęła rzeka.

– Moglibyśmy skoczyć.

– Oszalałeś?

– Możemy unosić się na wodzie. Nie zostawimy śladów, a rzeka wyniesie nas z miasta.

– Utonę.

– Nie potrafisz pływać?

– Normalnie potrafię, ale normalnie potrafię też chodzić. Nie jestem przekonany, że zdołam płynąć i utrzymać wszystkie kiszki w środku. I to spory spadek. Kiedy uderzę o wodę, zemdleję.

– Zostaniesz na moich plecach. Będę ci trzymał głowę nad wodą.

– To obaj utoniemy.

– Możliwe.

Kiedy Hadrian zerknął znad krawędzi, rozbrzmiały kolejne rogi i zaczęto bić w dzwon.

– Dobra – powiedział Royce.

– Co dobra?

– Dobra, skoczmy do rzeki.

– Na pewno?

– Aha. Pod warunkiem, że skoczmy razem. Wtedy będę wiedział, że jeśli ja umrę, to i ty.

Royce usłyszał, że Hadrian się śmieje.

– Umowa stoi.

Hadrian zrobił krok. Wtedy Royce zyskał lepszy widok na zaułek i zobaczył resztki połamanej skrzynki.

– Czekał.

– Co?

– Weź tę drewnianą skrzynkę z zaułka.

Hadrian się odwrócił.

– Jak ją wypatrzyłeś?

Kolejne dzwony rozbrzmiały, a rogi dalej ryczały; miało się wrażenie, że to północ w zimonia. Trzymając już w rękach skrzynkę, Hadrian wspiął się na mur. Royce poczuł chwiejne szarpnięcie, kiedy Hadrian się odepchnął i omal się nie przewrócił.

– Zatkaj nos – powiedział mu Hadrian – i staraj się nie krzyczeć. To zabol.

– Pewnie tylko przez sekundę. – Royce zarechotał.

Przestał się przejmować i odkrył, że wszystko, co mu zostało, to czysty absurd.

– Wieczny z ciebie optymista, co?

– Skaczące wreszcie!

– Gotowy?

– Tak.

– Raz... dwa...

– Błagam, zanim umrę.

Hadrian stęknął. Royce poczuł szarpnięcie i upadek. Pęd powietrza odwiał mu włosy, a potem... Pustka.

# Rozdział 18

## *Rose*

Rose stała za Gwen w drzwiach frontowych i kręciła głową, odmawiając klientowi wstępu do Domu Medford. Piorunowała go przy tym wzrokiem, do czego musiała odchylić głowę, ponieważ mężczyzna przed nią był ogromny. Był tak wysoki, że musiałby się pochylić, żeby wejść, gdyby Gwen go wpuściła.

– Ale ja mam pieniądze! – ryknął na nią, pochylając się tak, że prawie zetknęli się nosami.

Rose nigdy nie widziała niedźwiedzia, ale tak odbierała mężczyznę – ogromny, potworny niedźwiedź, który próbuje wtargnąć do ich domu. Wyobrażała sobie, że tak zachowałby się niedźwiedź, ryczałby w pysk lisowi, który by z jakiegoś niewyjaśnionego powodu uparcie obstawał przy swoim.

– Nie obchodziłoby mnie, nawet gdybyś miał klejnoty z Wieży Koronnej w sakiewce – odparła Gwen. – Takie są zasady.

– Tyle mnie obchodzą twoje zasady, co dupa wściekłego szczura! Przyszedłem na dziwki! Mam pieniądze na dziwkę i dostanę dziwkę!

– Nie, jeśli się nie zgodzę, a nie wpuszczę cię, dopóki nie zastosujesz się do zasad.

– Nie wykapię się! – Niedźwiedź wydyszał jej prosto w twarz i jego oddech aż odwiał jej włosy.

Gwen skrzyżowała ręce na piersi.



– No to nie dostaniesz żadnej pani.

– Nie chcę pani. Chcę dziwki, a nie trzeba się kąpać, żeby dostać dziwkę.

Niedźwiedź nazywał się tak naprawdę Hopper i rzeczywiście był brudny. Był ubrany jak zawsze – w wełnianą koszulę z ciemnożółtymi zaciekami pod pachami. Miał dwie dziury wycięte w przerośniętym połączonym buszu włosów i brody. Możliwe, że nie miał pojęcia, że na głowie zbiera mu się materiał na gniazdo dla wiewiórki. Możliwe też, że wiedział i uznał, że to go czyni bardziej atrakcyjnym na rustykalny, męski sposób.

– W tym domu będziesz mówił o kobietach „panie” i przyjdiesz czysty i uprzejmy. W przeciwnym razie możesz zabrać swoje pieniądze do lokalu naprzeciwko.

To zdezorientowało niedźwiedzia. Rose to zauważyła. Zaraz jednak rozgryzł zagwozdkę i skrzywił się.

– Grue nie ma dziwek. Wszystkie są teraz tutaj.

– Chodziło mi o to, że możesz iść do Grue się napić.

– Ale ja nie chcę pić. Potrzebuję kobiety.

– To idź gdzie indziej.

– Inne burdele nie są warte pieniędzy.

– A czego im brakuje?

– Tam nie pachnie tak ładnie.

Niedźwiedź nie należał do tych wygadanych. Sam cuchnął tak, że Rose pomyślała, że wytarzał się w rynsztoku.

Rose nie знаła go osobiście. Odwiedzał „Ohydny Łeb” dostatecznie często, żeby kojarzyła jego twarz, ale nigdy nie spędzili razem czasu. Był regularnym klientem Jollin, która często komentowała jego smród. Dla niej Hopper był nie tyle niedźwiedziem, ile skunksem. Mnóstwo mężczyzn, których zabawiały, odpowiadało temu opisowi i dlatego Gwen ustaliła nową zasadę.

– A ty wolałbyś czystą, słodko pachnącą dziewczynę, zgadza się?

– Pewnie.

– Bo lizanie ziemi i potu przed tygodnia jest obrzydliwe, nie?

– Właśnie.

– Panie tutaj w pełni się z tobą zgadzają i dlatego umyjesz się przed wizytą u nas.

– To nie ma znaczenia, co one lubią. Ja tu płacę. Ja tu rządę.

– Już nie. Teraz możesz iść albo na drugą stronę ulicy i przepić swoje pieniądze, albo do cyrulika, umyć się i wrócić. A jeśli wrócisz, uprzedzam, że masz być uprzejmy i okazać szacunek.

– Mam okazać szacunek dziwce?

– Masz okazać szacunek pani domu, bo inaczej możesz iść się potarzać w gnoju z dziwką.

Stał w progu, dysząc ciężko z wysuniętą dolną wargą. Sapnął kilka razy i wbił wzrok w podłogę.

– Nie starczy mi pieniędzy, jeśli zapłacę za mycie.

Gwen opuściła rękę. Dotknęła dłoni niedźwiedzia.

– Idź się umyj. I ogól się. Przepierz te rzeczy i wróć. Coś wymyślimy. Obstawę nie tylko przy tym, żeby nasi klienci byli czysti. Wymagam też, żeby byli zadowoleni.

Hopper spojrzał na nią i jego kamienna twarz złagodniała.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

Szarpnął tunikę na ramieniu i pociągnął nosem.

– Może przydałoby się ją przepłukać raz albo dwa. – Skinął głową i odszedł.

Kiedy tylko zniknął, Gwen podeszła do jednego z nowych wyściełanych krzeseł i padła na nie.

– Teraz ich odsyłasz.

Rose podkradła się i usiadła obok niej na ławce. To był jeden z ostatnich starych mebli, zwykła deska z ruin oberży, z której Dixon zrobił siedzenie. Rose nie była pewna, dlaczego nadal tam stoi wśród pięknych mebli, które Gwen osobiście wybrała u meblarzy z ulicy Rzemieślników, ale był to jeden z nielicznych reliktyw, jedna z pozostałości z okresu, kiedy zaczynały, i właśnie na niej Rose najwygodniej się siedziało.

– Stać nas na to – odpowiedziała Gwen. – A on wróci. Wiesz...

Powinnyśmy zainwestować w kilka dodatkowych balii. Można by kąpać ich na miejscu, nawet pobierać opłatę za ten przywilej.

– To świetny pomysł. Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać.

Rose uśmiechnęła się do niej, a Gwen odpowiedziała tym samym. Ostatnio wszystkie się uśmiechały. Początkowo Gwen zachęcała je do tego, tłumacząc, że to dobre dla interesów, a teraz już nie musiała im przypominać. Wszystkie tak ładnie wyglądały w nowych sukienkach. Gwen kupiła materiał w tym samym sklepie, gdzie kupiła zasłony i wytargowała dobrą cenę za obie rzeczy. Wszystkie wyglądały tak pięknie i szacownie, że Gwen zaczęła je nazywać paniami, Paniami Domu. Tak jej się to spodobało, że upierała się, żeby wszyscy tak mówili.

– Nie będą was szanować, dopóki nie będziecie się zachowywać tak, jakbyście zasługiwały na szacunek – powiedziała dziewczynom.

Wiedziała, co mówi. Gwen zdobyła szacunek u wszystkich rzemieślników. Nie dość, że dzięki niej stolarze, smolarze, szklarze i kamieniarze zarabiali na chleb, to jeszcze przy każdej wizycie wszystkich traktowała jak królów. Mężczyźni, którzy szydzili, gdy wchodziła do ich warsztatów, przychodzili teraz do niej po radę. Żaden nie zapraszał jej na kolację ani nie sugerował, żeby starała się o urząd administratorki okręgu, ale uśmiechali się, kiedy ich mijała, i często otwierali jej drzwi. Już nie była cudzoziemką, stała się mieszkanką Medfordu. Wreszcie znalazła swoje miejsce.

Miała milion pomysłów. Dwa razy w tygodniu urządzała tańce. Wieczory Skrzypek, Fajarki i Bębenka – tak to nazywano. Tańce były darmowe, interesy prowadzono dopiero potem. Przez kilka godzin były arystokratkami na balu, a poza tym tańce przyciągały lepszą klientelę. Oczywiście nie były prawdziwymi damami. Damy były szlachetnie urodzone i nie nosiły pod sukienkami starych szmat w charakterze halek.

W miarę jak robiło się coraz zimniej, Gwen zapraszała nędzarzy na darmową zupę z cebuli i rzepy, ale nie była to działalność charytatywna. „Każdy ma jakiś talent”, powtarzała wszystkim

i miała rację. Większość biedaków kiedyś czymś się zajmowała – jeden był konwisarzem, inny hafciarzem, farmerem, kominiarzem. Dawała zajęcie każdemu, dla kogo je znalazła, a ci, którzy byli za starzy lub zbyt chorzy, uczyli innych tego, co umieli. Farmerom dała pod uprawę kawałek ziemi za Domem. W następnym roku pomoże im to zapełnić spiżarnię. Jeden staruszek handlował kiedyś miodem i obiecał, że zrobi im ul.

Gwen nie była jak pozostałe dziewczyny. Wszystkie w mniejszym lub większym stopniu poddały się w jakimś momencie, odrzuciły marzenia i podporządkowały się wymogom świata. Rose widziała, że Gwen różni się od nich sposobem zachowania, nawet chodzi inaczej, a przede wszystkim w odmienny sposób rozmawia z mężczyznami. Chociaż nazywała je wszystkie paniami, Rose wiedziała, że jedyna prawdziwa pani, jedyna prawdziwa dama w Domu Medford to Gwen DeLancy.

Usłyszały kroki na werandzie i zaraz otworzyły się frontowe drzwi. Chłodny powiew sprawił, że zamigotały płomienie lamp i do salonu wszedł Stane. Był zbryzgany błotem i cuchnął rybą. Przetłuszczone włosy przykleiły mu się do czoła, na twarzy jeżył się zarost.

Gwen w okamgnieniu poderwała się z krzesła.

– Czego chcesz?

– A jak myślisz? To burdel, nie?

Gwen pokręciła głową, zanim skończył.

– Nie dla ciebie.

– Co masz na myśli?

– Nie masz tu wstępu. Nigdy nie będziesz miał tu wstępu.

– Nie możesz tego zrobić – powiedział, wchodząc na nowy dywan w zabłoconych butach. – Ukradłaś wszystkie dobre dziewczyny i zamknęłaś je tutaj. Nie możesz całkowicie pozbawić mężczyzn kobiet.

– Założymy się?

Zrobił krok w jej stronę i perwersyjny uśmiezek wypłynął mu na wąskie, nierówne usta.

– Wiem, że nie ma Dixona. Wyjechał z miasta dwa dni temu i jeszcze nie wrócił. Teraz zostaliśmy tylko ty i ja. Nie masz nawet Grue, żeby cię obronił. – Zrobił następny krok. – Wiesz, Grue pewnie porządnie zapłaciłby komuś za podpalenie tego miejsca. – Rozejrzył się. – Szkoda byłoby, gdy to wszystko się spaliło. Dziwne, że jeszcze tego nie zrobił.

– Grue nie jest taki głupi jak ty. Otrzymałam królewskie pozwolenie na ten przybytek, wchodząc w spółkę z miejskim asesorem. Tak jak ty wie, jak bardzo Grue chciałby zobaczyć naszą porażkę. Jakikolwiek podejrzany pożar albo śmierć i jak myślisz, kogo asesor obwini? A spalenie każdego budynku w Medfordzie to zbrodnia przeciwko królowi, ponieważ on jest właścicielem tego domu, a my go tylko dzierżawimy. Jeśli skrzywdzisz którąkolwiek z nas...

– Nikogo nie skrzywdzę, przyszedłem się zabawić.

– Idź gdzie indziej.

Oczy mu zabłysły na widok Rose.

– Wezmę tę.

Rose pisnęła słabo i cofnęła się trzy kroki w stronę schodów.

– Wynoś się, Stane – rozkazała mu Gwen.

– A może wezmę ciebie.

Zrobił kolejny krok.

Gwen nie poruszyła się, nawet nie mrugnęła. Stała z nim nos w nos i spojrzała mu w oczy, a wtedy jej twarz się wykrzywiła.

– O, dobry Mariborze – szepnęła i zasłoniła usta ręką. Na jej twarzy malowała się odraza. – O Boże miłosierny.

Jej nagła zmiana zaskoczyła Stane'a, który patrzył zdezorientowany.

– Co? – Zerknął na Rose, a potem znowu na Gwen. – W co ty pogrywasz?

– Och, Stane, tak mi przykro – powiedziała współczująco Gwen.

Rose była zdumiona. W pierwszej chwili zastanawiała się, czy Gwen udaje, próbując go zwieść, ale Gwen nie grała. Rose nigdy nie widziała takiej grozy na jej twarzy.

Stane'owi też zrzęda mina. Groźba ustąpiła miejsca niepokoju.

– Z jakiego powodu?

– Powodu tego, co się wydarzy.

– Co ty, do diabła, wygadujesz? – Stane się cofnął.

Odwrócił się, rozejrzał się po salonie, szukając zagrożenia.

– On cię zabije. – Gwen mówiła upiornym głosem. Była wyraźnie wstrząśnięta. Nie zmyślała. Ręce jej drżały, gdy wyciągnęła je ku niemu.

– Kto taki?

– To będzie powolna, boleśnie powolna śmierć. On... On pokroi cię na kawałki i zostawi, żebyś się wykrwawił. Powiesi cię na placu Kupieckim i ozdobi świecami.

– Kto taki? O czym ty mówisz? Dixon nie...

– Nie Dixon. – Powiedziała to z przekonaniem, z siłą, pełna najgorszych przeczuc. – Nie będziesz go znał. Będziesz pytał dlaczego, a on nie odpowie. Ani razu nie odezwie się ani słowem. Będzie ciął, ciął i ciął... A ty będziesz wrzeszczał.

– Zamknij się!

– To będzie późna noc... – Nadal wyciągała przed siebie drżące ręce.

– Zamknij się! – Stane zszedł z dywanu, jakby trzymała przed sobą żmije.

– Nikt ci nie pomoże, a krew... Krew będzie wszędzie. Krew jest potworna. Czy aż tyle krwi może pomieścić się w człowieku? – Gwen przystanęła, patrząc na podłogę i kręcąc głową w szczerzej konsternacji. Uniosła ręce, żeby zakryć uszy. – Cały czas krzyczysz, kiedy on cię dźwiga i zapala świece.

– Zamknij jadaczkę!

– Kiedy już odejdzie, gdy będziesz umierał, zejdą się ludzie. Będą patrzeć, ale nikt ci nie pomoże. Wiedzą, kim jesteś, zawsze wiedzieli, chociaż nigdy nie dowiedzieli się o wszystkim, co zrobiłeś. Jedna osoba wie o Avon, ale nikt nie wie o Ruth, Irene i Elsie. Nikt nigdy nie dowiedział się o żonie Callahana.

– Skąd o nich wiesz? – Stane był przerażony.

– I córkach Oldhama. Obu. Jesteś okropnym, okropnym człowiekiem, Stane.

Rose nigdy nie widziała twarzy tak wypełnionej strachem, jak teraz twarz Stane'a. Wytrzeszczał oczy i zerkał na boki.

– Będą patrzeć, jak umierasz – opowiadała Gwen, chociaż nawet Rose wolałaby, żeby przestała. – Jeden mężczyzna podstawia wiadro pod twoje stopy, żeby nałapać krwi. Wymiesza ją z paszą i nakarmi tym świnie. Och, Stane, to, co zrobiłeś Avon, to, co zrobiłeś im wszystkim, było takie straszne i powinieneś za to umrzeć, ale nawet ja nie życzyłabym ci tego... Ale chyba... Zasłużyłeś sobie na to.

Niezależnie od tego, jaki wpływ miały słowa Gwen na Stane'a, u Rose wywołały dreszcz do szpiku kości, jakiego nie wywołałby najsilniejszy wiatr. Jednakże to wyraz twarzy Gwen, jej szczere współczucie i odraza sprawiły, że serce Rose zamarło. Jakimś cudem Gwen była w stanie ujrzeć śmierć Stane'a. I jej oczami zobaczyła ją także Rose.

– Całkiem ci odbiło, suko, tyle ci powiem! – wrzasnął na nią Stane. – I możesz zostawić mnie w spokoju.

Wyszedł z domu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Gwen zachwiała się i wyciągnęła rękę, żeby się przytrzymać.

– Nic ci nie jest? – spytała Rose, podbiegając do niej.

Gwen objęła dziewczynę, ścisnęła ją mocno i zapłakała.

\* \* \*

– Proszę – powiedziała Rose, podając jej parującą filiżankę herbaty.

– Porcelanowa filiżanka i spodeczek? – zdumiała się Gwen.

– Zamierzałyśmy podarować ci ją podczas zimonałów, ale wyglądało na to, że przyda ci się teraz. Do tego czasu zdołamy znaleźć coś lepszego.

– Coś lepszego od porcelanowej filiżanki?

– Tylko poczekaj, a sama się przekonasz.

Obie siedziały na werandzie, która pachniała świeżą farbą i trocinami. Siedziały skulone na drewnianej ławce z podwiniętymi nogami, owinięte w koc, który Rose zdjęła ze swojego łóżka. To był jeden z pierwszych koców, jakimi owinęły się pierwszej nocy spędzonej w salonie, kiedy podzieliły się bochenkiem chleba i kawałkiem sera.

Tamta noc wydawała się taka odległa. Tyle się zmieniło od tego czasu, że mogłaby przydarzyć im się w innym życiu. Czas, jaki spędziły w niewoli u Grue, przytrafił się innym kobietom. To nie mogły być one. A z pewnością w żadnym razie nie mogła to być Gwen. Kiedy opierała się o nią na werandzie ich domu, po tym, jak widziała ją wypędzającą Stane'a, jakby to był opos grzebiący w ich śmieciach, Rose nie mogła sobie wyobrazić, żeby Gwen kiedykolwiek była posłuszna Raynorowi.

Wieczór był zimny i wkrótce zaczęło padać. Pierwsza zauważyła bębnienie o dachy przy ulicy Przekornej. Potem krople stały się większe, zaczęły szybciej spadać i wreszcie bębnienie zamieniło się w jednostajny szum. Weranda była zadaszona i strugi spływające z dachu sprawiły, że Rose miała wrażenie, że siedzi za wodospadem.

– Jak się czujesz?

Gwen przekrzywiła głowę.

– O wiele lepiej dzięki tobie. Ta herbata jest cudowna.

– Gwen... – Rose załamał się głos. – Co się przed chwilą stało? Coś ty zrobiła Stane'owi? To było...

Gwen odstawiła filiżankę ze spodeczkiem na podłokietnik i owinęła się ciaśniej kocem. Miała srogi, niemalże zły wyraz twarzy.

– Nie jestem czarownicą, Rose.

– Oczywiście, że nie. W ogóle tak nie pomyślałam. – Rose odwróciła się do niej, uważając na kruchą filiżankę.

– A co myślisz?

Gwen nie chciała na nią spojrzeć. Patrzyła na deszcz i chociaż



była zawinięta w koc, Rose wiedziała, że skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie wiem... Dlatego pytam.

Gwen się naburmuszyła.

– Po prostu spojrzałam mu w oczy, w porządku? Spojrzałam i zobaczyłam... Zobaczyłam jego śmierć. Trudno to wyjaśnić.

– To magia? – zapytała cicho Rose.

Wiedziała, że magia ma być podobno zła. Jej matka tak mówiła. Jeśli jednak Gwen potrafiła czarować, to czary nie mogły być złe, bo jeśli idzie o Rose, Gwen była ideałem, a matka Rose była ciemniejsza od bezgwiazdnej nocy.

– Nie – odpowiedziała szybko Gwen, nadal patrząc na deszcz. – To dar.

Wreszcie znowu spojrzała na Rose.

– Tak mówiła moja matka. Nazywała to Widzeniem. Niektóre kobiety, głównie tenkińskie, pochodzące z głębokich lasów, które zostały pobłogosławione Widzeniem, potrafią spojrzeć na osobę i zobaczyć jej przyszłość. Dłonie są najbezpieczniejsze, ale oczy... Oczy bywają otwartym oknem do duszy. Zerknij zbyt głęboko, a po prostu wpadasz i przepadasz. Widzisz, słyszysz i czujesz wszystko.

– Gwen odetchnęła. – Moja matka została obdarzona Widzeniem tak jak ja.

Na chwilę zapanowało milczenie.

– O czym teraz myślisz? – spytała Gwen. – Boisz się mnie?

Rose wzięła ją za rękę.

– Nie. Po prostu nigdy dotąd nie widziałam niczego takiego.

– To, co zrobiłam ze Stane'em... Nie chciałam tego. Zwykle tak się nie dzieje. Prawie nigdy.

– To było dobre. Wątpię, żeby Stane wrócił. Dziękuję ci, i to nie tylko za nastraszenie Stane'a. To, co zrobiłaś dla mnie, dla nas wszystkich, jest... Dałaś nam szansę, której nigdy byśmy nie miały, gdyby nie ty. Uratowałaś nas. Jesteś moją bohaterką.

– Ocaliliśmy się wzajemnie – odparła Gwen.

– Nie sądzę.

– Oczywiście, że tak. Jesteśmy jak rodzina, a w rodzinie wszyscy opiekują się sobą, wspierają wzajemnie i...

– Jak rodzina? – Rose omal się nie roześmiała, ale to nie było tak naprawdę zabawne, w ogóle nie było zabawne, kiedy się nad tym zastanowiła. – Rodziny tak nie działają, zaufaj mi.

– Co masz na myśli?

– Tylko mówię, że rodziny tak nie działają.

– Tak było w przypadku mnie i matki.

Rose przesunęła się i odwróciła. Nie chciała spierać się z Gwen.

– Jak to było u ciebie?

– Nieważne – odpowiedziała Rose. – Mam wrażenie, że minęły wieki. Byłam... To było zbyt dawno temu, żebym pamiętała.

– Znam historie pozostałych – odezwała się łagodnie Gwen. – Znam historię Jollin, Mae i Etty. Nigdy nie opowiedziałaś mi swojej.

– Nie ma o czym mówić.

– Było aż tak źle?

Rose zastanawiała się chwilę, a potem pokręciła głową. Najgorsze, że wcale nie było tak strasznie. Nie bito jej i nie zamykano w schowku. Bliscy nie sprzedali jej do niewoli, nie zostali wymordowani przez zbójców. Nie wpędziło jej do rysztocka nic aż tak straszego.

– Nie. To po prostu smutne.

– Powiedz mi.

Rose poczuła się niezręcznie. Głupio, bo rozmowa przybrała taki obrót. Wzruszyła ramionami, jakby chciała zapewnić Gwen, że to, co powie, mało dla niej znaczy.

– Moi rodzice pracowali na kawałku ziemi zaraz za Zimną Kotliną. Parę mil na wschód, między Traktem Króla a drogą Zachodniopólną. Mnóstwo kamieni i cierni, niewiele poza tym. Myślę, że ojciec starał się, ale może nie wiedział, co robi, może ziemia była zła... Wyglądała na złą. Może nasiona były złe albo było za zimno. Matka wiecznie go tłumaczyła. Nigdy nie zrozumiałam dlaczego, bo on o wszystko ją obwiniał. Pewnego dnia

zniknął. Zwyczajnie odszedł i nigdy nie wrócił. Matka powiedziała, że odszedł, ponieważ przymieraliśmy głodem i nie mógł znieść widoku naszej śmierci. Myślę, że dla niej to był jego sposób powiedzenia, że nas kocha. Dla mnie to była kolejna wymówka, w każdym razie ostatnia.

Rose poczuła, że Gwen głaszcze ją pod kocem, a jej ciemne migdałowe oczy patrzyły łagodnie i czule. Gwen miała tak dużo współczucia. Spodziewała się strasznej opowieści i Rose było przykro, że nie ma niczego okropnego do powiedzenia. Nic, tylko żniwo, jakie przynosi głupota.

– Potem nie miałyśmy już nic – opowiadała. – Mój ojciec, który tak nas kochał, zabrał muła i ostatnie miedziaki. Przeżyliśmy zimą, żywiąc się korzonkami i orzechami. Matka lubiła żartować, że żyjemy jak wiewiórki, ale ja już wtedy nie pamiętałam, jak to jest śmiać się. Nie chciała żebrać i odmawiała poproszenia kogokolwiek o pomoc. Mawiała: „On wróci, zobaczysz. Ojciec znajdzie pracę i wróci do nas z workami mąki, świniami, kurczakami, może nawet z mleczną kozą. Podobałoby ci się to, prawda?”. A ja żułam korę na obiad, kiedy to mówiła.

Gwen uścisnęła jej rękę, a Rose jeszcze bardziej się zakłopotowała, bo okazano jej tak dużo troski. Rose nie wiedziała też, dlaczego zaczęła płakać. Nie lubiła płakać przy Gwen. Chciała być równie silna, a płacz z powodu czegoś małego i głupiego był słabością. Rose nie cierpiała słabości.

– Matka mnie kochała – wyjaśniła Rose. – Była głupia, ale mnie kochała. Oddawała mi wszelkie jedzenie, jakie znalazłyśmy, i kłamała, że sama już zjadła. Następnej zimy, kiedy nie mogliśmy znaleźć już żadnych orzechów i korzonków, jadłyśmy igliwie sosnowe. Matka zmarła na gorączkę. Już wtedy został z niej sam szkielet. – Kiedy o tym mówiła, powróciła do niej twarz matki z zapadniętymi policzkami, cofniętym ustami, odsłaniającymi dziąsła. – Jednak to nie gorączka ją zabiła. Ani głód. Moja matka umarła z powodu dumy, głupiej, durnej, niemądrej dumy. Właśnie od tego umarła. Była zbyt dumna, żeby poprosić o pomoc. Zbyt

dumna, żeby przyznać, że jej mąż był nędznym, żalonym łajdakiem. Zbyt dumna, żeby zjeść swoją część...

Głos jej się załamał, słowa uwięzły w gardle, które zacisnęło się bez ostrzeżenia, jakby smak tego, co miało nadejść, był zbyt gorzki, żeby znieść go w ustach. Wzięła wdech, od którego zadygotała na całym ciele, i grzbietem dłoni otarła lzy płynące po policzkach.

– Była zbyt dumna, żeby zjeść swoją część tej odrobiny jedzenia, jaką miałyśmy. Mówiła, że już zjadła. Przysięgała, że już zjadła. Jednak za każdym razem, gdy narzekałam, że jestem tak głodna, że to aż boli, zawsze podsuwała mi orzeszek albo nadgniłą rzepę, twierdząc, że znalazła dwie i swoją już zjadła.

Rose pociągnęła nosem i znowu otarła oczy.

– Kiedy umarła, zostawiłam swoją dumę w naszej małej chatce i, zebrząc, dotarłam do Medfordu. Zrobiłabym wszystko. Gdy już spędziłaś popołudnie, ganiając muchę po domu, żeby ją zjeść, kiedy już zjadałaś pająki i ślinałaś się na widok robaków znalezionych przy wykopywaniu gołymi rękami grobu dla matki, nic nie jest poniżej twojej godności. Chciałam tylko żyć, zapomniałam o wszystkim innym. Gruda ziemi nie ma marzeń. Odprysk kamienia nie rozumie nadziei. Każdego ranka chciałam tylko ujrzeć następnego świt. I ty to zmieniałaś.

Gwen z trudem piła herbatę; miała mokre policzki.

– Ty nie jesteś taka jak moja matka – powiedziała jej Rose. – Nie jesteś taka jak ja. Stajesz w obronie siebie i innych. Sprawiasz, że świat jest taki, jaki powinien być. Ja tak nie potrafię. Jollin tego nie potrafi. Żadna z nas oprócz ciebie.

– Nie jestem nikim nadzwyczajnym.

– Jesteś. Jesteś bohaterką i potrafisz widzieć przyszłość.

Siedziały przez chwilę, słuchając kropli bębniących nad ich głowami. Deszcz zamienił się w ulewę, a strugi spływające z dachu w zasłonę z wody. Z jakiegoś metalowego kubła dobiegały stłumione brzęknięcia. Droga napełniała się wodą, kiedy kałuże łączyły się i tworzyły rzeki i stawy.

– Może lepiej porozmawiamy o Dixonie? – zaproponowała Rose

z przebiegłym uśmiechem.

Gwen zerknęła ponad piękną nową filiżanką, mrużąc podejrzliwie oczy.

– A co z nim?

– Wieść niesie, że się oświadczył.

Gwen była zaszokowana.

– Nieprawda.

– Etta mówi, że Dixon zaproponował, że zrobi z ciebie „uczciwą kobietę”.

– A... O to chodzi.

– Czyli się oświadczył!

Gwen wzruszyła ramionami.

– Powiedziałam, że będziemy dobrymi przyjaciółmi, zawsze. To bardzo dobry człowiek, ale...

– Ale co?

– To nie... ten.

– Ten? Jaki ten?

Gwen zakłopotała się i przesunęła stopy pod kocem.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

Pokręciła głową, a potem schowała twarz pod kocem.

– Może on w ogóle nie istnieje. Może go tylko wymyśliłam, poskładałam z fragmentów na przestrzeni lat. Może tylko próbuję przekonać siebie, że jest prawdziwy i nie łudzę się po prostu nadzieją na coś niemożliwego.

– Odrzucasz porządnego, pracowitego, prawdziwego mężczyznę na rzecz wyobrazonego?

Gwen zerknęła spod koca.

– Głupota, prawda? Niezła bohaterka.

– Cóż... To chyba bardzo romantyczne, ale...

– Możesz powiedzieć: głupie. Taka właśnie jestem, głupia.

– A jeśli ten biały rycerz nigdy się nie pojawi?

– To nie jest rycerz. Nie jestem pewna, czym albo kim jest, ale zdecydowanie nie jest rycerzem. I zjawi się, o ile nie jest jedynie

wytworem mojej wyobraźni.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ wysłałam po niego Dixona.

– Co? Jak mogłaś...

– Odczytałam dłoń Dixona i zobaczyłam, że to on go tu sprowadzi.

– Czekaj. Myślałam, że ten mężczyzna, ten nie-rycerz, to tylko marzenie, twoja fantazja.

– Jeszcze może się tak okazać. – Gwen urwała i wydawało się, że nic więcej nie powie, ale Rose nie pozwoliłaby jej teraz zamilknąć – nie, kiedy została zmuszona do zwymiotowania całej historii własnego życia.

– Wyjaśnij mi to, proszę.

Gwen zmarszczyła brwi.

– Na łożu śmierci moja matka zmusiła mnie do przyrzeczenia, że dotrę tutaj. Do Medfordu. Dostałam tamte złote monety od kogoś, kto powiedział mi to samo. To dlatego je dostałam. Żeby pomóc... jemu.

– Komu?

– Jemu.

Sfrustrowana Rose pokręciła głową.

– Mów z sensem, dobrze?

– Nie mogę, bo tu nie ma sensu. Nie wiem dlaczego miałam dotrzeć do Medfordu. Nie wiem, kim jest ten człowiek... Nic o nim nie wiem. Wiem tylko, że muszę tu być, kiedy się zjawi. Muszę mu pomóc i...

– I co?

Gwen pochyliła głowę, kryjąc oczy.

– Co?

– Nie wiem. Czekałam tak długo, myśląc o nim, wiesz? Zastanawiając się, jaki może być. Kim naprawdę jest, jak wygląda. Dlaczego to ja muszę mu pomóc.

– Chcesz powiedzieć, że zakochałaś się w mężczyźnie, którego nawet nie poznałaś?

– Możliwe.

– Ale to nie szkodzi, bo tak powinno się stać, prawda? Wy dwoje jesteście sobie przeznaczeni, tak?

Gwen wzruszyła ramionami.

– Nikt nic na ten temat nie mówił. Po prostu ja chcę w to wierzyć. Równie dobrze może okazać się żonaty.

– Powiedzieli ci chociaż jego imię?

Pokręciła głową z zakłopotanym uśmiechem.

– Właśnie straciłaś o mnie dobre mniemanie, co?

– Żartujesz sobie? Potrafisz czarować i masz tajemnicze przeznaczenie. Chcę być tobą.

Gwen uśmiechnęła się zawstydzona.

– Każdy ma przeznaczenie.

Rose spojrzała na swą dłoń, a potem wyciągnęła ją przed siebie.

– A jakie jest moje?

Gwen patrzyła chwilę.

– Nie boisz się? Widziałaś już, co się stało ze Stane'em.

– Powiedziałam, że się ciebie nie boję, prawda? I oto dowód. Śmiało, spójrz w moją przyszłość. Może do mnie też przybędzie tajemniczy nieznajomy. Tylko nie mów mi o mojej śmierci. Myślę, że wolę raczej o tym nie wiedzieć, dobrze?

Gwen westchnęła.

– W porządku, spójrzmy.

Rose przyglądała się, jak Gwen rozpościera jej dłoń i rozciąga skórę na dłoni.

– To ciekawe. Zakochasz się. Jest przystojny, ma miłą twarz. Zakochasz się...

Mocny uścisk, jakim trzymała jej rękę, zelżał. Chociaż wydawało się, że Gwen patrzy na dłoń, Rose zorientowała się, że nie skupia się na niej. Jej spojrzenie przeniosło się na deski werandy.

– W kim? W kim się zakocham? Znasz jego imię?

Gwen wypuściła jej rękę i sięgnęła po herbatę. Nie chwyciła dobrze spodka i piękna porcelanowa filiżankę ześlizgnęła się

i roztrzaskała.

Gwen krzyknęła cicho i patrzyła na okruchy czystej bieli na werandzie.

– Tak strasznie mi przykro. – Kiedy podniosła wzrok na Rose, miała łzy w oczach. – Tak bardzo mi przykro.

– W porządku – uspokajała ją Rose. – Kupimy ci drugą.

Gwen ją objęła. Nie jak wcześniej, kiedy Stane wyszedł. Tym razem ścisnęła ją, jakby Rose ratowała ją przed burzą, która miała ją porwać. Nie przestała płakać i powtarzała: „Tak mi przykro”.



# Rozdział 19

## *Ucieczka*

Świt ścielił się szarością nad jeziorem Morgan. Tylko plusk wody i klangor gęsi małyły ciszę, która wraz ze wschodzącym słońcem zastąpiła ryk deszczu. Podczas dryfowania na rzece ulewa utrudniała Royce'owi widzenie. Woda rozbryzgiwała się na niespokojnej powierzchni, oślepiając go. Przez większość czasu miał oczy zamknięte. Przynajmniej nie musiał się martwić, że przemoknie. Bardziej mokrzy już być nie mogli. Razem z Hadrianem przedryfowali przez resztę nocy, czepiając się skrzynki jak szczury, a dźwięk dzwonów za nimi powoli cichł. Obaj zasnęli lub zemdleli, trudno powiedzieć, co właściwie zrobili. Rzeka popychała ich w przyzwoitym tempie, ale kiedy nastał poranek, oni i skrzynka kołysali się na nieruchomych wodach pośród cichego świata mgieł.

– Żyjesz? – spytał Hadrian.

– Gdybym nie żył, wątpię, czy zobaczyłbym gęsi. – Royce odchylił głowę do góry, żeby spojrzeć na klucz ptaków lecący na południe. – Chyba że to złe gęsi.

– Złe gęsi?

– Nie mamy pojęcia, co się dzieje w świecie ptactwa wodnego. Może to gang, który ukradł jajka albo coś takiego.

– Domyślam się, że masz gorączkę. – Hadrian rozejrzył się, a kiedy odezwał się znowu, sprawiał wrażenie zaskoczonego

i uradowanego. – To jezioro Morgan. Ta karczma, w której byliśmy, znajduje się gdzieś na jego brzegu.

– Tam. – Royce wskazał grupkę budynków na lewo od niego.

Delikatny ruch sprawił, że przeszył go ból.

– Ja widzę tylko zamgloną kępę – powiedział Hadrian, mrużąc oczy.

– Przypomnij mi, jak wrócimy, żebym zapytał Arcadiusa, czy nie pożyczylby ci okularów. I nie możemy wrócić do karczmy, jeśli to ci chodzi po głowie.

– Dougan by nam pomógł.

– Słyszałeś dzwony minionej nocy? Drogi wypełnią się żołnierzami i będzie się roić od nich w karczmie.

– Moglibyśmy pójść do domu lorda Marbury’ego. Zaprosił mnie ostatnim razem. Pomoże nam. Nienawidzi Kościoła.

– A gdzie jest dom Marbury’ego?

– Nie wiem... Ale Dougan by wiedział.

– Nie możemy iść do karczmy.

– Na minutkę. Musimy tylko zapytać. Poza tym nikogo tam nie będzie o tej porze.

– Znowu zachowujesz się jak głupi.

– Jak wtedy, kiedy po ciebie wróciłem? Jak kiedy zszedłem z tobą po linie i kiedy upierałem się, żebyśmy wskoczyli do rzeki?

– Aha, zupełnie tak samo.

– Musimy się osuszyć. Muszę porządniej opatrzyć ci rany.

– To twój pas wyciska ze mnie życie?

– Bez niego nie przeżyłbyś nocy.

– Ledwie oddycham.

– Lepsze to niż wykrwawić się na śmierć.

Hadrian miał na plecach tylko wełnianą koszulę.

– Twoja peleryna?

– Tylko kawałek. Słuchaj, jeśli mamy przeżyć, potrzebujemy jedzenia, suchych ubrań i porządnego opatrunku. Pójdziemy więc do karczmy, chyba że znasz inne miejsce, w którym to wszystko znajdziemy?

- Normalnie ukradłbym je, ale normalnie mogę chodzić.
- Ciągłe to powtarzasz.
- Lubię móc chodzić.
- Dobra, trzymaj się.

Hadrian zaczął płynąć, szarpiąc skrzynką i ciągnąc Royce'a. Każde pociągnięcie wywoływało błyskawice bólu w brzuchu Royce'a. Był wdzięczny za wypór. Po prostu wisiał bezwładnie, czując, jak nogi wloką się za nim i kołyszą, a Hadrian rozchłapywał wodę i dyszał.

Wioska wyglądała na wymarłą. Jedyne odgłosy dobiegały z podwórza, gdzie beczały owce i smętnie podzwaniał dzwonek kozy. Hadrian wyczołgał się na kamienistą plażę nad jeziorem po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko karczmy. Nastął już dzień, oni znajdowali się w odkrytym terenie, niedaleko od rynku i wyglądali bardzo podejrzanie. Zauważyłby ich każdy, kto zerknąłby przez okno, z zaułka albo z odległego wzgórza.

– Chyba nie dam rady cię nieść – powiedział Hadrian. – Mam więc nadzieję, że zdołasz iść sam z moją pomocą.

Odpiął uprząż, która ich wiązała, i powoli pomógł Royce'owi stanąć. Woda była zimna, ale kiedy tylko z niej wyszli, uderzył w nich zimny jak lód wiatr. Royce zadygotał, a to wywołało przyprawiające o zawrót głowy dżgnięcia bólu. Znowu mu się mąciło w głowie. Nadciągała ciemność, ale zdołał uczepić się Hadriana i świadomości. Miał niewiele siły w nogach. Nie chciały normalnie pracować, więc często ciągnął palce stóp po ziemi. Prawie całym ciężarem wspierał się na Hadrianie, który oszczędzał lewą nogę. Obaj powlekli się zwirową drogą w stronę drzwi karczmy.

Hadrian je pchnął.

- Do diabła, zamknięte.
- Oprzyj mnie o nie, to się tym zajmę.
- Nie, nie będziemy się włamywać. Szukamy pomocy.

Hadrian załomotał do drzwi. Jego pięść uderzała o drewno ze stłumionym łoskotem. Poczekali. Hadrian oparł Royce'a o futrynę.

Zapukał znowu. Za ich plecami rozległo się tęskne wołanie nura. Hadrian spojrział na jezioro.

– Słyszałem, że ryby tu świetnie biorą.

Royce uniósł głowę i spojrział na niego.

– Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem.

– To ty gadałaś o złych gęsiach.

Drzwi otworzyły się, ukazując zaspanego Dougana, który patrzył spod zmrużonych powiek.

– Dougan – powiedział Hadrian – potrzebujemy pomocy.

Karczmarz zerknął szybko nad jego ramieniem, a potem machnął ręką, żeby weszli. Zamknął za nimi drzwi.

– Potrzebujemy paru bandaży, igłę z nicią, nieco jedzenia i może trochę suchych ubrań – powiedział Hadrian. – Za wszystko zapłacę.

Pociągnął Royce'a do największego stołu w głównej sali, ładnego, długiego mebla z kloniny o czterech mocnych nogach i położył go na nim. Chociaż w karczmie było o wiele cieplej niż na plaży, Royce nie przestawał się trząść i myśli mu się plątały.

Dougan, ubrany tylko w długą wełnianą koszulę, otarł oczy i ziewnął.

– Co tym razem zmajstrowaliście?

– Okradliśmy skarbiec w Wieży Koronnej – powiedział Royce i dostrzegł zaszokowane spojrzenie Hadriana. – Jednak to nic takiego, wszystko oddaliśmy.

Dougan się uśmiechnął.

– Ha! Nie zapamiętałem, że taki jesteś zabawny.

– O, tak – potwierdził Hadrian – gdy już się go pozna, boki można przy nim zrywać.

Royce poczuł, że ktoś zdejmuje mu pelerynę z ramion. Potem został sam. Słyszał, że Hadrian rozmawia z Douganem w drugim pokoju. Szukali igły do szycia. Woda kapiała w pobliżu, jakby przeciekał dach. Potem Royce zdał sobie sprawę, że to on jest źródłem kapania. Leżał jak gąbka sącząca wodę w blat stołu...  
A może krew?

Sala zaczęła wirować, kiedy Hadrian wrócił.

– W porządku, ehm... Zerkniemy teraz, jak to wygląda. Może zabołec.

Royce poczuł, jak Hadrian szarpnął za pas owinięty ciasno wokół jego talii. Zupełnie jakby znowu go dźgnięto i na chwilę Royce zapomniał, gdzie się znajduje. Myślał, że może nadal jest w jeziorze. Miał wrażenie, że tonie. A potem pociemniało mu przed oczami.

\* \* \*

Ból.

Royce znowu zemdlał. Nie wiedział, na jak długo. Nic go to nie obchodziło. Wiedział, że się obudził z powodu ostrego bólu w całym ciele. Był pewien, że jeśli się ruszy, ból zmieni się w coś daleko gorszego. Leżąc nieruchomo z zamkniętymi oczami, niczego nie słyszał i nie czuł żadnych zapachów. Mógł być w dowolnym miejscu w dowolnym czasie. Z powrotem w więzieniu Manzant, na poddaszu w Colnorze, w pokoju w Gmachu Glena, gdzieś w drodze, w celi, w trumnie – dopóki nie otworzy oczu, żadna z możliwości nie była bardziej prawdopodobna od pozostałych. Przeciągał stan zawieszenia wśród możliwości, dopóki nie usłyszał obok skrzypienia krzesła.

– Jak się czujesz? – spytał Hadrian.

Royce zastanawiał się, skąd wiedział. A może zadawał to pytanie od wielu godzin? Najpewniej zaczął inaczej oddychać. Nie zwracał sobie głowy otwieraniem oczu.

– Jakby ktoś próbował mnie zabić, rozcinając mi brzuch, a potem ktoś inny chciał mnie dobić, topiąc mnie w rzece. A jak tak naprawdę się mam?

– Nie tak źle, jak się spodziewałem. Rana nie jest aż tak głęboka. Przeciął ci mięśnie i trafił w dolne żebro, ale chyba go nie złamał.

– To wszystko? – zapytał z sarkazmem.

– Na pewno bardzo boli.

– Tak myślisz?

– Prawdziwym zagrożeniem jest utrata krwi. I szok dla ciała. Nałożyłem też trochę soli na rany. Wysusza i powstrzymuje ropienie i zaognianie.

– Lekarzem też jesteś?

– W czasie pięciu lat wojaczki człowiek opatrzy dość ran. Mnóstwo nauki metodą prób i błędów. Powinieneś się cieszyć, że nie jesteś jednym z pierwszych, którym próbowałem pomóc. Teraz poczujesz się znacznie lepiej. Dwadzieścia siedem szwów.

– Tak się cieszę, że liczyłeś. Mogłem żyć bez tej wiedzy.

Royce zorientował się, gdzie są, gdy tylko Hadrian się odezwał, ale nadal nie ogarniał całości sytuacji. Opieszale fragmenty i kawałki wolniejsze od reszty ciągle nie trafiły na swoje miejsce. Przypomniawszy sobie krzyk nura i Hadriana mówiącego o rybach, zanim wróciło wspomnienie o tym, jak wylądowali w jeziorze. Przypominając sobie pływanie, ze zdziwieniem odkrył, że jest suchy i ubrany w lnianą tunikę. Przykrywał go koc, nawet kilka, sądząc po ciężarze.

– Mam zupę – powiedział Hadrian. – Powinieneś coś zjeść.

Royce otworzył jedno oko i zobaczył Hadriana siedzącego obok z parującą cynową miską, którą trzymał przez ściereczkę.

– Weź to ode mnie.

– Mdłości?

– W każdej chwili mogę zwymiotować.

– No tak, to się zdarza. Ale lepiej tego nie rób, bo ci popękają szwy.

Royce otworzyło oboje oczu, żeby porządnie spiorunować go wzrokiem.

– Tak, właśnie z tego powodu nie chcę wymiotować. Nie chciałbym popsuć twojego dziergania.

– Chcę tylko pomóc.

I kiepsko ci to wychodzi! Royce już chciał to powiedzieć, ale ugryzł się w język. To nie była prawda. Prawda była taka, że

zginąłby trzy razy, gdyby Hadrian nie nadstawił za niego karku. W mrocznym zakątku umysłu odkrył, że to go denerwuje w równym stopniu, jak dziura w boku. Może nawet bardziej. To nie miało sensu i było równie dezorientujące jak ból. Dlaczego to zrobił? To pytanie krążyło mu po głowie, odkąd zobaczył, że Hadrian ma na sobie uprząż. Słowo „głupi” już nie wystarczało. Nikt nie był aż tak durny. A Hadrian miał dość rozumu, żeby go opatrzyć, sprowadzić ich z wieży aż do Ibertonu. Nie był głupi, może szalony, ale nie głupi. Arcadius go do tego skłonił? Taki był plan? Czy to wszystko mogło być...

Nie.

Nawet jego najbardziej diaboliczna, najdalej posunięta wyobraźnia rodząca teorie spiskowe nie pozwalała mu uznać tej katastrofy za rzecz ukartowaną. Obaj omal nie zginęli. Nadal mogli. Nikt nie przejmuje się planami czy więzami lojalności, kiedy grozi mu śmierć, a Royce widział, jak miecz Hadriana pęka i ostrze zlatuje z wieży. Pamiętał, jak Hadrian poślizgnął się na krwi i upadł, obrywając przy tym w udo. To nie była gra.

No to dlaczego?

Royce nie znał odpowiedzi. Ledwie się znali. Nie przepadali za sobą. Royce powiedziałby wręcz, że się nienawidzili, a jednak... To nie miało najmniejszego sensu. Jedna rzecz, którą Royce wiedział, jedna rzecz, której był pewien, to że powinien już nie żyć.

– Dzięki.

Hadrian podniósł wzrok.

– Co?

Royce się skrzywił.

– Słyszałeś.

– Może to walka, żeby wykrztusić z siebie to słowo, przyprawiała cię o mdłości?

Royce uśmiechnął się szyderczo, ale zastanawiał się, czy nie było w tym ziarna prawdy. Do tej pory tylko dwa razy powiedział „dziękuję”. Daleki od wdzięczności nie cierpiał obu tych sytuacji. To słowo zawsze było gorzkie i wypływało ze słabości.

– Jak twoja noga?

Hadrian spojrział na pasy z płótna wystające spod rozdartej nogawki spodni.

– Nie najgorzej.

Nie znajdowali się już w karczmie. Royce leżał na łóżku w małym, skromnie umeblowanym pokoju.

– Jesteśmy u lorda Marbury’ego?

Hadrian pokręcił głową.

– W sypialni Dougana. Okazał się bardzo gościnnie.

– Wybieramy się do Marbury’ego?

– Dougan mówi, że go aresztowano.

– Kiedy?

– Parę dni temu.

– Gdzie jest Dougan?

– Poszedł po wodę.

– Na pewno? Ile czasu trzeba, żeby przejść przez ulicę i wrócić?

– Studnia jest w wiosce.

– Studnia?

– Tak powiedział – odparł Hadrian.

– Musimy się zbierać, natychmiast.

– Natychmiast? – Hadrian był zdumiony. – Dasz radę chodzić?

– Pchnij mnie, to się przekonamy.

Hadrian skrzywił się i pomógł mu wstać.

Ból był przenikliwy, ale znośny, było o wiele lepiej niż... Dzień wcześniej? Ile czasu minęło? Royce odepchnął się od łóżka, jakby był odbijającą od brzegu łodzią, i stanął chwiejnie.

– Widzisz, już mi lepiej – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Chodźmy.

– Po co ten pośpiech?

– Dougan nas zdradził. Pewnie posłał wieść do najbliższego patrolu albo może stoi przy trakcie i próbuje jakiś zatrzymać.

– Skąd wiesz?

– A jak myślisz, przez kogo aresztowano lorda Marbury’ego?

– Dlaczego myślisz, że to Dougan?



– Widzisz tu jeszcze którąś z osób, które zapamiętałeś? Kryli cię i teraz wszyscy zniknęli. Oprócz Dougana.

– To niczego nie dowodzi. Dougan tu mieszka. Pozostali byli klientami.

– Nieprawda. Poza tym ostatnim razem Dougan powiedział ci, że wszyscy czerpią wodę z jeziora. Wystarczy wyjść z wiaderkiem i nabrać jej, krystalicznie czysta, tak mówił. W tej wiosce nawet nie ma studni, zapomniałeś?

– Pójdę po nasze rzeczy.

Hadrian wyszedł z sypialni i Royce usłyszał, że grzebie za barem. Ostrożnie poszedł za nim, sprawdzając swoje możliwości. Szedł powoli, pomagając sobie rękami, od kolumnienki łóżka do futryny, od filaru do ściany w korytarzu. Pojawił się Hadrian z zawiniątkiem pod pachą i mieczem na plecach. Podsunął mu rękę i wykuśtykali z karczmy.

Słońce stało wysoko, a w oddali Royce słyszał wieśniaków: trzask drzwi, śmiechy, skrzypienie koła. Przede wszystkim jednak słyszał dudnienie pulsu w głowie. Jego ciało nie było zadowolone. Podobała mu się idea leżenia na miękkim materacu pod kocami i nie miało nic przeciwko temu, żeby wrzeszczeć, że jeszcze nie jest gotowe do wstania.

Szli niewiarygodnie wolno. Szurali nogami, zamiast stawiać kroki. Hadrian ciągnął Royce'a jak kotwicę. Poszli drogą, ale skręcili, żeby obejść jezioro od południa, zanim wyjdą na trakt. Domy skupiły się wokół brzegu. Jedyne sposobem, żeby oddalić się od ludzi, to ruszyć na południowy zachód, pod górę, na wrzosowiska.

Szli przez parę godzin, jak domyślał się Royce, powoli, ale stale na wzgórze jeżące się trawą i kolczastymi krzewami. W końcu Royce zwymiotował. Padł na czworaki, jęcząc z bólu szarpany odruchem wymiotnym.

– Co powiesz na obozowisko w tym miejscu? – zaproponował Hadrian.

Royce nadal był na czworakach, patrząc w trawę i plując.

– Brzmi cudownie.

Odczołgał się parę stóp i padł na plecy. Leżał, patrząc w ciemniejące niebo. Hadrian padł na trawę obok i leżeli ramie w ramie, dysząc i jęcząc z bólu.

Royce otarł usta rękawem.

– Gdzie te pokryte smołą płótna, które miałeś mi zrobić?

– Zapomniałem.

– Z niczym nie można na ciebie liczyć.

– Nie. Porzucę cię przy pierwszym sygnale kłopotów.

Royce odwrócił głowę, żeby spojrzeć na niego, i poczekał, aż Hadrian też popatrzy.

– Wiesz, że ja bym tak zrobił – wyznał. – Zostawiłbym cię na pewną śmierć. Nawet próbowałem, prawdę mówiąc.

– Wiem.

Royce osłupiał.

– A mimo to wróciłeś?

– Aha.

– Dlaczego?

– Jestem głupi, zapomniałeś?

Royce przeturlał się na bok, splunął i znowu obrócił się na plecy.

– Nie, serio pytam: dlaczego?

Hadrian popatrzył na niebo.

– Jesteś moim partnerem.

Royce zaśmiał się i zaraz krzyknął:

– Nie rób tego, to boli! – Ostrożnie nabrał powietrza i odczekał kilka minut, żeby odzyskać oddech. – Mówisz... Poważnie mówisz?

Hadrian nie odpowiedział i obaj leżeli pod nocnym niebem, oddychając tylko, kiedy w górze pojawiały się pierwsze gwiazdy.

Dawno temu Merrick próbował nauczyć Royce'a gwiazdozbiorów. Zapamiętał tylko Wielkiego Króla, konstelację na północy, która miała podobno przypominać mężczyznę na tronie i w koronie. Ludzie nazywają ją także Novron, na cześć pierwszego imperatora, twierdząc, że był po części bogiem i dostał wniebowstąpienia. Royce zobaczył, że pierwsze ze znajomych gwiazd korony zamigotały wśród zmierzchu.

Merrick nauczył go niemal wszystkiego, co Royce potrafił: czytania, pisania, liczenia, gwiazd, ale gdyby to Merrick był z nim na wieży, zostawiłby go i dał mu umrzeć.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdy tylko podrzuciłeś książkę, przestaliśmy być partnerami – powiedział Royce.

– A tak, masz rację. Hm... Więc jednak powinienem był zostawić cię na pewną śmierć.

– Jaki jest prawdziwy powód? Nim zaczęliśmy, powiedziałeś, że zabijesz mnie po robocie. Miałeś mi pokazać, jak posługujesz się tym dużym mieczem.

– I pokazałem. Nie patrzyłeś?

– Pewnie, patrzyłem, ale miałeś pokazać mi na moim przykładzie.

– Do diabła, masz rację, zapomniałem. – Hadrian sięgnął i dotknął głowicy. – Możemy zająć się tym później? Dobrze mi się tak leży.

Opuścił rękę na trawę.

– Dlaczego wróciłeś? Dlaczego mnie po prostu nie zostawiłeś?

– To naprawdę cię dręczy, co?

– Tak. Tak, to naprawdę mnie gryzie.

Hadrian przesunął nogi i jęknął, a potem nabrał powietrza i wypuścił je z długim westchnieniem.

– Wróciłem, bo taki jestem. – Zamilkł i dodał po chwili: – Pewnie nie możesz tego zrozumieć, co?

– To żaden powód.

– No dobra, posłuchaj. Uciekłem z domu, uciekłem z Avrynu, uciekłem z Calisu. I zawsze tylko zabijałem. Mam tego dość.

– Zabijania?

– Wszystkiego, wymień, co zechcesz, mam tego dość. W tej chwili mam dość nawet oddychania. Możesz to uznać za przejaw frustracji. Po prostu mam dość uciekania. Mam dość zostawiania ludzi, żeby zginęli.

– Ten dzieciak? Korniszon? Który zginął przeze mnie?

– Nie przez ciebie. Może i nie przeze mnie, ale chyba zawsze,

gdy uciekam, zostawiam za sobą ludzi, którzy giną. Jeśli więc szukasz powodu, to może wystarczy taki. Miałem dość uciekania.

Leżeli przez chwilę na stoku, dysząc. Potem Royce poruszył się i jęknął z bólu.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie możemy wrócić do Sheridanu?

– Tak.

– Będziemy teraz musieli iść na południowy zachód, a w ogóle nie znam tych terenów. Pewnie zabłądzimy albo wyjdziemy prosto na drogę i patrol.

– Cóż – Hadrian spojrzał na bok Royce’a – znowu krwawisz i myślę, że ja też, więc dobra wieść jest taka, że najpewniej umrzemy przed rankiem. Z drugiej strony pewnie mogło być gorzej.

– Jakim cudem?

– Mogli nas złapać w karczmie albo mogliśmy utonąć w rzece.

– Tak czy inaczej, bylibyśmy martwi. W tej chwili jestem skłonny uznać, że tak byłoby lepiej.

– Zawsze może być gorzej – zapewnił go Hadrian.

Leżeli, wpatrując się w niebo i obserwując chmury przesłaniające gwiazdy. Royce najpierw usłyszał, zanim poczuł, odległy odgłos kropel spadających na źdźbła trawy na stoku. Odwrócił się znowu do Hadriana.

– Naprawdę zaczynam cię nie cierpieć.

\* \* \*

Zagrzebany w fałdach peleryny Royce obudził się, słysząc ten sam ryk i bębnienie deszczu, przy których zasypiał, ale zimno i wilgoć zmusiły go do zarzucenia dalszych prób spania. Z drżeniem i jękiem powolutku uniósł się na łokciach i zerknął spod kaptura. Gęsta kurtyna deszczu tłumiała wszystko, sprawiając, że świat był bezbarwny jak trup. Woda spływała stokiem, a ponieważ znajdował się w rozpadlinie, uformował się już pod nim strumyczek. Jego ciało zadziałało jak tama, więc teraz Royce

siedział w kałuży.

Znajdowali się na trawiastym stoku pobliznionym skałami i obsypanym kolczastymi ostami i jałowcami, wszystko wokół było kłującym morzem rzepów i pokrzyw. Poniżej, niczym rząd zębów wznosiły się kamienne ściany zbiegające i porośnięte mchem i bluszczem. Góry Trentu – o ile tam były – zniknęły w deszczu. Royce nie miał pojęcia, gdzie się znajdowali. Niewiele pamiętał z ich nocnej ucieczki, a zachmurzone niebo uniemożliwiło określenie kierunków. Widział drogi, nic znajomego, ale na cienkich szarych liniach przecinających wzgórze w dole roilo się od jeźdźców. Mężczyźni przejeżdżali parami. Bywały też większe grupy, piechurzy idący w uporządkowanych formacjach. Royce słyszał dzwony. Początkowo myślał, że może to złudzenie wywołane deszczem albo zwodzi go własny udęczony umysł, ale dźwięki dochodziły ze wszystkich stron. Dopiero kiedy zdołał rozdzielić różne tempa i wysokości dźwięku, zrozumiał. We wszystkich wioskach i miasteczkach w promieniu wielu mil dzwoniło na alarm.

Hadrian też się podniósł. Błdzi i szarzy jak dzień wyglądali niczym żywe zwłoki, zdumione i zaskoczone faktem, że nadal są związane z tym światem.

– Co mamy do jedzenia?

Teraz, kiedy żołądek już mu się uspokoił, Royce po prostu umierał z głodu.

Hadrian rozejrzał się po stoku.

– Niektóre z tych krzewów wyglądają na jagody.

– Nie, pytam: co zabrałeś z karczmy?

– Niczego nie wzięłem. Nie zdążyłem o nic poprosić Dougana.

– Poprosić? – Royce właśnie podjął niebezpieczną próbę wydostania się z małego jeziora, ale zmarł. – Dlaczego czegoś nie zabrałeś? Myślałem, że to właśnie robiłeś za barem.

– Brałem nasze ubrania. Rozłożyłem je tam do wyschnięcia.

Royce popatrzył po sobie.

– Dzięki Mariborowi, że wysuszyłeś nam ubrania.

– A co chciałeś? Żebym okradł Dougana?

Royce pokiwał energicznie głową.

– Nie jestem złodziejem.

– Właśnie że jesteś i lepiej przywyknij do tego.

– Trzeba coś ukraść, żeby być złodziejem. Odłożyłem książkę z powrotem.

– Powiedz to żołnierzom, gdy nas złapią. To na pewno bardzo pomoże.

Royce wzdrygnął się i skrzywił, podciągając się nieco wyżej na stoku. Mięśnie miał sztywne i obolałe, brzuch palił go żywym ogniem, a przy każdym ruchu przeszywał go ból. Czuł się gorzej niż wcześniej – nic dziwnego po moczeniu się przez całą noc w zimnej kałuży. Trząśł się, miał skórę namokłą od wody i już samo uniesienie rąk było wycieńczające.

– Słyszysz dzwony? – spytał Hadrian.

– Tak.

– To nie mogą być nadal dzwony Ervanonu.

– I nie są.

– Myślisz, że to jakieś święto religijne?

– Nie.

– Jest źle.

Hadrian obracał powoli głowę na prawo i lewo, zerkając poprzez deszcz.

Włosy przykleiły mu się do głowy, twarz miał ziemistą i wyglądał na pokonanego. Royce znał to spojrzenie, znał te oczy. Widział je każdego dnia na ulicach w mieście, gdzie dorastał. Były jak okna wzdłuż ulicy Heroldowskiej po zarazie.

Gorączki przychodziły co roku do miasta Ratibor, w którym dorastał Royce, zwykle zimą. Jednak raz, kiedy Royce był mały, zaraza opanowała miasto latem. Rzecz niespotykana, uznano to za zły znak. Wszyscy wiedzieli, że jest źle, a okazało się, że jest jeszcze gorzej. Ulica Heroldowska była ładnym miejscem, jednym z nielicznych w Ratiborze. Royce lubił tamtędy spacerować, kiedy coś go dręczyło, tylko po to, żeby popatrzeć na ładne domy. W ten

sposób śnił, kiedy już nie potrafił śnić. Tego lata domy wyglądały inaczej. Było gorąco i sucho. Okna powinny być pootwierane, żeby do środka wpadło trochę powietrza, ale wszystkie pozamykano na głucho i zaciągnięto zasłony. Błada koronka za brudnymi szybami przybrała specyficzny odcień szarości – sprany odcień beznadziei, swoistej bladej zadumy, która ogarniała człowieka, gdy miało się czas na rozpamiętywanie tragedii. Oczy Hadriana wyglądały jak okna przy ulicy Heroldowskiej. Miały ten sam kolor, ukazywały tę samą zamkniętą na głucho pustkę, przybrały ten sam wyraz rezygnacji.

– Jak twój bok? – W głosie Hadriana pobrzmiwało wahanie, cień strachu.

– Trochę lepiej niż wczoraj – skłamał Royce. Nie bardzo wiedział, dlaczego to zrobił. Co to właściwie zmieniało? – Te jagody są jadalne?

Hadrian wahał się chwilę, a potem odwrócił do krzaków, jakby aż tyle czasu potrzebował, żeby słowa do niego dotarły. Wstał powoli i Royce usłyszał, że gwałtownie nabrał powietrza, gdy obciążył lewą nogę. Podeszedł do krzewów i stał tam, jakby zapomniał, co ma zrobić.

Royce go obserwował. Jeśli ma do tego dojść, stanie się to teraz.

Mając za sobą gorsze rzeczy, Royce wiedział, że da się to przetrwać. Nigdy nie czuł, że bogowie upatrzyli go sobie, żeby go ukarać. To znaczyłoby, że jest dostatecznie ważny, by go dostrzec. Był jeszcze jednym przeoczonym żywotem, który powinien był zakończyć się wcześniej. Okazał się po prostu zbyt uparty, żeby leżeć nieruchomo, a w ciągu lat stał się zbyt złośliwy, żeby się zwyczajnie poddać. Jednak nic nie wiedział na temat Hadriana. Był żołnierzem, ale co to znaczyło? Że spędził kilka dorosłych lat, jeżdżąc na pięknym koniu z mnóstwem jedzenia, mordując nieuzbrojonych piechurów, samemu będąc bezpiecznym w stalowej zbroi? Czy kiedykolwiek znalazł się sam, porzucony, oko w oko ze śmiercią?

Jeśli miał się załamać, nastąpi to teraz. Niewielu załamywało

się w ferworze walki. To zawsze następowało później, kiedy mieli czas na zastanowienie. Wtedy okna zamykały się i zaciągano zasłony. Royce obserwował go w milczeniu. Dzień wcześniej mógłby z niego sztydzić, próbując zepchnąć z krawędzi. Teraz jednak tylko czekał. Nie współczuł mu. Jemu też nigdy nie okazano współczucia. Chwila przeciągała się, a Hadrian stał w deszczu, rozglądając się po dolinie.

Potem pochylił się i zerwał jagodę.

Kilka minut później wrócił z owocami w dłoni.

– Czarne jagody – powiedział, siadając obok.

Royce spróbował jednej. Cierpka. Zdał sobie sprawę, że chociaż żołądek mu się uspokoił, nadal nie był w idealnym stanie.

– Zatem jaka jest twoja historia? – zapytał Hadrian.

– Moje co?

– Historia. Twoje życie.

– Nie mam żadnej.

– Wiesz, kim byli twoi rodzice?

– Nie. Moje najwcześniejsze wspomnienie... – Royce zawahał się, sięgając pamięcią – ... to walka z psem o ochłap.

– Ile miałeś lat?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem nawet, ile mam teraz. Byłem w przytułku, domu dla sierot, gdzie musieliśmy pracować na swoje utrzymanie. Uciekłem. Miałem wtedy z pięć, może sześć lat. Potem kradłem jedzenie i o wiele lepiej się odżywiałem. Szybko wpakowałem się w kłopoty.

– Straż miejska?

– Wilki.

Hadrian spojrzał na niego zdezorientowany.

– O co chodzi z tymi wilkami?

Royce spróbował drugiej jagody. Słodsza.

– To dziecięcy gang. Grupa najlepszych kieszonkowców poniżej dwunastego roku życia. W Ratiborze jest mnóstwo sierot. Konkurencja jest ostra. Z piętnaście grup walczyło ze sobą o prawa do polowania. A ja działałem sam, niczego nieświadomy. Nie



miałem szansy. Z drugiej strony lepiej kradłem. Wilki mnie zauważyły. Działalem na ich terenie i to im się nie spodobało, więc złożyły mi propozycję. Mogłem dać się utopić w cysternie, opuścić miasto, co w moim wieku oznaczało pewną śmierć, albo dołączyć do nich.

– Jacy byli?

– Tacy jak wszyscy, tyle że bardziej. Mili, dopóki mogłeś zdobyć coś, czego chcieli. Utrzymali mnie przy życiu. – Wziął kolejną borówkę z dłoni Hadriana. – A ty? Jak nauczyłeś się tak walczyć?

– Od ojca. Zaczął mnie trenować niemal od dnia urodzenia. Dzień i noc, bez dni wolnych, nawet w zimonia. Fakt, że w Hintindarze nie było poza tym za wiele do roboty, ale on był fanatykiem. Walka dla niego była jak religia. Uznałem, że stoi za tym jakiś powód, jakiś cel. Spodziewałem się, że przygotowuje mnie do kariery wojskowej, myślałem, że wyśle mnie na dwór, żebym zaczął jako gwardzista, w nadziei, że dochrapię się jakiejś konkretnej rangi. Gdybym miał szczęście, lord Baldwin powołałby mnie do służby. Gdybym miał naprawdę duże szczęście, dokonałbym jakiegoś bohaterskiego czynu na polu bitwy i król Urith pasowałby mnie na rycerza i dał mi tytuł szlachecki.

– A co on myślał?

Hadrian powoli pokręcił głową i spojrzał na jezioro w dole.

– Nie wiem. Kiedy miałem piętnaście lat, zapytałem, czy mogę zgłosić się na dwór. Większość chłopców zaczynała jako paziowie znacznie wcześniej, w wieku lat piętnastu można było zostać już giermkim, jeśli się było szlachetnie urodzonym, albo zbrojnym, jeśli nie. Ojciec powiedział, że nie pójdę na dwór. Nie miałem też pójść do Aquesty. Nigdzie nie miałem iść. Chciał, żebym zastąpił go jako kowal w wiosce, kiedy będzie za stary, by machać młotem.

– To po co cię szkolił?

– Nigdy mi nie powiedział. – Hadrian wrzucił ostatnie jagody do ust i przeżuł.

– I wtedy odszedłeś.

– Nie. Byłem zakochany w dziewczynie z wioski, może nie

zakochany, ale prawie. Chciałem się z nią ożenić.

– Co cię powstrzymało?

– Pobiliśmy się z rywalem i omal go nie zabiłem.

– No i?

– Był też moim najlepszym przyjacielem. Obaj się w niej kochaliśmy. Hintindar to mała osada i nie było tam przyszłości dla mnie. Uznałem, że najlepiej będzie dla wszystkich, nie wyłączając mnie, jeśli odejdę. Powędrowałem więc i wstąpiłem do armii. Od tamtego czasu walczyłem.

Daleko w dole, dwie, może trzy mile od nich, Royce zauważył kilkunastu ludzi podążających drogą. Jeden jechał wierzchem i miał na sobie czarną zbroję płytową i czerwoną pelerynę. Pozostali byli piechurami, niektórzy nieśli piki, inni łuki. Przodem biegła zgraja ogarów.

– Co jest? – spytał Hadrian.

– Mają psy. Nie cierpię psów.

– Kto taki?

– Patrol. – Royce wskazał w dół, ku dolinie.

Hadrian zerknął.

– Jaki patrol?

– Na dole jest liczny patrol.

Hadrian zmrużył oczy i wzruszył ramionami.

– Zaufaj mi, jest tam z tuzin ludzi, piechurzy i rycerz w czarnej zbroi, możliwe więc, że to nawet seret, którego spotkałeś w karczmie. Nie zostawiłeś niczego w karczmie, co?

– Co masz na myśli?

– Kiedy opatrywałeś mi ranę, co zrobiłeś z kawałkiem swojej opończy, którym mnie obwiązałeś? Zostawiłeś go tam?

– Nie widziałem powodu, żeby zabierać ze sobą zakrwawioną szmatę.

– Do diabła.

– Co? Mają ogary? Te psy to ogary?

– Aha.

– Ale psy nie złapią tropu w deszczu, co?

– Nie... Pewnie, że nie.

Royce nie wiedział tak naprawdę, ale chciał, żeby taka była prawda.

– Co robią?

– Po prostu idą.

– Gdzie?

– Dokładnie pod nami.

Kiedy Royce patrzył, psy skręciły z drogi w krzaki.

– W mordę.

– Co w mordę?

Zniknęły Royce'owi z oczu we wrzosach. Chwilę potem usłyszał, jak ujadają.

– Słyszałem coś? – spytał Hadrian.

– Złapały trop. – Royce odepchnął się od ziemi i natychmiast zakreśliło mu się głowie.

– Myślałem, że nie mogą złapać tropu w deszczu.

– Te mogą.

Royce chwiejnie ruszył pod górę, czując się tak, jakby ktoś wbił mu rozgrzany do czerwoności miecz w brzuch.

– Nie zdołamy im uciec, co? – spytał Hadrian, doganiając go.

– Nawet gdybyśmy byli zdrowi.

Za ich plecami ujadanie ogarów złało się z szumem deszczu i dźwiękami dzwonów.

Hadrian pierwszy dotarł na szczyt wzgórza.

– Farma!

– Konie?

– Nie ma nawet muła.

Royce obejrzał się i zobaczył, że patrol pędzi stokiem. Rycerz biegł przodem, tuż za psami. Royce wątpił, żeby już ich widzieli, ale niedługo zobaczą.

– Może zdołamy ukryć się na farmie?

– Na farmie? A co oni tam uprawiają? Kamienie? – zapytał Royce.

– Lepsze to niż dać się dorwać na otwartym terenie.

Ziemia była nie tyle skalista, ile usiana kamieniami, które walały się po trawie jak pozostałości kamiennego gradu. Zbierały się zwłaszcza w żlebach i u podnóży pagórków. Dobrze sprawdzały się jako przeszkody, w żadnej mierze nie dając pewnego oparcia dla stóp, kiedy niezdarnie schodzili po stoku.

Nie było niespodzianką, że dom, stodołę, a nawet silos wzniesiono z zebranych kamieni. Długi mur otaczał małe stado owiec, było tam też z pół tuzina kurczaków wędrujących po podwórzu między domem i stodołą, gdzie powstały liczne kałuże w błocie po obu stronach kamienistej ścieżki.

Z komina w strzesze unosił się dym. Obaj podeszli do frontowych drzwi. Hadrian przystanął, żeby zapukać. Royce po prostu wszedł. Starszy mężczyzna siedział przy sfatygowanym stole, a kobieta pracująca przy palenisku obok zamarła na jego widok.

– Nie ruszajcie się, bo zginiecie – powiedział Royce, starając się stać prosto i zgrzytając przy tym zębami. I dobrze, zaciśnięte zęby sprawiały, że wyglądał jeszcze groźniej.

Hadrian wszedł za nim.

– Przepraszamy za najście.

Chłopiec mający z dziesięć lat wybiegł z jednego z pokoiów na tyłach i przystanął, wytrzeszczając oczy. Starszy mężczyzna złapał go za nadgarstek i szarpnął ku sobie. Chociaż był siwy i łyśiał, ruszał się szybciej, niż Royce się spodziewał. Nie był tak stary, jak na to wyglądał.

– Kim jesteście? Czego chcecie? – spytał gospodarz.

– Po prostu rób, co ci każę – warknął Royce.

– Nazywam się Hadrian, a to Royce. Potrzebujemy na chwilę schronienia przed deszczem.

Hadrian mówił łagodnie i uśmiechał się. Nie złowieszczo, złowrogo albo jak śmiertelnie niebezpieczny szaleniec, lecz radośnie. Gdyby był psem, merdałby ogonem.

– Jesteście ranni – powiedział stary mężczyzna. – Obaj. Jesteście złodziejami, których szukają.

Royce wyciągnął sztylet, tak żeby w ostrzu odbiło się światło paleniska. Klinga Alverstone'a wyglądała jak żadna inna.

– Jesteśmy też uzbrojeni, niebezpieczni i, jak możesz sobie wyobrazić, gotowi na wszystko.

Royce podszedł, a mężczyzna wstał i schował za sobą syna. Chłopiec przechylił głowę i wychynął zza niego.

– Niedługo nadjedzie tu rycerz z patrolem wojskowym. Zapytają, czy widzieliście dwóch obcych. Dwóch rannych. Odpowiesz, że nie. Przekonasz ich, że nas tu nie ma, i dopilnujesz, żeby odjechali, nie wchodząc do domu.

– A dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo będziemy w pokoju na tyłach z twoją żoną i chłopcem. – Royce zatrzymał spojrzenie na synu dla większego efektu. – Jeśli wejdziesz albo usłyszysz, że coś szepczesz, jeśli spróbujesz być cwany albo chytry, to poderżnę im gardła.

– Nie robi tego! – zapewnił gospodarza Hadrian.

– Owszem, zrobię. – Royce spiorunował go wzrokiem przez ramię, jakby pytał: „Po czyjej stronie stoisz?”

– Posłuchajcie, niczego złego nie zrobiliśmy – powiedział Hadrian. – Doszło do nieporozumienia i walki, w której się broniliśmy. Teraz nas ścigają, więc bylibyśmy wdzięczni za pomoc.

Cała trójka tylko patrzyła.

Royce pokręcił głową i zgromił wzrokiem Hadriana.

– Oni mają to w nosie. Wiedzą tylko, że jesteśmy w ich domu, i chcą, żebyśmy się wynieśli. Nie przemówisz im do rozsądku. To ich żołnierze nadchodzą, żeby ich bronić. Nie staną po naszej stronie.

– Lord Marbury stanął po naszej stronie.

– I za to go aresztowano, zapomniałeś?

W domu nie było okien, ale Royce widział dostatecznie dużo przez szparę między drzwiami i futryną. Przez szczeliny doskonale widział podwórze przed stodołą i kurczaki dziobiące robaki pośród kałuż. Widział też kawałek drogi. Na razie nic.

Hadrian usiadł, rozcierając nogę nad miejscem, gdzie

przywiązał kawałek oderwany od peleryny.

– Znacie lorda Marbury’ego? – zapytał stary farmer.

Hadrian pokiwał głową.

– Porządny człowiek. Piłem z nim niedawno.

– Kiedy?

– Ze cztery, pięć dni temu.

– Gdzie?

– W Ibertonie, w małej karczmie nad jeziorem.

Mężczyzna i kobieta popatrzyli po sobie. Kobieta nadal się krzywiła.

– Siedź cicho – warknął Royce.

– Jesteśmy w ich domu i szukamy pomocy – odrzekł Hadrian. – Możemy przynajmniej odpowiedzieć na ich pytania.

– Chyba nie rozumiesz znaczenia słowa „przynajmniej”.

W garnku zaczęło pyrkotać.

– Zajmij się gotowaniem, kobieto – powiedział gospodarz. – Nie ma sensu przypalać jedzenia.

Kobieta się zawahała.

– A czemu nie? I tak sami je zjedzą.

– Odrobina jedzenia byłaby mile widziana – przyznał Hadrian.

– Nie jedliśmy od... – Zawahał się.

Mężczyzna skinął głową.

– Daj każdemu po misce.

– Głupiś – rzekła żona.

Była pulchna, miała obwisłe policzki, drugi podbródek i grube palce. Royce nie mógł się nadziwić, jakim cudem tak się utuczyła, uprawiając kamienie.

– Nie odmawiamy jedzenia nikomu pod tym dachem.

– To nie goście – syknęła.

– Są pod moim dachem.

Mężczyzna odwrócił się do niej. Nie wyglądał jak farmerzy, których znał Royce. Miał zupełnie inną sylwetkę, zwłaszcza jak na ten wiek. Dziesiątki lat za pługiem deformowały ciało, gospodarz zaś był wysoki, miał szerokie ramiona, mocne przedramiona,

proste plecy.

– Nie pozwolę, żeby oskarżono mnie o skąpstwo wobec nieznajomych.

Głos też miał dziwny. Dumny. Royce nie znał zbyt wielu wieśniaków i nigdy nie rozmawiał z żadnym hodowcą kamieni z północy, ale duma w obliczu najścia była czymś nieoczekiwanym.

– To przestępcy, ludzie wyjęci spod prawa, którym depte po piętach kościelna sprawiedliwość.

Stary mężczyzna popatrzył na nią ostro.

– Lord Marbury nie jest przestępcą, ale to nie powstrzymało ich przed aresztowaniem go. A teraz podaj każdemu miskę.

– Oni to nie lord Marbury. Nie powinienes im pomagać. Narobisz sobie kłopotów.

– Miewałem już kłopoty.

– Tym razem my też będziemy mieli kłopoty. Pomyśl o mnie. A co z twoim synem?

Mężczyzna wahał się chwilę, a potem pociągnął chłopaka do siebie, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Niektóre uczynki są właściwe, a niektóre są bezpieczne. Przez większość czasu rób to, co bezpieczne, bo w przeciwnym wypadku narazisz się na śmierć bez większego powodu. Są jednak chwile, kiedy bezpieczne postępowanie też może cię zabić. Tyle że będzie to innego rodzaju śmierć. To będzie powolna śmierć, z rodzaju tych, co zzerają cię od środka, aż samo oddychanie staje się przekleństwem. Rozumiesz?

Chłopiec skinął głową, chociaż Royce wiedział, że dzieciak nie miał pojęcia, o co chodzi. Pewnie i tak nie o to chodziło. Farmer oczekiwał, że pewnego dnia chłopiec przypomni sobie dzień, kiedy złodzieje wdarli się do ich domu. Może wtedy słowa nabiorą sensu albo, co bardzo prawdopodobne, chłopak tylko pokręci głową, myśląc o tym, jakim głupcem był ojciec.

Kobieta zgromiła go wzrokiem i westchnęła. Wzięła drewniane miski i podeszła do paleniska.

– Jak się nazywasz? – spytał gospodarza Hadrian.

– Tom. Tom Brzechwa. A to mój syn, Arthur.

– Miło was poznać. I dziękujemy za gościnę.

Postawiono miski. Royce jadł w pobliżu drzwi, siedząc na ławce, którą zdołał tam zaciągnąć. Chciał mieć oko na drogę, a nie był w stanie dłużej stać.

Deszcz pluskał o kałuże i spływał z dachu do wąskiego ścieku, który okrążał dom, odprowadzając wodę. Jak psy mogą tropić w taką ulewę? To się wydawało niesprawiedliwe. Dobry Mariborze, jak on nienawidził psów. Mimo wszystko deszcz musiał utrudniać ogarom podążanie tropem i zawsze istniała szansa, że wiewiórka albo królik wszystko im popsują. W najgorszym razie pogoda odbije się chociaż na ludziach. Rycerz przywykł do przesiadywania burz w ciepłych zamkach i musiał mieć wyżej uszu włączenia się po kamienistych polach w ulewę. W obliczu rozległych przestrzeni czy nie zamieniłby poszukiwań w niepogodę na suche palenisko i ciepły posiłek?

Kobieta dała Royce'owi trochę potrawki jagnięcej – gęsty sos z mnóstwem kawałków mięsa, marchewek i ziemniaków. Wyczuwał tymianek i nawet sól. Wszystko było świeże. To był jego najlepszy posiłek od miesiący, co go zastanowiło. Royce wyobrażał sobie, że życie wieśniaka jest nędzne, monotonne, wypełnione katorżniczą harówką, której owoce łatwo niszczyły kaprysy pogody. Z drugiej strony przypuszczał, że w dobrych czasach, kiedy żniwa nadchodziły z uśmiechem, jadali jak królowie.

Hau!

Royce usłyszał jeden słaby dźwięk i zamarł, wstrzymując oddech.

Hau! Hau!

Psy.

Przycisnął czoło do drzwi przy futrynie i wyjrzał przez szparę. W wąskim paseczku światła mieściły się droga i ruch na niej.

– Nadchodzą.



# Rozdział 20

## *Tom Brzechwa*

Najpierw szczekanie i ujadanie psów, a potem okrzyki mężczyzn i wreszcie tętent koni. Ukryty w pokoju na tyłach z Hadrianem oraz żoną i synem Toma Brzechwy Royce słyszał urywki rozmów, kiedy patrol zbliżał się do drzwi.

- Nędzne sukinsyny.
  - ...owcza zagroda...
  - ...wszelkie córki będą...
  - ...zawsze trzeba je umyć...
  - Mimo wszystko nigdy nie pozbędziesz się smrodu owiec.
  - Nieczęsto.
  - Na Mara, a czemu miałbyś?
- Śmiech.

Dom z trzema pomieszczeniami wybudowano wokół komina i otwartego paleniska, dzięki czemu ciepło i światło docierały do wszystkich pomieszczeń. W czwórkę stłoczyli się w jednym pokoiku, niewiele większym od dużego łóżka z siennikiem, a Tom został w głównym pokoju. Chociaż wszyscy czekali na ten moment, aż podskoczyli, kiedy rozległ się łomot do drzwi.

Royce zorientował się, kiedy otwarto drzwi, po tym, że głosy nie były już przytłumione.

- Kim jesteś? – zapytał ktoś ostro.
- Tom Brzechwa.

– Brzechwa?

Ktoś się zaśmiał.

– Chudzina z niego – zauważył inny mężczyzna.

– Szukamy dwóch mężczyzn. Złodziei. Rannych. Jeden mojego wzrostu, drugi trochę mniejszy.

– Jesteście jedynymi obcymi, jakich widziałem.

Royce usłyszał, że drzwi uderzyły z hukiem o ścianę.

– Nie jesteśmy obcy. Jesteśmy twoim Kościołem. To sir Holvin z rycerzy Sereta.

Cisza.

– Nasze psy mówią nam, że złodzieje tu przyszli.

– Więc wasze psy się mylą.

– Yhm.

Szuranie stóp. Royce usłyszał, jak przesunięto stół.

– To mój dom. Nie możecie...

– Ty nędzny mały owczarzu, z drogi!

– Nie macie prawa...

Stęknienie, ktoś się potknął, a potem szmer miecza wysuwanego z pochwy.

Royce dostrzegł zamiar w oczach Hadriana, zanim tamten się ruszył. Szybko się uczył, zwłaszcza gdy w grę wchodziło studiowanie ludzi, a Hadrian nie był szczególną zagadką. Ten gość miał skłonności samobójcze, dopóki działał z myślą o drugiej osobie. Royce nie próbował go powstrzymać, bo tym razem nie miało to znaczenia. Gdy rycerze zabiją Toma, i tak przeszukają dom. Jednakże dzięki temu, że odgadnął zamiar Hadriana sekundę wcześniej, zanim ten się ruszył, mógł rzucić się tuż za nim.

Wpadając do głównego pomieszczenia, zobaczył Toma na podłodze i przewrócony stół. Dwóch mężczyzn w skórach i hełmach czekało przy drzwiach. Jeden w kolczudze stał nad farmerem. Wyciągał miecz, nie odrywając oczu od leżącego, szyderczo krzywiąc usta. Był wściekły na zuchwałego wieśniaka, który ośmielił się zrobić to, co zrobił – cokolwiek to było. Nie miał

też hełmu. Stał bokiem do sypialni, z lekko obróconą głową, odsłaniając zagłębienie w szyi.

Hadrian miał jeszcze trzy kroki do pokonania, kiedy Royce rzucił Alverstone'em, który wykonał pół obrotu i wbił się w gardło mężczyzny. Zbrojny padł, rżąc, z metalicznym brzękiem, jakby ktoś upuścił garnek pełen szmat. Tym, co zaskoczyło Royce'a, była reakcja Hadriana. Bez chwili wahania, bez cienia zaskoczenia, nie zatrzymując się nawet przelotnie, zignorował padającego i ruszył prosto na żołnierzy przy drzwiach. Żaden z nich nie miał czasu wyciągnąć broni i potężny miecz Hadriana ściał najbliższemu głowę z ramion. Najbardziej zaimponowało Royce'owi to, że pierwszy zamach wykonał z lewej na prawo, dzięki czemu po zakończeniu uderzenia czubek mierzył w ostatniego z mężczyzn. Szybkie pchnięcie i Hadrian zakończył sprawę. Przynajmniej w walce Hadrian potrafił przewidywać trzy ruchy naprzód.

Chwilę potem żona Toma zobaczyła jatkę i wrzasnęła.

– Drzwi! – krzyknął Royce.

Pozostali żołnierze już ruszali w stronę domu, ale Hadrian zdążył zatrzęsnać drzwi i wsunąć na miejsce sztabę. Chwilę potem patrol zaczął się dobijać, aż drzwi się zatrzęśły.

– Co teraz? – zapytał Hadrian, kiedy wszyscy patrzyli na drzwi.

– Jestem święcie przekonany, że to ten moment, kiedy przypominam ci, że miałem rację – odpowiedział Royce. – Trzeba było zostawić mnie na wieży.

Royce wyciągnął sztylet z gardła żołnierza i otarł ostrze. Kiedy tylko Hadrian upewnił się, że drzwi wytrzymają chwilę, schował miecz do pochwy na plecach i wziął dwa miecze żołnierzy. Żona farmera kurczowo przyciskała do siebie syna, stojąc między pokojami i patrząc na ciała. Tom wstał i podszedł do niej. Objął rodzinę. Żona lamentowała wtulona w pierś męża.

– Hobart! Beecham! – wrzeszczał ktoś na zewnątrz, rzucając się bez ustanku na drzwi.

– Nie ma stąd innej drogi wyjścia – powiedział Royce.

– To i tak nie miałyby znaczenia – odpowiedział Hadrian. – To

zawodowcy. Na pewno otoczyli dom. Drugie drzwi albo okno byłyby tylko kolejnym możliwym wejściem, które musielibyśmy zabezpieczyć. Mamy szczęście, że są tylko dwa.

– Dwa?

– Drzwi i dach.

Royce spojrział na krokwie pokryte deskami i strzechą.

– Myślisz, że go podpalą?

– Gdyby tylko nie padało.

– Nie będzie wiecznie padało.

– Nie, nie będzie.

Łomot do drzwi ustał.

– Nieźle drzwi – pochwalił Royce.

– Dzięki – odpowiedział Tom. – Dębina.

– Domyślam się, że w stodole albo w szopie jest jakaś siekiera?

Tom spojrział na chłopca, który powiedział:

– Przyniosłem je do domu z powodu deszczu. Tatko nie lubi, jak rdzewieją.

– Mogli przynieść własne – powiedział Hadrian. – Standardowe wyposażenie patrolu to topór, garnek i łopata.

– Przecięcie tych drzwi sporo potrwa. Drewno jest twarde jak skała. Stępiłem trzy piły.

Teraz, kiedy żołnierze przestali się dobijać, Royce wyjrzał znowu przez szpary. Czterech mężczyzn stało na zewnątrz, w tym rycerz, który nie zsiadł z konia. Jeszcze paru trzymało się z tyłu. Pozostałych nie widział. Rozmawiali cicho.

– Szkoda, że nie mogliśmy dorwać rycerza – stwierdził Hadrian.

– Pewnie on jeden trzyma tu pozostałych.

Royce usiadł przy stole. Znowu kręciło mu się w głowie i wracały mdłości. Zjadł za dużo i za szybko.

– Co jeszcze mogą zrobić? Znajdą coś do staranowania drzwi? Obmyślą sposób, żeby przymocować do nich sznury i wyrwać je przy pomocy konia? Mogą wspiąć się na dach i z łatwością się przez niego przebić, albo mogą poczekać, aż deszcz ustanie, i podpalić dom. Mogą też nie zrobić absolutnie nic. Czas jest po ich

stronie. Najpewniej wyślą jeźdźca z wiadomością, że ogary nas znalazły i że mają nas w garści.

– Racja. – Hadrian pokiwał głową. – Sądząc po tym, jak były dzwony, za kilka godzin będziemy mieli tu armię. Musimy coś zrobić, i to raczej teraz niż później.

– Co konkretnie?

Hadrian znowu spojrzął na drzwi, jakby mógł przebić je wzrokiem.

– Potrzebujemy tego konia. Bez niego nie mamy szans na ucieczkę. Gdybyśmy zabili rycerza i dorwali konia, może zdołalibyśmy uciec.

– Myślę, że jest tam z dziewięciu mężczyzn. Dziewięciu mężczyzn, paru z łukami i rycerz w płytowej zbroi konno. Co chcesz zrobić? Otworzyć z impetem drzwi i wypaść na nich? Ze zranioną nogą i ze mną z dziurą w brzuchu?

– Mamy wybór?

Royce nie miał na to odpowiedzi.

– Zabiją nas, czy tu będziemy siedzieć i czekać, czy też wyjdziemy. To nie ma znaczenia. Jeśli jednak będziemy tu siedzieć, deszcz ustanie, a oni spalą tym ludziom dom. Pewnie też ich zabiją. Nie zrobili nic złego. Dali nam jeść, pamiętasz? Jeśli zaatakujemy tamtych, zginiemy, to jasne, ale rodzina będzie bezpieczna.

– A gdzie tu korzyść?

– No dobra, pozwól, że ujmę to w innych słowach. Możemy siedzieć tu i dać się zabić ogniem i dymem, ale spróbować zabrać paru z nich ze sobą.

Royce się uśmiechnął.

– Tak lepiej.

Hadrian schylił się i przeturlał ubranego w kolczugę trupa.

– Wygląda na dostatecznie dużego – powiedział i zaczął ściągać nieboszczykowi przez głowę kolczugę. – Ładny rzut, nawiasem mówiąc. Nie wiedziałem, że tak potrafisz.

– Jestem pełen niespodzianek.

– Ej, wy tam w środku! – Usłyszeli krzyk z za drzwi. – Jestem sir Holvin z Ervanonu z zakonu rycerzy Sereta. Rzućcie broń i wychodźcie. Niniejszym zostajecie aresztowani w imieniu lorda Novrona i Kościoła Nyphrona.

Royce zerknął na Hadriana, potem na rodzinę nadal zbitą w gromadkę i przerażoną. Pokręcił głową, westchnął i wstał.

– Mamy tu rodzinę. Farmera z żoną i synem. Trzymam nóż na gardle mężczyzny, kiedy to mówię. Jeśli jeszcze raz któryś spróbuje tu wejść, poderżnę im gardła. Słyszycie?

– Nie możecie wygrać. Nie macie dokąd uciec. Jeśli wyjdziecie teraz, przeżyjecie, żeby stanąć przed sądem.

– Mówię poważnie. Pozabijam tych ludzi! – wrzasnął Royce.

Odwrócił się do Hadriana i zapytał cicho:

– Zadowolony?

Hadrian uśmiechnął się i skinął głową.

Tom wyglądał na zaniepokojonego, żona na przerażoną.

– Spokojnie – powiedział im Hadrian. – On tak mówi, żeby nie uznali, że nam pomagacie.

– Śmiało! – zawołał rycerz. – Mam ich gdzieś, ale im dłużej każecie mi czekać na deszczu, tym gorszy los was spotka.

Royce zauważył zaskoczenie na twarzy żony gospodarza.

– To samo powiedziałbym na jego miejscu – zapewnił ją, ale to jej nie pocieszyło.

– Poddajcie się! – krzyknął rycerz. – Zaufajcie Novronowi!

– Ten gość jest przezabawny – stwierdził Royce i znowu usiadł przy stole.

Skoro mieli urządzić samobójczą szarżę, chciałby najpierw odpocząć.

Hadrian wciągnął kolczugę przez głowę. Szarpał się z nią chwilę, zanim ją zdjął.

– Za mała. Chcesz?

Royce pokręcił głową.

– Ledwie dźwigam własny ciężar.

– Może odbić strzałę.

- Bez niej prędkiej uskokę.
- Potrafisz uskakiwać przed strzałami?
- Czasem.
- Naprawdę jesteś pełen niespodzianek.
- Nie zarabiam na życie w ten sposób.

Hadrian wsunął swój miecz do pochwy na plecach i znowu wziął dwa mniejsze, oceniając ich wagę.

- Brakuje mi moich. Te są okropne. Jesteś gotowy?
- Czekaście – powiedział Tom i wyrwał się z uścisków rodziny.

Zniknął na tyłach i wrócił z ogromną tarczą i łukiem wysokim jak on sam.

– Byłem kiedyś łucznikiem w służbie u lorda Marbury’ego. Walczyłem u jego boku. Dał mi tę farmę. Jego lordowska mość jest wspaniałym człowiekiem, ale dopiero co wczoraj seret aresztował go pod zarzutem zdrady, udzielenia pomocy zbiegom, którzy wymknęli się kościelnej sprawiedliwości. Wam dwóm, jak się domyślam. Jeśli lord Marbury uważał, że warto stanąć w waszej obronie, to nie splamię jego dobrego nazwiska, nie dokładając takich samych starań. Poza tym właśnie słyszeliście, jak Kościół przejmuje się bezpieczeństwem mojej rodziny.

– Tatko jest najlepszym łucznikiem w hrabstwie – pochwalił się chłopiec.

– Tom Brzechwa. – Hadrian pokiwał głową.

Tom podał mu trójkątną tarczę.

– Zaprojektowano ją tak, żeby zatrzymywała strzały, całkiem dobrze zasłania całe ciało.

Przez ramię miał przewieszony pełen strzał kołczan.

– Co zamierzasz z nimi zrobić? – spytał Royce.

– Razem z Zefirem trochę wam pomożemy. Po raz ostatni będę walczył za jego lordowską mość.

Royce zamknął oczy i opuścił głowę na dłoń.

– Właśnie przekonałem ich, że nam nie pomagacie. Wychodzimy, żeby nie spalili wam domu i was nie zabili. Jeśli zaczniesz strzelać, zorientują się.

– Jeśli będę strzelał, może przeżyjecie.

– Aż tak dobry jesteś? – spytał Toma Hadrian.

– Z Zefirem mogę ustrzelić zająca z odległości dwustu jardów i wypuścić sześć strzał na minutę. Jest zrobiony z doskonałego północnego cisu, jeśli dobrze go napnę, strzała może przebić zbroję płytową.

– Jeśli nie zabijemy całej dziewiątki, zostaniecie straceni – ostrzegł go Royce. – To pierwsza i ostatnia wielkodusznia rzecz, jaką w życiu zrobię. Nie psuj tego.

– Ma rację – poparł go Hadrian. – My tylko... – Spojrzał na Royce'a. – Jesteśmy tylko parą nic nieznaczących złodziei. Myśl o swoim synu.

Starszy mężczyzna spojrzał na chłopca nadal stojącego w objęciach matki.

– Myślę.

– Niech robi, co chce – orzekł Royce. – Jestem obolały i jeśli i tak mam umrzeć, to nie widzę sensu, żeby dłużej cierpieć. Miejmy już to z głowy. – Podeszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. – Czterech tuż za drzwiami, rycerz nadal na koniu. Nie mam pojęcia, gdzie są łucznicy. Frontalny atak to nie moja specjalność. Jakies pomysły?

Hadrian wsunął tarczę na lewą rękę.

– Odsuń sztabę i puść mnie przodem. Trzymaj się tuż za mną. Kiedy napotkamy opór, napieraj na lewo, ja ruszę na prawo. Nie walcz z piechurami, chyba że będziesz musiał. Kieruj się do konia. Jeśli zdołasz, przetnij strzemiona i pociągnij. Własny ciężar przeważy rycerza. Potem łap konia, trzymaj się nisko, a ja zajmę się resztą.

– To znaczy, że będziesz musiał zabić pięciu mężczyzn, nie licząc łuczników.

– Nie nadajesz się do walki. Poza tym, jeśli zrzucisz tego rycerza z konia, nie będziesz musiał martwić się pozostałymi. Jak już oczyszczę pole, wskoczmy na konia i uciekniemy. Mam nadzieję, że łucznicy nie zdołają trafić w ruchomy cel. Gotowy?



Royce spojrział Hadrianowi prosto w oczy. To była pełnia lata na ulicy Heroldowskiej, okna w domach otwarto na oścież.

– Zdajesz sobie sprawę, że za chwilę zginiemy – powiedział i westchnął. – Co za szkoda. Zaczynam cię lubić.

\* \* \*

Drzwi domu otworzyły się z impetem i wyskoczyli na deszcz. Kurczaki zniknęły, ale kałuże pozostały na miejscu, tak samo jak miarowy ryk spadającej wody. Zupełnie jakby znowu wskoczyli do rzeki.

Hadrian rzucił się naprzód i zadał pierwszy cios, zanim ktokolwiek zareagował, zanim poleciała pierwsza strzała. Zaskoczyli patrol. A nawet kiedy ludzie na podwórzu wreszcie zareagowali, nie zdołali rozpoznać niebezpieczeństwa. Żołnierze rozbiegli się, jakby Royce i Hadrian byli świniami, które wyskoczyły z chlewa. Jeden nie dobył nawet miecza, tylko wyciągnął rękę, jakby chciał ich złapać. To zostawiło wolną drogę do jedyne go celu, jakiego obrania nie spodziewali się po drobnym rannym mężczyźnie uzbrojonym tylko w sztylet.

Kiedy Hadrian się zamachnął, Royce zacisnął zęby i popędził do rycerza.

Parkosyzmy bólu przeszywały jego ciało i znowu przywołały falę mdłości i zawrotów głowy, ale strach zmuszał go do biegu. Przebiegł z chlupotem przez kałuże, rozbryzgując brązową wodę przeciwko szarej wodzie spadającej z nieba. Obok jego głowy śmignęło coś, co brzmiało jak rozwścieczona pszczoła. Naprawdę potrafił uskakiwać przed strzałami, o ile leciała tylko jedna i widział jej nadejście, ale teraz w deszczu ocaliło go zwykłe szczęście. Może ulewa tak samo utrudniała łucznikowi celowanie, jak jemu widzenie.

Nie musiał biec daleko. Całe podwórze miało raptem kilka jardów długości, a rycerz znajdował się pośrodku, siedział majestatycznie na białym koniu. Górował nad wszystkim, cały

zakuty w metal, łącznie ze stopami. Woda dzwoniła o płyty, a koniowi oddech buchał chmurami z nozdrzy, powiększając mgłę – bestia z szarości. Rycerz siedział wysoko nad błotem, niezagrożony. Royce zastanawiał się, czy to dlatego zareagował jako ostatni.

Cokolwiek Hadrian robił, zwróciło to uwagę sereta. Rycerz odsunął przyłbicę, osłaniając oczy przed deszczem – oczy, których spojrzenie nie skupiło się na drobnym złodzieju, dopóki ten nie znalazł się kilka kroków od konia. Kiedy rycerz poruszył się, żeby wyciągnąć miecz i spiąć konia, nadal nie patrzył na Royce'a.

Royce musiał wybrać właściwą chwilę. Przenieść ciężar ciała w biegu, złapać rycerza za nogę i nie dać się przy tym przeciąć na pół ani nie poślizgnąć się na błocie. Okazało się jednak, że lądowanie na ziemi było nieuniknione.

Ból, który go przenikał, był tak ostry, że Royce mógłby zostać trafiony kilkoma strzałami i nie zauważyłby różnicy. Zawroty głowy przybierały na sile. Słyszał dzwonięcie, które powoli zagłuszało ryk deszczu, i wokół niego znowu zaczęła się zamykać ciemność. Złapał stopę rycerza. Ruch był nieelegancki, była to bardziej próba powstrzymania upadku niż rzeczywisty atak. Drugą ręką przeciął strzemień. Przy okazji skaleczył konia i zwierzę podskoczyło. Royce zdziwił się, że ważące trzy czwarte tony stworzenie może tak zwinnie skoczyć. Wtedy się poślizgnął. Trzymał się stopy sir Holvina, kiedy koń szarpnął się, a błoto niewiele pomogło. Nadal się trzymał, kiedy padał, zamierzając ściągnąć rycerza na ziemię, ale znajdował się za nisko. Nie mógł pociągnąć pod odpowiednim kątem. Posługując się Alverstone'em jak pazurami do wspinaczki, Royce wdrapał się po nodze rycerza, dziurawiąc metal – na Mara, jak on kochał ten sztylet. Wtedy sir Holvin już bez kłopotu go dostrzegł. Royce znajdował się za blisko, żeby rycerz mógł zamachnąć się mieczem, więc uderzył go głowicą. Trafił go w głowę, a potem w twarz, ale Royce nie chciał się puścić. Wiedział, że wystarczy, że będzie się trzymał. Rycerz był praworęczny, a Royce uczepił się jego lewej strony. Sir Holvin ufał,

że strzemię go utrzyma, ale strzemię już przecięto. Cały ten metal, ta ogromna wieża osłony z żelaza straciła oparcie i się przewróciła. Wszyscy padli. Nie tylko rycerz, nie tylko Royce, ale i koń. Zwierzę wierzgnęło ze dwa razy, po tym jak Royce usłyszał jeszcze kilka pszczoł, i po chwili runęło na niego tysiąc pięćset funtów konia i metalowego olbrzyma.

Royce odepchnął się, odsuwając się najdalej, jak zdołał. Wierzchowiec zrobił jeszcze krok i pół do przodu, zanim padł. Dzięki temu rycerz nie spadł na złodzieja, ale koń był duży. Zadem wcisnął lewą stopę Royce'a w błoto i wykręcił mu biodra. Royce wrzasnął, gdy kość w nodze pękła. Dudnienie w głowie i dzwonienie w uszach osiągnęły przyprawiające o szaleństwo natężenie, jakby wszystkie dzwony świata dzwoniły na alarm, a jego głowa była sercem dzwonu. Koń przeturlał się i kopał, próbując wstać, jeszcze mocniej wbijając Royce'a w błoto.

– Royce! – usłyszał głos Hadriana i zobaczył w mroku postać idącą ku niemu.

Jego towarzysz trzymał tarczę, tyle że teraz ozdobioną pięcioma strzałami. Postawił ją w błocie i spróbował wyciągnąć Royce'a.

– Rycerz! – wrzasnął Royce.

– Nie żyje – odpowiedział Hadrian, kopiąc w błocie.

W drzwiach dostrzegł Toma z łukiem, który ostrzeliwał łuczników obok stodoły.

– Dlaczego koń się nie podnosi?

– Też nie żyje. Łucznicy fatalnie strzelają.

Royce opuścił głowę w błoto i deszcz zalewał mu twarz.

– Potrzebowaliśmy tego konia.

Hadrian wsunął ręce pod złodzieja i pociągnął. Kiedy jego ciało wysunęło się spod konia i Royce poczuł, że ucisk się zmniejsza, usłyszał kolejną pszczołę i Hadrian zeszywniał. Tom zaklął i wypuścił strzałę. Royce usłyszał jęk.

Hadrian, który już klęczał na jednym kolanie, padł na twarz. Royce złapał go, najlepiej jak umiał, dłońmi natrafiając na drzewce strzały białej w jego plecy.

– To dziewiąty! – krzyknął Tom.

Hadrian leżał z głową na piersi Royce’a, rzeżąc i kaszląc krwią.

– Słyszałeś, że... wygraliśmy?

\* \* \*

Lało jak z cebra.

Deszcz zamienił się w powódź. Niebo otworzyło się i na ziemię spadł ocean. Royce nic nie widział. Nie mógł wstać. Nogę miał złamaną i zagrzebaną w błocie. Obaj z Hadrianem pławili się w kałuży brązowej wody, która mieszała się z ich krwią, nabierając koloru herbaty.

Hadrian padł na niego jak mokra szmata. Przestał kaszleć, możliwe, że oddychać też. Nie sposób było orzec.

– Hadrian?

Royce z trudem nabrał powietrza i głównie wciągnął ustami wodę. Próbował utrzymać głowę nad wodą. Kiwała mu się jak złamany nadgarstek.

Rozległ się głośny chłupot i pojawili się obok nich Tom i Arthur.

– Zostawcie nas – warknął Royce.

Próbował sam wstać, ale nie zdołał nawet usiąść. Szwy popękały. Czuł, jak rana w boku się otwiera.

– Nadejdą kolejni. Zostawcie nas, bo będą wiedzieć, że nam pomogliście.

Świat wokół niego falował. Głowa Hadriana nadal leżała na jego piersi. Gdyby nie błoto i krew, można by uznać, że śpi.

– Żyje! – krzyknął Tom Brzechwa ponad hukiem deszczu, może do syna, może do Royce’a. – Na szczęście te przeklęte sknery używały zwykłych szpikulców zamiast porządnych grotów.

Wyciągnął strzałę. Hadrian nawet się nie wzdrygnął.

Tom miał materiał, który wsunął Hadrianowi pod koszulę.

Pośród straszliwej ulewy rozległ się kolejny dźwięk – tętent końskich kopyt. To nie były kopyta wierzchowca rycerza. Tamten nadal leżał na boku w błocie. Sir Holvin najwyraźniej utopił się

w wielkiej kałuży, kiedy koń go przygniół. Możliwe też, że padł już martwy. Royce rozsunął fragmenty zbroi sztyletem i zobaczył, że kałuża pod rycerzem też jest herbaciana.

Koń, którego usłyszał, oznaczał nowego przybysza. Posiłki? Niedużo czasu potrzebowali.

– Tutaj! – krzyknął Tom, a w jego głosie brzmiała desperacja.

Sprytne. Stary Tom, nie jesteś tak durny, jak myślałem. Spełniło się twoje życzenie, Hadrianie... Nic im nie będzie, a walka była wspaniała. Jak zdołałeś pokonać wszystkich, będąc rannym? Arcadius miał co do ciebie rację. Szkoda, że nie dostrzegłem tego wcześniej. Jednak byłeś głupcem. Powinieneś być zostawić mnie na wieży. Teraz odpoczywałbyś w jakiejś karczmie, zamiast umierać w kałuży błota.

Royce jęknął i poczuł, że unoszą go silne ręce. Znalazł się na wozie.

Naprawdę zabierają mnie, żeby osądzić! No to się zdziwią. Umrę, zanim tam dojadę.

Hadriana podniesiono i umieszczono obok niego, a potem przykryto ich nieprzemakalnym płótnem. Deszcz przestał go zalewać i zamiast tego pojawiło się głośnie bębnienie na płótnie dwie stopy nad jego twarzą. Pomieszało się z dzwonieniem i waleniem, aż wreszcie nadciągnęła ciemność, nie przyjmując odpowiedzi odmownej. Royce już nie walczył. Był gotowy umrzeć.

Pomacał i natrafił na rękę Hadriana. Poklepał ją.

– Stary wariat miał rację... Byłaby z nas dobra drużyna.

# Rozdział 21

## *On*

Royce obudził się, gdy wóz stanął. Od razu tego pożałował. Potwornie cierpiał, czuł się tak, jakby to na niego upadł koń.

No tak.

Otworzył oko – tylko jedno zareagowało, drugie za bardzo zapuchło. Wszędzie panowały ciemność i cisza. Hadrian leżał nieruchomo obok niego, a płótno nadal znajdowało się nad ich głowami. Wyciągnął rękę i szarpnął, ale płótno umocowano. Macał wokół i odkrył, że Alverstone podróżuje razem z nim. Rękojeść była oblepiona suchym błotem.

Jak długo jechaliśmy?

Z niewielkim wysiłkiem Royce wyciął długie rozcięcie w płótnie. Zimne, świeże powietrze wpadło do środka, a w górze ujrzał gwiazdy. Deszcz i chmury zniknęły. Royce uniósł się odrobinę i zerknął na boki.

Budynki. Brudne drewniane chałupy oblepione błotem do połowy wysokości. Znajdowali się na wąskiej bitej drodze poślubionej głębokimi koleinami i nadal ozdobionej kałużami. Obrócił głowę i aż go zamroczyło. Kolejne budynki. Przyjechali do miasta. Gównianej, nędznej miejsciny. Nie poznawał tego miejsca. Budynki po obu stronach były ciemne, ulica pusta. Spojrzał do przodu i zobaczył, że wozak zniknął. Nie było też żadnych żołnierzy.

Byli sami.

Może to jednak nie byli żołnierze. Wóz był mały. Wyglądał jak wóz wieśniaka.

Royce usłyszał go wtedy. Hadrian nadal oddychał.

Był to słaby i świszczący oddech, jakby Hadrian walczył z garotą ściskającą mu gardło. Skoro przeżyli tak długo, mogli mieć jeszcze szansę.

Zapierając się o boki wozu, Royce usiadł. Znowu przeszył go ból w brzuchu. Nie zważał na to. Tylko dzięki rękom siedział. Trzęsły mu się tak bardzo, że aż dygotał wóz. Nie mógł wymyślić żadnego sposobu, by zsiąść z wozu. Nie da rady zejść.

Ile czasu byliśmy na wozie? Ile czasu jeszcze mu zostało?

Brzmiało to tak, jakby Hadrian dławił się albo był o włos od tego.

Być może pierwszy raz od wielu lat Royce działał bez planu. Merrick nauczył go, żeby nigdy niczego nie robić bez określenia celu i środków do jego osiągnięcia. W tej chwili nie miał ani jednego, ani drugiego, jedynie mgliste poczucie, że Hadrian umiera i Royce musi coś zrobić, żeby temu zapobiec. A mógł zrobić tylko jedno. Podciągnął się na jedną ze ścian wozu i po prostu spadł na ulicę.

Nie mógł powstrzymać krzyku, kiedy uderzył o ziemię. Ból prawie wystarczył, żeby Royce znowu stracił przytomność, ale tym razem nie mógł na to pozwolić. Wciągnął powietrze i odepchnął się zdrową nogą. Na dłoniach i jednym kolanie, ciągnąc za sobą złamaną nogę, podczołgał się do najbliższych drzwi i załomotał w ich dolną część pięścią. Żadnego dźwięku, żadnego światła. Wyczołgał się z powrotem na ulicę. Ból zaczynał go przerastać. Royce nie był w stanie myśleć. Ubranie wyschło mu i zeszywniało, ale na koszuli poczuł świeżą wilgoć. Znowu krwawił.

W rozpaczy krzyknął:

– Pomocy!

Nie zabrzmiało to jak jego własny głos. Od dzieciństwa nie przypominał sobie, żeby posłużył się tym słowem. Nienawidził jego

brzmienia, posmaku, jaki zostawiało w ustach.

– Pomóżcie nam!

Usłyszał trzask okiennic w oknach na piętrze. Wszelkie drzwi, jakie mogły być otwarte, teraz zaryglowano. Nikt nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

Royce leżał na ulicy, uderzając dłońmi w błoto, i szeptał:

– Ocal przynajmniej jego... Nie zrobił nic złego. Próbował tylko pomóc. – Łzy napłynęły mu do oczu, kiedy to powiedział. – Nie zasługuje, żeby umrzeć razem ze mną.

W ostatnim wysiłku odchylił głowę i krzyknął:

– Pomóżcie nam!

Poczuł dotyk na ramieniu, delikatny i czuły.

– Już jestem. Nic wam nie będzie. Jesteście bezpieczni.

Royce otworzył oczy. Ciemność powróciła, zamykała się wokół niego. Morze bólu znowu go pochłonęło, ale we mgle pośrodku ciemnego tunelu zobaczył kobietę. Długie ciemne włosy, migdałowe oczy, dobra twarz. Przyciągnęła go ku sobie.

– Hadrian... Na wozie... Musisz...

– Dixon, pośpiesz się. Zdejmij drugiego z wozu.

Kroki zachlupotały w błocie. Royce usłyszał, że Hadrian krzyknął z bólu.

– Co z nim?! – zawołał.

– Jeszcze dycha. Dostał strzałę – usłyszał w odpowiedzi męski głos, basowy i chrapliwy. – Myślę, że przeżyje.

– Zabierz obu do środka, przyprowadź doktora. Lindermana z Dzielnicy Kupieckiej, nie Basila.

– Już się robi.

Deszcz znowu się rozpadał, chociaż Royce już prawie niczego nie czuł. Kolejny raz tracił przytomność.

– Ocal Hadriana – prosił. – On...

– Wiem – odpowiedziała kobieta. – Wiem wszystko, uratuję was obu. Zobaczysz. Czekałam na was, czekałam na was bardzo długo.



# Rozdział 22

## *Cóż znaczy imię?*

Rehn patrzył, jak profesor Arcadius łamie woskową pieczęć na liście, wsuwa okulary głębiej na nos i zaczyna czytać. Stary mężczyzna nie krył zdenerwowania. Nigdy nie można było go opisać jako schludnego czy uporządkowanego, ale wydawał się bardziej rozstrojony niż zwykle. Jego włosy wyglądały jak burza bieli, szaty miał bardziej pogniecione niż zwykle. Rehn był przekonany, że już przed wyjazdem widział tę samą plamę po dżemie na jego piersi. Gdy patrzył, ramiona profesora opadły, mięśnie szyi rozluźniły się, a oddech – do tej pory rwany i krótki – pogłębił się i uspokoił.

Nie wiedząc, jak długi jest dokument, Rehn rozejrzał się za miejscem do siedzenia. Jak zawsze gabinet mistrza tradycji wyglądał koszmarnie. Rehn znalazł sobie miejsce między klatką z gołębiami a beczką octu. Zadygotał. Przystanął przy wejściu do szkoły, żeby strząsnąć większość śniegu, ale dość się go stopiło, by zmoczyć mu ubranie. Potarł ręce dla rozgrzewki, przytupywał, żeby zrzucić uparte płatki, słuchał odgłosów wydawanych przez zwierzęta w klatkach.

– Dobra wiadomość? – zapytał coraz bardziej zniecierpliwiony.

Jego też żywo interesowała ta sprawa.

Profesor uniósł palec, nie odrywając oczu od listu.

Rehn osunął się nieco na swoim miejscu i zerknął na gołębica.

Był cały biały, z czarnymi oczami. Może to jednak nie był zwykły gołąb? Może to była biała synogarlica albo jakiś egzotyczny ptak, którego profesor sprowadził z nieznanych krain?

Skąd się wzięły te wszystkie rzeczy?

Rehn wyjrzał przez okno na wciąż padający śnieg, który zbierał się na parapecie i słupkach okiennych. Pierwszy prawdziwy śnieg w tym roku. Dużo czasu minęło, odkąd widział śnieg.

– Są bezpieczni – powiedział wreszcie Arcadius.

Opuścił list i zdjął okulary. Odchylił się z głębokim westchnieniem.

– W każdym razie nie doniesiono o tym, że ich zabito lub pochwycono, więc domyślam się, że wyszli z tego żywi.

– Gdzie są?

– W mieście Medford w Melengarze, ale jeśli idzie o Kościół, zniknęli. Poszukiwania złodziei z Wieży Koronnej odwołano. Oficjalnie mówi się, że do włamania nigdy nie doszło. A tak naprawdę władze Ervanonu są zbite z tropu. Mają pół tuzina zabitych strażników, a jednocześnie książka wróciła na miejsce. Nie mogą zrozumieć, co się stało i dlaczego. – Stary profesor uśmiechnął się zadowolony z siebie. – Jedyna poszlaka, jaką mają, to zeznania karczmarza z Ibertonu, który twierdzi, że Royce i Hadrian zjawili się u niego i byli ciężko ranni.

Rehn pochylił się, niemal przewracając klatkę z gołębiem.

– Jak ciężko?

– Trudno powiedzieć. Karczmarz wspomniał, że Royce był ledwie przytomny, a Hadrian zszywał mu ranę na jednym ze stołów.

Rehna nie interesował Royce.

– A co z Hadrianem?

– On też był ranny, ale Royce bardziej. Nie mogło to być coś bardzo poważnego, ale też nic niewartego wspomnienia. Jedno, co jest dziwne, to fakt, że patrol pod dowództwem sir Holvina, rycerza Sereta, przepadł bez wieści w tej samej okolicy.

– Przepadł bez wieści?

Arcadius wzruszył ramionami.

– Jak liczny był patrol?

– Dziesięciu, w tym sir Holvin.

– Dziesięciu? – zapytał zaskoczony Rehn. – Chyba pan nie myśli...

Profesor uśmiechnął się i skinął głową.

– Myślę, że metal wreszcie się zahartował.

– Ale dziesięciu? W dodatku Hadrian i Royce byli ranni.

Profesor wstał, miską na supę nabrał karmy dla ptaków z kubelka za biurkiem i podszedł do klatek, żeby podsypać ziarna przez pręty.

– Nie dowiemy się, co zaszło, dopóki nie wrócą.

– Jest pan pewien, że wrócą? Minęło sporo czasu.

– Royce ma dość rozumu, żeby nie wracać tu za szybko. Rozegra to bezpiecznie. Poczekaj rok, może dwa.

– Chwileczkę! – Rehn przekrzykiwał trzepot i ćwierkanie. – Jeśli Kościół zgubił ich trop w Ibertonie, to skąd pan wie, że dotarli do Medfordu?

Uśmiechając się szeroko, Arcadius zerknął ponad okularami i mrugnął porozumiewawczo.

– Magia.

– Poważnie? – odpowiedział Rehn z kpiarskim uśmiechem.

– Och, bez wątpienia.

– No dobrze, niech mi pan nie mówi.

Rehn westchnął. To było typowe dla staruszka. Współpracować z nim to jak współpracować z kamieniem. Arcadius nie chciał niczego zdradzić, ale Rehn zgadywał, że miał swoje powody. Jak oni wszyscy.

– Zatem mogę...

– Nie. – Profesor pokręcił rozczochraną głową. – Nie możemy ryzykować, że wrócą nieoczekiwanie i zastaną cię tutaj. Nie żyjesz, zapomniałeś?

Rehn zmarszczył brwi.

– Proszę, niech mi tylko pan nie mówi, że muszę wrócić do

Vernesu. – Zmienił głos. – Jakoś nie widzi mi się, żeby to był najlepszy pomysł.

– Nie, nie do Vernesu.

– A tak w ogóle, dlaczego wysłał pan tam nas obu, mnie i Royce'a?

– Ponieważ, kiedy posyłam po kogoś Royce'a, to nigdy nie wiem, czy ta osoba przybędzie o własnych siłach, czy w trumnie, a nie mogę wierzyć jego relacji. Ty byłeś moimi oczami i uszami.

– Zatem jeśli nie do Vernesu, to dokąd?

Arcadius odstawił miskę na wysoki spiczasty kapelusz, którego Rehn nigdy nie widział na głowie profesora.

– Donikąd.

– Uwalnia mnie pan?

– Na razie.

Chociaż wcale nie był zaskoczony, Rehn poczuł rozczarowanie. Zaskoczyło go nagłe przygnębienie. Do tej pory nie interesowało go właściwe nic poza własnym przetrwaniem.

– Taka jest natura tej pracy. Sam wiesz. Zawsze tak było.

Rehn nadal marszczył brwi, patrząc na brudną kałużę u stóp.

– Dobrze się spisałeś – dodał współczująco profesor.

– Ha! – zachnął się Rehn. – Nawet nie dostałem się na tę durną barkę. Przekłęte przebranie okazało się odrobinę za dobre. A potem dopuściłem do tego, żeby Hadrian przyłapał mnie na czytaniu w dormitorium. Myślałem, że już wszystko zawałęm.

– A potem był pasztecik.

Rehn zmarszczył brwi.

– Powiedział pan, że mam go sobie zjednać. Myślałem, że obrona Hadriana to dobry sposób. Poza tym Angdon to wybitny dupek. Dziwne, że wcześniej mnie pan nie zbeształ.

– Uznałem, że lanie to wystarczająca kara, i podziałało. Nie można się spierać z rezultatem. Zdobyłeś jego zaufanie, jego współczucie. Gdyby nie Korniszon, Hadrian nigdy by nie pojechał.

– To czemu powiedział mu pan, że Korniszon nie żyje?

Arcadius odłożył pergamin i zdjął okulary, żeby znowu je

wyczyścić.

– Nie mogłem ryzykować, że Hadrian będzie się czuł rozdarty. Szybko stałeś się jego adoptowaną rodziną.

Rehn się uśmiechnął.

– Lubię Hadriana.

– On też lubił Korniszona. Widziałem to w jego oczach. Dlatego ten mały urwis musiał umrzeć. Hadrian musiał być równie samotny, równie wyizolowany jak Royce, żeby to podziałało.

– To było ryzykowne zagranie.

Arcadius przewrócił oczami i przez chwilę głąaskał brodę.

– Gdyby mogła jeszcze bardziej posiwieć, to z pewnością by posiwiiała.

– Dlaczego musiałem zostać stracony? Dlaczego nie wypadek?

– Royce by w to nie uwierzył. Jest podejrzliwy. W jego świecie prawdziwe wypadki się nie zdarzają. Z drugiej strony okrutne, irracjonalne zgony to rzecz naturalna. To także zwiększyło żar, doprowadziło Hadriana do ostateczności. Dużo trzeba, żeby zaleźć mu za skórę.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odzywał. Rehn wyjrzał przez okno.

– W takim razie powinienem już się zbierać, nim spadnie za dużo śniegu. – Wstał i szczerze spojrział profesorowi w twarz. Być może od lat nie okazał nikomu takiej szczerości. – A tak przy okazji, dowiedział się pan tego, czego pan potrzebował z książki, którą ukradł Royce? Co było w niej takiego ważnego?

Profesor znowu się uśmiechnął.

– Absolutnie nic.

– Co? To po co to wszystko?

Arcadius pokiwał głową w zagadkowy sposób, oczy mu zabłyśły jak urwisowi.

– To było po prostu niewykonalne zadanie. Palenisko, w którym można wykuć więź.

Rehn pokiwał głową.

– Chciałbym powiedzieć, że jestem panu ogromnie wdzięczny.

Nie wiem, co bym zrobił bez pana.

Arcadius założył okulary. Może Rehnowi wydawało się, że staruszek sprawiał wrażenie poruszonego, smutnego.

– Dokąd się udasz?

– Nie wiem. Może z powrotem do domu.

– Słyszałem, że Ratibor jest piękny o tej porze roku.

Rehn uśmiechnął się kpiąco.

– Ratibor nigdy nie jest piękny. Dam panu znać, gdzie jestem, kiedy zorientuję się, dokąd się wybieram. Skontaktuje się pan ze mną w razie potrzeby, prawda?

– Oczywiście.

Rehn wiedział, że profesor tego nie zrobi – byłoby to zbyt ryzykowne. Przeszedł przez pokój, ale zawahał się przy drzwiach. Obejrzał się na Arcadiusa.

– Nadciąga wojna, prawda?

– Obawiam się, że tak.

– Nadal mamy szansę, zgadza się?

– Zawsze jest nadzieja – odpowiedział Arcadius, ale w jego głosie brakowało przekonania. Stary profesor wyjrzał przez okno, jakby mógł zobaczyć gdzieś ukrywających się, przykrytych śniegiem Royce'a i Hadriana, i dodał: – Zasiałiśmy ziarno. Teraz pozostaje nam tylko czekać i patrzeć, co wyrosnie.

# Słowniczek terminów, nazw i imion

- Abby: prostytutka z Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny  
Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.
- Albert Winslow: wicehrabia bez ziemi, wynajęty przez Riyrię jako  
pośrednik w kontaktach z arystokracją.
- Alverstone: nazwa sztyletu Royce’a Melborna.
- Amrath Essendon: król Melengaru.
- Andrew: poganiacz koni pracujący przy barce Billy’ego Bennetta.
- Angdon Lerwick: syn barona, który studiuje na uniwersytecie  
w Sheridanie; lubi dręczyć słabszych.
- Apeladorn: cztery państwa ludzi – Trent, Avryn, Delgos i Calis.
- Aquesta: stolica królestwa Warric.
- Arcadius Vintarus Latimer: mistrz tradycji na uniwersytecie  
w Sheridanie.
- Avon: prostytutka z Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny  
Łbem”, zamordowana przez Stane’a.
- Avryn: centralny i najpotężniejszy kraj z czterech państw  
Apeladornu znajdujący się między Trentem i Delgosem.
- Ba Ran Ghazel: krasnoludzka nazwa goblinów, dosłownie znaczy  
„morskie gobliny”.
- Barka: płaskodenna łódź holowana przez zwierzęta pociągowe  
i wykorzystywana do przewozu towarów oraz pasażerów  
rzekami.
- Bartholomew: student uniwersytetu w Sheridanie w Ghencie.
- Beecham: żołnierz pod dowództwem sir Holvina.
- Bernum: rzeka, która łączy Colnorę na północy i Vernes na

południu.

Billy Bennett: świadczy usługi przewozowe (transport barkami) na rzece między Colnorą i Vernesem.

Blackwater: nazwisko Hadriana i jego ojca, Danbury'ego.

Bremey: druciarz z Ghentu.

Bursztynowy Wodospad: ogromny wodospad na południe od Colnory.

Calis: kraj położony najdalej na południe i wschód z czterech państw Apeladornu, uważany za egzotyczny i dziwny, ponieważ większość mieszkańców północy ma niewiele do czynienia z ludźmi z tej części Elanu. Rejon ten pozostaje w stałym konflikcie z Ba Ran Ghazelami. Mieszkańcy Calisu mają śniadą skórę i migdałowe oczy. Żyją w izolacji, niewiele o nich wiadomo w północnych i wschodnich królestwach Avrynu, poza tym, że ich kobiety są jednymi z najpiękniejszych na świecie, ale pogłoski, że posługują się magią, piętnują je i czynią wyrzutkami.

Caliski: odnoszący się do Calisu.

Colnora: największe i najzamożniejsze miasto Avrynu, założone przez kupców, wyrosło w miejscu odpoczynku na centralnym skrzyżowaniu kilku głównych szlaków handlowych.

Cytadela: twierdza broniąca miasta.

Czarny Diament: międzynarodowa gildia złodziejska z siedzibą w Colnorze.

Dagastan: główny i położony najbardziej na wschód port handlowy Calisu.

Danbury Blackwater: ojciec Hadriana Blackwatera.

Daniel: zamożny kupiec z Vernesu, mąż Vivian.

Darius Seret: założyciel zakonu rycerzy Sereta.

Delgos: jedno z czterech państw Apeladornu. Jako jedyna republika w świecie monarchii Delgos zbuntował się przeciwko rządowi namiestnika po tym, jak Glenmorgan III został zamordowany, a państwo przetrwało atak goblinów bez pomocy ze strony imperium.



Dixon Taft: wozak z Medfordu.

Dom Medford: burdel w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie założony przez prostytutki, które uprzednio pracowały w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem”.

Dom: zwyczajowa nazwa Domu Medford.

Dougan: właściciel karczmy w Ibertonie nad brzegiem jeziora Morgan.

Drumindor: krasnoludzka twierdza z dwiema wysokimi wieżami w południowym Delgosie.

Dunmore: najmłodsze i najmniej wyrafinowane królestwo.

Dzielnica Dolna: część Medfordu, w której mieszkają najubożsi.

Dzielnica Kupiecka: dzielnica Medfordu, w której kwitnie handel.

Dzielnica Rzemieślników: część Medfordu, w której produkuje się większość towarów.

Dzielnica Szlachecka: część Medfordu, w której mieszkają najzamożniejsi ludzie (zwykle arystokraci lub bogaci kupcy).

Dziennik Edmunda Halla: heretycki dokument, jeden ze skarbów trzymany w Wieży Koronnej.

Dżalabija: długa szata podobna do togi, noszona na wschodzie.

Edmund Hall: profesor geometrii na uniwersytecie w Sheridanie, uznany za heretyka przez Kościół Nyphrona; pogłoski mówią, że odnalazł zaginione miasto Percepliquis.

Elan: świat.

Erebus: ojciec bogów – Ferrola (bóg elfów), Drome’a (bóg krasnoludów), Maribora (bóg ludzi), Muriel (bogini natury) i Uberlina (bóg ciemności).

Ervanon: miasto w północnym Ghencie, siedziba Kościoła Nyphrona, niegdyś stolica imperium namiestnika ustawiona przez Glenmorgana.

Espadon: długi dwuręczny miecz o zwięzającej się głowni, której tępa część poniżej rękojeści (ricasso) umożliwia wykonywanie różnych manewrów w trakcie walki. Dzięki długiemu trzonowi rękojeści i ricassu osłanianemu zakrzywionymi wystęпами można go chwycić na różne sposoby, co pozwala uderzać nim jak

kosturem lub potężna bronią sieczną. Espadon to tradycyjna broń wyszkolonego rycerza.

Essendon: ród królewski Melengaru.

Ethan: szeryf Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Etta: najmniej atrakcyjna prostytutka z Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Eugene: młody jubiler, który wybiera się do Colnory, żeby otworzyć tam nowy sklep; siostrzeniec Sebastiana.

Fallon Mire: miasto, które Merton ocalił przed szerzącą się straszliwą zarazą.

Farlan: sternik zatrudniony w przedsiębiorstwie przewozowym Billy’ego Bennetta.

Fartowny Kapelusze: karczma w Vernesie o rozsądnych cenach.

Galewyr: rzeka wyznaczająca południową granicę Melengaru i północną królestwa Warric, wpada do morza w pobliżu wioski rybackiej Roe.

Ghent: ziemie należące do Kościoła Nyphrona.

Giermek: chłopiec na posyłki albo służący rycerza.

Glenmorgan: postać historyczna i mieszkaniec Ghentu, który ponownie zjednoczył cztery państwa Apeladornu trzysta dwadzieścia sześć lat po upadku imperium novrońskiego. Założył nowe imperium namiestnika, ufundował uniwersytet w Sheridanie, wybudował wielki trakt północno-południowy i wznosił pałac w Ervanonie (z którego zachowała się jedynie Wieża Koronna).

Gospoda „Przekorny Podróżny”: nieistniejący już przybytek, który działał kiedyś na końcu ulicy Przekornej w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Gretchen: kurczak, którego dostał w dzieciństwie pod opiekę Hadrian.

Gur Em: najgęstsza dżungla w Calisie przylegająca do wschodniego krańca Calisu.

Gwen DeLancy: caliska prostytutka, która opuszcza Karczmę z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem”, żeby otworzyć własny

burdel, Dom Medford.

Gwendolyn: imię Gwen DeLancy.

Hadrian Blackwater: pochodzi z Hintindaru, opuścił dom w wieku lat piętnastu, przez dwa lata był żołnierzem (w różnych armiach), a przez trzy lata walczył na arenie w Calisie.

Harding: kapłan Kościoła Nyphrona w Ibertonie.

Hilda: niegdyś prostytutka w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie, która została zabita po tym, jak odeszła, żeby samodzielnie zarabiać.

Hintindar: mała lenna osada w Rhenyddzie, rodzinna wioska Hadriana Blackwatera.

Hobart: żołnierz pod dowództwem sir Holvina.

Holvin, sir: rycerz Sereta działający w Ghencie.

Iberton: mała wioska rybacka w Ghencie, w pobliżu Ervanonu.

Illia DeLancy: matka Gwen DeLancy, jasnowidz.

Jezioro Morgan: jezioro w Ghencie znane jako doskonałe łowisko.

Jollin: prostytutka z Dzielnicy Dolnej pracująca w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem”.

Karczma z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem”: burdel i karczma prowadzona przez Raynora Grue w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Katedra Mares: siedziba Kościoła Nyphrona w Melengarze.

Klecha: pogardliwie o kapłanie Kościoła Nyphrona.

Korniszon: ulicznik z Vernesu.

Kościół Nyphrona: dominujący Kościół ludzi. Czci Novrona i Maribora.

Królewskie pozwolenie: dokument prawny zezwalający na prowadzenie określonego interesu.

Kufija: nakrycie głowy, zawój z kwadratowego kawałka cienkiego materiału noszony zwykle na wschodzie.

*Lady Banshee*: duża łódź rybacka pływająca w okolicy Medfordu.

Lerwick, baron: baron z Ghentu, który jest w dobrych stosunkach z Kościołem Nyphrona.

Mae: prostytutka z Dzielnicy Dolnej pracująca w Karczmie

- z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem”.
- Malet: szeryf w Colnorze.
- Mandalin: miasto w Calisie, niegdyś stolica wschodniego imperium.
- Manzant: niesławne więzienie i kopalnia soli znajdujące się w Manzarze, w królestwie Maranonu.
- Maranon: królestwo w Avrynie, obfituje w ziemię uprawne i słynie z hodowli najlepszych koni.
- Marbury, lord: tytułarny arystokrata z Ghentu; początki jego rodu sięgają czasów Glenmorgana.
- Maribor: bóg ludzi, trzeci syn Erebusa.
- Medford: stolica Melengar. Miasto dzieli się na cztery dzielnice: Rzemieślników, Kupiecką, Szlachecką i Dolną.
- Melengar: małe, ale stare i szanowane królestwo Avrynu, którym włada król Amrath.
- Merrick Marius: niegdyś najlepszy przyjaciel Royce’a Melborna, znany ze strategicznego myślenia.
- Merton: pobożny kapłan Kościoła Nyphrona, który podobno powstrzymał zarazę.
- Montomorcey: doskonałe wino importowane przez Vandońską Kompanię Korzenną.
- Muriel: bogini natury, jedyna córka Erebusa.
- Nidwalden: rzeka wyznaczająca wschodnią granicę Avrynu i początek królestwa elfów.
- Novron: zbawca rodzaju ludzkiego, półbóg, syn Maribora, pokonał armię elfów w wielkich wojnach elfickich, założyciel imperium novrońskiego.
- „Ohydny Łbem”: zwyczajowa nazwa Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem”.
- Owanda: tenkińskie plemię, z którego wywodzą się Illia i Gwen DeLancy.
- Packer Rudzielec: druciarz, jeden z nielicznych ludzi odwiedzających Hintindar.
- Patriarcha: głowa Kościoła Nyphrona, mieszka w Wieży Koronnej.

Percepliquis: starożytne miasto i stolica novrońskiego imperium, zniszczone i zaginione po upadku starego imperium.

Ratibor: zubożała stolica królestwa Rhenyddu, rodzinne miasto Royce'a Melborna.

Raynor Grue: właściciel Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Reginald Lampwick: asesor Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Rehn: pracownik Arcadiusa.

Rhenydd: najbiedniejsze z królestw Avrynu.

Rose: prostytutka z Dzielnicy Dolnej pracująca w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem”.

Royce Melborn: złodziej, płatny zabójca, dawniej więzień w więzieniu Manzant.

Samuel: jubiler z Vernesu, kuzyn Sebastiana.

Sebastian: odnoszący sukcesy jubiler z Vernesu.

Seret: rycerz Nyphrona. Zbrojne ramię Kościoła, zakon założony przez lorda Dariusa Sereta, dowodzony przez wartowników.

Stane: rybak pracujący przy sieciach na *Lady Banshee*.

Tancerka: imię kłaczy Hadriana Blackwatera.

Tawerna „Czarny Kot”: przybytek cieszący się złą sławą w Vernesie.

Tenent: najpopularniejsza forma na poły standardowej waluty międzynarodowej. Monety ze złota, srebra i miedzi z podobizną króla królestwa, w którym wybito monetę; 1 złoty tenent = 100 srebrnych tenentów, 1 srebrny = 100 miedzianych.

Tenkinowie: najbardziej tajemniczy lud Calisu, żyjący w głębokich dżunglach. Pogłoski mówią, że są mieszańcami ludzi i goblinów.

Tilinerski rapier: doskonała pomocnicza broń biała, często używana przez najemników w Avrynie.

Tom Brzechwa: farmer i były łucznik na służbie u lorda Marbury'ego.

Trent: północne górzyste królestwo Apeladornu, oddalone i odizolowane.

Tribian DeVole: mieszkaniec wschodu wynajęty przez Arcadiusa

- w celu odnalezienia Hadriana Blackwatera w Calisie.
- Ulica Przekorna: droga prowadząca do najuboższej części Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.
- Uniwersytet w Sheridanie: prestiżowa instytucja naukowa znajdująca się w Ghencie.
- Vernes: miasto portowe u ujścia rzeki Bernum.
- Vivian: żona zamożnego kupca Daniela z Vernesu.
- Warric: najpotężniejsze królestwo Avrynu władane przez króla Ethelreda.
- Wartownicy: generałowie-inkwizytorzy Kościoła Nyphrona, którym powierzono zadanie wykorzenia herezji i odnalezienia zaginionego spadkobiercy Novrona.
- Widzenie: zdolność widzenia przyszłości, którą zwykle posiadają caliskie kobiety.
- Wieża Koronna: siedziba patriarchy i Kościoła Nyphrona.
- Wilki: dziecięcy gang uliczny z Ratiboru.
- Willard: pracownik Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.
- Willy: pasterz z Ibertonu.
- Windham: mała wioska na brzegu Galewyru.
- Wozak: człowiek, który zarabia na życie, przewożąc towary na wozie zwykle ciągniętym przez konia.
- Wschodnia Gwiazda*: duży żaglowiec przewożący pasażerów między Vernesem a Dagastanem.
- Zamek Essendonów: siedziba władców Melengaru.
- Zefir: nazwa łuku Toma Brzechwy.
- Zimonalia: główne święto obchodzone w środku zimy; z jego okazji urządza się uczty i turnieje.
- Zmiatacz: osoba (lub osoby) odpowiedzialna za serię makabrycznych morderstw pewnego lata w mieście Colnora.

# Podziękowania

Chociaż to już moja siódma opublikowana książka, pierwszy raz piszę podziękowania. Nie chodzi o to, że jestem niewdzięcznikiem. Po prostu pozostałe sześć książek opublikowałem sam – wtedy pisarz jest jednoosobową armią i przywyka do tego, że wszystko robi sam. Kiedy wydawnictwo Orbit zainteresowało się „Odkryciami Riyrii”, prace potoczyły się w przyśpieszonym tempie. Książki wpisano do najbliższego kalendarza wydawniczego i musieliśmy błyskawicznie przygotować i wydać trzy tomy (czyli sześć powieści). Raptem nieco ponad sześćdziesiąt dni dzieliło wydanie „Królewskiej krwi” od „Pradawnej stolicy”. Więcej niż kilka rzeczy trzeba było sobie darować, w tym posłowie, które napisałem dla serii.

Jedną z najlepszych rzeczy związanych z tradycyjnym procesem wydawniczym to fakt, że nie ograniczasz się do nieustannych wysiłków jednej osoby. Zamiast tego nad twoją książką pracuje cały zespół ludzi i chociaż wymienię tu tylko część z nich, wiele osób, których nazwisk nawet nie znam, mozoliło się za kulisami. To korektorzy, autorzy opracowania graficznego, asystenci administracyjni i cały zespół od sprzedaży, który pracował tak ciężko, żeby umieścić moją książkę w jak największej liczbie księgarń. Każdemu z Was dziękuję.

Przy „Odkryciach Riyrii” głównym redaktorem była Devi Pillai. Tym samym Devi odziedziczyła serię książek, które już znano i które już zyskały oddanych fanów. Miała wiele cudownych sugestii, prosząc o dodanie szczegółów tu, paru wyjaśnień tam, i walnie przyczyniła się do dodania nowej części początkowej, ale poważniejsze zmiany w przypadku całej serii nie były możliwe.

Książki utkano z licznych wątków i pociągnięcie za jeden mogłoby zniszczyć całą tkaninę. W przypadku „Wieży Koronnej” nie było takich ograniczeń i Devi podzieliła się licznymi spostrzeżeniami i sugestiami, które pomogły mi ulepszyć opowieść, a jednocześnie zajmowała się całym procesem wydawniczym i czuwała nad jego właściwym przebiegiem.

Także kilku czytelników pomogło mi w pracach redakcyjnych. Wykorzystałem fakt, że Internet umożliwia pisarzowi kontakt z czytelnikami, i założyłem prywatną i supertajną grupę czytelniczą o nazwie Dark Room. To miejsce, gdzie wielbiciele serii mogą się spotkać i gdzie mogę udzielić odpowiedzi, jakich nigdy nie powtórzyłbym w szerszym świecie z obawy, że popsuję frajdę tym, którzy dopiero będą czytali moje książki. (Nawiasem mówiąc, jeśli chcesz otrzymać zaproszenie do grupy, wyślij e-mail na adres michael.sullivan.dc@gmail.com). Kilku członków Dark Room zgodziło się na ochotnika przeczytać wstępną wersję powieści i podzielić się wrażeniami w bardzo krótkim czasie. Przede wszystkim potwierdzili, że zdołałem osiągnąć swoje cele, ale podzielili się także błyskotliwymi spostrzeżeniami dotyczącymi możliwych poprawek. Wymienianie zasług każdego z osobna zajęłoby wiele miejsca, ale chcę wymienić wszystkich z imienia i nazwiska: Sarah i Nathaniel Kidd, Heather McBride, Melissa Hayden, Robert Aldrich, Jeffrey Carr, Lewis Dix, Sebastian Hildago, Lucian Wilhelm, Jonathan Lin oraz Jim MacLachlan. Chcę powiedzieć, że uwielbiam członków Dark Room, i podziękować Wam za wsparcie.

@@@Okładka „Wieży Koronnej” to ponownie dzieło dwóch talentów: Larry’ego Rostanta, fotografa i artysty, i Lauren Panepinto, dyrektora kreatywnego. Od dawna wołałem, żeby na okładkach nie umieszczano bohaterów (ponieważ chcę, żeby czytelnicy tworzyli sobie własne wyobrażenie), ale nie ma sensu kłócić się z czymś udanym. Otrzymałem wiele komplementów z powodu okładek do serii „Odkryć Riyrii”, a „Wieża Koronna” trzyma się tamtej tradycji. Uważam, że ze wszystkich okładek że



ta do „Wieży Koronnej” jest najlepsza. Wieżę przepięknie oddano, a Royce został pokazany tak, jak go sobie wyobrażałem. Oboje zasługujecie na gorące brawa. Dziękuję Wam za wysiłek włożony w stworzenie tak pięknej oprawy dla mojej opowieści.@@@

Nigdy dotąd nie pisałem podziękowań, więc nie znam obowiązującej etykiety, ale nie mogłem pominąć Alexa Lencickiego, dyrektora marketingowego z wydawnictwa Orbit. Poza Devi jest jedną z tych osób, z którymi ja i moja żona Robin najczęściej mieliśmy do czynienia. To pracowity, bystry człowiek i praca z nim to czysta radość. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić wszystkich oczekiwań ze strony stada autorów rywalizujących ze sobą o czas jego samego oraz jego zespołu. Jestem wdzięczny za wszystko, co Alex zrobił dla moich książek, ale chcę też wspomnieć, że jestem pod wrażeniem tego, jak traktuje się wszystkich pisarzy wydawnictwa Orbit. Nieustannie widzę jego niewidzialną dłoń we wszelkich przedsięwzięciach i uśmiecham się w duchu na widok każdego sukcesu, wiedząc z własnego doświadczenia, ile pracy potrzeba, żeby dojść do takich rezultatów.

Jenni Hill pracuje w brytyjskim oddziale wydawnictwa Orbit; chciałbym podziękować jej jako redaktorowi prowadzącemu na rynku brytyjskim. Wybrała pięć książek z dwóch serii, a sprzedaż „Odkryć Riyrii” za oceanem (i w całej reszcie anglojęzycznego świata) ogromnie przerosła moje oczekiwania. Niewątpliwie zawdzięczam to jej pracy i mam nadzieję, że pewnego dnia wybiorę się za granicę i podziękuję jej osobiście.

Chciałbym także podziękować Timowi Holmanowi. Jeśli sprawdzicie w Internecie jego funkcję, dowiecie się, że brzmi „wydawca”, i jestem pewien, że to bardzo dużo znaczy w tym przemyśle, ale osobom spoza branży wyjaśniam, że to tak naprawdę znaczy „gruba ryba”. Wiem, że obecnie bardzo się psioczą na tradycyjne wydawnictwo (w większości narzekają ludzie, którzy odnieśli sukces, publikując swoje książki samodzielnie), ale trzeba coś powiedzieć o tradycyjnej działalności wydawniczej właściwie prowadzonej. Orbit stanowi ucieleśnienie

tego i ustanawia standardy, według których ocenia się innych wydawców. Takie rzeczy nie przydarzają się przypadkiem czy szczęśliwym trafem. To zwykle coś, co zawdzięcza się szefowi z wizją i dobrze dobranym pracownikom. Chciałbym więc podziękować Ci, Tim, i zachęcić do dalszej słusznej walki.

Moją agentką jest Teri Tobias, której także pragnę oficjalnie podziękować. W świecie agentów, „twardych ludzi, którzy ostro walczą”, czuję, że to prawdziwe błogosławieństwo mieć po swojej stronie Teri. Tak jak ja jest indywidualistką. Jako osoba niezwiązana z większymi agencjami może swobodnie prowadzić interesy tak, jak tego sama chce, a oboje uznajemy to za coś cennego. Dzięki wspaniałej głowie Teri moja rodzina ma co jeść. Nie tylko wynegocjowała bardzo lukratywne umowy w Stanach Zjednoczonych, ale i zwiększyła moje przychody dzięki kontraktom z dwunastoma innymi krajami, w tym Niemcami, Francją, Hiszpanią, Polską, a nawet Brazylią i Japonią. Jestem pewien, że w przyszłości otworzy się jeszcze wiele innych drzwi, i nie ma słów, którymi mógłbym wyrazić wdzięczność za to, że umożliwiła mi spełnienie marzenia, jakim było zostanie pisarzem na pełen etat.

Oprócz tego, że to pierwsza książka, do której napisałem podziękowania, jest to także pierwsza, której nie zadedykowałem żonie. Uznałbym to za zaniedbanie, gdybym nie podziękował jej w tym miejscu. Wątpię, żeby ktokolwiek poza nami dwojgiem wiedział, jak wielki był jej wkład w moją karierę i ostateczny kształt książek. Jest moją pierwszą czytelniczką, współpracowniczką przy zmianach i jedyną osobą, która potrafiła ostro mi się przeciwstawić, zalecając poprawki. Nasze dyskusje bywały tak rozognione, że nasza córka schodziła na dół sprawdzić, co, u diabła, się dzieje w tym domu. Książki nie byłyby nawet w połowie tak dobre, gdyby nie jej starania. Poza tym pewnie w ogóle by nie powstały, ponieważ to radość, jaką czuję na widok entuzjazmu, z jakim ona czyta, zachęca mnie do codziennego siadania przy klawiaturze.

A skoro mowa o dedykacjach, zauważycie, że tę książkę

zadedykowałem czytelnikom. Tym, którzy nie wiedzą, powiem, że raz porzuciłem pisanie na ponad dziesięć lat i w tym czasie nigdy nie myślałem, że ktokolwiek poza rodziną i przyjaciółmi będzie czytał moje historie. Ta myśl była więcej niż tylko trochę przygnębiająca. Nawet kiedy nie mogłem już dłużej się opierać i wróciłem do pisania, nie zamierzałem publikować. To było marzenie, które uważałem za coś poza moim zasięgiem. Wspomniałem właśnie, jaką satysfakcję dawała mi przyjemność, z jaką moja żona czytała moje książki; wyobraźcie sobie, jak to jest otrzymać podobną reakcję ze strony ludzi, których nigdy nie poznałem. Wymyślam historie, ale opowiadanie ich w rozbrzmiewającym pustką własnym pokoju nie jest zbyt zabawne. Dzielenie się nimi i odkrywanie, że podobają się innym, to największy dar, jaki mogłem otrzymać. Ludzie często dziękowali mi przez Internet za to, że tak chętnie kontaktuję się z fanami. To mnie bez mała śmieszyło. Nie widzicie, że to egoistyczne? Że zyskuję niemal tyle samo z naszych wymian (pewnie nawet więcej) co wy? To zdumiewające, że ludziom podobały się moje historie w takim stopniu, że chcieli do mnie napisać. Jestem ogromnie wdzięczny tym, którzy tak bardzo kochają moje książki.

Ostatnio rozmawialiśmy z żoną o tym, dlaczego J.K. Rowling wydała nową książkę. Robin stwierdziła: „Przecież ma więcej pieniędzy, niż zdołałaby wydać w ciągu stu żywotów, po co jeszcze pisać?”. Ja rozumiem J.K. Rowling, ale trudno wyjaśnić to komuś, kto nie pisze. To nie jest praca. To nie jest coś, do czego trzeba się zmuszać, tak naprawdę woląc robić coś innego. Powinienem mieć naklejkę na zderzaku „wolę pisać”, bo gdybym był całkowicie niezależny finansowo, nadal pisałbym i nadal chciałbym, żeby ludzie czytali moje książki. Widzicie, jestem jednym z tych nielicznych uprzywilejowanych ludzi, którzy budzą się co rano z perspektywą zajmowania się czymś, co najbardziej kochają. Całe życie pisałem i dziesięć lat spędziłem w abstynencji, próbując zerwać z tym nałogiem, który uważałem za donikąd nieprowadzące marnotrawstwo czasu. Nie udało mi się. Gdybym

nawet miał nie zarobić ani centa więcej i nie znaleźć ani jednego czytelnika więcej, nadal bym pisał. Nic na to nie poradzę. Jednak to dzięki takim ludziom jak Wy, którzy wspierają moje wysiłki, nie muszę zwyczajnie pracować i odliczać minut, kiedy wreszcie będę mógł popędzić do klawiatury. Zatem przede wszystkim dziękuję Wam za dar, jakiego nikt inny nie może dać: czas. Więcej czasu, żeby tworzyć światy, więcej czasu, żeby tchnąć życie w bohaterów, więcej czasu, żeby robić to, co najbardziej kocham. Wam właśnie przesyłam moje najpokorniejsze podziękowania.

# O autorze

Michael J. Sullivan to jeden z nielicznych pisarzy, który odniósł sukces wydawniczy trzema drogami: w małej oficynie wydawniczej, publikując samodzielnie i w wielkiej szóstce. Jego serię „Odkrycia Riyrii” przetłumaczono na czternaście języków, w tym niemiecki, rosyjski, francuski i japoński. Trafił na publikowaną przez io9 listę *Most Successful Self-Published Sci-Fi and Fantasy Authors* oraz zajął szóste miejsce na *EMG's 25 Self-Published Authors to Watch*. W styczniu 2013 roku jego książki pojawiły się na ponad sześćdziesięciu pięciu listach pozycji „najlepszych” i „najbardziej wyczekiwanych”, w tym:

- *Fantasy Faction Top 10 Most Anticipated Books* w roku 2013;
- *Goodreads Chose Awards Nominees for Best Fantasy* w 2010 i 2013 roku;
- *Audible's 5-star The Best of Everything List* w 2012 roku;
- *Library Journal's Best Book for SF/Fantasy* w 2011;
- *Barnes & Nobles Blog's Best Fantasy Releases* w 2011;
- *Fantasy Book Critic's 1 Independetn Novel* w 2010 roku.

Jak w przypadku wielu pisarzy droga Michaela do wydania książki była długa. Po dwudziestce został tatą zajmującym się dziećmi w domu i pisał, kiedy latorośle spały lub były w szkole. Ukończył dwanaście powieści w ciągu dziesięciu lat i nie znajdując żadnego odzewu, porzucił pisanie. W ciągu następnej dekady historie nadal powstawały, ale Michael nigdy nie przelał ich na papier. W końcu poddał się i znowu zaczął pisać, ale pod

warunkiem, że nie będzie próbował ich wydać. Postanowił pisać historie, które sam chciałby czytać, i spodziewał się, że będzie się nimi dzielił tylko z rodziną i bliskimi przyjaciółmi. Jego żona Robin miała inne plany.

Po przeczytaniu pierwszych trzech powieści z cyklu „Odkrycia Riyrii”, postanowiła sobie, że wypuści je w świat. Ponieważ Michael nie chciał z powrotem wskakiwać w kołowrót próśb i odmów, wzięła to na siebie i po ponad stu odmowach wreszcie znalazła agenta. Po roku rozsyłania prac, nie widząc żadnego odzewu, przerzuciła się na poszukiwania wśród małych oficyn i tak „*Królewska krew*” trafiła do Aspiration Media Inc. Oficyna zainteresowała się także „*Wieżą elfów*”, ale kiedy zabrakło im funduszy na druk, zwrócili prawa i Robin zaczęła wydawać książki w półrocznych odstępach własnym nakładem. Kiedy zaczęły nadchodzić propozycje od zagranicznych wydawnictw, zatrudniła Teri Tobias, żeby wybrała właściwych wydawców i negocjowała umowy. Przy publikacji piątej książki Robin poprosiła Teri, żeby jeszcze raz spróbowała w Nowym Jorku, i tym razem cykl spotkał się z zupełnie inną reakcją. Z siedemnastu wydawnictw, do których się zwrócono, niemal połowa wyraziła zainteresowanie i w niecały miesiąc podpisano umowę z Orbit (wydawnictwem należącym do wielkiej szóstki Hachette Book Group).

Ukończywszy „Odkrycia Riyrii” i czekając na reakcję na cykl, Michael napisał dwie samodzielne powieści „*Hollow World*” (powieść science fiction) i „*Antithesis*” (urban fantasy). Praca nad nimi została chwilowo zawieszona, ponieważ odbiorcy domagali się kolejnych książek o Roysie i Hadrianie. W odpowiedzi Michael napisał „*Kroniki Riyrii*”, które sprzedano wydawnictwu Orbit. „*Wieżę Koronną*” opublikowano w sierpniu 2013 roku, a „*Różę i Cierń*” we wrześniu tego samego roku. Więcej informacji o autorze znajdziecie na stronie [www.riyria.com](http://www.riyria.com).

Aby dowiedzieć się więcej o Michaleu J. Sullivanie i innych pisarzach wydawnictwa Orbit, zarejestrujcie się na stronie

[www.orbitbooks.net](http://www.orbitbooks.net), żeby otrzymywać co miesięczny darmowy biuletyn informacyjny.